



ZIOMECKI

MARIUSZ

Odetchnij jeszcze raz

Tajemnica każdej zbrodni
powinna zostać wyjaśniona,
ale czasem trzeba za to
zapłacić wysoką cenę...

ZIOMECKI

MARIUSZ

Odetchnij
jeszcze raz



Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Redakcja: Irma Iwaszko

Redakcja techniczna: Anna Sawicka-Banaszkiewicz

Skład wersji elektronicznej: Robert Fritzkowski

Korekta: Katarzyna Szajowska

Zdjęcie na okładce

© Dave Wall/Arcangel Images

© Jag_cz/Shutterstock

Copyright © for the text by Mariusz Ziomecki

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2018

Ta książka jest fikcją literacką. Żadna z postaci występujących w powieści nie jest ani w całości, ani częściowo wzorowana na osobach, które sprawują lub sprawowały funkcje lub zajmują albo zajmowały stanowiska opisane w książce. Ewentualne podobieństwo do prawdziwych osób i zdarzeń nie jest zamierzone i może być jedynie przypadkowe.

ISBN 978-83-287-0907-2

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2018

*Oddech to pierwsza rzecz, jaką dostajemy po narodzinach, i ostatnia,
jaką oddajemy przed śmiercią.*

Miriam Dubini, *Wiadomość do mnie*,
przeł. Kornelia Krzystek

*Spętana duszo, która, usiłując być wolna,
coraz okropniej się wikłasz...*

William Shakespeare, *Hamlet*,
przeł. Józef Paszkowski

Spis treści

PROLOG

Dzień pierwszy Poniedziałek, 2 stycznia 2017

Dzień drugi Wtorek, 3 stycznia 2017

Dzień trzeci Środa, 4 stycznia 2017

Dzień czwarty Czwartek, 5 stycznia 2017

Dzień piąty Piątek, 6 stycznia 2017

Dzień szósty Sobota, 7 stycznia 2017

Dzień siódmy Niedziela, 8 stycznia 2017

Dzień ósmy Poniedziałek, 9 stycznia 2017

Dzień dziewiąty Wtorek, 10 stycznia 2017

Dzień dziesiąty Środa, 11 stycznia 2017

Dzień jedenasty Czwartek, 12 stycznia 2017

Dzień dwunasty Piątek, 13 stycznia 2017

Dzień trzynasty Sobota, 14 stycznia 2017

Dzień czternasty Niedziela, 15 stycznia 2017

Dzień piętnasty Poniedziałek, 16 stycznia 2017

Dzień szesnasty Wtorek, 17 stycznia 2017

Dzień siedemnasty Środa, 18 stycznia 2017

Dzień osiemnasty Czwartek, 19 stycznia 2017

Dzień dziewiętnasty Piątek, 20 stycznia 2017

Dzień dwudziesty Sobota, 21 stycznia 2017

Dzień dwudziesty pierwszy Niedziela, 22 stycznia 2017

Dzień dwudziesty drugi Poniedziałek, 23 stycznia 2017

Dzień dwudziesty trzeci Wtorek, 24 stycznia 2017

Dzień dwudziesty czwarty Środa, 25 stycznia 2017

Dzień dwudziesty piąty Czwartek, 26 stycznia 2017

Dzień dwudziesty szósty Piątek, 27 stycznia 2017

Dzień dwudziesty siódmy Sobota, 28 stycznia 2017

Dzień dwudziesty ósmy Niedziela, 29 stycznia 2017

Dzień dwudziesty dziewiąty Poniedziałek, 30 stycznia 2017

Dzień trzydziesty Wtorek, 31 stycznia 2017

Dzień trzydziesty pierwszy Środa, 1 lutego 2017

Dzień trzydziesty drugi Czwartek, 2 lutego 2017

Dzień trzydziesty trzeci Piątek, 3 lutego 2017

EPILOG

PROLOG

**Czwartek, 15 czerwca 2017
Godz. 13.14**

Ten ktoś spadał z nieba zbyt stylowo jak na ofiarę wypadku.

Odruchowo podniosłem głowę, gdy usłyszałem warkot samolotu. Leciał od południa. Kilka osób w naszej okolicy ma awionetki i w ładną pogodę kręcą się nad zalewem; zaciekało mnie, kto zapuszcza się akurat nad nasz pensjonat. I zobaczyłem, jak od krzyża maszyny oddziela się mały ciemny krzyżyk ludzkiej sylwetki.

Z rozłożonymi rękoma i tułowiem wygiętym w łuk ślizgał się w powietrzu fachowo i z gracją, jak skoczek przed otwarciem spadochronu – tyle że w tym wypadku spadochron się nie otworzył i na koniec kilkunastosekundowego lotu w tej niezmiennie eleganckiej pozycji człowiek runął na szklaną werandę naszego pensjonatu. Trzasnął w nią z ogłuszającym hukiem pękającego szkła i druzgotanych rattanowych mebli.

Stałem na trawniku dziesięć metrów dalej z tacą kieliszków napełnionych musującym winem. Odprysk szkła użądlił mnie w policzek, deszcz drobniejszych części werandy czułem we włosach i na ubraniu. Okulary przeciwsłoneczne osłoniły mi oczy.

Nie ma cudów, musiał zginąć na miejscu. Mimo to upuściłem tacę i rzuciłem się do werandy. Przybysz leżał twarzą w dół wśród zgliszczy, bez ruchu. Nie miał na sobie uprząży spadochronu ani hełmu, ani nawet ochronnych gogli.

Samobójca. Obróciłem ciało.

Choć było zmiażdżone po zderzeniu z ojczyzną i poszatkowane przez szkło – bez żadnych wątpliwości rozpoznałem tego człowieka.

Ta sprawa – albo raczej dwie sprawy splecione jak bransoletka na moim nadgarstku, którą nasz synek wykonał z kolorowych żyłek w ramach zajęć przedszkolnych – zaczęła się zimą od nieboszczyka i oto na innym nieboszczyku zakończyła się u progu lata.

Mimo moich gabarytów, tatuaży i do niedawna łysej pały nie jestem szczególnie krwiożerczy – jak na dzisiejsze standardy przynajmniej. Więc zdecydowanie bym wolał mniej drastyczną puentę do tej historii, również ze względu na koszt remontu werandy. Ale świat jest, jaki jest: rządzi w nim diabeł, wymiar sprawiedliwości to ponury żart, a ci, którzy detektywów zatrudniają, płacą nam za wyniki. No i na koniec je dostają.

Dzień pierwszy

Poniedziałek, 2 stycznia 2017

Godz. 11.09
Kostnica 7 Szpitala Wojskowego w Dęblinie
ul. Dywizjonu 303/6

Prosektorium to dla większości śmiertelników końcowy przystanek, ale dla detektywa to często miejsce, gdzie historia się zaczyna.

Na skinienie młodszego aspiranta, szefa komisariatu z Dęblina, wąsaty pracownik popycha metalową dźwignię i ze ściany wysuwa się szuflada z nierdzewnej stali. Wszystko jest jak należy: tekturka z wypisanym ręcznie nazwiskiem przywiązana sznurkiem do palucha stopy żółtej jak woskowa świeca, dalej chude nogi i stroma ściana wzdętego brzucha, za nią otłuszczone ciało. Tylko głowa jest zgięta pod kątem ostrym i przekręcona, jakby denat chciał obejrzeć własne plecy bez pomocy lustra.

Pochyliłam się nad trupem, oglądam z bliska zmrożoną szyję. Wiązadła stawu potylicznego są rozwalone, przemieszczona wypustka kręgu szczytowego nienaturalnie wypycha skórę.

– Musiał być silny jak mała. – Młodszy aspirant decyduje się rzucić fachową uwagę. – Ten, co mu to zrobił.

– Zdziwiłby się pan.

Miałem już podobnego, jeszcze jak byłem w policji. Dwunastolatek skręcił kark pijanemu ojcu. Młody przestraszył się, że tatuś nie odpowiada, i tak szarpnął głową nieprzytomnego, że został sierotą.

– Masę ma, ale też swoje lata – dodaję. – Emeryt, co?

– A kto inny przyjdzie pracować za osiem złotych? Tylko takich biorą do ochrony.

– Od zeszłego roku jest dwanaście za godzinę – zauważam.

My z Baską martwiliśmy się tą podwyżką płacy minimalnej. Niby o wiele nie poszła w górę, ludzie tych paru złotych nie odczuli, ale jak wszystko dodać, podatki, zusy-śrusy, to windowało nam koszty w pensjonacie. Ostatnio rodzinny interes pozostaje głównie na głowie mojej żony, bo kazała mi się wyprowadzić, ale kiedyś sytuacja przecież wróci do normy. Nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej. Wciąż się rozliczamy i sumiennie dzielimy dochodami na koniec każdego

miesiąca. Biznes należy tak samo do mnie, jak do niej.

– I co z tego? Nie ma mocnych na skurwysynów z firm – mówi gliniarz i przygląda mi się spode łba. – Co miesiąc odciągają pracownikom regulaminowe kary albo opłaty za użyczenie mundurów. I znów wychodzi osiem złotych na godzinę.

Z zachowania szefa dęblińskiego komisariatu widzę, że nie jest przekonany, czy warto mi pomagać. A jeśli każą mu się tłumaczyć z konszachtów z prywatnym detektywem? Zwłaszcza takim, co wygląda jak ja. Jesienią, gdy znalazłem się poza domem, ogoliłem łeb na łyso i zrobiłem sobie sporo tatuaży na ramionach, na karku, z tyłu czaszki. Nietypowe dla emerytowanego podinspektora z działu zabójstw Komendy Stołecznej. Dębliński gliniarz od początku był podejrzliwy, prznosił wzrok ze mnie na zlecenie na blankiecie firmowym z zielonym logo, z pieczęcią i podpisem wiceprezes zrzeszenia banków, i znów na mnie. Ledwo udało mi się go namówić, żeby przyjechał ze mną do kostnicy. Bez tego nie miałbym szansy rzucić okiem na nieboszczyka.

Ranek mam pracowity, wyruszałem w drogę, gdy nad zalewem było jeszcze ciemno. Prószył lekki śnieg. Na komisariacie zameldowałem się już po spotkaniu z kierownikiem Spółdzielczego Banku Rolnego w Dęblinie. Oddział przy Pułaskiego 7 nie został otwarty po świętach. Kartka na drzwiach informowała, że bank jest nieczynny do odwołania. Na szczęście dostałem w centrali numer komórki kierownika. Okazało się, że akurat był wewnątrz. Prawie strzelił przede mną obcasami, gdy przeczytał pismo pani wiceprezes.

Najpierw zażyczyłem sobie zobaczyć tę słynną dziurę w dachu. Zaprowadził mnie klatką schodową na drugie piętro, a tam w jednym z sześciu ciemnych pokoiów mętne światło dnia przenikało przez wypiłowany otwór w suficie. Od strony dachu został przykryty przezroczystą folią. Otwór był okrągły i zaskakująco mały.

Jakby obrobili ten nieszczęsny bank metodą laparoskopową.

– W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakieś dzieciaki się wśliznęły. – Kierownik nie przestawał gadać. Niski, z wianuszkami włosów dokoła czaszki i w okularach z grubymi szklami, zachowywał się jak zdenerwowany nauczyciel, tylko w drogim garniturze. – Ale dzieciaki by nie oślepiły czarnym sprejem kamer monitoringu. No i by nie ukatrupiły naszego pana Władka, prawda?

Podłoga bezpośrednio pod otworem usiana była opiłkami drewna i czegoś czarnego, chyba papy.

– Da się wejść na ten dach?

– Kiedyś tak, ale zamurowaliśmy, zakładając oddział. Teraz tylko po drabinie. Niestety nie mamy takiej długiej na stanie. Zresztą nie radziłbym, dach pewnie oblodzony...

– To w tamtej szafie trzymaliście gotówkę?

– Zgodnie z naszym regulaminem.

Stała pod ścianą, metalowa, szeroko otwarta. Na obu skrzydłach blaszanych drzwi zobaczyłem przykręcone śrubkami metalowe kapsle, chyba po piwie, wypełnione plasteliną. W lewym tkwił kawałek zwykłego sznurka. Uniwersalny patent urzędników, polska odpowiedź na pieczęć z laku.

– Może pan zapalić światło?

Wyciągnąłem z kieszeni kurtki lateksowe rękawiczki, składaną lupę, punktową ołówkową latarkę i zabrałem się do oględzin. Na wbudowanym zamku nie znalazłem śladów uszkodzeń mechanicznych, na kłódce również. Ktoś umiał otwierać proste zamki albo po prostu dysponował kluczami. I sprawcy wiedzieli, w którym miejscu piłować dach. Znaleźli się dokładnie na środku właściwego pomieszczenia.

– Przydałaby się drabinka. Albo chociaż krzesło.

Kierownik przytaszczył krzesło z sąsiedniego pokoju. Ostrożnie ustawiłem je wśród opiółków i stanąłem na siedzeniu. Świecąc latarką, długo oglądałem otwór. Doszedłem do wniosku, że faktycznie został zrobiony od zewnątrz.

Potem zająłem się metalową szafą. W środku na półkach stało kilka segregatorów z dokumentami. Trzy puste kasetki na bilon leżały na podłodze obok szafy. Uważałem, by żadnej nie potrącić butem.

Kierownik nie chciał mi powiedzieć, ile pieniędzy zabrano, zarząd zakazał udzielania takich informacji. Wyciągnąłem z niego jednak, że chodziło o dwa płócienne woreczki z paczkami banknotów oklejonymi banderolami. W dzisiejszych czasach banki nie trzymają wiele gotówki.

– Dokładnie tak to miejsce znaleźliście? W takim stanie jak teraz?

– Niczego nie ruszaliśmy – potwierdził skwapliwie.

Opowiedział, jak pracownicy przyszli do banku rano w piątek, dzień przed Wigilią, i natknęli się na dole na ciało strażnika. Wybuchło zamieszanie, kobiety płakały, mężczyźni wzywali policję z kilku telefonów jednocześnie. Gdy już przybył radiowóz, jedna z kasjerek odkryła, że zniknęła też rezerwa gotówkowa przechowywana na górze.

Pomieszczenie z szafą nie zostało zabezpieczone przez policję, kierownik po prostu otworzył drzwi kluczem. Podobnie ta część parteru, gdzie leżały zwłoki. Regulaminowo cały budynek powinien zostać opieczętowany i pilnowany przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, skoro tuż przed świętami nie byli w stanie w zabezpieczyć miejsca przestępstwa.

– Przesłuchiwali pana?

Na puciołowatej twarzy pojawił się pogardliwy grymas.

– Skąd! Policja i prokuratura palcem nie kiwnęły do Nowego Roku. A teraz mamy styczeń i znów nic się nie dzieje. Banda nierobów! Potrafią tylko pouczać kierownictwo banku w kwestiach bezpieczeństwa. Choć nasi pracownicy, bez wyjątku, przechodzą profesjonalne szkolenia. Smutne, ale polska policja do końca schodzi na psy. Nigdy nie była zbyt dobra, ale ostatnio – przepraszam za szczerość – nadaje się tylko, żeby ją o dupę potłuc. Jako kierownik oddziału nie mam pojęcia, kiedy znów utworzymy! A przecież oni mogliby...

Przerwał tknięty nagłym przeczuciem.

– Pan, panie detektywie, nie był w policji? Bo jeśli tu jakaś niedelikatność wyszła, to ja bardzo...

– Dawno temu i nieprawda – pociesyłem go i pożegnałem się.

Młodszy aspirant z komisariatu ma własne zdanie o bankach rolnych i ich szefach.

– Cwane miśki. – Wydyma pogardliwie wargi. – Badaliśmy im stan zabezpieczeń biernych i czynnych w oddziale w ramach audytu. Nawet porządnych drzwi nie założyli. Nie mówiąc już o słuzie przeciwnapadowej, alarmie akustycznym czy monitoringu z prawdziwego zdarzenia. A jacy goryle ich ochraniali, to widzisz, kolego, przed sobą. Prosił się, żeby ich skroić.

Patrzemy obaj na żółtawy kształt przed nami w stanie idealnego bezruchu, jaki osiąga tylko materia nieożywiona. Nie da się udać trupa, po prostu leżąc z wstrzymanym oddechem. Daję znak wąsatemu, że może już wsunąć szufladę na powrót do ciemnej komory chłodni.

– To był ich pracownik?

– Skąd! Bank najął firemkę krzak z Garwolina, po taniości. Trzymali jednego dziadka na zmianie, tylko w godzinach urzędowania. Czysta, kurwa, fikcja, bo taki nie pomoże, nawet jak się klient wkurwi i japę wypruje na urzędniczki albo pijak się przyplącze z ulicy.

– Coś wiadomo o ofierze?

– Tego akurat trochę znałem, na mojej ulicy mieszkał. Kiedyś jeździł dla PKS, ale kręgosłup mu się rozsypał i musiał przejść na rentę. W rodzinie się nie przelewało, był skonfliktowany z córką i zięciem. Słuchałem córki na notatkę. Zeznała, że pokłócili się w kuchni podczas przygotowań do wigilii o galaretę do karpia. Podobno nawet niebieską kartę mieli im zakładać, ale machnąłem ręką; za dużo takich rodzin jest. W święta młody się upił, więc stary poszedł spać do banku. Żeby zięciowi zejść z oczu. No i wszedł w oczy komuś innemu, biedak.

– Często tam nocował?

– Nie mamy takich danych. Ale raczej nie, w pomieszczeniu dla strażników nie ma się na czym położyć, korpo nie pozwoliło im wstawić leżanki. Owinął się kocem na fotelu w sali obrachunkowej za kasami. Tam go znaleźli rano.

– To on wyłączył alarm wewnątrz budynku?

– Na to wygląda.

– Zięć z tych, co potrafią skrócić kark?

– A kto go wie. Młody byczek, typowa patologia. Mamy tu takich pół miasta.

– Kiedy ruszacie z dochodzeniem?

– My nigdy. Po południu ma przyjechać do banku śledczy z Garwolina. Będzie słuchał pracowników i kierownika.

– A prokurator?

– Na nartach w Alpach. Nie wiem, kiedy wraca. To teraz paniska są.

Podsuwam mu swoją wizytówkę.

– Gdyby śledczy coś ciekawego ustalił... Chętnie z nim pogadam, daj mi cynk, kto to. Umiem się odwdziaczyć.

Rozważa propozycję przez chwilę z niechętnym grymasem na twarzy. Jednak chowa kartonik do kieszeni.

– Wreszcie mówisz jak inteligentny człowiek. Ale nie liczyłbym, że Garwolin stanie na głowie, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Wiem. Nikt nie lubi banków.

Ale tu śmierdzi na dworze. Zimno, wszystkie kopciuchy w okolicy pracują.

Godz. 13.26
Szosa na Lublin
za rondem w miejscowości Kołbiel

Czerwone mitsubishi mam na oku od kilku kilometrów. Wykonuje podejrzone manewry: gdy auto nadjeżdżające z przeciwka zaczyna wyprzedzać, grzecznie zjeżdża, robi mu miejsce. Ale jeśli wyprzedzający, zachęcony, przekracza linię środkową, mitsubishi nagle daje w lewo, zamykając tamtemu drogę i zmuszając kierowcę do gwałtownego odbicia.

Taka zabawa może się źle skończyć. Kamerka w moim bmw zarejestrowała już kilka takich akcji. Jeśli dojdzie choćby do otarcia, kierowca wozu znajdującego się na przeciwległym pasie ruchu będzie uznany winnym zdarzenia w ruchu drogowym.

Jak nic, cwaniak poluje na stłuczkę i reperację z cudzego OC.

Powinienem przycisnąć gaz, wyprzedzić go i zapomnieć. Ale nie cierpię takich typów. Igrają ze zdrowiem i życiem innych. Trzymam się za nim i czuję, jak w gardle rośnie mi gula ze złości.

Godz. 13.57
Szosa na Lublin
Wiązowna

Typowi udaje się przed samą Warszawą. Na wysokości nowego hotelu Brant ciemnozielony range rover niezbyt szybko, za to zbyt szerokim łukiem omija kawalkadę aut dostawczych skręcających w prawo do hotelu. Mitsubishi przysuwa się i z hukiem szoruje bokiem po burcie range'a.

Wszyscy dajemy po hamulcach. Kierowcy range'a i mitsubishi tak samo, stają na środku szosy.

Zjeżdżam na pobocze kilkadziesiąt metrów dalej i wyskakuję z wozu. Gdy dochodzę na miejsce, tamci już zapalili światła awaryjne i oglądają uszkodzenia. Środek jezdni jest zastawiony, ruch zaczyna się korkować.

Sprawca stłuczki jest młody, ubrany w dzinsy i skórzaną kurtkę. Klnie wniebogłosy, machając rękami i wyzywając gościa z terenówki od pacanów. Tamten, starszy, z białą kozią bródką, wydaje się zdezorientowany. Płatki drobnego śniegu padają na jego dziwaczny garnitur. Przedłużona do kolan czarna marynarka nie ma klap, a biała koszula kończy się stójką, nie kołnierzem. Jest spięta długą szpilką ozdobioną ciemnym kamieniem.

– Wszyscy widzieli, jak ten baran na mnie się wpakował! – drze się ten od mitsubishi, wskazując na mnie palcem. – Ten pan też, prawda?

Nie odpowiadam. Delikatnie, żeby nie przestraszyć siwego, chwytam go za ramię.

– Padł pan ofiarą przestępstwa – mówię cicho. – Jestem byłym policjantem i naocznym świadkiem. Zejdźmy z drogi, tu zaraz ktoś na pana wjedzie.

Kozia Bródka bez oporu pozwala się prowadzić na pobocze. Widząc to, drugi z kierowców przestaje się wydzierać i dołącza do nas. Demonstracyjnie wyciąga telefon komórkowy.

– Dzwonię po policję!

– Dzwon. Bardzo dobrze. – Patrzę mu prosto w oczy. – Jechałem za tobą od Kołbieli, człowieku. Mam nagrane na kamerce co najmniej cztery próby sprowokowania wypadku. Będą kłopoty. Zeznam na policji, pokażę nagranie.

– Pierdolisz. – Tamten odpowiada hardo, ale rozgląda się szybko, sprawdza otoczenie.

– To nie będzie aż tak przyjemne, obawiam się.

Oczy mu się zwężają, jednak nie ma odwagi podnieść na mnie ręki. Jestem o głowę wyższy i co najmniej o trzydzieści kilo cięższy. A odkąd zrobiłem sobie te tatuaże, rzadziej muszę się bić z frajerami. Masa i dziary budzą respekt.

– Nazywam się Medyna, jestem policjantem w stanie spoczynku – dobijam go. – Wpadłeś w gówno po uszy, kolego.

– Drogówka przyzna mi rację – warczy. – I każdy sąd. Ten baran wjechał na przeciwny pas i zniszczył mi nowy samochód! Ale... możemy się dogadać. – Odwraca się do Koziej Bródki, który wciąż nie jarzy, o co chodzi. Dygocze z zimna w swoim jedwabnym wdzianku.

– Będziesz się dogadywał z policją. – Sięgam po swój telefon.

– Zaczekaj... Luknijmy na ten zapis. Jeśli faktycznie go masz...

Próbuje ze mną na bezczela. Jak większość cwaniaków, kiedy się ich złapie za rękę.

– A co ja jestem, narzeczona, żeby ci pokazywać? – rzucam. – Prokurator doceni nagranie.

– Panowie, apeluję o spokój – odzywa się Kozia Bródka, klekocząc zębami. – Podjedźmy na kawę w jakieś ciepłe miejsce, omówimy sytuację. Jak cywilizowani ludzie.

Pomysł bez sensu. Ale to on poniósł szkodę, a poza musimy przesunąć fury, zanim przelotówka zapcha się całkowicie. Wbrew temu, co sądzi większość kierowców, jeśli w zdarzeniu drogowym nie ma ofiar, należy umożliwić ruch na drodze, zjeżdżając albo spychając pojazdy na pobocze. Równie dobrze możemy więc podjechać na parking najbliższej knajpki.

– Może niech pan zaczeka w wozie – rzucam do posiadacza range'a.

Żeby zdobyć klienta, należy zaskarbić sobie jego zaufanie, postępować elastycznie. Ruszam truchtem do swojej fury. Otwieram drzwi pilotem, wsuwam się na siedzenie i wyjmuję kamerę z uchwytu za przednią szybą. Wciskam guzik przewijania, kolorowy obraz na małym ekranie zamazuje się, a cyfrowy zegar cofa się szybko. Szukam sekwencji, którą nagrałem za Kołbielą. Gdy po minucie mam ją na ekranie, kierowca z mitsubishi stoi obok moich drzwi. Opuszczam szybę i podaję mu urządzenie.

– Zobacz sobie, kolego. Możesz zacząć płakać nad sobą.

Błąd.

Zamiast się zmartwić, facet daje nura pomiędzy auta z moją kamerą w rękę. Wyskakuję za nim, ale po kilku sekundach idę po rozum do głowy i wracam za kierownicę. Tamten mknie jak zajac do swojego mitsubishi, a ja ze swoim tytanowym kolanem nie jestem cholernym Usainem Boltem. Zero szans, że go dopadnę z buta.

Sprawca stłuczki jest w aucie i rusza w stronę Warszawy. Próbuję zajeżdżać mu drogę, ale przez bezcenne sekundy blokuje mnie ciężarówka. Gdy wreszcie udaje mi się wydostać na asfalt, czerwone japońskie auto ma nade mną kilkaset metrów przewagi. Pruje w stronę miejscowości Zakręt, gdzie szosa z Lublina wchodzi w Trakt Brzeski. Dalej będzie próbował mnie zgubić na wylotówce albo na uliczkach osiedli, które rozrosły się po obu stronach traktu.

Tyle że mu się nie uda. Moje stare bmw coupé z usuniętymi oznaczeniami to M3 CSL MG. Prawdziwa rakietka z 2003 roku: trzysta sześćdziesiąt koni pod maską, poniżej pięciu sekund od zera do setki, maksymalna szybkość elektronicznie ograniczona do dwustu sześćdziesięciu czterech kilometrów na godzinę – na mitsubishi starczy.

Sprzedawca tego klasyka prawie płakał, gdy w trakcie jazdy próbnej przy stówce wcisnąłem pedał do blachy. Z wizgiem odpaliły dwie turbosprężarki sześciocyndrowej jednostki napędowej i słoń – co ja mówię, mamut przedpotopowy! – kopnął nas w dupę. Wóz skoczył do przodu jak atakujący myśliwiec... Sam się wzruszyłem. Dogadaliśmy się na równe pięćdziesiąt tysięcy gotówką.

Niby dużo pieniędzy za starego rzęcha, który w dodatku żłopie paliwo jak ruski czołg. Ale popatrzcie na to z innej strony: to umiarkowana cena za auto, które rusza się nie gorzej niż porsche carrera – egzemplarz, którym na swoje nieszczęście miałem okazję powozić tyłek wiosną, co bezpowrotnie wypaczyło mi charakter.

Teraz z rykiem szóstki zbliżam się do mitsubishi, które ciśnie, ile japońska fabryka mu dała. Pół kilometra przed skrzyżowaniem z Traktem Brzeskim już siedzę cwaniakowi na ogonie – jakbym dogonił babcię, która przez kopny śnieg pcha wózek z bliźniakami.

Na trakcie przed nami ruch gęsty, wóz za wozem. Koleś albo będzie musiał się zatrzymać, albo wbije się tam na los szczęścia – pół na pół, że będzie miał czym jechać dalej. Ale nawet jeśli mu się uda, po kilkuset metrach utknie w korku.

I będzie mój. Wyciągnę go z tego wozu za kark.

Jednak nie ryzykuje ze skrzyżowaniem, dwieście metrów wcześniej skręca ostro w lewo. Ślizgiem przecina przeciwległy pas tuż przed maską rozpaczliwie hamującego forda i wpada w jakąś dróżkę ledwo widoczną spod śniegu. Chyba skrót do osiedla Starej Miłosnej. Ruszam za nim, gdy w sznurze aut od Warszawy wreszcie robi się luka.

Dróżka wiję się i jest śliska jak diabli, pod warstwą śniegu leży żywy lód. Tu nie zaszaleję z tylnym napędem, nawet z włączoną stabilizującą elektroniką. Biorę kolejne zakręty sześćdziesiątką, a i tak beema zamiata zadem od krawężnika do krawężnika. Gdy wydostaję się na prostą, widzę, że czerwone auto znika w prostopadłej alejce jakieś sto metrów przede mną, przy sklepie Biedronki.

Jeszcze ułamek sekundy, a bym go nie dostrzegł.

Nadganiem kawałek, hamuję z grzechotaniem ABS-a i też daję w lewo. Jest przede mną: mitsubishi też podlega prawom fizyki, uciekinier nie zyskał wiele przewagi.

Przy kolejnym skrzyżowaniu gwałtownie hamuje, jakaś kobieta z dzieckiem i psem wchodzi na jezdnię. Zarzuca go, ale omija ich i pędzi prosto. I po pięciu sekundach mamy koniec wyścigów.

To jest ślepa uliczka.

Pozamiatane. Po prawej ogrodzone siatką posesje, po lewej też, a drogę zamyka szeroki rów z wąskim mostkiem dla pieszych. Jakaś rzeczka tędy płynie. Nawet wojskowy hummer się nie przedrze.

Staję dokładnie za nim i wyłączam silnik. Wsiadam z samochodu, zdejmuję kurtkę i owijam nią prawe ramię. Nie zamierzam się pokaleczyć odłamkami szkła. Większość takich cwaniaków nie chce wysiadać z wozu dobrowolnie, blokują drzwi. Musi być coś w mojej mowie ciała, że wolą się nie ruszać. Prawie przestają oddychać.

A jednak – niespodzianka. Facet opuszcza szybę i wysuwa ramię na zewnątrz. Coś trzyma w dłoni, wyciąga do mnie.

Moja kamera.

Łaskawca. Jedną ręką odbieram swój sprzęt, drugą przytrzymuję go za nadgarstek. Chowam własność do kieszeni, potem odblokowuję jego drzwi i otwieram. Sięgam głębiej i szybko wyciągam kluczyk ze stacyjki.

Gość próbuje wygramolić się z wozu.

– Nie trudź się – mówię i uderzeniem kolana wbijam go na powrót na obite czarną tkaniną siedzenie. – Nie ruszaj tak ustami, bo przypominasz karpia. Oddech ci wróci, chyba że masz pecha i pikawa nie da rady... Teraz łapki za fotel. Chyba nie chcesz, żeby ci się któraś złamała?

W kieszeni kurtki mam plastikowe paski z zaciskami, których używam jako kajdanek. Minutę później gagatek jest unieruchomiony na zicher. Zapinam mu jeszcze ciasno pasy i odciągam fotel maksymalnie do tyłu, żeby nie przyszło mu do głowy naciskać czołem sygnału na kierownicy.

– Muszę lecieć. Włączyć ci radio czy będziesz chciał na spokojnie zebrać myśli, zastanowić się nad swoim postępowaniem?

Oblizuje zsiniałe wargi.

– Już nic na mnie nie masz – rzezi. – Puść mnie, chuju jeden!

Gdy dochodzi do mnie, co mogą znaczyć te słowa, zwłaszcza „już”, sprawdzam kamerkę. No tak, karta pamięci została wyjęta. Kiedy on zdążył to zrobić? I jak?

Raczej trudno wydłubać taką małą kartę jedną ręką, biegnąc co sił w nogach albo zabawiając się w kierowcę rajdowego na śliskiej szosie.

Ale zaraz. Szyba przy kierowcy była zamknięta, gdy go dogoniłem. Opuścił ją, dopiero gdy wysiadłem z samochodu.

Na śniegu karty nie widzę.

– Nie bij mnie! – wrzeszczy, gdy już nieco zły znów się nad nim pochylał. Niechcący trącam go łokciem w zęby. Jednak nie na tyle mocno, żeby dał zarobić dentyście.

Rozum mu wraca, milknie. Oblizuje tylko krew z ust. Omiatam wzrokiem zabłocone dywaniki: ale ma chlew w tym wozie! Posłusznie podnosi nogi, gdy mu każę.

Nie znajduję, czego szukam, więc przeciągam go w odwrotnym kierunku, ile się da do przodu, i otwieram tylne drzwi auta, by sprawdzić podłogę z tamtej strony. I od razu widzę swoją kartę na tylnym siedzeniu.

Po prostu rzucił ją za siebie. Nie miał czasu jej schować.

Ustawiam siedzenie ponownie z dala od kierownicy.

– Fajrant! Teraz czekaj cierpliwie na rozwój wydarzeń, synku. Ale powiem ci szczerze, to nie jest twój szczęśliwy dzień.

Zatraskuję powgniatane czerwone drzwi mitsubishi, zamykam na zamek pilotem w jego kluczyku. Wrzucam kluczyk na lód pod auto i odjeżdżam swoją

beema.

Godz. 14.24
Szosa na Lublin
Wiązowna

Kozia Bródka nadal czeka na miejscu wypadku. Rozsądnie zjechał na pobocze i schował się do swojego range'a przed zacinającym śniegiem z deszczem. Zatrzymuję bmw tuż za masywnym tyłem SUV-a na niemieckich blachach. Co jakiś czas wycieraczka omiata tylną szybę, z rury wydechowej maszyny miarowo bije biaława mgiełka. Bok luksusowego wozu jest przytarty i powgniatany, aż się serce kraje.

Facet nie wygląda na zdenerwowanego, gdy wsuwam się na siedzenie pasażera. We wnętrzu wielkiego auta pachnie żółta skóra, jest ciepło, z głośników płynie muzyka. Jakiś nietypowy kawałek, ni to jazz, ni klasyka.

Kierowca uśmiecha się i pogłasnia radio, przekręcając gałkę.

– Podoba się panu ten utwór?

– Mam słuch pierwszego stopnia, odróżniam, gdy grają. Nie moja branża. Detektyw Medyna, do usług, tu jest wizytówka. Sprawca pana szkody daleko nie uciekł. Zatrzymałem go i zabezpieczyłem dowód.

Obraca kartonik w palcach, ale sam się nie przedstawia.

– Po co, jeśli wolno spytać?

– Udowodnimy, że celowo spowodował wypadek. Oszczędzimy panu nerwów i kosztów. Czy raczej pana firmie – wyjaśniam uprzejmie.

Jednak mój kandydat na klienta chyba wciąż jest w szoku. Bogaci ludzie to jednostki uwrażliwione, nie to co my, proste burki.

Przyglądamy się sobie nawzajem. Ja widzę zadbanego pana o rumianej cerze. Pięćdziesiąt parę lat. Używa wody kolońskiej. Nietypowe ubranie. Potencjalny klient lepszego sortu. Nadziany jak trzeba.

Jakie ja robię na nim wrażenie, trudno odgadnąć.

– Celowo rozbił własny samochód? – pyta. – Nie rozumiem, proszę pana.

Ma delikatny sposób wyrażania się, wypowiada słowa cicho i bez nacisku, jakby z góry przepraszał, że w ogóle się odzywa. W policji taki kariery by nie zrobił.

– Kombinacja z leasingiem i ubezpieczeniem – wyjaśniam. – Po stłuczce wartość wozu spada. Jak nowy, to grubo.

– Tyle się domyślałam.

– Jeśli akurat kończy mu się umowa albo chce z niej wyjść przed czasem, to rozliczenie z firmą leasingową jest dla niego korzystniejsze, gdy wóz jest uszkodzony, a naprawa będzie z pańskiego OC.

Kręci głową, jakby podziwiał mnie za rozpracowanie skomplikowanej intrygi.

– Nie spotkałem się z czymś takim. Ale ja mało przebywam w Polsce.

– Jeśli pan zostanie uznany za sprawcę zdarzenia, konsekwencje ubezpieczeniowe są po pańskiej stronie. Dlatego potrzebuje pan pomocy – stwierdzam z naciskiem. – Dzięki temu, że nagrałem całe zdarzenie, to on poniesie wszystkie koszty. Ten range to nówka, prawda? Diler weźmie masę pieniędzy za doprowadzenie blacharki do porządku, proszę pana.

Znów mi się bacznie przygląda. Zaczyna mi świtać, że już gdzieś widziałem tę fizys z białą brodą i długimi siwymi włosami zaczesanymi do tyłu. Ktoś z telewizji?

– A co pan z nim zrobił, z tym młodym człowiekiem? Ze sprawcą?

– Zatrzymałem go i unieruchomiłem.

– I co?

– Nic więcej. Na razie. To oszust i pirat drogowy.

– Co z nim będzie?

– Poniesie odpowiedzialność finansową i karną. Moja w tym głowa. Czy mam rozumieć, że współpracujemy?

Opuszcza oczy, uśmiecha się przepraszająco.

– Obawiam się, że nie mogę sobie na to pozwolić, panie detektywie... – zerka na wizytówkę, którą cały czas trzyma w palcach – ...Medyna. Brak czasu, niestety. Nie widzę też potrzeby: to auto zostało wynajęte w Niemczech ze specjalną klauzulą, że będzie użytkowane również w Polsce. Niemieckie towarzystwo pokryje straty właściciela pojazdu bez zadawania pytań.

– Nie znam takich towarzystw, proszę pana.

Rzuca mi urażone spojrzenie.

– Tak czy inaczej, nie wyobrażam sobie prowadzenia jakichś batalii prawnych w Polsce. Składania zeznań i temu podobnych.

– Dlaczego? – Nie kryję rozczarowania.

– Nie wykształciłem takich umiejętności, drogi panie. – Chyba słyszę ton wyższości w jego cichym głosie. – Moje życie toczy się za granicą. W innych rewirach. Ta przykra przygoda już pochłonęła prawie pół godziny, a czasu nie mam na zbyciu. Spóźnię się na ważne spotkanie w Lublinie.

– Współczuję panu – kłamię.

– Skoro nie zgłaszam roszczeń wobec nikogo, a pan sam stwierdził, że ten drugi kierowca nie ma podstaw – starannie przycięte brwi unoszą się, gdy formułuje pytanie – żeby żądać ode mnie czegokolwiek, to mogę teraz po prostu odjechać, prawda?

– Zgadza się. Nie zalecałbym tego, ale może pan.

– Więc to zrobię. Doceniam chęć pomocy, panie detektywie. Proszę się nie gniewać, że nie skorzystam z pańskich dalszych usług.

Wyciąga do mnie białą miękką dłoń. Powinienem wyciągnąć, trzaskając drzwiami wyłożonymi skórą i szlachetnym drewnem, ale się powstrzymuję. Baśka byłaby ze mnie dumna; zawsze martwiła się, że mój wybuchowy charakter doprowadzi do nieszczęścia. Żegnamy się grzecznie i dopiero w swoim wozie daję upust lekkiej złości, kopiać w pedał gazu.

Tylne koła beemy zrywają przyczepność, ślizgiem zawracam w stronę Warszawy. Gdy przyspieszam, samochód zarzuca parę razy. Dawno tu nie było solniczki, droga jest jak szklanka. Bruner na moim miejscu by wyciągnął z tego gościa co najmniej kilka stów z tytułu poniesionego trudu i za „amortyzację sprzętu”, ale to nie w moim stylu. Jeśli chodzi o pieniądze, urodziłem się miękki i chyba miękki umrę.

Godz. 15.58
Port gminny w Sieńkach
nad Zalewem Zegrzyńskim

W kontenerze wydychane powietrze zmienia się parę, wydaje się tu zimniej niż na zewnątrz. Blaszak to dobudówka do portowego hangaru. Poza sezonem w hangarze przechowuje się kajaki i mniejsze żaglówki. Z przodu jest wyposażony w betonową rampę, po której woduje się jednostki pływające, w środku znajdują się warsztat szkutniczy oraz magazyn żagli i wszelkiego osprzętu. Kilka lat temu właściciel portu, czyli gmina, dostawił z tyłu kontener mieszkalny z prasowanej stali, w którym miało mieścić się biuro rozbudowy portu. Plany rozbudowy diabli wzięli i niebiesko lakierowany kontener stał się obiektem nieokreślonego przeznaczenia, za co gmina regularnie obrywała od lokalnych mediów. Za grosze wynajęli mi go razem z miejscem w hangarze na moją łódź wiosłową.

Kiedy jeden z najbardziej znanych mieszkańców gminy, detektyw, o którym piszą gazety, i współwłaściciel pensjonatu Urokliwa Skarpa, czyli niby ja, przeniósł się z kłopotami do portu późną jesienią, w okolicy zahuczało od plotek. Nie puszczamy z Baską pary z ust, bo co mamy mówić? Iść w zaparte? W małej dziurze nic się nie ukryje.

Chcieliby wiedzieć, o co poszło, ale nie mam się czym chwalić. Baśka też raczej się nie zwierza znajomym. I Padlina, przypuszczam, raczej milczy...

Między metalowymi ściankami mojego mieszkania jest ocieplenie ze styropianu, ale niewiele to daje. Dwie elektryczne farelki z trudem podciągają temperaturę w środku do piętnastu stopni Celsjusza. Gdy przyjdą prawdziwe mrozy, będzie mniej. Dlatego na metalowym drążku, który pełni u mnie rolę szafy ubraniowej, wisi stary kombinezon narciarski, a na tapczanie, który pamięta czasy Gierka, rozłożony jest koc elektryczny.

Wyposażenie uzupełniają czajnik elektryczny i kuchenka mikrofalowa, które kupiłem na bazarku w Rocku za sto pięćdziesiąt złotych. Mam też lampę i telewizor, który razem z łóżkiem zabrałem z pensjonatu. Lodówki nie potrzebuję. Bieżąca woda, kibełek i prysznic są w warsztacie szkutniczym kilka kroków dalej. W sumie wszystko, czego potrzebuje mężczyzna na życiowym zakręcie.

Niebo się przeczyściło pod wieczór, pojawiło się parę gwiazd. Temperatura

spada. Zastanawiam się, czy powinienem zadzwonić do glin w Wesolej, żeby sprawdzili, czy facet w czerwonym mitsubishi nie tkwi tam nadal. Ale nie widzę takiej potrzeby. Ludzie chodzą tą uliczką, a przecież go nie zakneblowałem. Dawno ktoś gnoja uwolnił. Może nawet zrobiła to policja.

Port jest tylko parę minut jazdy od naszego pensjonatu. To główna zaleta tej zimnej miejscówki: mam blisko do syna. Zajrzę do Orła Białego około ósmej wieczorem, pobawimy się samochodzikami. Potem przyszykuję siedmiolatkowi kąpiel, na koniec będę mu czytał na głos, aż zaśnie w łóżku.

Czasem zasypiamy obaj i to jest najlepsze. Budzę się i po cichu, w samych skarpetkach, opuszczam pokój małego. Ale po schodach schodzę już normalnie, stukając butami, bo liczę, że na parterze pojawi się Baśka. I może wreszcie uda nam się porozmawiać.

Do tej pory mi odmawiała, ale kiedyś taki dzień nadejdzie. Wszyscy potrzebujemy czasu, żeby przetrwać trudne sprawy, policyjna pani psycholog też. W sieni włożę kurtkę, futrzaną czapkę z uszami i wrócę do swojego kontenera. Nastawię obie farelki na maksa, przebiorę się w narciarską bieliznę, dres, sweter, wełnianą czapkę i rękawiczki. Zrobię sobie kubek gorącej herbaty, doleję trochę żołądkowej i sącząc ten słodki zajzajer, zrobię podsumowanie dnia. Czasem przychodzą mi wtedy do głowy dobre pomysły. Choć ostatnio miewam głównie czarne myśli.

Potem jakoś zasnę owinięty w koc elektryczny.

Godz. 23.06

Osiedle Wilanów w Warszawie

Tego strażnika ktoś musiał załatwić wcześniej. To jedyne logiczne wyjaśnienie. Marlena w ogóle nie zauważyła ciała. Nie piszą, jak dokładnie zginął. Z artykułu wynika, że to był duży chłop, a ona mała i drobna. I dlaczego miałyby go zabijać? Nie miała broni, nawet noża. Tylko kilka niewielkich narzędzi. Po co by miała w ogóle schodzić na parter? Kasa jest na piętrze, alarm też unieszkodliwiła na piętrze, według wskazówek.

Zachowywała się normalnie po powrocie na dach. Podała w górę woreczki z pieniędzmi, dwa z banknotami i trzy z bilonem. Wyśliznęła się z tej dziury zwinnie jak łasica. I jak zawsze: „Spieprzamy stąd”. Tylko tyle mówiła po robocie.

Wniosek sam się narzuca: nie miała pojęcia o truposzu na dole w banku. Gdyby nie wiadomości w telewizji dziś rano, a potem artykuł w „Super Trybunie”, nikt by nie wiedział. Nie dali zdjęcia ciała, ale budynek taki sam i miejscowość się zgadza...

To musiał zrobić ktoś inny tej samej nocy. Niesamowity zbieg okoliczności.

Artykuł był na piątej stronie, ale co z tego. Trup, zawiniony czy nie, ściągają nieszczęście. A do tej pory wszystko szło tak dobrze.

Dzień drugi

Wtorek, 3 stycznia 2017

Godz. 12.30
Zarząd Główny Polskiego Zrzeszenia
Banków Rolnych
Warszawa, ul. Jasna 1/3

Nazwiecie mnie seksistą, ale dla mnie ta Magdalena Godlewska wygląda jak laska prezesa, a nie członek zarządu instytucji finansowej. Jej sekretarka jest od niej dwa razy starsza i cztery razy cięższa.

Wiceprezeska wstaje, by się przywitać. Jej czarna spódniczka ledwo sięga kolan. Godlewska ma zgrabne nogi, żakiet dopasowany do figury z wydatnym biustem i bluzkę rozpiętą szeroko pod szyją. Czarne, sięgające ramion włosy. Kiedy tuż po świętach wdepnąłem do tego gabinetu po raz pierwszy, myślałem, że zaszła pomyłka.

Teraz w myślach nazywam ją Giwerą, bo chwaliła się, że lubi strzelać i należy do koła łowieckiego. Wraz z całym zarządem nie lubi za to faktu, że ktoś regularnie obrabia ich oddziały, a policja przykłada do tego mniej wagi niż do kradzieży wody ze studni.

– Dlaczego pani tak twierdzi?

Wydeła wtedy uszminkowane zmysłowe usta.

– Gliny uważają, że banki mają dość pieniędzy, żeby się same o siebie zatroszczyć.

Dlatego pani prezes rozpytała „na mieście” o prywatnego detektywa, który mógłby wdrożyć skuteczniejsze śledztwo. Ostatnie włamanie, w Dęblinie, gdzie doszło też do zabójstwa, utwierdziło zarząd w przekonaniu, że musi działać na własną rękę. Oczywiście byłem zaszczycony i tak dalej, ale uzgodniliśmy, że najpierw się rozejrzę. Potem jej powiem, czy biorę zlecenie i na jakich warunkach.

Mój biznes detektywa ma się na tyle dobrze, że już nie rzucam się na wszystko, co podłeci. Sprawa z Dębłina wyglądała interesująco. Należało jednak upewnić się na miejscu. Gdy policja i prokuratura przejmują się jakimś dochodzeniem, lepiej nie płatać im się pod nogami. Potrzebuję w tych instytucjach przyjaciół, nie wrogów. Czasami trzeba zadrzeć i z nimi, rzecz jasna, ale starannie wybieram swoje wojenki. Dlatego wczoraj pofatygowałem swoje zziębnięte gnaty do Dębłina.

Dziś Giwera ubrana jest w czerwony kostium, który komponuje się z mahoniowym biurkiem, a w uszach ma kolczyki w postaci żółtych kulek. Kremowa bluzka jest znów rozpięta szeroko, ujawniając kilka złotych łańcuszków. Biustonosz nosi co najmniej w rozmiarze D. Widać nie sami nudziarze pracują w tych bankach.

– Złap go, chłopcze – mówi, gdy kończę krótką relację potwierdzającą zasadniczą diagnozę bankowców. – Przestępcy muszą dostać jasny sygnał: od naszych oddziałów wara.

– Ja nie jestem sygnalistą.

– Czy możesz wyłączyć swoją komórkę, proszę?

Trochę zdziwiony wyciągam z kieszeni telefon i wciskam przycisk dezaktywacji.

– Dziękuję. Drugą też.

– Nie noszę drugiej.

– Na pewno?

Wzruszam ramionami. Przestaje mi się to podobać. Kobieta odczytuje z mojej miny, że nie pozwolę się oklepać. Po namyśle odpuszcza.

– Dopadnij i zabij skurwysyna – mówi ściszym głosem. – Jak wściekłego psa.

Teraz moja kolej, by się powstrzymać – od parsknięcia śmiechem.

– Aż tak srogo ma być? Krew na chodnikach? Można zapytać dlaczego, pani prezes?

– Przestępcy muszą dostać jasny komunikat: od naszych oddziałów wara. Wyciągniesz rękę po naszą forszę, spadnie ci łeb. Proste.

– To jest raczej kilka osób – odpowiadam, nie odnosząc się wprost do jej sugestii. – Dwie co najmniej. Plus kierowca czekający w wozie, żeby szybko ewakuować ekipę. Wszystkich miałbym rozwalać? Jak w byłej Jugosławii?

– Musi być mocny sygnał – powtarza Giwera z mocą. – Policja nas zlewa, interwencje naszego prezesa w prokuraturze też nic nie dały. Nie mamy złudzeń. Nawet jeśli któregoś przypadkiem złapią, sam wiesz, jak działają sądy. Nawet minister o tym mówi. Musimy sami zlikwidować problem.

– Detektywi tak nie pracują.

– Ty pracujesz. Sprawdziłam. – Patrzy mi prosto w oczy. Koniuszkiem języka oblizuje górną wargę, uśmiecha się drapieźnie. – Musisz mieć jakiegoś pecha,

Medyna, mało kto wychodzi żywy z twoich rąk. Więc my tylko prosimy, żeby tak było i w tej sprawie.

– Jeżeli podejrzany nie stawia oporu, przekazuję go policji – mówię grzecznie. – Zgodnie z prawem. Dęblin to który był z kolei?

– Okradziony oddział? Siódmy.

– Który trup?

– Pierwszy. Nam nie chodzi o tego strażnika... Nie przede wszystkim – poprawia się szybko.

– To o co?

– Jeśli się rozejdzie, że nasze oddziały są bezbronne jak pijane panny w stodole, będziemy musieli zainwestować wielką górę pieniędzy, żeby to zmienić. Systemy bezpieczeństwa kosztują, a my mamy ponad sto placówek w centralnej i północnej Polsce, rozbudowujemy sieć na południu. Mówimy o setkach milionów złotych dodatkowych kosztów w skali firmy. Akcjonariusze woleliby tego uniknąć. Bezpieczeństwo banków opiera się na reputacji. Jej chcemy bronić. Taki komunikat musi pójść w świat.

– Ja nie jestem od komunikatów – powtarzam.

– Znasz historię amerykańskiego Dzikiego Zachodu? Choć trochę?

– Tyle co z filmów.

– A ja czytam książki, wyobraź sobie. Kiedy kolonizowali Kalifornię, rzeźmieszki wszelkiej maści obrabiały banki, dyliżanse i pociągi wożące pieniądze równo jak leci. Normalny biznes nie mógł się rozwijać, władze stanowe były za słabe, żeby powstrzymać falę bezprawia. I co okazało się rozwiązaniem? Pinkerton, panie Medyna, prywatna agencja ochrony i detektywistyczna.

– Tak?

– Jej agenci niezmordowanie całymi latami tropili zbrojne bandy, zabójców i wszelkiego rodzaju szumowiny. Nigdy nie dawali za wygraną i nie znali litości. Strzelali i kończyli sprawę. Wszystkie banki i firmy, które dały zlecenie agencji Pinkertona, mogły mieć pewność, że każdy, kto wszedł im w drogę, gorzko tego pożałuje. Ta polityka przyniosła skutek. Zobacz, jak wygląda Ameryka dzisiaj!

– Chętnie bym zobaczył.

– Zrób nam Pinkertona, a dorzucę ci bilet do Nowego Jorku.

Mówię jej, ile biorę, i wyliczam główne warunki. A Giwera rzuca mi długie spojrzenie. Bez cienia skrępowania obcina mnie od butów do głowy. Kiedyś na

pewno bym zareagował. Teraz tylko odrobinę wciągam brzuch.

– Nie przeraża mnie ta cena – bardziej mruczy niż mówi. – Przyszykuję ci, chłopaku, dobrą umowę. Ci dranie zależli nam za skórę.

Wzywa sekretarkę i każe jej przygotować dla mnie informacje o obrabowanych oddziałach: adresy, dane kontaktowe, nazwiska kierowników, daty włamań, drogi, którymi przestępcy dostawali się do środka, zrabowane sumy – wszystko, co może mieć znaczenie.

Otyła kobieta robi minę, jakby miała zemdleć. Najwidoczniej funkcjonuje w wiecznym trybie oszczędzania energii. Nawet nie patrzy na wizytówkę, którą jej wręczam.

– Ma pani wszystko w komputerze – pocieszam ją. – Na pewno już robiliście takie zestawienia dla policji. A listę oddziałów znajdę gdzieś na waszej stronie, prawda?

Kiwa głową i wzdycha ciężko, jak ktoś niezasłużenie doświadczany przez los. Nie zdziwię się, jeśli niezadługo w sekretariacie Giwery zastąpi ją wylaszczony dwudziestoparoletni asystent.

Godz. 17.10

**Miki Land, Centrum Zabaw dla Dzieci
Legionowo, ul. marsz. Ferdynanda Focha 7**

Michał Jeziński junior i mój Orzeł są kumplami i uwielbiają przyjeżdżać do Miki Landu. My, tatusiowie, lubimy to mniej, bo w kawiarence w centrum są niewygodne krzesła, a w ofercie tylko zapiekanki ze sztucznym serem, czekoladopodobne batoniki, ciepła gazowana woda w małych buteleczkach po siedem złotych i kawa z automatu, którą można otruć żubra. Ale czego nie robi się dla młodych, zwłaszcza zimą, gdy na Mazowszu nie ma wielu miejsc, do których można zabrać z domu ruchliwych kilkulatków. Naszych przywozimy do Legionowa co najmniej raz w tygodniu.

Chłopcy tu szaleją, ujeżdżając plastikowe samochodziki, nurkując w morzu kolorowych kulek i wspinając się po małym gaju, którego wielopoziomowa konstrukcja z rur, drabinek, sznurów i zjeżdżalni wypełnia większość przestrzeni centrum. A my, tatusiowie po przejściach – albo raczej w trakcie przejść – zabijamy czas, gawędząc o tym i o owym.

Podinspektor wydziału zabójstw policji w stanie spoczynku, obecnie prywatny detektyw i gwiazda prasy brukowej, a z drugiej strony jak najbardziej czynny gangster z kolosalną nadwagą, król półświatka w naszej części Zalewu Zegrzyńskiego, również opisywany na łamach „Super Trybuny”, znajdują wspólne tematy.

– Jak ty teraz żyjesz, men? – mówi Misiek. – Jak ostatni menel.

– Jak ostatni to nie – protestuję. – Zmieniam ubrania.

– Jesteś głową rodziny i właścicielem hotelu, a jak cię traktują? Z buta! Matka Juniora też rozmawia ze mną jak z łaski. Wczoraj dzwoniła z Petersburga, ale tylko do niego, sucz jedna. Mnie nawet nie pytała, co słychać: „Cześć, dasz go do telefonu? *Spasibo*”.

– Chłopak pewnie tęskni za matką – zgaduję.

– Jak diabli! – Misiek pochyla się w moją stronę nad stolikiem, ścisza głos. – Moja mamusia nigdy by czegoś takiego nie zrobiła tatusiowi. A gdyby spróbowała zostawić rodzinę... Jezu! Tatuś by jej wyrwał łeb z płucami.

Jego stary, o ile dobrze pamiętam, umarł w Barczewie, odsiadując dożywocie za zamach bombowy w ramach gangsterskich rozliczeń. Chociaż fakt, tamto pokolenie miało zasady. Moi rodzice byli tacy sami. Gdyby tylko mama żyła, na pewno wciąż byłaby z tatą. Ale czasy się zmieniły. Mój ojciec, odkąd spotkał niejaką Milenkę, o połowę od siebie młodszą, nie prowadzi się jak stateczny wdowiec.

– Mężczyźni tracą władzę, men, a baby zrobiły się okrutne. Dam ci przykład – ciągnie Misiek. – Taka sytuacja u mnie w Klubie Dzentelmena. Pracownica zaciążyła, jeden z moich żołnierzy posuwał ją bez gumy. Ksywa Szerszeń, pamiętasz?

– Kojarzę.

Łysy, kwadratowy z karkiem, cienkie nogi. Ze dwa lata temu wgniotłem mu pięścią dach samochodu, bo blokował ulicę w Rocku, straszyl obywateli.

– Więc, uważasz, ten Szerszeń jest żonaty, z dwójką dzieciaków. Nie pomyślałbyś, co? Tymczasem suka uparła się rodzic. Bo jej ten babski budzik dzwoni, jak nie teraz, to nigdy. I beczała, że Szerszenia kocha. Szerszeń rzecz jasna nie porzucił rodziny. Ale ślubna dowiedziała się o synku z lewego ujebu i grozi rozwodem, jeśli będzie go odwiedzał. Taka bezwzględność! Masz pojęcie, men? Zero współczucia dla maluszka!

Potem gadamy o interesach, które idą, tfu, na psa urok, całkiem nieźle. I jemu, i mnie. Chociaż Miśkowi pewnie lepiej, bo sprowadza sobie z Niemiec prawie nowego hummera. Po cienkich miesiącach bałagan z panienkami znów przynosi korzyści, pięćset plus zrobiło swoje. Ale to i tak nic w porównaniu z nowym biznesem, mówi.

– Co kręcisz?

– Nie chcesz wiedzieć. Psu się nie mówi.

– Już dawno nie jestem psem.

– To i tak nie twoja liga, men.

– Pewnie nie. Ale w tej, gdzie gram, też kasa płynie – dodaję, by się pochwalić.
– Hotel żre jak zły.

– Patrz, jak to się zgadza. – Misiek kręci głową z zadumą. – Mój stary mawiał, że zawsze karta idzie takiemu, co ma przesrane w miłości.

Coś w tym jest. Odkąd nasz kucharz robi za gwiazdę w telewizyjnym show *Gotuj i śpiewaj*, tłumy dobijają się do Urokliwej Skarpy. W programie Długi Arek gotuje, młoda laska śpiewa, oboje tańczą, gdy dania dochodzą, a ludzie

głosują esemesami. Szał wokół tego przechodzi ludzkie wyobrażenie. Taka moda na nasz pensjonat zapanowała, że ludzie przyjeżdżają z innych miast załapać się na „Romantyczny Weekend Dla Dwojga z Winem i Deską Specjalnych Przekąsek Arka”. Chętnych do rezerwacji jest tylu, że Baśka podniosła ceny, a w niektóre weekendy urządza przetargi na pokoje. Wynik finansowy mamy taki, że szczęka opada, nawet po podatkach i premiach dla personelu.

Ustaliliśmy z moją żoną, że dopóki nie mamy rozwodu, obowiązuje wspólnota majątkowa. I tego się trzymamy. Do zarobku hotelu dodajemy kasę, którą zgarniam jako detektyw. Jedną trzecią całej sumy przeznaczamy na fundusz rezerwowy i inwestycje, resztę dzielimy po połowie. Nigdy w życiu nie miałem tyle pieniędzy w kieszeni.

Kiedyś nie wierzyłem w powiedzenie, że pieniądze nie dają szczęścia. Wydawało mi się, że umiałbym z nich korzystać, gdyby jakimś cudem do mnie przyszły. I co? Kiedyś gnieździliśmy się z Baśką w małym mieszkanku na Muranowie, spaliśmy na leżance tak wąskiej, że zdarzało mi się z niej spadać, i jako młodzi gliniarze zarabialiśmy grosze, byłem sto razy szczęśliwszy niż teraz. Świat jest złośliwie urządzony.

Kombinujemy z Miśkiem, czy nie zrobić sobie zimowych wakacji. Moglibyśmy zabrać chłopców gdzieś na słońce, nad ciepłe morze. Do Egiptu czy Maroka. Albo na Kanary. Gangster był raz w Tunezji na „olinkluzif”, czyli żresz i pijesz, ile wlezie. Bardzo chwali.

Jakiś rodzic obok nas zaczyna się awanturować. Junior Jezierski rzuca kulkami w mniejszą dziewczynkę, celując w głowę. Gdy ta próbuje uciec, zasłaniając rączkami twarz, mój Orzeł podstawia jej nogę. Dziewczynka przewraca się z rykiem.

– Ładnie się bawią – mówi Misiek. – Zobacz, jak on celnie trafia.

Podnoszę się z miejsca, by pogadać z ojcem tej małej. Źle znoszę uwagi, które wykrzykuje pod adresem naszych chłopców; to też mamy wspólne z Miśkiem. Na sam mój widok facet zamyka buzię.

Dzień trzeci

Środa, 4 stycznia 2017

Godz. 11.17
Nowy Dwór Mazowiecki,
ul. Jana Pawła 2/27 B

Renata powiedziała, że przyjadą starym renault clio granatowego koloru. Wypatruję go teraz z mojej Bandit Motor Wagen. Zaparkowałem pół przecznicy od miejsca, gdzie mój brat ma się z nią pożegnać, by dalej ruszyć już piechotą na spotkanie swojego losu.

Ten los nie rysuje się ciekawie. Renata się tego domyśla, a ja nie zamierzam jej fałszywie pocieszać. Pamięć podsuwa mi całkiem konkretny obraz: na początku mojej policyjnej kariery wyławiałem z Wisły ciało kuriera narkotykowego z rozciętym brzuchem. Co sobie wyobraża mój brat, zawsze będzie dla mnie zagadką. Nasz tata ma powiedzonko, które pasuje do tej sytuacji: niezbadana jest dusza idioty.

Adam miał na myśli głównie klientów warsztatu samochodowego, który przez dwadzieścia pięć lat prowadził na Grochowie. Rzeczywiście, to aż niewiarygodne, czego ludzie potrafili nie wiedzieć o swoich samochodach albo co w nich spieprzyć. Jeden koleś na przykład zatarł silnik nowiutkiego fiata mirafiori, bo jeździł po mieście, szukając warsztatu, gdy wyciekł mu płyn chłodniczy. Ale dusza Wicia też jest niezbadana.

Powinni tu być już kwadrans temu. Spóźnienie pewnie nic nie znaczy, bo gdy w Warszawie pada śnieg, nie da się przewidzieć czasu jazdy przez miasto. Ulice albo pustoszeją, albo przeciwnie – robią się korki. No i Renata pewnie nie zna tej okolicy, mogli się zgubić.

Zatelefonowała do mnie wczoraj wieczorem w tajemnicy przed Wiciem. Była bliska hysterii. Przekazała mi gorączkowym szeptem, na co co mój brat się zdecydował. Siedziałem już w swojej lodowni, okutany w kilka warstw ubrań, obstawiony farelkami i zawinięty w śpiwór – a jednak momentalnie zrobiło mi się gorąco.

– Ożeż ty! Jesteś pewna, że o to chodzi?

– Sam mi wyznał. Jest potwornie przygnębiony.

Poczułem wściekłość. Bo gość, któremu Wicio wisi kasę – powiedzmy, że wisi, bo sprawa jest dyskusyjna – zawarł ze mną porozumienie. Dostał jako wyrównanie

porsche warte pół miliona. Umowa była jasna. Powiedziałem mu wyraźnie, co się stanie, jeśli mojemu bratu włos z głowy spadnie.

– Dlaczego sam do mnie z tym nie przyszedł? – krzyknąłem do komórki.

Renata nie wiedziała, Witek jej też zabronił mówić. Na szczęście kobieta miała dość rozumu, by go nie posłuchać.

Wreszcie są. Poobijana renówka nadjeżdża z naprzeciwka i zatrzymuje się przy krawężniku jakieś dwadzieścia metrów przede mną. Gaśnie lewy reflektor, prawy nie świecił od początku. Wicio wysiada od strony pasażera, ubrany w gruby golf i czarne spodnie. Na głowie ma bejsbolówkę. Sięga na tylne siedzenie po kurtkę, potem z bagażnika wydobywa niewielką walizkę. Wysuwa z walizki teleskopową rączkę i nie rozglądając się wokół, rusza szybko chodnikiem naprzód. Walizka podskakuje na przyzmach lodu i śniegu. Doganiam go, gdy już dociera do przelotówki.

Zrównuję się z nim na chodniku. Nie zwalnia kroku.

– Czego chcesz?

– Skopać ci tyłek.

– Odepierz się. Zostaw mnie w spokoju, do cholery!

Jeszcze bardziej przyspiesza. Zawsze, kiedy wpada w tarapaty, Wicio zaczyna od zaprzeczania i obrażania mnie. Potem próbuje uciec, a na koniec tak obrócić kota ogonem, żebym to ja czuł się winny, że on ma kłopoty. Przerabialiśmy to ze sto razy.

Nie zamierzam wkraczać w tę starą koleinę. Jest za zimno na takie zabawy.

– W takim razie nie masz szans. – Przystaję i mówię głośno w kierunku oddalających się pleców: – Następny raz spotkamy się na twoim pogrzebie. Jutro oddam do pralni czarny garnitur, bo to długo nie potrwa. Ciao!

Przez chwilę jeszcze kroczy zamaszyście naprzód, ale gdy czuje, że zostałem z tyłu, zwalnia. Zatrzymuje się w końcu i odwraca w moją stronę. Zrywa z głowy bejsbolówkę i z rozmachem ciska ją na chodnik.

– Teraz się zgłaszasz? – krzyczy. – Kiedy trzymają mnie za gardło? Bo nie potrafiłeś mi pomóc?

– Nie pofatygowałeś się, żeby mnie poinformować! – odkrzykuję. – Co ty myślisz, że jestem medium? Czytam w twoich myślach?

– Szantażują mnie. Wiesz kto.

– Nie wiem. Powiedz mi.

Z rękoma w kieszeniach, skracam dystans między nami.

– Za późno – mówi Wicio cicho. – Zaszlachtują mnie, jak się nie stawię na zbiórkę. Powieszają za nogi i wypuszczą mi flaki. Renkę też zabiją. I małą. Ty wiesz najlepiej, jacy oni są.

– Jacy oni?

– Myślisz, że mi się przedstawiali?

– Jeśli sytuacja jest taka, jak mi się wydaje – odpowiadam bardzo spokojnie – to wiem, co cię czeka, gdy się stawisz. Kazali ci nie jeść nic już wczoraj, prawda? W którymś z tych domków wokół lotniska jest przygotowana balia z narkotykiem w gumowych balonikach polanych olejem dla śliskości. I kilku gości z bronią. Jeden z nich psiknie ci do gardła znieczulającym sprejem. Będziesz łykał te baloniki jak gąsior kluski, aż w żołądku zbierze ci się kilo albo półtora. Potem rozdadzą bilety i zawiozą cię z innymi mułami na lotnisko. Co to dziś ma być, Londyn?

– Madryt.

– Mogą cię zaaresztować od razu na lotnisku. Gangi często poświęcają jednego kuriera, żeby odwrócić uwagę od reszty albo większego transportu. Masz świadomość?

– Nie musi tak być.

– Załóżmy, że pierwszym razem ci się uda. Będą następne kursy. Na jak długo się umówiliście? Ile ty mu teraz wisisz, temu Sokołowiczowi?

– Dużą bańkę.

– Tamten milion, o którym wiem, czy jakiś inny?

– No... tamten. Ale już go wiszę komuś innemu. Sokołowicz sprzedał dług.

– No to czarno to widzę, braciszku. Będziesz musiał odwalić ze sto kursów, by odrobić taką sumę. Dziewięćdziesiąt pięć procent szansy, że źle skończysz. Wpadniesz na którymś lotnisku albo pęknie jeden z kondomów w twoim żołądku. Jeśli zatrzymają cię w Singapurze, dostaniesz czapę. Rozstrzelają cię bez litości. W innych miejscach w Azji czy w Ameryce Łacińskiej sądy wlepiają mułom po dwadzieścia albo trzydzieści lat. W więzieniach tak koszmarnych, że będziesz wolał popełnić samobójstwo.

– Ty umiesz człowieka pocieszyć – mówi Witek ponuro. – Mam pięć procent szansy, sam powiedziałeś. A ci tutaj powieszają mnie na łańcuchu w jakiejś piwnicy na sto procent. I wypatroszą albo zatłuką metalowym prętem. Albo powolutku

rozwiercą mi dupę wiertarką elektryczną.

– Nie dopuścimy do tego – zapewniam go, chociaż wcale nie czuję takiej pewności. – A jak odrzucisz moją pomoc, nie określiłbym twoich szans nawet na te pięć procent. Jeśli cudem zaliczysz wszystkie kursy, każą ci jeździć dalej, żeby spłacić odsetki. Czy cokolwiek im przyjdzie do głów. A gdy zobaczą, że jesteś już strzępkim nerwów i się nie nadajesz, położą cię na stole operacyjnym. Końcówkę długu spłacisz nerkami, wątrobą, płucami, trzustką, oczami...

– Przynajmniej będzie ze mnie jakiś pożytek. – Witek niby się uśmiecha, ale nie potrafi ukryć przygnębienia. Podnosi swoją czapkę, otrzepuje ją ze śniegu i naciska na głowę. – To co proponujesz, mądralo? Obrzucisz ich granatami? Zaatakujesz ze spluwą w każdej dłoni?

– Na początek schowam was. Módl się, żebyśmy zdążyli, już mogą się za tobą rozglądać. A ja mam przy sobie tylko małego glocka.

Godz. 13.49
Hotel Ibis
Warszawa, ul. Ostrobramska 36

W naszym pensjonacie znalazłby się wolny pokój, ale Baśka nie cierpi Witka. No i ktoś nieco zorientowany w sprawach rodziny Medynów może tam szukać mojego brata. Lepiej nie ryzykować. Stąd ten niedrogi hotel po praskiej stronie miasta, niedaleko redakcji „Super Trybuny”.

Renata nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Gdy jej powiedziałem, że nie wraca do swojego mieszkania, protestowała: musi odebrać córkę, poza tym ma pracę. Tyle uzyskała, że dzieciakiem zajęliśmy się w pierwszej kolejności.

– Zadzwoń do szkoły, żeby czekała na ciebie już ubrana. Będziemy tam za dwadzieścia minut.

Przez krótki czas Renata była żoną mojego brata, ale dziecko ma z innego nieudanego związku i obecnie nawet nie żyją w konkubinacie – przynajmniej taka jest wersja Witka. Jednak drzwi do mieszkania Renaty pozostają dla niego zawsze otwarte, z czego korzysta w kryzysowych sytuacjach. A ponieważ te w jego życiu występują równie regularnie jak hejnał z wieży Mariackiej, pomieszkuje u swojej eks często i na coraz dłużej. Mają tam jedną sypialnię.

– Na wszelki wypadek wynająłem wam dwa pokoje – mówię, wracając z recepcji z kartami magnetycznymi do drzwi. – Lepiej trzymać się razem, ale przenoście się z jednego do drugiego co kilka godzin. A Witek niech w ogóle nie pokazuje się w restauracji czy w barze.

– To co ja będę robił? Umrę z nudów.

– Baw się ptaszkiem.

– Przy dziecku?

– Alicja was słyszy, wy kretyni – syczy Renata.

Oglądamy się jak na komendę, na szczęście dziewczynka z różowo-czerwonym tornistrem na plecach jest zafascynowana widokiem czarnoskórego chłopca, na oko jej rówieśnika, który stoi obok góry bagażu i rodziców w afrykańskich strojach. Chłopiec spogląda na nią z nieukrywaną wyższością.

Zgarniam całą trójkę do windy, zawożę na siódme piętro. W pokoju kładę na

stoliku kartę do drugiej dwójki, na piętrze piątym.

– Zamawiajcie jedzenie zawsze do tego drugiego pokoju, potem wracajcie tutaj. Macie telewizor, w kiosku są gazety.

– Długo będziemy tu mieszkali? – pyta mała Alicja. Nie ukrywa rozczarowania ciasnym pokojem.

– Niedługo – mówi jej matka. – To taka zabawa. W chowanego.

– A przed kim się chowamy?

– Przed znajomymi Wiktora. – Renata zgarnia kartę magnetyczną ze stolika i chwyta córkę za rękę. – Chodź, kochanie, obejrzymy drugi pokój. Zmarzłam, może zrobimy sobie gorącą kąpiel? Opowiesz mamie, co było dziś w szkole. Wiktor z wujkiem Romanem rozmawiają o ważnych sprawach, zostawimy ich w spokoju.

Czekamy, aż wyjdą. Wiktor otwiera barek i zaczyna przeglądać miniaturowe buteleczki z alkoholami.

– Za minibar sam płacisz – ostrzegam. – No to opowiadaj, jak osioł został mułem.

Wicio kręci głową, jakby prawda wypełniała go smutkiem i niesmakiem.

– Sokołowicz pierdolony – wzdycha wreszcie i odkręca buteleczkę jacka danielsa. Unosi małąkę do ust i wypija całość z gwinta, bez popitki. – Nie zbankrutujesz – mówi na wydechu.

Więc potentat nieruchomościowy złamał umowę. Z drugiej strony, faktycznie zrobił to inteligentnie. Obiecał mi, że nie tknie mojego brata palcem, i słowa dotrzymał. Tyle że sprzedał go w niewolę. Jak odkręcić taką transakcję? Czy to w ogóle będzie możliwe? Musi być. Raz udało mi się tego gościa przycisnąć. Najwyżej zastosujemy mocniejsze bodźce.

– Daj mi też taką – decyduję.

W zamrażarce minibaru jest tacka z kostkami lodu, robię sobie drinka z łychy, z lodem i colą. Przy mojej masie jeden drink nie nakręca nawet zero dziesięć w wydmuchiwanym. Rozwalam się na jedynym fotelu, brat na łóżku.

– Mów – powtarzam. – Bez upiększania. Bo jeżeli nie będę wiedział czegoś, co wiedzieć, kuźwa, powinienem, ta historia źle się skończy dla ciebie i tych dziewczyn, brachu. Nie będę ściemniał. No jazda.

Wicio patrzy na mnie jak zraniona sarna na swego oprawcę.

– Ten chuj Sokołowicz dzwoni, wzywa mnie do biura – mówi cicho. – Tak

jakoś po świętach. Zadzieram kiecę i lecę. Prezes da mi wreszcie coś do roboty! Wypada zacząć trafiać jakiś grosz, bo wstyd, że Renka sama płaci za zakupy. Wparowuję do gabinetu, a u prezesa czekają dwa karki, uzi pod marynarkami. Nie znam ich. „Pójdiesz z panami”. Nie ma dyskusji, wrzucają mnie do bagażnika. Wiozą gdzieś. Niedługo. Wyciągają. Garaż podziemny, chyba w jakimś biurowcu. Goryl mówi, że teraz pokażą mi zdjęcia na komórce. Co robią z niewypłacalnymi dłużnikami... No, czysty sadyzm! Facet na łańcuchu pod sufitem, krwawa miazga. Łapy tak mi latają, że o mało nie upuszczam tej komórki. A oni pytają, czy mi się podoba.

Mój brat wysysa ostatnie krople jacka ze swojej buteleczki, celnie wrzuca ją do kosza w rogu pokoju i od razu sięga po następną. Nie protestuję.

– Opowiadaj dalej. To ciekawe.

– Zapewniam ich, że mi się nie podoba. Karki robią miny. Ranię ich uczucia, krytykuję ich pracę! To ja szybko, że się pomyliłem. Jak cholera mi się podoba!

– Mądry chłopak.

– A oni, że nie wkładam serca w przeprosiny. Jeden wykręca mi rękę, drugi obrabia mi brzuch. Potem biorę z buta. Długo to trwa. Ale twarzy nie tknęli.

– Widzę. Mógłbyś śluby dawać.

– Kiedy skończyłem wymiotować i złapałem dech, znów mi pokazują zdjęcia. Tym razem Renata przed blokiem. I Alicja w szkole. I ja sam, na ulicy w Śródmieściu. Uzdolniony fotograf. Mówią, że z Renką zrobią to samo co z tamtym facetem z pierwszych zdjęć. A mała będzie miała pierwszego prawdziwego chłopca. A potem, na ich oczach, potną mnie piłą.

– Program na długi zimowy wieczór.

– Najpierw nogi, po kawałku, potem rękę, na koniec łeb... – wylicza z goryczą.

– Chyba że natychmiast oddam kasiorę, którą wiszę ich szefowi.

– Obiecałeś?

– Wszystko, co chcieli. Przysięgałem, że zaraz oddam, i przyznałem, że nie mam ani grosza. Posrałem się ze strachu.

– Prosiłeś ich na kolanach?

– A co to, kurwa, ma za znaczenie! Nie pamiętam, co robiłem. Pewnie tak...

– Ale na koniec jednak ulitowali się nad tobą. Powiedzieli, że istnieje pewna możliwość, prawda?

– Tak. Że mogą mi dać ostatnią szansę. Żebym spłacił dług i uratował skórę.

Klasyk. Niestety, mój brat nie wie, która z grup działających w Warszawie i okolicach ma go w swoich łapach. Niczego nie zaobserwował, nawet nie potrafi opisać oprawców. Ani podać marki wozu, którym go wieźli.

– Duży, czarny. Jakiś szkop – mówi zdenerwowany. – Jak twój. Albo audi. Nie miałem głowy do takich rzeczy.

I nagle Wiciowi lecą łzy z oczu. Ociera je nadgarstkami.

– Kurwa, powiedz mi, bracie, dlaczego ja tak mam? Dlaczego muszę spieprzyć wszystko, czego się dotknę? Co to jest, czary jakieś? Przekleństwo faraona? Co ze mną jest nie tak?! – Z całej siły rzuca tą drugą małą butelką o ścianę. Szkło wytrzymuje, flaszeczka odbija się od tapety i trafia w telewizor, by na koniec wylądować na wykładzinie podłogowej. – Romek, wytłumacz mi, dlaczego każdego dnia ludzie w tym kraju robią grube numery, nawet na setki milionów, i nic wielkiego się nie dzieje. A jak ja w końcu coś uszczknę, jeden żałosny milionik, zaraz musi być kompletna katastrofa, kara śmierci! Czym ja się różnię od innych? Jestem głupszy? Powiedz, podinspektorze policji.

– Bezkarnie skubie się polskie państwo. Nie gangsterów.

– Więc potwierdzasz, że jestem głupi, tak? – pyta tragicznym tonem.

– Powiedzmy... nieostrożny. Źle wybrałeś jelenia. Gdybyś skroił państwowy bank albo nawet kopalnię, gdybyś armii sprzedał samochody terenowe Tarpan albo wycyckał fiskusa na karuzeli z VAT, siedziałbyś teraz w Bristolu i palił cygara. Bez konsekwencji zagarnia się pieniądze publiczne. Utratę prywatnych środków ludzie traktują poważnie.

Wicio chowa twarz w dłoniach, wzdycha ciężko.

– Ale pomożesz nam, prawda? Masz doświadczenie z takimi bandytami, chody w policji i w ogóle. Nawet Sokołowicz się ciebie boi.

– Nie aż tak bardzo...

– Obiecaj Rence, że wyciągniesz nas z tego. Ona musi to usłyszeć z twoich ust, braciszku, bo inaczej zwariuje. Prawdę mówiąc, to psychicznie oboje jesteśmy już na krawędzi.

Więc to tak. Renka nie dzwoniła do mnie wczoraj z własnej inicjatywy. To mój brat poprosił o pomoc w swoim stylu – kryjąc się za jej plecami.

– Spróbuję. – Patrzę mu w oczy. – Ale jeśli ci się wydaje, że się rzucę na gang narkotykowy i powystrzelam ich do nogi, żeby tobie, błaznie jeden, przynieść ukojenie, czeka cię rozczarowanie. Za dużo naczytałeś się artykułów w „Super Trybunie”.

Potem przenosimy się do drugiego pokoju; Renka wpuszcza nas mokra i goła, jak ją Pan Bóg stworzył, i oblepiona pianą wraca do wanny. Nie zamyka za sobą drzwi łazienki. Z miejsca, gdzie siedzę, widzę jej piersi. Szkoda by było, gdyby ktoś zdemolował takie ładne ciało. Alicja zawinięta w kołdrę czyta komiks w łóżku.

Zamawiamy dla wszystkich pizzę w room serwisie. Nie będę wyjeżdżał na miasto z pustym żołądkiem nawet po mizernej jednej szklaneczce jacka. Przy jedzeniu mój brat opowiada o spisku klimatycznym: czy zauważyliśmy, że samoloty już nie zostawiają smug na niebie, jak kiedyś? Bo Amerykanie wpompowują specjalne gazy do atmosfery, żeby mieć u siebie lepszą pogodę – kosztem Europy i Rosji.

Godz. 16.20

Warszawa, ul. Wolska za Młynarską

Nie mam w wozie zestawu głośnomówiącego. Właściwie to jakiś jest, ale nie wiem, jak go uruchomić i spiąć z moją komórką. Więc jakby nie było. Jednak jestem odpowiedzialnym kierowcą, numer wybieram, stojąc na światłach, a rozmawiam przez słuchawki.

– Daniel, tu Roman Medyna. Słuchajcie, aspirancie, wy nadal jesteście zainteresowani prywatnymi zleceniami?... Akurat bym miał coś odpowiedniego. Na próbę... No, dniówka i koszty... Jak to, jaka? Dwie stowy dziennie... Nie rozśmieszaj mnie, chłopcze! Pięć stów bierze doświadczony detektyw z licencją i własnym sprzętem... Dobra, nie chcesz, bez łaski. Inny weźmie z pocałowaniem ręki.

Rozłączam się, a były aspirant oddzwania natychmiast. Ma dwadzieścia sześć lat i nie za bardzo z czego żyć, odkąd wyleciał z policji za zachowanie niegodne funkcjonariusza, czyli wrzucanie na fejsa memów o inteligencji ministra spraw wewnętrznych. Bruner, szef największej nad zalewem agencji ochrony, polecał mi Daniela jako chłopaka bystrego, ale ostrzegął, żebym nie miał do niego pełnego zaufania. Taki, co nie ma respektu dla przełożonych, może wywijać różne numery.

– Rozpracujesz dla mnie jednego gościa – mówię do mikrofonu na kablu słuchawki. – Pisz: Michał Sokołowicz. Ma biuro na Jana Pawła dziewiętnaście, Wola Tower. Taki zgniłozielony wieżowiec na kilkanaście pięter. Część handlowa wzdłuż ulicy... Kojarzysz?... Fotki wygugłasz... Klient jest biznesmenem. Sześćdziesiąt parę lat, drobnej budowy. Bez znaków szczególnych. Dużo o nim piszą, znajdziesz sobie. Ale uważaj, on ma obstawę. I na chłopców z miasta też uważaj, bo kręcą się przy nim.

– Co mam robić, jak wszystko wygugłam?

– Najpierw wyczaisz, jakimi wozami ten Sokołowicz obecnie się przemieszcza. On używa różnych. Tylko ostrożnie, wyższy poziom parkingu w biurowcu jest tylko dla prezesa i ochrony. Pewnie będzie stał merc es klasse, porszawka, może też ferrari. Którąś z tych bryk figurant ruszy na miasto. W taką pogodę jak dziś obstawiałbym merca. Rozpoznasz, gdzie się karmi, gdzie spotyka w interesach, gdzie posuwa sekretarkę. Bo ja wiem, co jeszcze taki prezes robi? Chcę, żebyś mi

go wystawił gdzieś na mieście... Najlepiej w jakiejś restauracji. Masz informować na bieżąco. Chcę sobie uciąć z nim pogawędkę bez szturmowania twierdzy... Jak najszybciej, aspirancie. Masz trzy dni. Jak ci zejdzie dłużej, nie zdałeś testu.

Kończę rozmowę i znów myślę o Wiciu i tej jego Rence. Przeniosę ich z małą do innego hotelu. Są trochę zbyt blisko jej miejsca zamieszkania. Nie przeceniam możliwości przemytników, ale obawiam się najzwyczajszego pecha. W wypadku mojego brata to prawie gwarantowane. Telewizor w pokoju hotelowym już nie odpalił po tym, jak Witek niechcący poczęstował go butelką.

Godz. 17.03
Błonie pod Warszawą,
ul. Trzeciego Maja 3B

Już zrobiło się ciemno, przez korki w całym mieście jestem spóźniony ponad godzinę. Jednak kierownik oddziału Spółdzielczego Banku Rolnego w Błoniu zapewniał mnie przez komórkę, że i tak siedzi w pracy do późnego wieczora.

– Koniec i początek roku to harówka w bankowości – mówił. – Najpierw zamykamy kończący się kwartał i rok, potem nieustająca sprawozdawczość. O której pan zajędzie, będzie dobrze, panie inspektorze. Proszę wysłać mi strzałkę na komórkę, jak pan dotrze.

Ten oddział na liście okradzionych SBR-ów, którą dostałem z centrali, jest najbliższy Warszawy. Gruba sekretarka jednak się przemogła i nacisnęła palcem klawisz swojego komputera. Kierownik od razu zgodził się na rozmowę, nawet nie zdążyłem powołać się na panią prezes. Z telefonu dobiegał uprzejmy głos bankowego profesjonalisty, więc spodziewam się kogoś w typie kierownika z Dębina. Tymczasem drzwi wejściowe otwiera kluczem od wewnątrz rudy chłopak na wózku inwalidzkim, około trzydziestu pięciu lat. Ma na sobie ciemnozielony sweter i brązowe spodnie z grubego sztruksu. Wita mnie uśmiechem od ucha do ucha.

– Jest pan większy niż na zdjęciach – mówi bez wstępów, ściskając mi rękę na powitanie. – Witam postrach przestępców.

Wyjaśnia, że jeszcze niedawno pracował w oddziale w Rocku, gdzie jestem kimś w rodzaju lokalnego celebryty. Przenieśli go tu do Błonia po wiadomym wydarzeniu...

– W banku jesteśmy fanami pana inspektora! Chociaż na ostatnich zdjęciach w „Super Trybunie” chyba miał pan włosy? – rzuca, gdy zdejmuję czapkę.

– Siwiały, to zgoliłem.

Rozmowie przysłuchuje się młoda kobieta, pewnie jego asystentka albo urzędniczka. Chce wracać do pracy. Chłopak upomina ją, by nie siedziała zbyt długo, ma w domu małe dziecko.

– Teściowa przyjechała i pomaga. – Kobieta błyska zębami w uśmiechu i znika

w oświetlonym pokoju, gdzie przy komputerach ślęczą jeszcze trzy inne osoby.

Więc inwalida tu rządzi.

Pokój kierownika mieści się na parterze. Został dostosowany do potrzeb osoby na wózku. Za biurkiem nie ma fotela, odstępy między meblami są powiększone, półki zawieszane nisko, a szafki podniesione, wszystko wygodnie, w zasięgu ręki.

– Dostał pan misję, żeby tu ogarnąć po włamaniu? – odgadam.

– Widzę, że pan również! – Rozpromienia się. – Jeśli mogę się nieskromnie pochwalić, to ja zasugerowałem prezes Godlewskiej pana nazwisko, kiedy poprosiła mnie o przejście tu do Błonia.

– Jestem zobowiązany. Kiedy pan się tu przeniósł?

– W październiku dwa tysiące szesnastego.

– Opowie mi pan, co pan tu zastał?

– Audyt wykazał, że w placówce nie działa się ciekawie.

– Konkretnie co?

– Prawie wszystko. Ale warunki tu są niełatwe. Może pan zauważył, przejeżdżając, że oddziały innych banków mieszczą się teraz w nowoczesnym centrum, wzdłuż Trzeciego Maja. Tylko SBR został w starej kamienicy z wczesnych lat trzydziestych zeszłego wieku. Trudno tu zorganizować współczesną przestrzeń usługową, trudno zabezpieczyć placówkę we właściwy sposób. Po pierwsze...

– Budynek ma solidne stropy? – przerywam mu.

– Skąd! Drewniane, i to w marnym stanie. Nic ciężkiego nie można postawić nawet na parterze, żadnej kasy pancernej, bo podłogi by się załamały pod ciężarem. A dach to stare deski kryte papą. Każdy, kto ma proste narzędzia i nie boi się wysokości, łatwo dostanie się do środka.

– A po drugie?

– Bez wchodzenia w szczegóły, organizacyjnie oddział też leżał. System komputerowy mamy względnie nowoczesny, ale nie przestrzegano reguł bezpieczeństwa. Pracownicy trzymali przy biurkach karteczki z hasłami dostępowymi. Niektórzy wręcz przyklejali je do monitorów. Jakby się prosili o kłopot. No i przestępcy trzepnęli oddział podwójnie. Najpierw włamali się i opróżnili szafę z gotówki, a zaraz potem zhakowali przez internet główne konto.

– Na ile was trafili?

– Tego właściwie nie wolno mi ujawnić. Zresztą... Z kasy zabrali raptem

trzydzieści tysięcy, elektronicznie wypłynęło z oddziału... wielokrotnie więcej. Aż nadzór bankowy się wtrącił, zażądali dokapitalizowania całego Limanowskiego.

– Aha.

– Pan oczywiście wie, jaka jest struktura organizacyjno-prawna SBR-ów?

– Niech pan wyjaśnia, jakbym nie wiedział.

– Spółdzielcze banki rolne są zdecentralizowane. Połowa funkcjonuje jako samodzielne podmioty, niektóre mają własne małe oddziały w okolicy. My podlegamy pod Spółdzielczy Bank Rolny imienia Bolesława Limanowskiego w Sochaczewie. Tak między nami, samodzielność całej sieci to fikcja, centrala trzyma ciężką łapę na istotnych sprawach SBR-ów. Normalnie to się wszystkim opłaca. Małe banki i kasy spółdzielcze podlegają lżejszym rygorom, mamy inaczej wyliczone rezerwy, wskaźniki bezpieczeństwa, kapitałowe i inne niż duże, sieciowe instytucje.

– Ale gdy was oskubali, ta fikcja zadziałała przeciwko wam, tak?

– Właśnie. Zrobili porządną kontrolę i wyszło im, że Limanowski nie trzyma parametrów i musi zostać dokapitalizowany. Nadzór nie popuścił, a prawo mówi, że jeśli w ratowanie banku zaangażowane są środki z Bankowego Funduszu Gwarancyjnego, to Komisja Nadzoru Finansowego przejmuje faktyczną kontrolę nad taką placówką. Nasza centrala nie chciała do tego dopuścić. Dlatego sami wykaszleli te brakujące miliony.

– To aż tyle wam wyprowadzili? Kilka milionów?

– Aż tyle nie. Ale sporo, a to jest mała placówka. I jak mówiłem, w trakcie kontroli wyszły różne inne sprawy kierownictwa Limanowskiego. Mój poprzednik ma spore kłopoty.

– Przenosi pan oddział z tej rudery?

– Chciałbym. Ale to nie moja decyzja. Obawiam się, że raczej nie zostanie podjęta.

– Bo...?

Młody mężczyzna na wózku inwalidzkim wzdycha.

– Kwestia modelu biznesowego. SBR-y to proste małe banki, które tanio kredytują rolników dzięki temu, że same mają bardzo niskie koszty. My nie inwestujemy w marmury i siedziby przy głównych ulicach. A ten budynek należy do nas. Na samym czynszu oszczędzamy z pięćdziesiąt tysięcy miesięcznie.

– No nie wiem, czy wam się to opłaciło.

– W skali całej ogólnokrajowej sieci na pewno tak.

Już słyszałem ten argument. Wyciągam z kieszeni swoją listę okradzionych oddziałów.

– Które z tych placówek są, formalnie biorąc, tylko oddziałami większych SBR-ów?

Chłopak studiuje listę bez pośpiechu.

– Wszystkie – mówi na koniec i oddaje mi kartkę. – Nie byłem osobiście w żadnym poza Wołominem, ale jestem gotów dać głowę, panie inspektorze, że większość z nich mieści się w starych kamienicach, a ich pracownicy przyklejają karteczki z hasłami do oprawy monitorów.

– Dziękuję. To wiele wyjaśnia.

– Czy pan sądzi, że napady to robota kogoś z naszych? Z wewnątrz firmy?

– Włamania – koryguję go i sięgam po kurtkę. – Jeszcze nic nie sądzę. Na wczesnym etapie dochodzenia stawianie hipotez tylko przeszkadza. Domyślałem się, że jest pan miłośnikiem kryminałów i „Super Trybuny”, ale taka jest prawda. Czy jest tu jakiś pokój na osobności, gdzie mógłbym zadzwonić w parę miejsc? Na drodze jest ślisko, nie chcę kusić licha.

– Dla pana inspektora wszystko – mówi rudowłosy kierownik oddziału. – W studenckich czasach sam nie uważałem za kierownicą i widzi pan, jak się skończyło. Proszę za mną, pokażę, gdzie może pan liczyć na prywatność... I może wreszcie herbaty albo kawy panu inspektorowi zrobię? Co ze mnie za gospodarz!

Godz. 18.11

- Aaaa... cześć, Roman. Jak leci? Kwitniesz w prywatnym sektorze?
- Jak fiołek na kupie nawozu. A w Głównej co słyhać? Konfetti wycinacie dla ministra?
- To koledzy z wojewódzkich. My dużo się modlimy, he, he. No, z czym dzwonisz? Chyba nie po to, żeby biednego kumpla z policji zaprosić po pracy na kebab i colę.
- *Aluzju poniał*. Co powiesz na stek, Wojtek?
- Aż taki duży masz interes?
- Zapytaj swojej żony... Ale serio, ostatnio zaczęły się włamy do banków na naszym ślicznym i spokojnym Mazowszu, słyzałem.
- Parę było. I co?
- Nie jesteś przejęty.
- Prywatne banki, gówniane pieniądze, gówniane sprawy. My z Głównej jesteśmy od wielkich spraw, he, he.
- Zastanawiam się, czy może któryś ze starej gwardii się nie zaktywizował.
- Wątpię. – Głos w słuchawce odpływa na chwilę. Mój kumpel chyba też jedzie samochodem. – ...już stare dziady. Tyle czasu minęło, z tamtego środowiska chyba nikt już nie siedzi. Sporo poumierało. Czasy Taty Tasiemki są dawno za nami, kolego. A młodzi nie wchodzą do banków.
- Jednak ktoś wchodzi. Przez dachy. I ostatnio zabili strażnika.
- Tak? Musiałem przeoczyć.
- W Dęblinie. Kto konkretnie może się zajmować tym zabójstwem i włamaniami?
- Nawet nie wiem. Temat nie ma priorytetu. Przywracamy normalność, obserwujemy totalną opozycję, rozumiesz.
- Zadzwonię w sprawie tych steków.
- Dam ci znać, jeśli zacznie się coś kręcić po naszej stronie. Kurde, trup faktycznie nie pasuje do tej roboty.

Godz. 18.19

- Nie gadaj tyle przez komórkę, Witek. Namierzą was.
 - Nie gadam.
 - To dlaczego wciąż jest zajęte, kiedy próbuję się dodzwonić?
 - Nie wiem. Nie podnoś głosu.
 - Głupio kłamiesz. A ja grzecznie proszę: wyłączajcie oba telefony, wyjmijcie baterie. Od początku powinniście tak robić.
 - Nie mówiłeś. Z mojego samsunga nie da się wyjąć.
 - To chociaż wyłączaj! Wiesz przecież, jak działa system GSM? Wielki Brat pokazuje, z którym przekaźnikiem łączy się twój telefon. Może namierzyć człowieka z dokładnością do kilkuset metrów, często bliżej.
 - Jaki Wielki Brat? O sobie tak mówisz?
 - W Warszawie kupić na lewo dane od operatora jest łatwiej, niż splunąć. Nie udawaj, że nie wiesz
 - No wiem.
- Przez dłuższą chwilę żaden z nas się nie odzywa.
- Już za długo rozmawiamy, Witek.
 - To... jak będziemy się kontaktowali?
 - Siedzicie w pokojach. Cichutko jak myszki w paputkach z waty. Jutro w południe zadzwonię do tego pokoju na siódmym piętrze przez recepcję, ze stacjonarnego na mieście. Więc bądź tam. Ale gdyby wcześniej coś wam przestało się podobać – cokolwiek! – spierdalacie z tego hotelu. Natychmiast. Zgarniasz swoje dziewczyny i w długą. Po drodze na moment włączasz komórkę i ustalamy wspólnie, co dalej. Kapisz?
 - Jasne. Nie musisz do mnie mówić takim tonem.

Godz. 18.37
Hotel Bristol

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 42/44

Ubrany jest inaczej niż wtedy na szosie lubelskiej. Poznają go po białej bródce i długich włosach, gdy udaje mi się minąć wyraźnie zaalarmowanego szefa sali i wkroczyć do części klubowej hotelu. Panuje tu elegancki półmrok, ale gość, na którym wgniecenie karoserii nowego range rovera zrobiło mniejsze wrażenie niż zabłocenie trzewików, od razu podnosi się, choć z trudem, na mój widok. Witamy się uściskiem ręki. Zaprasza mnie na głęboki fotel obok zajmowanego przez siebie.

– Akurat przejeżdżałem przez Śródmieście, gdy pan zadzwonił – zagajam. – Zbieg okoliczności. Dlatego powiedziałem, że albo teraz, albo dopiero za dwa, trzy tygodnie. Proszę nie myśleć, że...

– Nie wątpię, że ma pan dużo zajęć – zauważa uprzejmie. Jest zmęczony, słucha mnie z zamkniętymi oczami. – Jestem wdzięczny, że zechciał pan tu przyjechać bezzwłocznie. – Ziewa, zasłaniając usta ręką.

– Bywałem w gorszych miejscach.

– Jakiś koktajl? – Podnosi w górę swoją szklankę. – A może jest pan głodny? Przyniosą nam tu coś z restauracji. Ja zapraszam.

– Kawa wystarczy. Podwójna z ekspresu. I proszę powiedzieć: zmienił pan zdanie w sprawie auta? Zachowałem nagranie, więc...

– Zupełnie nie w tej sprawie. – Przerzywa mi gestem ręki. Gdy mówi, jego długie palce wydają się połączone z ustami, cały czas się poruszają. Często unosi przedramiona. – Samochód nie jest żadnym z moich problemów. Przepraszam z góry za następne pytanie, ale czy pan orientuje się, kim jestem?

– Nie. A powinienem?

– Skąd. Absolutnie nie ma obowiązku. Ale jakieś przypuszczenia pan ma, prawda?

– Poza tym, że raczej nie żyje pan z handlu węglem, nic. Nie śledzę życia śmietanki. Dlaczego się widzimy?

Gość potrząsa głową, jakby nagle poczuł się zakłopotany, i wręcza mi wizytówkę.

– Chcę pana zatrudnić. Nazywam się Maksymilian Błażej Górski, jestem kompozytorem i dyrygentem. Trochę znanym. Oczywiście mówię o kręgach melomanów – dodaje szybko.

I podnosi na mnie brązowe oczy znad kryształowej szklanki z jakimś różowym koktajlem, ciekawy, jakie zrobił wrażenie.

– Zamieniam się w słuch.

Kompozytor Górski odstawia szklankę.

– Przepraszam. Na razie chcę tylko zarezerwować pana czas, zlecić sprawę. Bardzo delikatną. Ale to długa opowieść, nie na dziś. Jestem skonany po próbach od samego rana. Szykujemy prawykonanie mojej symfonii. Nazywa się *Drakul*, słyszał pan może?... Nieważne. Światowa premiera jest za trzy tygodnie, tu w Warszawie. Pracuję z orkiestrą, solistami i chórem od świtu. Nie mam już dzisiaj siły. Proponuję...

– To chociaż w pigułce – przerywam mu. – O co w ogóle chodzi?

– Jestem napastowany przez nieznaną osobę.

– W jaki sposób? Fizycznie?

– Ktoś próbuje mnie szantażować.

– Czym?

– Morderstwem. Chyba chodzi o moją żonę.

– Żona żyje?

– Została zamordowana trzydzieści lat temu. Okropna sprawa, nie słyszał pan o tym?

– Jak się nazywała?

– Zosia. Znaczy, Zofia Szmit-Górska – poprawia szybko. – To esbecja ją zabiła. Przez pomyłkę. Szeroko znana historia swego czasu.

– To wiadomo na pewno, że esbecja? Kogoś skazano?

– Sprawca nie został ustalony. Ale wszystko wskazuje, że to był esbecki zabójca, który pomylił adres.

Nazwisko ofiary mi się kojarzy. To było w stanie wojennym albo zaraz po. Mokra robota z podtekstem politycznym. Było o tym na szkoleniach, kiedy zaczynałem w policji. Potem już nie. Zamierzchłe czasy. Akta w archiwum pewnie pokryły się grubą warstwą kurzu.

– I co się teraz stało? – pytam po chwili namysłu.

- Dostałem anonim. Kompletnie bez sensu.
- Co w nim jest?
- Że wie, kto Zosię zabił, i może to udowodnić.
- To chyba dobrze.
- Ale on wyraźnie sugeruje, że to ja.
- Przejmuje się pan?

Teraz mój rozmówca zastanawia się nad odpowiedzią.

– Tak – mówi wreszcie. – Jestem zaniepokojony. Ale tylko dlatego, że kopertę z anonimem wsunęto mi do kieszeni płaszcza, gdy wisiał w pokoju dla gości w filharmonii. To jest ktoś z mojego bezpośredniego otoczenia tu w Warszawie.

– Zaczynam rozumieć. Ma pan przy sobie ten list?

– Jest w moim pokoju. Tu w Bristolu. Wie pan, ta sprawa kompletnie kupy się nie trzyma. To też jest niepokojące.

– Wspominał pan.

– Obawiam się wariatów. Pan nie?

– Czasem – przyznaję.

– Widzi pan! – podchwytuje zadowolony. – W mojej sytuacji, tak zwanego celebryty, presja ze strony osób z różnymi urojeniami bywa nieznośna. Więc jak wczoraj znalazłem ten list, przypomniałem sobie o panu. Bo pan świetnie poradził sobie z tantym gagatkiem na drodze. Znalazłem wizytówkę i sprawdziłem, czy nie ma o panu czegoś w internecie. Okazało się, że mam do czynienia z gwiazdą zawodu! Piszą o panu gazety.

– Dziennikarze lubią detektywów. Ale wypisują różne rzeczy.

– Coś o tym wiem. – Kiwa głową. – Nieważne. Przeczytałem, że niedawno rozwikłał pan ponurą sprawę sprzed lat. Kobieta spalona żywcem, cóż za okropieństwo! Więc pomyślałem... Będę się streszczał. Chcę zaproponować panu kilkudniową wycieczkę. Bardzo przyjemną, na południe Europy. Transport i wszystkie koszty są po mojej stronie. Ruszamy jutro. Opowiem panu historię śmierci mojej biednej żony w spokojnych warunkach, nad Morzem Egejskim.

– Podobałoby mi się. Ale niestety – wzdycham.

– Jakaś przeszkoda?

– Muszę odmówić. W tej chwili mam dwie sprawy na warsztacie. Gardłowe. W jednej już jest nieboszczyk, w drugiej w każdej chwili może być ich troje, w tym

jedno dziecko. Te sprawy mają priorytet. Chętnie dam panu kontakt do jednego lub dwóch detektywów z doświadczeniem nie mniejszym niż moje.

– Ale... ja jakoś nabrałem do pana zaufania. Mimo... pańskiego wyglądu, jeśli mogę sobie pozwolić na taką uwagę.

– Może pan sobie pozwalać na dowolne uwagi. Jeszcze tej nocy muszę przenieść w inne miejsce mężczyznę, kobietę i dziecko, bo mam złe przeczucia co do obecnej kryjówki. A potem ochronić ich w mieście, gdzie ulice mają oczy, a wiedzę o tym, co widzą, źli ludzie mogą kupić bez trudu. Proszę zrozumieć. Jestem odpowiedzialny za ludzkie życie.

Mój rozmówca jest w widoczny sposób rozczarowany, gdy wstaje z fotela, nie tknąwszy kawy, i rzuca banknot na stół. Dwadzieścia złotych powinno wystarczyć, nawet w tym wypindrzonym Bristolu.

– Muszę biec.

– Zaraz! – Maksymilian Górski zatrzymuje mnie stanowczym gestem i oświadcza z mocą: – Stop, inspektorze. Po pierwsze, proszę zabrać ten banknot. Ja pana zaprosiłem. Po drugie, wpadł mi do głowy pomysł, jak pogodzić nasze potrzeby.

Godz. 19.26
Hotel Ibis
Warszawa, ul. Ostrobramska 36

– Wiciu, nieważne dlaczego! Chcę wiedzieć, czy Alicja ma jakiś dokument, bo zabieram was w podróż. Za granicę. Ty masz paszport w kieszeni, a Renka dowód osobisty i prawo jazdy, tyle już wiem. Ale co z małą?

– Ma paszport – mówi kobieta mojego brata, wlepiając we mnie pytający wzrok.
– Wyrobiłam jej rok temu, przed wyjazdem do Tunezji. Jest w mieszkaniu.

– Opisz mi dokładnie, gdzie go znajdę. I która to jest klatka schodowa? Nigdy nie byłem u ciebie, choć znam tę okolicę z dawnych czasów.

Godz. 19.48
Blok mieszkalny
Warszawa, ul. Międzyborska 67 C

Wycieraczki beemy co kilka sekund budzą się do życia, by omieść szybę z padającego śniegu. Wystarcza mi rzut oka na numer 67C, by zorientować się, z czym mam tu do czynienia. Sklep spożywczy na parterze, dalej rząd zakratowanych, martwych witryn, nad nimi trzy piętra mieszkań. Budynek jest zaniedbany, niechlujne graffiti szpeci elewację. Znam takie bloki na pamięć: bez windy, za to z wiecznie okradanymi piwnicami. Trzy klatki schodowe od tyłu. Za komuny nabudowali w Warszawie, po obu stronach Wisły, pełno takich pudełek na ludzi.

Samochody zaparkowane od ulicy mają szyby grubo oklejone mokrym śniegiem niesionym przez wiatr. Ale i tak to nie byłby dobry punkt do obserwacji. Z lewej strony jest niestrzeżony wjazd na podwórko, gdzie są wejścia do budynku i, jak się domyślam, mieszkańcy trzymają swoje auta. Tam należy się rozejrzeć w pierwszej kolejności. Ale trzeba to zrobić z głową.

Mijam blok i skręcam w lewo w pierwszą poprzeczną: Wąwolnicka. Jadę nią kawałek i parkuję na pierwszym wolnym miejscu przy chodniku. Potem czekam kilkanaście minut na potrzebną mi sytuację. Pierwsze dwie osoby wyprowadzające psy to starsi ludzie; tacy są zwykle podejrzliwi, trudno się z nimi dogadać. Po kolejnych dziesięciu minutach z pobliskiego podwórka wynurza się młody facet z czarnym pitbulterierem na wyciąganej smyczy.

Wysiadam z wozu i nie zamykając drzwi na zamki, podchodzę do chłopaka.

– Zamienimy się? – Wyciągam w jego stronę rękę z kluczykiem na breloku.

– Taką brykę biorę zawsze – odpowiada, nie tracąc rezonu. – Co chcesz w zamian?

– Twojego psa. Na piętnaście minut. Potem wymieniamy smycz na kluczyk w drugą stronę i dostajesz premię. – Pokazuję mu niebieski banknot pięćdziesięciozłotowy.

– A o co chodzi?

– Chcę się przespacerować z nim kawałek. Zawsze marzyłem o takim psie. Ale

spoko, oddam. Możesz iść za nami, tylko nie za blisko. Jak on się wabi?

– Brunet.

Kucam i wyciągam rękę – nisko, na wysokości jego pyska. Brunet zbliża się zaciekawiony, wacha dłoń, dotykając jej mokrym nosem. Gdy pozwala się pogłaskać, przejmuję smycz i w całkowitej zgodzie ruszamy razem do Międzyborskiej. Za rogiem skręcamy w stronę bloków, po kolejnych kilkudziesięciu metrach wchodzimy na podwórko za numerem 67C. Pies przystaje co kilka kroków, obwąchując to i owo, czasem podnosi nogę i zaznacza terytorium.

Tak jak zakładałem, teren za blokiem jest ciasno zastawiony autami. Poza jednym dużym audi tanie peugeoty, stare ople, fiaciki. Skarby praskiego proletariatu. Brunet obwąchuje koła. Pozwalam mu wyciągnąć smycz na maksymalną odległość i skulony w sobie wlokę się za nim z opuszczoną głową. Nie interesuję się otoczeniem: ot, zmarznięty właściciel, który nie może doczekać się zakończenia wieczornego kwadransa ze zwierzakiem.

W ciemnym audi ktoś siedzi za kierownicą.

Pies dochodzi do tego wozu, unosi zadnią nogę i pompuje parującym moczem na przednie koło. Zbliżam się. Tylko kierowca – chyba że ktoś jeszcze kryje się w ciemnościach z tyłu. Ale jeśli gangsterzy faktycznie przysłali tu żołnierza, to raczej jednego. Bo szansa, że uciekinierzy zajrzą do domu, jest niewielka.

– Brunet, zostaw to auto. Pan się na nas pogniewa – mówię głośno i zaczynam skracać smycz. – Chodź, piesku, oszczamy następne.

Wewnątrz audi zapala się światło. Drzwi kierowcy otwierają się, ktoś wyskakuje ze środka. Niewysoki, szerokie ramiona. Rozwścieczona, grubo ciosana mordą. Robię krok wstecz.

– Czyść to koło, kurwa. Już!!! – chrypi tamten.

– Ale... On tylko kilka kropel... Jak ja mam...

– Czapką, kurwa! No już, bo zajebię! Ciebie i kundla!

– Oczywiście, proszę pana – mówię pokornym tonem i pochylam głowę. – Bardzo za pieska przepraszam.

Pochylam się jeszcze bardziej, zdejmuję czapkę z głowy lewą ręką, w której trzymam smycz. Prostuję się tuż przed jego nosem i prawą od dołu ładuję mu haka na szczękę. Poprawiam prostym, a gdy facet zatacza się, upuszczam smycz, opieram go równo o audi i kończę dzieło kolejnym, ciągniętym z biodra ciosem w szczękę. Ten wreszcie trafia w punkt, facet wiotczeje. Chwytam go pod ramiona i szybko oklepuję: nie ma przy sobie broni. Nieprzytomnego wtłaczam do

samochoodu. Zatrzaszkuję drzwi.

Właściciel Bruneta stoi niedaleko z niepewną miną.

– Bez obaw. Jestem detektywem – mówię łagodnie, jak do dziecka. – Zabieraj psa i zapomnij o wszystkim.

Brunet już sam do niego wrócił, ciągnąc po śniegu smycz. Chłopak podnosi plastikowy uchwyt, rzuca mi kluczyk od auta i oddalają się pospiesznie w stronę ulicy. Nie chce moich pięciu dych, nie będę płakał.

Upewniam się, że gość w audi się nie porusza, i biegnę do klatki schodowej po prawej stronie budynku. Domofon jest zepsuty, a zamek wyłamany, dokładnie jak Renka mi opisała. Wbiegam na drugie piętro. Duży piórowy klucz z góry, mały do zamka z dołu. Trzeci, staroświecki, jest pod klamką.

Wchodzę do środka, zamykam za sobą drzwi na zasuwkę. Nie zapalam światła. W prawej kieszeni kurtki mam latarkę; przekręcam główkę, nastawiam na wąski strumień światła. W korytarzu potykam się w ciemności o jakieś buty. Sypialnia po lewej – jest, podwójne łóżko. Nocna szafka, druga szuflada od góry. Jakieś lekarstwa, chusteczki, korale. Nie widzę paszportów.

Są w dolnej szufladzie. Otwieram, oświetlam zdjęcia i rubryki z danymi właścicieli. Zgadza się. W szufladzie jest też portfel, w nim kilkaset złotych. Zabieram pieniądze i minutę później już mnie tam nie ma.

Gdy wybiegam na podwórko, miejsce, gdzie stało audi, jest puste. Facet najwyraźniej zraził się do kontaktów ze mną sam na sam, pojechał po kolegów.

Rzucam się biegiem – tak szybko, że prawie przewracam się na lodzie przy Międzyborskiej. Skręcając w następną przecnicę, gdzie zostawiłem swój wóz, chwytam ramieniem za latarnię, aż impet mnie przekręca. Przebiegam wzdłuż ulicy kolejne kilkadziesiąt metrów. Otwieram beemę pilotem, wskakuję do środka i ruszam prosto przed siebie. Już nie tak szybko, bo wąska uliczka jest zastawiona autami z obu stron.

Duży samochód pojawia się na końcu uliczki. Przystaje, blokując mi wyjazd. Wsiadają dwie – nie, trzy osoby.

Daję z całej siły po hamulcach. Beema nie zarzuca, mimo ciężaru staje prawie momentalnie, trzaskając ABS-em. Jeden z tamtych trzyma w rękach mały automat. Wrzucam wsteczny, z lewą ręką na kierownicy skręcam korpus, opieram prawą o oparcie fotela pasażera i wciskam gaz. Auto teraz ma jakby przedni napęd, szybko przyspiesza mimo śliskiej nawierzchni. Ćwiczyłem takie manewry, umiem utrzymać kierunek jazdy, szybko cofając. Coś uderza metalicznie w przód wozu.

Strzelają? Nie mam czasu się zastanawiać. Na pełnej prędkości wypadam tyłem na Międzyborską.

To loteria, ale muszę wydostać się z pułapki, zanim zamkną ją z drugiej strony. Tym razem się udaje.

Obracam wóz w poślizgu na cztery koła, ruszam pod prąd tą Międzyborską i zaraz daję w prawo. Mam nadzieję, że uliczka doprowadzi mnie do Kinowej. Jeśli nie, będę tu kluczył po osiedlu, licząc na łut szczęścia, aż się wydostanę na jakąś większą aleję.

Po kilkuset metrach jestem na Kinowej. Stąd blisko do zjazdu na Trasę Łazienkowską. W tylnym lusterku widzę światła jakiegoś pojazdu. Porusza się szybko, więc też nie zwalniam.

Wjeżdżam po estakadzie na zachodnią nitkę trasy, w kierunku Ochoty, i zapraszam swoją wiedźmę do tańca. Sześć cylindrów i dwie turboładowarki biorą się na serio do roboty, przelatuję nad Wisłą, mając sporo ponad dwie setki na liczniku. Nie wiąże się to z przesadnym ryzykiem: asfalt jest czarny, mocno sypany solą, a o tej porze ruch tu niewielki. Zbliżając się do Śródmieścia, nie widzę w lusterku niczego, co by poruszało się ze zbliżoną prędkością.

Przyhamowuję, skręcam w zjazd i ślimakiem wpadam na plac Na Rozdrożu. Ignoruję czerwone światła – jakiś biały van gwałtownie hamuje – i ześlizguję się w prawo w następny ślimak, który wyprowadza mnie na tę samą trasę, tylko w przeciwnym kierunku. Znowu jadę bardzo szybko. Na wysokości Saskiej Kępy zwalniam, przy Paryskiej zjeżdżam na chodnik, zatrzymuję się za przystankiem autobusowym. I czekam.

Nikt nie hamuje ani nie przelatuje obok z dużą szybkością. Zgubiłem ich?

Po trzech minutach, już w pełnej zgodzie z przepisami ruchu drogowego, przetaczam się przez Ostrobramską, potem skręcam w lewo w Jubilerską i w prawo, do hotelu Ibis. Zabieram stamtąd Wicia z jego kobietami na Smolną, gdzie w starej kamienicy pewien były gliniarz prowadzi wynajem pokojów gościnnych. Gdy słyszy, że nie chcemy się meldować, nie zadaje pytań. Otwiera nam pokój z czterema leżankami. Okna wychodzą na dawne KC i szare kłocze muzeów sztuki i wojska. W pokoju jest zimno, ale właściciel interesu dorzuca kilka koców i odkręca kaloryfery. Zaprasza na śniadanie i wychodzi.

Dopiero gdy mój brat, Renka i dzieciak układają się na noc, wychodzę sprawdzić swój bolid. Trafił go jeden pocisk. Przebił atrapę nad zderzakiem, zarysował oponę, otarł się o felgę koła i nieszkodliwie zrykoszetował gdzieś w bok. Mały automat, który można ukryć pod marynarką, nie robi większej szkody

z dwustu metrów – nawet gdy komuś uda się w coś trafić. Na szczęście dla mnie nie zaryzykowali większej strzelaniny.

Przestawiam wóz kilka ulic dalej i dzwonię do żony. Odbiera jakby po długim namyśle, gdy już tracę nadzieję.

– To ja, Basiu. – Odwracam się plecami do wiatru, z telefonem przy uchu pod kapturem kurtki.

– Przecież widzę. Wyświetlasz się.

– Dziękuję, że odebrałaś.

– Czego chcesz?

– Powiedzieć, że wyjeżdżam na kilka dni z Polski.

– Nie musisz mi się opowiadać.

– Ale chcę, żebyś wiedziała – mówię szybko, bo może się zaraz rozłączyć. – Złapałem większą sprawę, ciekawą. Będę potrzebował twoich rad.

– To pilne?

– Nie, poczeka – mówię zadowolony, że mi z góry nie odmówiła. – Poza tym muszę wywieźć Witka z kraju. Na zawsze. A w każdym razie na dłuższy czas.

– Serce mi krwawi. Co ty zrobisz bez braciszka kryminalisty, biedaku.

– Nie kpij, proszę. Jak go dopadną, straci życie.

– Kto tym razem chce oddać ludzkości przysługę?

Jeśli jej powiem, że chodzi o narkotyki, jeszcze bardziej się zatnie. Uzna, że sytuacja zagraża naszej rodzinie, i pośle nas obu do diabła. Po tym, jak narozrabiałem jesienią, wiszę u Baśki na bardzo, bardzo cienkiej nitce. Mam poczucie, że ta nitka już wiele nie wytrzyma. Jeśli pęknie, nieodwołalnie stracę żonę i syna. Tego nie chcę za nic na świecie.

– Jakaś grupa zorganizowana – mówię cicho. – Jeszcze nie wiem, która dokładnie, ale są bezwzględni. Jego kobieta z córką też są zagrożone. To ja tak oceniam, nie Witold. Wolę nie ryzykować, chowając ich gdzieś w Warszawie czy w okolicy.

– Nie wiedziałam, że dysponujesz już meliną za granicą – rzuca cierpko. – Nie chwaliłeś się.

– Zdarzyła się okazja. Opowiem.

– Uważaj na siebie. – Głos Baśki brzmi nieoczekiwanie miękko, a mnie od razu robi się gorąco pod kurtką, mimo wyjącego wiatru i coraz gęstszego śniegu.

Temperatura też szybko opada.

– Obiecuję.

Rozłącza się bez słowa, jakby pożałowała, że podarowała mi te trzy słowa wypowiedziane inaczej, ludzkim głosem.

Kwadrans później, w ciemnym pokoju, owinięty w koc na leżance obok mojego chrapiącego brata, po raz setny odtwarzam w myślach, jak do tego doszło, że zostałem wygnany z raj.

Zaczęło się od wyciągu w kuchni, który wpadał w wibracje.

Na początku listopada wróciłem z kilkudniowego wypadu do Krakowa, gdzie wręczałem łapówkę jednemu z tamtejszych prokuratorów, udając trenera kadry zapaśników. Baśka poprosiła, żebym od razu się zajął tym wyciągiem. Pensjonat składa się z tysiąca psujących się rzeczy i jeżeli nie wykonuje się napraw na bieżąco, usterki zmieniają się w katastrofy.

Zszedłem do piwnicy po narzędzia w całkiem dobrym humorze, bo lubię pracować rękami. Ale w moim podręcznym warsztacie po prostu trafił mnie szlag.

Zawsze tu trzymałem wzorowy porządek. Tata wbił mi to do głowy, gdy byłem chłopakiem: jeśli w warsztacie jest bajzel, to robota w nim też jest nic niewarta. Mam tam równiusieńko poukładane wszystko, co potrzeba, by utrzymać hotel w ruchu, włączając w to kilka podstawowych maszyn do obróbki metalu i drewna. A teraz mój azyl wyglądał jak po przejściu tornada: plama oleju na podłodze, pootwierane szuflady, wszędzie walają się resztki materiałów, narzędzia porozrzucane.

Trzęsąc się ze złości, pobiegłem na górę do Baśki.

– Kto był u mnie w warsztacie? – zapytałem, pewnie za głośno. Może też trochę gestykulowałem rękami.

Baśka zeszywniała.

– Nie krzycz. Poprosiłam Mariusza, żeby naprawił mi kilka rzeczy, kiedy ciebie nie było.

– Co to za Mariusz!?

– Nie znasz. Nowy dostawca win.

– Jakaś padlina się tu zadomowiła pod moją nieobecność? Tak bardzo, że rządzi się nawet w moim warsztacie? Noce też tu spędza?!

Baśce to wystarczyło, by również wybuchnąć.

– Licz się ze słowami, mój panie. Zamierzasz mnie rozliczać z wierności

małżeńskiej? Ty? Po tym, co sam zrobiłeś?

– Są jakieś granice! – darłem się już na całego. – Pod tym dachem mieszka nasz syn!

– Nie ty je teraz wyznaczasz. – Baśka aż syczała czerwona na twarzy. – Zapomniałeś o naszej umowie? Na jakich zasadach pozwalam ci, dziwkarzu jeden, pozostawać pod tym dachem? Jeśli ci się nie podoba, drzwi są szeroko otwarte!

Patrzyła mi prowokacyjnie w oczy, a ja odpowiadałem równie twardo. I czułem, że zaraz złość mnie zadławi. Jakiś gnój poczuł się jak u siebie w moim domu, przy mojej, mimo wszystko, żonie! Przekroczył wszystkie granice. Nie daruję!

Jak wystrzelony z procy wyskoczyłem z pensjonatu, odjechałem spod ganku, paląc na kostce gumy tylnych kół.

Zrobię z Padliną porządek. Po swojemu. Niech się teraz dzieje, co chce!

To prawda, poszedłem w szkodę z terapeutką, która pomagała mi stanąć na nogi po postrzale. Między mną a żoną też nie działa się wtedy najlepiej, Baśka bywa trudna, jest podejrzliwa z natury. Nękała mnie przez kilka miesięcy bez powodu, wreszcie miałem tego dość i dałem jej prawdziwy. I naprawdę cholernie żałuję tamtych chwil słabości. Ale, do stu diabłów, ile można się mścić za małżeńskie wykroczenie? Jeden jedyny raz?

Robiłem wszystko, żeby naprawić błąd. Odstawiłem tamtą Bożenkę nieodwołalnie i całkowicie. I stawałem na głowie, by ratować nasze małżeństwo. Kiedy Baśka wystąpiła o rozwód, zdeptałem własną dumę i wyprosiłem, żeby mi pozwoliła zostać w pensjonacie. Mieszkaliśmy razem, choć osobno. Liczyłem, że to pomoże wyjść z kryzysu. Nie wtrącałem się do jej życia, bo mi nie wypadało, ale było dla mnie oczywiste, że nie spotyka się z innymi facetami. A jeśli wychodziła wieczorami wystrojona, to tylko po to, żeby dać mi nauzkę. Nic nie mówiłem, ale oczywiście ją śledziłem: same babskie pogaduchy na mieście, przy winku. Zakładałem, że to dobrze. Moja żona wyrzuci wszystko z siebie, złość jej przejdzie i wrócą dobre czasy.

I nagle wyszło na jaw, że się pomyliłem. I to grubo! Są granice tego, co mężczyzna jest gotów brać na szcękę. Nie będę przeproszał, że jestem facetem! Załatwię sprawę po męsku.

Niech się dzieje, co chce!

Kark mi zeszywniał jak psu przed walką, pocilem się. Adres z grubsza znałem, hurtownia win pojawiła się latem zeszłego roku w nowym centrum handlowym w Rocku, wzdłuż przelotówki. Pędziłem tą przelotówką z mordem w oczach jak

pilot bombowca. Z daleka poznałem ten sklep. Padlina używał do dostaw starych fiatów multipli, prawdziwych pokrak na kołach, jakbyś połączył nocnik z wanną. Pooklejał karoserie foliami reklamowymi, butelki win na tle afrykańskich masek. Dwa takie wozy stały przed sklepem.

Pawilon miał pstrokaty szyld z łbem żyrafy, na ośnieżonej witrynie obok flaszek stały jakieś tarcze, łuki i dzidy. Pieprzony wojownik się znalazł!

Zaraz zobaczy swoją Afrykę. Późno zahamowałem za multiplą, wóz wpadł w poślizg, uderzył przodem w zderzak tamtego. Wyskoczyłem, zrzucając z siebie kurtkę i czapkę. Zostałem w koszuli i skórzanych rękawiczkach. Z bagażnika wydobyłem stalową korbę do podnośnika. Tak wyposażony z kopa otworzyłem drzwi i wkroczyłem do sklepu dobiegacza mojej żony.

Na mój widok facet po czterdziestce podniósł się zza małego kontuaru kasowego. Miał na sobie dżinsy i koszulę w kratę. W formie fizycznej na oko dobrej. Długie rzednące włosy zawiązał w koński ogon. Wyliniały wezyr. Padlina nie odzywał się, nie próbował uciec. Stał tylko, mrużąc świńskie oczy.

Nienawidziłem go jak choroby zakaźnej, jak karalucha na pościeli. Wściekłość wypełniła mnie gorącem, zaczerwieniła obraz przed moimi oczami. To porwanie emocjonalne, gdy przychodzi, jestem gotów dosłownie na wszystko. Wziąłem zamach i zacząłem strącać korbą butelki z najbliższej półki.

– Weź głęboki oddech – powiedział tamten. – Bo jeszcze zawału dostaniesz.

Kolejny zamach, poleciały butelki z drugiej półki. Dźwięki tłuczonego szkła sprawiały mi rozkosz. Kopniakiem przewróciłem stolik dla gości i rozkosz jeszcze wzrosła. Rozbiłem dużą rzeźbę Murzynki, która stała na środku sklepu, i nieznośna presja, która rozsadzała mnie jak niewidzialny gaz, zaczęła znajdować ujście. Miażdżyłem butami odłamki rzeźby, która wyglądała jak z drewna, ale była zrobiona z gipsu; biały gruz na pokrytej płytkami podłodze ciemniał, wciągając czerwone wino jak rozlaną krew. Rozkoszowałem się swoją żądzą mordu.

– Lepiej ci teraz? – spytał tamten zupełnie beznamiętnie, jakby to nie jego dobytek był niszczone.

– Będzie bolało. – Głos wyszedł ze mnie jak drut kolczasty.

Poklepałem się korbą w dłoń.

– Ach tak?

Brzmiało to tak swobodnie, że na sekundę mnie spowolnił. Nie cofał się ani nie próbował mnie powstrzymać. Po prostu trwał na swoim miejscu i beznamiętnie śledził moje ruchy. Jakbym przyszedł tu z bukietem kwiatów.

– Wydaje ci się, że wyjdiesz z tego, gnoju?! – krzyknąłem. – Że wyłgasz się przede mną? Zmiażdżę ci gnaty.

– Pokaż, jak to robisz.

– Wyjdź z za mebla.

Wyszedł, nie unosząc nawet ramion, a ja uderzyłem swoją korbą z całej siły. Padlina zrobił błyskawiczny unik i dziwnym, zakręconym ruchem wyłuskał mi korbę z ręki. Odsłonił się, odrzucając korbę za siebie, próbowałem go trafić lewym sierpem. Jednak zanurkował pod moją ręką i z półobrotu kopnął mnie w kolano. Ból nie zrobił na mnie wrażenia, ale noga zmiękła, musiałem przyklęknąć. Po sekundzie siedział mi na plecach. Założył mi dźwignię na szyję i zaczął dusić.

Złapałem go za nadgarstki i rozerwałem jego uchwyt – powoli, ale nieustępliwie. Miałem w sobie taką moc, że rozerwałbym żelazny łańcuch. Szarpnięciem ciała przerzuciłem go na podłogę. Usiadłem na nim okrakiem i rozkrzyżowałem mu ramiona. Bronił się w milczeniu, czerwieniał na twarzy z wysiłku. Był silny – ale nie dość silny.

Teraz zmiażdżę czołem tę obrzydliwą gębę. Ten wredny, parszywy ryj! Rozprasuję go jak kowalskim młotem.

Każdy atom mojego ciała chciał zabijać. Świat przestawał istnieć – mnie też już nie było. Ogłuchłem i oślepiłem. Była tylko czerń, jakieś czerwone smugi i to coś straszne w moich trzewiach, co musiało się ze mnie wydostać. Nic innego nie miało znaczenia.

– Twój syn... Jak to zrobisz, nie zobaczysz go... Dorośnie bez ciebie.

Głos wydobywał się centymetry ode mnie, charczący – z ust, które poruszały się z nieludzkim trudem na zsiniałej twarzy.

Odnotowałem te dźwięki bez zrozumienia – rządził mój mózg zwierzęcy, pradawny, gadzi, który słów nie przetwarza. A jednak ich sens jakoś przebijał się przez ciemność z czerwonymi smugami. Komunikat od Padliny dotarł do innej części mojego układu nerwowego. I chociaż ta część była teraz odłączona, pozbawiona władzy nad ciałem przez prastary mechanizm walcz-lub-uciekaj, jaszczurczy mózg się zawiesił.

Opóźnił pierwsze uderzenie czołem o jedną sekundę.

Nie uderzyłem przez następną sekundę. I jeszcze następną.

Niepowstrzymana presja nagle ustąpiła. Puściłem ramiona Padliny i odtoczyłem się na bok. Leżeliśmy obok siebie, ciężko dysząc. Czuję mokrość, wsączała się w moją koszulę i spodnie. Była chłodna. Przez chwilę jeszcze nie myślałem

słowami. Zrozumienie, że leżałem w kałuży wina zmieszanego z gipsem, pojawiło się po długich sekundach.

Padlina też nie miał siły wstać. Odezwał się zduszonym głosem:

– Od teraz schodź mi z oczu, Medyna.

– Ty mi też – powiedziałem, chwiejnie podniosłem się z podłogi i wyszedłem ze sklepu.

Po chwili wróciłem po swoją korbę. On wciąż dochodził do siebie na podłodze z ciemnobrązowej terakoty.

– Następnym razem pójde na policję – usłyszałem cichy głos.

Ta bezczelność otrzeźwiła mnie do końca.

– I co, powiesz im, że kotłujesz żonę funkcjonariusza? Myślisz, że będą cię chronili? Bez złudzeń, gnoju. Mogę cię zabić w afekcie. Nawet mnie nie wsadzą. Licz się z tym.

– Sąd może ci odpuści, ale nie Barbara. Nie pozwoli, żeby morderca miał kontakt z Dawidem. Nie wychowasz syna.

Ominąłem go i kuśtykając, wyszedłem po raz drugi z tego zasranego interesu. Kolano bolało nie na żarty.

Jeszcze tego samego wieczoru Baśka kazała mi wynosić się z domu. Natychmiast.

Nie wszystko, co robię, robię dobrze, ale tę sytuację spieprzyłem koncertowo.

Dzień czwarty

Czwartek, 5 stycznia 2017

Godz. 9.17
Lotnisko Warszawa Babice
ul. gen. Sylwestra Kaliskiego 57

Na lotnisku na Bemowie miny nam się wydłużają. Z okna niewielkiego pawilonu, gdzie mamy się spotkać z kompozytorem, widać tylko małe awionetki i wiekowe poradzieckie dwupłatowce. Chyba nie będziemy lecieli czymś takim? Witka coraz widoczniej zjadają nerwy. Zaczyna głośno narzekać, że chyba ktoś zamierza wozić nas na raty, po dwie osoby. A w ogóle to może jednak zdradzę, dokąd, do cholery, chcę ich wywieźć?

Górski się spóźnia. Czekam coraz bardziej niepewny, czy ta wariacka podróż w ogóle dojdzie do skutku. W końcu nadjeżdża ciemnozielonym range'em ze zgniecionym lewym bokiem.

Kwadrans później maszyna mojego nowego klienta powoli wyłania się z hangaru, ciągnięta przez traktor. Tak, to przypomina prawdziwy samolot. Nie jest tak duży jak pasażerskie na Okęciu, ale wystarczy: ma dwa motory na skrzydłach i masywny kadłub z pięcioma okrągłymi oknami.

– Mój król przestworzy – mówi Górski z dumą. – Odkupiłem od Harrisona Forda.

– Nie znam – mówię ostrożnie.

– Zna pan. Aktor. *Gwiezdne wojny* chyba pan widział?

– Aha.

– Napisałem muzykę do filmu, który Harrison reżyserował parę lat temu. Film średnio mu wyszedł, ale ja załapałem się na nominację do Oscara.

Śmigła się obracają, pilot grzeje silniki na mrozie. Dobrze, że samolot stał w hangarze, bo nocą nieźle napadało, przez miasto trudno było przejechać. Płatowce na płycie lotniska pokryte są grubą warstwą śniegu i lodu. Z boku beżowo-srebrnego kadłuba z napisem Beechcraft King Air opada prostokątne wejście; jego wewnętrzna część tworzy schodki. Pilot pyta nas o bagaże. Mówimy, że nie mamy żadnych, zaprasza do wejścia.

W środku mnie zatyka. Luksus w amerykańskiej zabawce jest jak w salonie: luźno ustawione skórzane fotele, ściany i barek wykładane orzechem, przyćmione

światła. Przy tym nawet wewnątrz range'a wygląda skromnie. Kolejny szok jest gorszy: facet, którego brałem za pilota, opuszcza maszynę. Górski uruchamia hydrauliczny mechanizm zamykania włązu i sam rusza do kabiny pilotów ze słuchawkami i folderem z papierami w ręku.

– Pan... pilotuje osobiście? – Robię wysiłek, by brzmiało to obojętnie.

Witek wygląda, jakby miał zasłabnąć, Renia nerwowo rozgląda się na boki. Tylko mała Alicja jest zachwycona sytuacją.

– Wujku, dasz mi kierować samolotem? Bo ja już kierowałam samochodem mamy, wujek Witek mi dał!

– Oczywiście – pada spokojna odpowiedź. – Pozwól tylko, kochanie, że najpierw wystartuję. Warunki pogodowe nad Polską, proszę państwa, mamy dziś średnie, zwłaszcza nad Karpatami trochę nami potrzęsie – zerka na jedną z kartek – ale dalej na południe czeka nas w miarę gładki lot. Za trzy godziny i jakieś dwadzieścia minut dotrzemy nad IATA...

– Czyli, przepraszam, dokąd? – Witek nie wytrzymuje. – Bo chciałbym wiedzieć.

– Brat państwa nie poinformował?

Górski rzuca mi pytające spojrzenie; odpowiadam miną, która ma znaczyć „im mniej wiedzą, tym lepiej”. Odwraca do tamtych.

– IATA, zwana też Wenizelosem, to akronim, Międzynarodowe Lotnisko w Atenach.

– Grecja, hurra! – Alicja zaczyna klaskać w ręce.

– To jeden z najbardziej zatłoczonych portów lotniczych w Europie, być może trochę będziemy musieli pokrażyć w powietrzu w kolejce do lądowania.

– Starczy mam benzyny? – niepokoje się mój brat.

– Bez obaw. Maszyna ma zasięg tysiąc pięćset mil. Polecimy z prędkością przelotową pięciuset kilometrów na godzinę. Z lotniska mój pracownik zawiezie nas do portu w Pireusie, skąd hydroplanem w półtorej godziny dotrzemy na wyspę Hydra. Jeszcze zdążymy przed obiadem wykapać się w basenie.

– Nie w morzu? – pyta Renia.

– Będzie stało do pani dyspozycji pięćdziesiąt metrów od domu. Wystarczy zejść po schodkach. Ale w styczniu woda jest tam zimna. Jak w lipcu w Bałtyku.

Godz. 15.59

Wlikos, wyspa Hydra

Widziana z motorówki willa jest biała, przykryta bladoczerwoną dachówką, jak wszystkie domy tutaj. Stoi na kamienistej skarpie, dość wysoko nad piaszczystą plażą, ponoć jedyną na wyspie. Poruszać się po niej można tylko pieszo albo na osiołku, wyjaśnia Górski. Na całej Hydrze zakazane są nawet rowery. Jeśli ktoś upiera się przy transporcie mechanicznym, może do willi dopłynąć motorówką – jak my teraz. Tylko tutejsze służby miejskie i ratownicze mają kilka samochodów.

Krajobraz faktycznie niczego sobie. Na niebie bez chmurki świeci słońce, jest ciepło, ale nie gorąco. Chyba około dwudziestu stopni. Czuję zapach morza, mokrych kamieni, piasku i jakichś nieznanymi mi ziół.

Po Warszawie przyjemnie tu wciągnąć powietrze do płuc.

Dobijamy do pomostu i wspinamy się na skarpę po schodach zrobionych z drewna zbielałego od soli. Prowadzą zygzakiem do willi. Na górze okazuje się, że za głównym budynkiem są pawilony dla gości. Długowłosego faceta około czterdziestki, który przedstawił się jako Tadeusz Dąbrowski, odebrał nas wszystkich na lotnisku i zorganizował ostatni odcinek podróży na wyspę. Teraz prowadzi mnie, Witka i jego kobiety do tych pawilonów.

Są, tak jak willa, zbudowane z kamienia i pobielone. Mój składa się z dużego pokoju z małym aneksem kuchennym, łazienki z prysznicem i niewielkiej sypialni. Do środka wchodzi się przez drewniany taras z hamakiem. Pod sufitem pokoju króluje wielki wentylator. Drugi pawilon jest zapewne taki sam.

Ku mojemu zaskoczeniu ktoś przygotował letnie ubrania i rozłożył je na łóżku w sypialni: koszulkę polo, dwa T-shirty, płócienne spodnie z parczanym paskiem w komplecie z lnianą marynarką, buty z siatkowym wierzchem i gumową podeszwą. Jest też zestaw bielizny, a nawet spodenki kąpielowe i czapka z daszkiem. Wszystko nowiutkie, jeszcze z metkami i, o dziwo, rzeczy wyglądają na mój rozmiar. Na półce w łazience znajdują fabrycznie opakowaną szczotkę do zębów, pastę, mydło i krem przeciwsłoneczny z filtrem.

Biorę prysznic i przebieram się w te ciuchy z natarczywą myślą w głowie, czy ja przypadkiem w coś nie wdepnąłem. Czego ten kumpel Harrisona Forda zażąda od skromnego eksgliny za tak królewskie traktowanie?

Godz. 17.41

– Molestuje mnie ktoś z orkiestry. – Maksymilian Błazej Górski wzdycha. – Albo z chóru. Albo może któryś z pracowników filharmonii. Nie mam konkretnych domysłów. Chcę, żebyś to ustalił. Dostałem drugi anonim. W nocy ktoś zostawił go dla mnie w recepcji Bristolu.

– W tej samej sprawie?

– Mojej zmarłej żony. Mojej ofiary, jakkolwiek absurdalnie to brzmi. Proszę, tu są oba.

– To oryginały?

– Tak.

– Ktoś ich jeszcze dotykał?

– Nikt.

– Zaraz wrócę.

Niechętnie wstaję z wiklinowego fotela z grubymi poduszkami. Wszyscy siedzimy na tarasie willi otwartym na turkusowe morze, w szlafrokach włożonych na mokre ciała, z kieliszkami musującego wina w rękach. Kawalek dalej sekretarz Dąbrowski rozpala grilla, a żona Górskiego, posągowa blondyna, która już przy pierwszym spotkaniu próbowała wbić mnie wzrokiem w ziemię, razem z greckim kucharzem przygotowuje krewetki. Witek wlewa w siebie kolejną szklanę whisky, Renata z Alicją z piskiem bawią się w jacuzzi. Idylla. Wylądowaliśmy na innej planecie.

Przynoszę z pokoju parę lateksowych rękawiczek. Dwie białe koperty, standardowe, z tych wydłużonych. Nic nie jest na nich napisane. W środku każdej biała kartka z wydrukowanym tekstem. Krótszy i trochę dłuższy.

Przybliżam je po kolei do oczu: atramentówka. Takich drukarek jest w Polsce pewnie ponad milion. Typowa czcionka, mam taką samą w swoim komputerze.

– Który znalazł pan jako pierwszy, w filharmonii?

– Ten.

WIEM, KTO ZABIŁ ZOFIĘ. I MOGĘ TO UDOWODNIĆ.

– A ten odebrał pan z recepcji, tak?

– Zgadza się.

ODZYSKASZ SPOKÓJ I PEŁNE BEZPIECZEŃSTWO ZA 100 TYS. FRANKÓW SWISS. STAĆ CIĘ. DAJEMY PEŁNĄ GWARANCJĘ. PRZYJDŹ NA NASTĘPNĄ PRÓBĘ W CZAPCE, GDY PRZYGOTUJESZ 100 NOWYCH BANKNOTÓW po 1000. POWTARZAM: ZAPŁACISZ TYLKO RAZ.

– Dalej pan twierdzi, że to nie jest szantaż?

– Szantażować można tylko osobę, która ma coś na sumieniu.

– To czym się pan przejmuje? Po co wchodzić w koszty?

– Mówiłem już. Boję się wariatów. Anonimy pisze ktoś z mojego otoczenia.

– Ten ktoś wyraźnie zakłada, że ma pan za uszami – zauważam.

– Dlatego mówię, że to może być niebezpieczny świr. Pamiętasz, jak zginął Lennon?

– Ten od Beatlesów? Koleś zastrzelił go w bramie domu, w którym mieszkał. Siedzi zamknięty w psychiatryku.

– Na tym to polega. Świat jest niebezpieczny dla znanych artystów.

– Jak na świra, walutę wybrał przytomnie.

– Co masz na myśli? – dziwi się.

– Chce okup we frankach, żeby paczka z pieniędzmi była jak najmniejsza – wyjaśniam. – Największy banknot euro w obiegu ma nominał pięćset, dolarowy tylko sto. A franki są w tysiącach.

– Myślałem, że wysokie nominały są niebezpieczne dla przestępców. Bo jest ich mało w obiegu, łatwo je tropić po numerach seryjnych banknotów. Mylę się?

– W epoce komputerów i skanerów nie ma różnicy. Tyle że w kantorach w Polsce sprawdzają pieniądze tylko pod kątem fałszywek, nie numerów. Kilka tysięcy franków sprzeda pan bez ryzyka na każdym rogu w Warszawie. A franków z wysokimi nominałami jest w obiegu mnóstwo, bo ludzie mają kredyty hipoteczne we frankach.

– Nie widzę związku.

– Mnóstwo klientów spłaca raty gotówką, w żywych frankach. Bo banksterzy biorą grube prowizje na przeliczeniach kursów walut. Przy wpłatach gotówkowych ten zarobek im odpada, więc wymyślają różne utrudnienia, na przykład odrzucają banknoty z najdrobniejszymi nawet uszkodzeniami. To oczywista granda, ale co z tego? W efekcie w Polsce jest dziki popyt na nowe jak z igły frankowe banknoty o wysokich nominałach. Im mniej sztuk ktoś niesie do banku, tym mniejsze

niebezpieczeństwo, że kasjer do czegoś się przyczepi.

– Przemysleli wszystko.

– Właśnie. Jeszcze jedno. Szantażysta chce zasugerować to, w co pan już wierzy. Że jest kimś z wewnątrz, z pana otoczenia w filharmonii.

– To się chyba narzuca samo.

– Nie byłbym taki pewny. Kto ma dostęp do pomieszczeń, których pan używa w Warszawie?

– W filharmonii wszyscy.

– To znaczy, że i ktoś z zewnątrz może się tam przedostać. Na przykład pod pretekstem dostawy pizzy. Z kolei recepcja Bristolu jest pod monitoringiem, ale z góry powiem, że nikogo z pana znajomych na nim nie zobaczymy. Sprawca może przyjść na młodzieżowo, z głową zakrytą kapturem i w ciemnych okularach, albo poprosić osobę trzecią, niczego nieświadomą, aby grzecznościowo dostarczyła list do hotelu. Na przykład kelnerkę z pobliskiej kawiarni, za drobną opłatą, bo ktoś rzekomo bardzo się spieszy.

– Więc?

– Proszę wprowadzić mnie w sprawę zabójstwa Zofii. Chciałbym to wreszcie usłyszeć.

– Nie znalazłeś czasu, Roman, by odrobić lekcję?

– Wolę poznać sprawę z pierwszej ręki.

Wzdycha z miną, „dlaczego ja zawsze muszę wszystko robić sam”.

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku zamieszkałem ze świeżo poślubioną żoną przy ulicy Zielnej w Warszawie. Wynajęliśmy tam z Zosią niewielkie mieszkanie, bo mieściło się dosłownie pięć minut spacerem od Filharmonii Narodowej, gdzie szykowaliśmy światową premierę mojej *Wariacji symfonicznej jeden i pół*. Domyślałem się, że to panu wiele nie mówi, ale mój wcześniejszy debiut kompozytorski, *Etiudy symfoniczne żałobne*, był czymś w rodzaju sensacji na Warszawskiej Jesieni w osiemdziesiątym trzecim.

– No niestety.

– Miałem dwadzieścia trzy lata. Krytycy doszukiwali się w *Etiudach* powinowactw z Lutosławskim i Góreckim, zwłaszcza Niemcy i Francuzi. Rozumie pan, że musiało mnie to denerwować. Szczególnie ze względu na podobieństwo nazwisk. Dlatego w kilka miesięcy gruntownie przerobiłem i rozbudowałem swój utwór. Żeby udowodnić światu, że *Etiudy* nie były fuksem. A ja jako kompozytor

kroczyć własną drogą. Tak powstała *Wariacja*. I faktycznie, pomogła mi wypłynąć na szerokie wody.

– Miał pan talent – zgaduję.

– Nadal mam! Różnica jest taka, że wtedy byłem młody, głodny sukcesu, niecierpliwy. Gdy robiliśmy próby do prapremiery, w Polsce dopiero co skończył się stan wojenny. Represje, konspiracje, te rzeczy. I wydarzyła się tragedia. Straciłem Zosię. Wszystko mi się pokomplikowało. Na dłuższy czas.

– Wielu ludziom popieprzyło się wtedy życie.

– Wiem. Ale teraz mówimy o mnie, nie o innych.

– Proszę mi opowiedzieć o tym dniu.

– Sto razy opowiadałam... To był koniec lata, dokładnie czwartek dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, bardzo gorący dzień. Pracowaliśmy z orkiestrą i z dyrygentem, facetem z Francji, na okrągło. Od rana do nocy. Wszyscy jak w transie, a ja jeszcze wprowadzałem autorskie poprawki do partytury. Do dziś dużo poprawiam, gdy pierwszy raz słyszę wykonanie nowego utworu...

– I co się zdarzyło?

– Tamtego dnia próby też przeciągnęły się do późnego wieczora. Dotarłem do domu około dwudziestej drugiej. Znalazłem Zosię w naszej sypialni. Była... bez ubrania. Cała zalana krwią. Łóżko też we krwi. I ściana... I na podłodze... Miała pokrojone piersi i okropną ranę na gardle. Rozcięte od ucha do ucha, głęboko. Bielała kość... Wybiegłem na korytarz, krzyczałem. Ktoś wezwał policję, znaczy milicję. Resztę pamiętam jak przez mgłę. Wieźli mnie samochodem, wymiotowałem. Potem było przesłuchanie. Chyba dwie doby bez przerwy. Wmawiali mi, że ja to zrobiłem. Krzyczeli, że mam się przyznać.

– Bili pana?

– Prawie bez przerwy. Ale niewiele czułem. Jakby to nie mnie spotykało. A potem przestali bić i wypuścili mnie z pałacu Mostowskich.

– Co było dalej?

– Przewróciłem się na ulicy. Wpadłem w śpiączkę. Szok spowodował zapaść somatyczną. Dziś byśmy powiedzieli, że mój system nerwowy się rozsypał. Obudziłem się po dwóch miesiącach w szpitalu w Paryżu.

– Sprawca do dziś nie został ujęty ani ustalony. – Chcę mu pokazać, że coś niecoś jednak wiem o sprawie. – Prokuratura sprawdzała hipotezę, że to było

morderstwo polityczne, a wykonawca pomylił ofiarę. Ale nie potwierdziła się.

– Bzdura! Wojskowy prokurator pisał, co mu kazali. Ale opozycja ustaliła, że w tym samym budynku mieszkała inna młoda kobieta, która z ojcem pomagała ukrywać się działaczom Solidarności.

– Nie udało się ustalić, która ze służb miałyby to zrobić. Również po upadku komuny.

– Jasne. Generałowie i pułkownicy esbecji szczerze powiedzieli, że nie mieli z tym nic wspólnego. – Górski mówi z goryczą. – Wszyscy im uwierzyli i na tym skończyło się niezależne dochodzenie! Śmiechu warte. Tylko że mnie to nie bawi. Moja żona straciła życie. W okrutny sposób.

Odwraca głowę i wpatruje się w morze przed nami.

– Przepraszam za swoją reakcję, ale temat wciąż podnosi mi ciśnienie.

– Rozumiem.

– Nastąpiła niepodległa Polska i nic się nie zmieniło. Esbecka omerta nadal obowiązuje. Rozmawiałem chyba z trzema demokratycznymi premierami, a ministrów sprawiedliwości i spraw wewnętrznych to nawet nie zliczę. Kiwali głowami, współczuli, uruchamiali kolejne dochodzenia – i nic. Wyzaczyłem prywatną nagrodę, też bezskutecznie.

– I chce pan, żebym teraz ja się tym zajął? Tropy wystygły.

– Od ponad trzydziestu lat szukam zabójcy mojej żony. Zainwestowałem w to nie tylko mnóstwo pieniędzy, ale też energii psychicznej i swojego czasu, który jest bezcenny. Nie chcę już robić sobie nadziei. Nie tacy próbowali.

– Więc?

– Twoje zlecenie, Roman, obejmuje ustalenie, kto jest szantażystą. Tylko tyle. Dalej sobie poradzę z tym gówniarzem.

– Zakłada pan, że to młody mężczyzna?

– Niczego nie zakładam.

– No dobrze. Czy mogę, z czystej ciekawości, zapytać, jak pan trafił trzydzieści lat temu do Paryża?

– To cała historia, panie inspektorze, a krewetki już dochodzą na ruszcie. Czuje pan zapach? Nasz Aindrea przyprawia je najlepiej na całej wyspie! Resztą zajmiemy się wieczorem.

To jest największe pomieszczenie w willi, kwadratowy pokój z wysokim sufitem i dwoma oknami. Ściany pomalowano na biało, podłoga jest z kamiennych płyt. Na środku stoi czarny fortepian, nad którym na kablu z sufitu zwisa mikrofon. Na wieku leżą skrzypce. Reszta umeblowania stoi pod ścianami. To mała otomana, na której teraz spoczywa gospodarz, fotel i stolik typu jamnik zawalony zapisanymi kartkami nutowymi. Leżą też tam książki ułożone w stosy. Pod ścianą widzę jakieś urządzenie elektroniczne, chyba do nagrywania.

Chowam karki z pismem szantażysty do foliowej okładki.

– To jest dowód rzeczowy? Zakładasz, że usłużnie zostawił odciski palców i włos wpadł mu do koperty?

– Pewnie nie. Ale zawsze trzeba sprawdzać. Oczywiście po badaniach je zwrócę.

– Przygotowałem dla ciebie lekturę na wieczór. – Wskazuje palcem stolik. – Tu mam tylko podręczną bibliotekę, więcej jest we Wrocławiu. Ale na początek wystarczy.

– O czym będę czytał?

– O mnie. – Chichocze. – Dla ogólnej orientacji. Biografia i album wydany na ćwierćwiecze pracy artystycznej, po drugiej Grammy. Znajdziesz tam sporo wydarzeń. Może coś się przyda. Ta mniejsza książka, autobiografia, została faktycznie napisana przez zdolnego młodego dziennikarza. Zapomniałem nazwiska. O sprawie Zosi. Wydana już dawno, ale nic się od tamtego czasu nie zmieniło.

– Wolałbym rozmawiać... Oczywiście, albumy przejrzę. Ale jeszcze nie skończyliśmy.

– To może jutro? Bo, drogi detektywie, ja nocami pracuję. Właśnie nadchodzi moja pora. Mam terminowe zlecenia, nie mogę sobie pozwolić na przerwę w komponowaniu.

– Szkoda. Bo mam sporo pytań.

– Jutro – powtarza.

– Dobrze. A przy okazji: jak długo moi... podopieczni mogą zostać w tej willi,

proszę pana?

– Może nawzajem mówmy sobie po imieniu? Jestem Maks... Spieszycie się gdzieś?

– Nie mam z tym problemu, ale dziękuję. Czy się spieszymy? Oni nie, ale ja muszę wracać do Warszawy. Najpóźniej pojutrze.

– To za karę polecisz rejsem liniowym... My wylatujemy za cztery dni do Portugalii. A stamtąd do Polski na ostatnie próby. Ale twój brat z dziewczynami mogą zostać, zarządca się nimi zaopiekuje. *No problemo*. Niczego im nie będzie brakowało.

– W jaki sposób wrócą do Polski?

– Jest jakiś termin?

– Trudno określić precyzyjnie.

– Więc zobaczymy, jak się sprawy ułożą. Dąbrowski, mój sekretarz, też pilotuje kinga. Więc albo on ich zawiezie do Warszawy, albo ja, wracając. Trzecia możliwość jest taka, że Dąbrowa wsadzi wszystkich do samolotu w Atenach. Tylko dajcie mu sygnał wcześniej. Zorganizuje bilety i całą resztę. Pamiętaj, żeby wziąć numer jego komórki. Ze mną też najłatwiej się kontaktować za jego pośrednictwem. Rzadko sam odbieram telefon. Nawet nie noszę przy sobie.

– Jestem ci cholernie zobowiązany.

– Inaczej nie zrobiłbyś nic dla mnie, Roman. Korzyść jest obustronna. Poza tym ta dziewczynka jest urocza. Jej mama zresztą też.

Delikatnie nie wspomina o Wiciu. Mój brat tak się wczoraj urżnął tutejszą rakiją, że musiałem go zawlec do ich domku i wrzucić na tapczan. Na szczęście okazało się, że mają tam osobne miejsca do spania.

Dzień piąty

Piątek, 6 stycznia 2017

Godz. 9.41 Wlikos, wyspa Hydra

Wieczorem przez chwilę przeglądałem te albumy.

Potem zasnąłem od razu, mimo wczesnej pory. Chyba nawet mi się śnił nasz pan Maksymilian Błażej. Ale budzę się późno – jak na mnie. Nie czuję się wypoczęty. Pewnie po prostu schodzi ze mnie napięcie niczym na wakacjach. Organizm upomina się o swoje. Zmaltretowanym gnatom przydałby się prawdziwy urlop.

Nie przypuszczałem, jaką szyszką jest mój klient. To autor symfonii, oper, muzyki filmowej, „jeden z gigantów,” jak piszą, „muzyki współczesnej”. Świat składa mu hołdy, lista nagród i honorów zajmuje całe strony. Są wśród nich dwie nagrody Grammy, która to nazwa tylko obija mi się o uszy, za muzykę chóralną, dwie nominacje i jeden przyznany Oscar, o którym coś tam wiem, za filmową. Album pokazuje światowe życie Mr. Max B. Gorski: koncerty w ociekających złotem pałacowych salonach, wizyty z Angeliną i Bradem w obozach dla uchodźców, przyjmowanie honorów od królowej angielskiej i różnych szefów rządów. Osobna sekcja pokazuje, jak brata się z gwiazdami Hollywood na jachtach wielkich jak tankowce. Nie zalewał też z Harrisonem Fordem, Han Solo i kompozytor pozują ramię w ramię przy znanym mi już samolocie.

Trafił mi się klient celebryta.

Rano zabieram się do książek. Niewiele w nich informacji o pierwszej żonie. Była, zmarła tragicznie, wdowiec nieutulony w żalu, koniec. Również ta napisana przez „zdolnego dziennikarza” traktuje głównie o mężu: wybitny młody twórca przypadkiem wpadł w mordercze tryby polityki. Kara śmierci miała spotkać kobietę, która pomagała ukrywać się jednej z legend podziemnej Solidarności – tylko siepacz pomylił piętra. Mąż ofiary pod wpływem wstrząsu ciężko zapadł na zdrowiu. Uratował go słynny paryski dyrygent. To on miał prowadzić orkiestrę w trakcie prawykonania *Wariacji symfonicznej jeden i pół* w Filharmonii Narodowej, zaprzyjaźnił się z Górkim i jego żoną. Francuz osobiście wyjednał u generała Jaruzelskiego zgodę na wywiezienie chorego twórcy na leczenie we Francji. Potem odegrał istotną rolę we wczesnej fazie jego kariery na Zachodzie, otworzył przed nim wiele ważnych drzwi i pomógł zdobywać pierwsze zamówienia od bogatych filharmonii i kupieckich miast Holandii i Niemiec.

Ubieram się i wychodzę z domku. Ranek jest pochmurny, wieje. Na wierzchołkach fal pojawia się piana. Maszeruję dziarsko kamienistą ścieżką do głównej willi. W kuchni zastaję kucharza Aindree. Mówi tylko po grecku i trochę po angielsku, ale jakoś dochodzimy do porozumienia, że napiłbym się kawy i wziął coś na ząb.

Kończę talerz jajecznicy z serem, pieczonymi pomidorami i jakimś zielskiem, które wygląda jak przydrożne, gdy zjawia się sekretarz Górskiego, a chwilę po nim pani żona. Krystyna Elżbieta Górską jest z piętnaście lat młodsza od męża. Efektowna uroda, kobiece kształty, burza złotych włosów – właśnie kogoś takiego spodziewasz się u boku bogatego mężczyzny. Jednak nie tylko u boku. Jest w tej kobiecie coś władczego. Na taki rys osobowości ludzie reagują albo usilną grzecznością, albo niechęcią. Bez słowa siedzi przy stole wyprostowana jak królowa, popijając małymi łykami szklanek mleka.

– Jak minęła noc? – pyta nagle, odstawiając pustą szklankę i wbijając we mnie jasnoniebieskie oczy.

Mimo wczesnej pory już są obwiedzione delikatnym makijażem. Niektóre kobiety chyba robią te rzeczy przed porannym siusiu.

– Spokojnie. Nikt do nas nie strzelał.

– Mąż wspominał. Ciekawą ma pan pracę. Ale pytałam o odpoczynek. Hydra słynie z tego, że tu się rewelacyjnie sypia.

– Potwierdzam. Państwo spędzają tu dużo czasu?

– Mniej, niż byśmy chcieli. Mąż większą część roku jest w rozjazdach, a lubi też wypoczywać w górach. Mamy jeszcze dom w Szwajcarii.

– To gdzie państwo... mieszkają?

– W Polsce oczywiście.

– A gdzie dokładnie, jeśli wolno zapytać?

– We Wrocławiu.

– Dlaczego akurat tam?

– Bo blisko Niemiec i Szwajcarii. Mąż jest od dwudziestu lat blisko związany z Münchner Philharmoniker. Z nią głównie nagrywa. Monachium to stolica muzyczna Europy, ma cztery orkiestry symfoniczne na światowym poziomie. Jeśli zaspokoiliłam pańską ciekawość, panie...

Przerywa, bym podpowiedział jej swoje nazwisko. A ja bym przysięgł, że je pamięta.

– Medyna, Roman.

– Panie Medyna... Teraz chciałabym usłyszeć, co pan jako detektyw robi dla mojego męża. Na czym polega pańskie zadanie.

– Na razie nic nie robię. Rozmawiamy trochę.

– O czym?

– O różnych sprawach.

– Chcę wiedzieć, Medyna. – W jej głosie pojawia się twardy ton. – Jestem jego żoną.

– Nie wątpię, proszę pani.

– Więc? – Brzmi to tak, jakbym był koniem, a ona uderzała mnie trzcinką.

– To Maks jest klientem – mówię spokojnie i uśmiecham się ciepło.

Różowieje, jej źrenice zwężają się jak u rozwścieczonego kota. Jednak opanowuje się, zagryza wargi.

– Nie musi mi pan tego przypominać.

– Takie są zasady. Przepraszam, jeśli poczuła się pani urażona.

– Nie poczułam się. Chcę tylko pomóc.

– Radzimy sobie.

Kobieta wstaje z krzesła, okrąża stół i siada obok mnie. Kładzie wypielegnowaną dłoń na mojej, jak dziewczyna mówiąca chłopakowi na randce, że chce tylko się przyjaźnić.

– Romanie, proszę mnie posłuchać. Mój mąż jest cudownym człowiekiem, ale ma pewną... idée fixe. Obsesję, która dotyczy tragedii z przeszłości. Ta obsesja go niszczy. Wciąż szuka mordercy pierwszej żony. Sprawa jest zupełnie beznadziejna, do tego nawet doszło, że ktoś z tej rodziny wydaje o nim paszkwilanckie książki. Maks nie potrafi się od tego uwolnić. Traci energię niezbędną do pracy twórczej. Jako jego obecna partnerka chronię go i będę to robić. Takie są moje zasady. Chcę z panem współpracować. Dlatego proszę o informacje. Nie pożałuje pan.

– Rozumiem całkowicie. Tylko że ja nigdy niczego nie żałuję. Takie są moje zasady.

– Proszę się dobrze zastanowić.

Zapada cisza. Kobieta cofa rękę.

– Przed kim go pani chroni? – pytam cicho.

– Przed ludźmi bez skrupułów, którzy wykorzystują Maksymiliana dla własnych korzyści – odpowiada szybko, jakby oddawała cios.

– To również mój cel. Chronić jego interesy.

– Nie wątpię! – Ironicznie krzywi usta – Niejeden tak zwany detektyw wyciągał z niego pieniądze, ale jeszcze żaden nie zjechał tu z rodziną.

– O której Maks wstaje? Proponuję spotkać się we trójkę i wyjaśnić nasze sprawy.

Krystyna Elżbieta Górską podnosi się z krzesła i bez słowa, prosta jak struna wychodzi z kuchni. W drzwiach zatrzymuje się jednak i blond głowa odwraca się w moją stronę.

– Coś panu podpowiem, panie Medyna. Mąż jest człowiekiem bezpośrednim, jednak zdecydowanie woli, żeby znajomi, zwłaszcza ci świeżej daty, nie zdrabniali jego imienia. Maksymilian budzi się po ciężkiej pracy około południa. Ale przed lunchem na pana miejscu bym go nie nachodziła. Jeśli oczywiście wolno mi radzić. Bo pan przecież wie najlepiej.

Sekretarz Tadeusz Dąbrowski, nazywany przez szefa Dąbrową, czeka, aż kobieta wyjdzie, potem przewraca oczami. Ma minę, jakby mi współczuł.

Chyba nie zazdrozczę mu roboty przy tej rodzinie.

Godz. 10.23

Na ekranie komórki wyświetla się słowo GIWERA. Pauzuję z palcem na zielonym guziku: mimo że to ona dzwoni, koszt roamingu spada też na mnie. Mieli znieść te opłaty, ale nie pamiętam kiedy. Naciskam guzik.

– Jestem chwilowo w Grecji – mówię szybko, chowając się za skałę, by szum wiatru nie utrudniał rozmowy. – Zadzwoń, jak tylko wrócę do Warszawy, pani prezes.

– Zazdroścę. Jaka tam jest temperatura? – Wiceprezeska zrzeczenia banków pyta rozmarzonym głosem.

– Zimno i piżdzi wiatr. Nasze sprawy puściłem w ruch. Może niedługo coś będę wiedział. Się zdzwonimy, dobrze?

– Nie przykładasz się, tak jak policja.

– Jeszcze nie widziałem umowy.

– Musi przejść przez zarząd, panie detektywie. Pracuję nad tematem. Będziesz zadowolony.

– Lubię być zadowolony.

– Ja też, Roman. To kiedy zaczniesz mnie podrywać?

– Nie myślałem o tym.

– To pomyśl. Mam fajne cycki. I w ogóle jestem fajna.

– Pomyślę – mówię i naciskam czerwony guzik na ekranie komórki.

Godz. 12.18

Witek wciąż śpi, mój zleceniodawca też. Renka z Alicją poszły pieszo do miasta, by zwiedzać i jeździć na osiołkach. W tej sytuacji postanawiam trochę poćwiczyć, potem wykąpać się w Morzu Egejskim i wyciągnąć na plaży. Taki ambitny jestem.

Biegać nad samym morzem tu się nie da, po jakichś stu metrach piasek się kończy, a zaczynają skały. Na górze brzeg skarpy jest obsadzony ozdobnymi krzewami, dalej na kamienistym wierzchu wyspy tylko z rzadka rosną kępy trawy i suche kolczaste krzaki. Nad samą wodą jedynie parasole zapewniają ochronę przed słońcem. Dziś nie jest konieczna.

Przez pół godziny wykonuję na piasku na przemian serie przysiadów i pompek, na jednej i dwóch rękach, tak zwanego planki, czyli wyprost z podparciem na łokciach, sztywno jak deska, do tego ćwiczenia rozciągające. Gdy zbiera się dwieście pompek i w sumie dziesięć minut planki, ostrożnie wchodzę do morza. Rzeczywiście jest zimne. Na dodatek pełno tu jeżowców, wyglądają jak czarne kulki z długimi kolcami. Teraz rozumiem, dlaczego w pokoju na półce przy drzwiach jest para plastikowych sandałów o twardych podeszwach. Wypływam spory kawałek od brzegu. Po powrocie kładę się na brzuchu na ręczniku i gapię na morze. Wiatr szybko suszy skórę, zza chmur wychodzi słońce i zaczyna bardzo przyjemnie grzać. Robię się senny.

Nie wiem, na jak długo przysnąłem – może na minutę, może na dwie. Budzi mnie huk i drzenie piasku. Coś z ogłuszającym łoskotem stacza się z góry, jakby prosto na moją głowę. Zrywam się na kolana. Kamienny głaz wielkości biurka miażdży w locie najbliższy parasol i ląduje ciężko w piachu kilka metrów ode mnie. Aż zadudniło.

Po skarpie wciąż stacza się lawina drobniejszych kamieni. Odskakuję, żeby mnie nie trafiły, i biegnę kilkadziesiąt metrów do drewnianych schodów, które prowadzą do willi na górę. Gdy zdyszany docieram na szczyt skarpy, oczywiście w polu widzenia nikogo nie ma.

Teoretycznie głaz mógł oderwać się od skalnej ściany samoistnie. Grawitacja tak działa, skały kruszeją. Jednak nie bardzo wierzę w naturalne wyjaśnienie incydentu. Zwłaszcza gdy po chwili poszukiwań udaje mi się wypatrzeć porzucony

w krzakach metalowy łom. Jest długi na jakieś dwa metry, solidnej grubości. Ważę go w ręce. Ktoś niezyczliwy a krzepki może takim narzędziem obluzować kawał skały i zepchnąć w dół.

Czy jednak da się w ten sposób precyzyjnie trafić kogoś leżącego na plaży – w to wątpię. Raczej ktoś chciał mi dać do zrozumienia, że nie jestem tu mile widziany. Albo że nie lubi konkurencji.

Raczej chodziło o ostrzeżenie, nie o zabójstwo. W tych sprawach mam odrobinę doświadczenia. Nie oszukujmy się, w wielu osobach nie wzbudzam sympatii. Ostatnio dołączyła do nich moja własna żona.

Godz. 14.17

– Nie potrafię wyobrazić sobie bardziej oddanej kobiety niż Krystyna. – Maksymilian Górski przełyka porcję makaronu z morskim robactwem i pomidorami. Popija czerwonym winem i kontynuuje przyciszonym głosem. – Jest żoną i jednocześnie moją agentką. Zna cztery języki i dosłownie cały świat muzyczny je jej z ręki. Prowadzi sprawy kontraktów, koncertów, praw autorskich, rozliczeń. Bez niej bym zginął z kretelem. Dzięki niej mam przestrzeń w życiu, by tworzyć. Mogę powiedzieć, że jest dla mnie wybawieniem. Ale jednocześnie... – Pochyla się nad talerzem, by nabrać na widelec kolejną porcję makaronu. – Jednocześnie Krystyna jest zaborcza. Powiedziałbym nawet, apodyktyczna. Próbuje rządzić. Dyktować, co mam robić i z kim. Albo czego nie robić. Jak ci smakują frutti di mare naszego Aindrei? Arcydzieło, nie sądzisz?

Siedzimy w tym samym miejscu co wczoraj, w pewnej odległości od reszty. Już wiem, że wzbudza to emocje wśród dworu Górskiego. Ci ludzie bezustannie rywalizują o jego względy.

– Podsumowując – gospodarz unosi kieliszek, stukamy się szkłem – ustalenia, jakie robimy między sobą, ty i ja, stoją. Bez względu na to, czy to się Krystynie podoba bardzo, czy tylko średnio. Rozumiesz, Roman? Masz umowę ze mną, nie z nią.

– Wolałem się upewnić.

– Doceniam, że po prostu spytałeś. I nie martw się o tych twoich. Cała trójka jest moimi gośćmi. Zostają tu tak długo, jak trzeba. Niczego im nie będzie brakowało i nie usłyszą od nikogo w domu marnego słowa. Obiecuję ci to.

– Dzięki.

– Ty naprawdę chcesz już wyjeżdżać, detektywie?

– Dla mnie to nie jest czas wakacji. Mam zlecenia, muszę się wywiązywać z umów z ludźmi. Ale, skoro tak się ładnie dogadujemy, może byśmy dopięli jeszcze kwestię mojego kontraktu?

– Chcesz coś podpisywać? – Aż sztywnieje. – Moje słowo ci nie wystarczy?

– Uścisk dłoni tak, jeśli idzie o finanse. Ale pisemne pełnomocnictwo zwykle się przydaje. Że wynająłeś mnie jako detektywa, bym zajął się taką a taką sprawą.

Można napisać dosyć ogólnie.

- Wolałbym, żebyśmy obyli się bez papierków.
- Wtedy liczę drożej.
- Czyli ile? Za zidentyfikowanie tego typu, co podrzuca mi kartki.
- Pięć tysięcy złotych. I jakieś większe koszty, jeśli będą.
- Tylko tyle?

Sprawia wrażenie rozczarowanego. Okazałem się podejrzanie tani.

– Normalnie policzyłbym ci dwadzieścia do trzydziestu za tego typu sprawę – wyjaśniam. – Ale ty też robisz coś dla mnie. Biorę to pod uwagę.

- Dam ci dziesięć. I te koszty.
- Czemu?
- Chcę, żeby się przykładał.

Chyba ma złe doświadczenia z tanimi współpracownikami. Trzeba spróbować poprawić pierwsze wrażenie.

– Nie martw się o to, Maks. Złapiemy szantażystę prawie na sto procent. Ale gdyby udało mi się przy okazji ustalić, kto zamordował Zofię Górską, to zapłacisz mi ekstra. Tu już mówię o prawdziwych pieniądzach.

Mierzy mnie wzrokiem zaintrygowany.

- Może tak się zdarzyć?
 - Bywało.
 - Ile w tym wypadku?
 - A ile ty bierzesz za swoją pracę? Za taką... symfonię, na przykład?
 - Na zlecenie? Różnie. Od kilkudziesięciu do kilkuset tysięcy. Euro oczywiście.
 - Pół miliona na przykład?
 - Zdarza się.
 - To ja chcę pięćdziesiąt tysięcy – mówię. – Znam swoje miejsce w szeregu.
- Kręci głową, chyba jest rozbawiony tymi negocjacjami.
- Stoi.
 - Mówię o euro.

– Zgoda. Pięćdziesiąt tysięcy. Na legalną umowę. Wtedy podpisujemy. Ale tylko gdy komuś to udowodnisz. Inaczej ani grosza.

– Rozumie się samo przez się.

Nalewa nam obu wina z karafki.

– Szczerze? Nie sądzę, żebyś zarobił te pieniądze, Roman. Absolutnie w to nie wierzę. Ale... gdyby ci się udało, jakaż rozkoszna to by była niespodzianka! Więc wracaj do Warszawy i bierz się do roboty.

– Jak wracam?

Gospodarz rozkłada ręce.

– Tadeusz by poleciał z tobą kingiem, ale Krystyna musi być w Hiszpanii na negocjacjach jutro w południe. Miasto Sewilla zamawia u mnie operę o Herkulesie, według legendy był jego założycielem. Libretto pisze ich najsłynniejszy żyjący poeta. To jest wielkie zamówienie, skomplikowany kontrakt. Środek transportu jest zajęty. Ale pojutrze...

– Dziś. Polecę czymkolwiek. Muszę jutro być w Warszawie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Nie mam. W takim razie Tadeusz zaraz kupuje bilety. A za parę dni osobiście wprowadzę cię do naszej świątyni muzyki, żebyś mógł poszukać ukrytego węża... Nie chcesz dokładki makaronu?

Wymawiam się, że walczę z nadwagą. Ale tak szczerze to chyba jednak nie przepadam za grecką kuchnią. Nie zamieniłbym naszego Długiego Arka na tego Greka. Nawet tu, na wyspie, jakoś nie do końca zachwycają mnie te ich sosy i zapachy.

Godz. 22.00
Port Lotniczy im. Chopina
Warszawa Okęcie

Mam w komórce informacje z sekretariatu Giwery o oddziałach banków rolnych, w tym okradzionych. Daty, adresy, nazwiska kierowników i tak dalej. Jednak w drodze powrotnej z wyspy nie mogłem się na tym skupić. Zrobiło mi się żal tych greckich wakacji: ciemnoturkusowe morze pachniało solą i wodorostami, chmury biegały po niebie, a słońce na przemian chowało się za nie i oświetlało pokład wodolotu. Zazdrościłem bratu, że zostanie dłużej w tym raj. Wystarczy być w życiu nieodpowiedzialnym gagatkiem, cholera, by los uśmiechał się do ciebie raz za razem.

W lecącym na północ samolocie z kolei rozmyślałem o Górskim, jego obu żonach i o forsie, którą mógłbym wyjąć z historycznej części zlecenia. Zadanie nie wydaje się zupełnie niewykonalne, chociaż oczywiście to daleki strzał. Ale szantażystę dam mu na widelcu, bez wątpliwości. Takich operatorów łapię rutynowo.

Gdy włączam komórkę w hali przylotów na lotnisku Chopina w Warszawie, pokazuje się kilka nieodebranych połączeń i od groma wiadomości. Na szczycie listy jest wiadomość od Alicji – ale nie od tej miłutkiej dziewczynki, która została w Grecji. Ta jest od dużej, wiecznie niezadowolonej Alicji, z którą rozwiodłem się sporo lat temu. Kiedy moja pierwsza żona szuka ze mną kontaktu, nie jest dobrze.

A obecna, niestety, kontaktu ze mną nie szuka. Sprawdzam wiadomości dwa razy, niczego od Bałki.

Za to wiadomość zostawił były aspirant Daniel. Do niego oddzwaniam najpierw. Chłopak raportuje, że Sokołowicz wozi się po mieście bordowym porsche panamera z obstawą w czarnym bmw X5. Odżywia się głównie stekami, choć raz był wieczorem w Elefancie przy placu Bankowym, gdzie zdaje się dają różne morskie paskudztwa. Na lunch wyrusza około dwunastej w południe, na kolację o dziewiętnastej. Wtedy też kończy pracowity dzień, bo z knajpy zawożą go prosto do domu. Mieszka na Żoliborzu, gdzieś w okolicy placu Słonecznego. Mój współpracownik inteligentnie nie jechał za nimi do końca. Na osiedlowych uliczkach ochrona mogłaby dostrzec ogon. Dokładny adres zamieszkania da się

ustalić w mniej ryzykowny sposób.

– Dobra robota, Daniel. No to celujemy na jutro wieczór. Wystawisz mi pana prezesa, gdy będzie spożywał swój kawał krowy.

– Jak szef każe, tak się stanie.

Zaczynam go lubić. Z tego chłopaka będą ludzie.

Godz. 22.38
Lotnisko Warszawa Babice
Bemowo, ul. gen. Sylwestra Kaliskiego 57

Jednak nie wytrzymałem. Zadzwoiłem do Alicji. Gdy już przedostałem się dychawiczną taksówką na lotnisko, z którego wylecieliśmy dwa dni temu, gdy wykupiłem swoje bmw z parkingu i wreszcie ruszyłem na ostatni odcinek podróży do mojego blaszaka, pomyślałem, że wolę mieć z głowy pierwszą byłą. Czegokolwiek ode mnie chce.

Wkładam słuchawki telefoniczne do uszu, wybieram numer. Długo gapię się w śnieg z deszczem zacinający w świetle latarni, nasłuchuję, jak miniaturowe głośniczki bezskutecznie powtarzają sygnał wywołania.

No tak, nie pomyślałem. O tej porze Alicja już śpi – jak ją znam, po kilku piwach albo flaszcze taniej wódki.

Dzień szósty

Sobota, 7 stycznia 2017

Godz. 10.15
Pensjonat Urokliwa Skarpa
gmina Sieńki, ul. Żagłowa 7

Na dworze nadal lodowata plucha, ale zajęcia Orła Białego w szkółce piłkarskiej odbywają się w hali szkoły w Legionowie, więc stawiam się punktualnie w pensjonacie odebrać młodego. Matka zapisała go na te zajęcia, a ja się zobowiązałem go wozić co sobota, kiedy tylko będę mógł. Na razie nie opuściłem ani jednego treningu.

– Nie mogę patrzeć, jak tyś się oszpecił – rzuca Baśka z potępieniem w głosie. Patrzy, jak szykujemy się do wyjścia: Orzeł pracowicie sznurowuje buty, ja stoję z jego wielką torbą sportową na ramieniu. – Straszysz ludzi, Roman.

– Dzięki temu zostawiają mnie w spokoju – wyjaśniam i puszczam do niej oko.

Kiedy byliśmy razem, wciąż narzekała, że wdaję się w bójki.

– Nasi klienci nerwowo reagują na twój widok. – Zaciska usta.

– Rzadko pojawiaam się w pensjonacie.

– Twój wybór.

– Jak to mój?!

– Nie będę ci tłumaczyła przy dziecku – ucina Baśka, jakby to nie ona zaczęła robić scenę.

Chyba znów ją nosi. Otwieram usta, by powiedzieć coś ugodowego, gdy dostrzegam nowy wisiołek na jej szyi. I tej zielonej sukienki też przedtem nie widziałem. Padlina tak ją obkupuje?

Aż mnie dusi, jakby ktoś zaciskał mi na szyi żelazną obręcz. Ale wybieram milczenie. Nasz syn kończy się ubierać. Odwracam się i macham jego matce na pożegnanie.

– No to cześć, pani... eks.

Niezgrabnie to mi wychodzi. Baśka przygląda mi się z ironicznym uśmiechem.

Godz. 11.09
Liceum Ogólnokształcące nr 4
im. Żołnierzy Wyklętych
Legionowo, ul. kard. Hłonda 8

– Dziękuję, że odebrałeś, Romek. – Z komórki dobiega głos Alicji. – Żle nas ostatnio traktujesz.

– Myślałem, że może wycofujesz tę głupią apelację. Bo zrozumiałaś, że twój pozew o odszkodowanie nie ma sensu.

– Zostałam okaleczona.

– Nie moja wina, że Ruska obcięła ci palec. Ja wtedy o mało nie straciłem życia. Wy z Romą też żyjecie dzięki mojej żonie. Gdyby nie Baśka, wszyscy już dawno bylibyśmy w piachu. Czy ty, kobieto, naprawdę nie potrafisz zrozumieć takiej prostej rzeczy?!

– Nie nakręcaj się – mówi Alicja. – Ja w innej sprawie dzwonię.

– W tej co zwykle? O kasę chodzi? Musisz sama rozwiązywać swoje problemy.

Poprawiam pozycję na ławce ustawionej wzdłuż ściany sali gimnastycznej. Jest tu chłodno, ale chłopcy już biegają z krzykiem za piłką. Rodzice, zwłaszcza tatusiowie, głośno im kibicują, chociaż trener nam tego zabrania.

– Mylisz się. – Słyszę westchnienie Alicji. – To coś, co ci się spodoba. Dzwonili do mnie z telewizji. Szykują program przeciwko tobie. Chcą, żebym im opowiedziała, jak jako policjant żyłeś z piętnastolatką i złamałeś prawo o jej obowiązku szkolnym.

– Pogięło cię?

– Ja miałam piętnaście lat, gdy zamieszkałam z tobą, Roman. I nie chodziłam wtedy do szkoły, pamiętasz?

– Zwariowałaś? To ty tak zdecydowałaś – szepczę z rozpaczą do aparatu. – Nawet słyszeć nie chciałaś o szkole.

Ten świat robi się coraz bardziej porąbany. Każdego można dopaść, każdemu coś zarzucić, a wymiar sprawiedliwości z pełnym ceremoniałem powiesi cię za jaja. Chyba że jesteś politykiem albo księdzem: wtedy umorzą wszystko, cokolwiek zmalujesz.

– Byłam niepełnoletnia – słyszę.

– I uparta.

– Oferują mi dwadzieścia tysięcy, jeśli opowiem im o tym do kamery. Jak dla mnie to dużo pieniędzy, Romek. I w końcu taka jest prawda.

Obracam w głowie złe myśli.

– Więc czego chcesz?

– Ja też mam swoje kłopoty. Pomyślałam, że może ty sam byś wolał mi pomóc. Oglądam telewizję, wiem, że cię stać. Jutro niedziela, przyjedź do mnie, wypijemy herbatę. Tylko nie przynoś żadnego alkoholu.

– Nie zamierzałem.

– Bo wiesz, ja już nie piję.

– Cały jeden dzień czy krócej?

– Przyjdziesz, przekonasz się. Załatwimy sprawę na spokojnie.

Dzień siódmy

Niedziela, 8 stycznia 2017

Godz. 10.15
Aquapark hotelu Mazowszanka
gmina Sieńki, 6 km od Rocka

W naszym ulubionym jacuzzi woda dziś jest gorąca aż miło, grzejemy się z Jezierskim jak dwa miśki i zniechęcamy innych użytkowników aquaparku, którym też marzy się bąblująca kipiela. Przy naszym wyglądzie zniechęcanie przychodzi łatwo: jedno ponure spojrzenie i zmywają się bez dyskusji. Tylko dzieciakom pozwalamy wchodzić do jacuzzi, i tak nie wytrzymują długo w tym wrzątku.

Misiek jest dziś wyraźnie nie w sosie, jego Junior też jakiś osowiały. Starszy nie chce mówić, w czym rzecz, ale na koniec nie wytrzymuje.

– Matka Juniora dała w długą – wyrzuca z siebie, gdy chłopcy odbiegają na zjeżdżalnię.

– Jak to? Twoja Swieta?

– Znikła z domu. Zabrała szczoteczkę do zębów z łazienki i kartkę zostawiła na stole, żebym jej nie szukał. Sama się odezwie. To było dwa tygodnie temu.

– Odjechała jej?

– Sekswerkerki nie nadają się do normalnego życia, men. Prawda jest taka, że babom taki zawód pasi. Raz posmakują tej roboty i są stracone dla rodziny.

– Wszystkie tak mają?

– Nie wiem, czy wszystkie. Jego matka na pewno.

– Ty nie chciałeś się z nią żenić, z tą Swietą?

– Nawet tak. A co? Ładna, umiała się przymilić. A tyłkiem kręci, jak tylko Ruskie potrafią. Wycofałem ją z bajzla, trzymałem dla siebie. Potem zamieszkaliśmy razem. Mówiła, że zawsze marzyła, by mieć normalny dom, i będzie mnie kochała do śmierci. Cieszyłem się jak głupi. Jak zaszła w ciążę, to zamknąłem burdel i świętowaliśmy początek Juniora z wszystkimi całą noc.

– To co poszło źle?

– Swieta ma rodzinę w Rosji, w małej dziurze pod Moskwą. Odwiedzała ją regularnie i dawała jej kasę. Widzisz, men, ona oficjalnie pracowała w Polsce jako

kelnerka. Dziwki zawsze tak mówią, że kelnerka albo w sklepie. Czy rodziny w to wierzą, nie ma znaczenia. Dla nich najważniejsze było, że baby przywożą kasę z Polszy. A Swieta, odkąd była ze mną, to kasę przestała przywozić.

– Nie mogłeś jej dawać?

– Dawałem. Po sto dolców na każdy wyjazd.

– To w Rosji kupa szmalu – zauważam.

– Już dawno nie. Skurwiele byli przyzwyczajeni, że przywozi więcej. Po tysiu nawet. Zaczęły się niesnaski Swiety z rodzicami i braćmi. Od tego poszły awantury między nami. Nie widziałem powodów, żeby jeszcze jej rodzinę finansować. A Swieta na to, że w takim razie będzie dorabiała w Klubie Dżentelmena. Na te wyjazdy. Oczywiście się nie zgodziłem.

– Czemu?

– Jak to czemu? Jest matką mojego syna, do kurwy nędzy!

– Aha.

– Coraz gorzej się działo między nami – ciągnie Misiek. – Myślałem, że jej przejdzie, ale nie przeszło. Aż pod koniec grudnia zniknęła. Zostawiła kartkę.

– Mówiłeś. Będziesz jej szukał?

– Co to da? – Wzrusza potężnymi ramionami. – Pewnie znalazła sobie alfonsa i znów pracuje, w Rosji albo gdzieś u Niemiaszków, albo we Włoszech. Gdyby chodziło o zwykłą kurwę, tobym nie pozwolił się wydymać, wydrapałbym ją pazurami spod ziemi. Ale tak? Nie wymusisz na kobiecie uczuć, nawet macierzyńskich.

– Mogłeś spróbować.

– Bez sensu. – Macha kolosalną łapą. – Tylko małego mi żal. Płacze za mamą.

– A mój za ojcem. Czasem jest taki smutny, jak wychodzę od nich, że serce się kraje.

– I też nic nie zrobiłeś. Temu, co ci żonę zbałamucił. – Gangster rzuca mi oskarżycielskie spojrzenie.

– Skąd wiesz?

– Huczy w mieście.

– Skąd wiesz, że nic nie zrobiłem?

Opowiadam mu o swojej wizycie w salonie win Padliny, Misiek nie może uwierzyć, że mogłem zachować się tak głupio.

– Zryło ci beret, men? – Kręci głową. – Dajesz gnojowi szansę, żeby cię ciągał po sądach? Czemu, do kurwy nędzy, sam robisz takie rzeczy?

– Poniosło mnie.

– Wszystkich czasem nosi, ale rozum trzeba mieć. Chcesz, to się tym zajmę. Załatwimy sprawę twoich rogów elegancko.

– Idź się walić.

– I po kosztach! Odpalisz parę paczek moim chłopakom i już. Wezmą bejsbol, złamię mu tu i tam, ogarną sklep. Tylko muszę mieć ekstra tysia, żeby popsuły się kamery na ulicy. Ty w tym czasie będziesz siedział gdzieś na widoku, najlepiej w Warszawie, i ciągnął drinka przez słomkę. Proste jak włos Mongoła!

– Może dla ciebie.

– Men, tak się prawidłowo załatwia sprawę sercową! – entuzjazmuje się gangster. – Zapewniam, że pojeb nie zbliży się więcej do twojej komisarz, a wina będzie dostarczał za darmo. Ful serwis, jeszcze zarobisz. To jak, decydujesz się kupić usługę?

– Pomyślę, Misiek. Dzięki za troskę.

– Czemu się pienisz... Bo wspomniałem o rogach?

– Kurwa, skończ z tym wreszcie!

Chowam się z głową pod wodę. Gdy się wynurzam, Misiek zaczyna opowiadać, jak dla Jezierskiego juniora zaczął dbać o siebie: zamówił dietę pudełkową i nawet wstawił orbitrek do domu. Planuje pedałowac na nim co najmniej godzinę dziennie.

Godz. 18.07
Warszawa, ul. Grzybowska 5

Alicja otwiera mi ubrana w granatową sukienkę. Uczesała się i umalowała oczy, mieszkanie też wysprzątała. Myślałem, że szykuje się na randkę z kimś, ale nie. To na moją cześć.

– Nie układa ci się z żoną. Słyszałam, że nie masz gdzie mieszkać – mówi z troską i wskazuje mi fotel, jedyny w kuchnio-jadalni, która w klitce bloku Za Żelazną Bramą służy też za salonik. Fotel jest wytarty i poplamiony, więc Alicja przykryła go kilimkiem.

Moja była ma dopiero trzydzieści siedem lat, ale wygląda na połowę więcej. Jest chuda jak szczapa, papierosy i alkohol wysysają z niej urodę, a blond włosy mają siwe odrosty. Płaca minimalna, jaką dostaje w supermarkecie przy placu Grzybowskim, nie pozwala na zbyt częste kupowanie farby do włosów.

Zainwestowała jednak w masywne drzwi wejściowe z dodatkowymi zasuwami i potężnym łańcuchem. Dwa lata temu ktoś w tym mieszkaniu urządził na mnie zasadzkę i oboje doznaliśmy trwałego uszczerbku na zdrowiu. Ja straciłem kolano, ona palec. Gdyby nie Baśka, która dosłownie w ostatniej sekundzie stanęła w drzwiach i oddała trzy strzały z glocka, w tym jeden celny, teraz nie byłoby rozmowy.

– Roma u siebie w pokoju? – pytam, ostrożnie opuszczając się na kilimek. Kiedy tu bywałem częściej, dawna pasierbica też nie zaszczycła mnie swoją obecnością.

– Wyszła. – Alicja nerwowo poprawia włosy dłonią, w której brakuje połowy środkowego palca.

– To gdzie jest?

– Nie wiem – przyznaje i zapala papierosa.

– Pozwalasz jej tak wychodzić bez opowiadania się?

– Skończyła dwadzieścia lat.

– To po co kombinowałaś z ubezwłasnowolnieniem? Jest upośledzona. Jako jej opiekunka...

– Sami radziliście, żeby ubezwłasnowolnić, ty też! A teraz wszyscy się tylko,

kurwa, mądrzą! – Moja była żona porzuca ton salonowej elegancji. – Nikt nie powie, co ja niby mam robić! Spuścisz Romę z oka, od razu komuś daje dupy. Jak ją zamknę na klucz, to wyje. Jest silna, próbuje mnie bić. Sama z nią jestem jak palec, nie daję rady! Opieka społeczna chce mi ją zabrać, suka wizytatorka napisała w papierach, że jestem niewydolna opiekuńczo i żeby Romę dać do specjalnego domu dla kobiet w Świdnicy, gdzie siostry zakonne specjalizują się w takich przypadkach. A ja nie mam nic, ani pieniędzy, ani oparcia w mężczyźnie!

Alicja zaczyna płakać. Osusza łzy papierowym ręcznikiem.

– Może to jest jakieś wyjście, taki zakład – mówię cicho.

– Sam se tam idź! Albo wyślij tę swoją Basiunię, bo też ci się urwała ze smyczy! Ten zakład jest jak więzienie, pingwiny tam rządzą. Ty wiesz, Romek, na czym polega terapia, żeby intelektualnie niepełnosprawne się nie seksiły?

– Egzorcyzmy?

– Msza co rano. I faszerują biedaczki chemią. Prochy i zastrzyki im walą na zmniejszenie libido. Na forum o tym piszą.

– Skoro to działa... Dobra, mów o tym programie telewizyjnym. Szantażuj mnie, bo jeden przegrany proces niczego cię nie nauczył. Zmieniam się w słuch.

– Po co takie słowa, Romek? Ja się cieszę, że znów cię widzę. Tak długo cię nie było... Szmat życia spędziliśmy razem. Nie powiesz mi, że byłeś nieszczęśliwy...

– Srałem szczęściem, zwłaszcza na koniec. Alicja, przechodź do rzeczy, bo się starzeję.

– Ja chcę sprawę załatwić po dobremu. Wszystko ci wytłumaczę...

– Wychodzę.

– Chodzi o naszą córkę...

– Nie ma takiej osoby. Roma nie jest moim dzieckiem! Byłaś w ciąży jak cię spotkałem. W ostatnim miesiącu. I miałaś już skończone piętnaście lat, więc możesz też zapomnieć o mojej odpowiedzialności karnej.

– Przestałam chodzić do szkoły.

– Oboje wiemy dlaczego. Z lenistwa! Jak niby nazywa się ten program?

– *Stop złu.*

– Która telewizja?

– Nie pytałam.

– Oferują ci kasę, żebyś się na mnie wysrała przed kamerą, tak?

– No, mam opowiedzieć, jak się poznaliśmy... i w ogóle.

– Rzygać się chce.

– Ja potrzebuję tych pieniędzy, Romek – mówi szybko, bo się boi, że zaraz wyjdę, trzaskając tymi wzmocnionymi drzwiami. – Na lepszą terapię dla Romy. Jest dostępna w Warszawie, ale prywatnie. Na remont w mieszkaniu, bo opieka się czepia warunków. I na kurs księgowości. Zawsze miałam dryg do rachunków, jak skończę kurs, to stanę na nogi. Będę mogła pracować w domu, zapewnię Romie lepszą opiekę. Ja wszystko przemyślałam, Roman, mam plan. Ciebie stać na taką sumę. Widziałam was w telewizji z tym kucharzem. Jesteście sławni. Ostatni raz byś mi pomógł, Romek. Bo przecież nie chcesz, żeby ci takie rzeczy gazety wyciągały? To ci też zaszkodzi. Więc...

– To jest szantaż – przerywam jej. – Nie ma mowy.

– To co zrobisz?

Jest autentycznie zaciekawiona.

– Wezmę na szczękę – wyjaśniam. – Nie będę się wypierał. Jako młody, niedoświadczony glina związałem się z uciekinierką z domu. Potem się z tobą ożeniłem, ale faktycznie, nie wywiązywałaś się z obowiązku szkolnego. A ja cię nie dopilnowałem. System cię przeoczył, więc wina leży po wszystkich stronach. Ale chyba głównie po twojej.

– To co będzie? – pyta Alicja cicho.

Przychodzi mi do głowy pewien pomysł. Obracam go w myślach jakąś minutę.

– Może i byłoby wyjście – mówię, wstając z przykrytego kilimkiem, śmierdzącego nikotyną fotela. – Ale muszę sprawdzić kilka rzeczy. A ty raz w życiu musiałabyś zachować się inteligentnie.

Godz. 19.19
Droga wojewódzka 632
z Legionowa na Dębe

Przed szybą biało-szary zimowy krajobraz. Jadę ostrożnie. Szosa jest zmrożona na kość, a wiatr tak silny, że przesuwa mniejsze pojazdy. Z tylnym napędem mojej bryki mogę z łatwością znaleźć się w rowie. W lasach przed zaporą nie dmucha aż tak bardzo, jednak stoję na poboczu, by nałożyć słuchawki telefonu na uszy i wybrać numer, który zapisałem przed wyjazdem z Hydry. Połączenie jest zaskakująco dobre; gdy słucham sygnału z greckiej wyspy, polska zima za szybami wozu wydaje się czystą niesprawiedliwością.

– Mister Witold pliz – mówię głośno, gdy ktoś podnosi słuchawkę aparatu stacjonarnego w willi Górskiego i bulgocze po grecku.

Dobrze trafiłem, wszyscy są na kolacji. Mój brat ma zakazane nawet dotykać swojej komórki, podobnie Renia. Lewy rynek danych o połączeniach funkcjonuje w Polsce lepiej niż służba zdrowia. Sam czasem kupuję takie informacje.

– Witek, to ja! – krzyczę po minucie do małego mikrofonu, wjeżdżając na zaporę.

– Romek?!...Ty masz numer tutaj?

– Zapisałem przed wyjazdem, baranie! Specjalnie, żeby się z wami kontaktować. Ty w ogóle jesteś trzeźwy?

– Daję radę, braciszku, spoko. – Głos Witka jednak wskazuje wyraźnie na spożycie.

– Dobrze was tam traktują?

– Ci Górscy są wporzo.

– To dobrze.

– Szczególnie pani Krystyna – mlaska.

– Lepiej trzymaj łapy przy sobie. Bo wylecicie stamtąd na zbity pysk. Wszyscy.

Jestem zaniepokojony, bo mój brat jest zawsze gotowy wykorzystać najgorszą opcję z możliwych.

– He, he. Przecież wiem – słyszę. – Załatwiłeś sprawę?

- Może jutro będę już coś wiedział.
- Nie spieszy się, nam tu dobrze. Tylko spiekłem się, kurwa, na słońcu.
- Wymyśliłeś, dokąd emigrujesz?
- Na pewno muszę zmywać się z Polski?
- Na pewno.
- No to jeden kraj mi chodzi po głowie.
- Wiec rozkminiaj, jak się będziesz tam urządzał. Trzymaj się na razie. A teraz dawaj Renkę do telefonu. I małą.

Po chwili witają mnie radosne kobiece głosy.

– Renata? Nie musisz się martwić o swoje autko. Ściągnąłem clio do siebie do hangaru i wyjąłem akumulator. Znaczy, mój współpracownik ściągnął i wymontował. Kiedy wrócicie, będziesz mogła je eksploatować bez problemu.

- Dziękuję! Zwrócę ci koszty.
- Drobiazg, nie trzeba.
- Ty jesteś bezpieczny?
- Oczywiście. Witek dobrze się sprawuje?
- Stara się, po swojemu. Pani domu ledwo nas znosi, ale nie okazuje tego. Pan Maksymilian tu rządzi. Na wszelki wypadek trzymam Witka i Alicję z dala od niej.
- Mądra z ciebie dziewczyna.

Śmiejemy się.

- Wujku, wujku!!!
- Co, kochanie?
- Czy ty wiesz, jakie tu na wyspie są piękne osiołki?!

Godz. 21.02

Port gminny w Sieńkach

Syberia, inaczej tego nie można nazwać. Termometr za oknem blaszaka wskazuje minus osiemnaście stopni Celsjusza, metalowa konstrukcja kurczy się i trzeszczy na mrozie. Wiatr wyje opętańczo w ciemności za oknem. W środku mojego lokum płyta elektryczna nie daje rady doprowadzić do wrzenia grzańca w garnuszku. Wlewam ledwo letni płyn do termosu i przystępuję do ubierania się na cebulkę na noc. Łomot do drzwi tak mnie zaskakuje, że w pierwszej chwili myślę, że to wichura coś porwała i rzuciła na barak.

Jednak nie. Ktoś wyraźnie tłucze pięścią w moje wejście.

Nie spodziewam się tu żadnych gości. Zgarniam glocka i latarkę ze stolika przy łóżku. Nie podchodzę do drzwi ani do okna.

– Kto?

– Otwórz, to ja! Romek, bo zamarzną!

Kobieta. Nie kojarzę głosu, za bardzo wyje ten wicher. Jego właścicielka może nie być sama tam w ciemności. Z pistoletem przy twarzy powoli przesuwam zasuwkę, potem uderzam w drzwi barkiem i wypycham je na zewnątrz. Z drugiej strony ktoś obrywa nimi i przewraca się na śnieg.

Wyskakuję z baraku. Kucam z pistoletem i latarką wymierzonymi równolegle w wyciągniętych rękach. Szybko omiatam światłem otoczenie w jedną i drugą stronę.

Nikt nie strzela. Nikt nie stoi. Nikt nie ucieka.

Chowam broń i pomagam okutanej postaci podnieść się na nogi. Spod futrzanej czapki spoglądają na mnie znajome oczy.

– Bożenka?! A co ty tu...

Moja była terapeutka. Kobieta, przez którą upadłem.

– Wino przyniosłam... Ale mi wytrąciłeś...

Pomagam jej wstać, znajduję butelkę na śniegu i wpuszczam gościa do swojej lodowatej siedziby. W pierwszym odruchu Bożenka zdejmuje czapkę i zaczyna rozpinać kożuszek, ale szybko zmienia zdanie. Powietrze, które wydychamy, natychmiast kondensuje się w parę.

– Nic ci się nie stało?

– Ale jesteś nerwowy! Czemu tu tak zimno? Zepsuło ci się ogrzewanie?

– Wszystko działa. – Wskazuję ruchem głowy dwie farelki koło łóżka, druty rozpalone są do czerwoności.

– No nie, zabieram cię stąd – mówi Bożenka stanowczo. – To nie miejsce na spanie w takie mrozy!

– Hartuję organizm.

Podsuwam jej swoje jedyne krzesło, podaję jeden z koców, a sam owijam się w śpiwór. Bożenka nie daje za wygraną.

– Psa bym tu nie trzymała w taką noc. Słuchaj, u mnie jest może skromnie, ale ciepło. Nie bądź niemądry! Zapalenia płuc się tu nabawisz.

– Na coś trzeba umrzeć. A ty wróciłaś do Rocka?

– Do pracy. Edek Sokół zlitował się i znów mnie przyjął, chociaż niektórym w klinice to było nie w smak. Bo ze mnie taka skandalistka. Chrzanić głupie krowy. To stare mieszkanie udało mi się znów wynająć. Jak się dowiedziałam, że wyprowadziłaś się z domu...

– Skąd?

– Całe miasto o tym plotkuje, Romek! Ty nie masz pojęcia, jak ja się...

– Dlaczego nie wyszłaś za swojego chłopaka? – przerywam jej.

Bożenka owija się moim kocem i zrezygnowana siada na krześle naprzeciw mnie.

– Otworzysz to wino? Chcę się napić.

– Mam coś lepszego – mówię łagodniej i podaję jej termos z grzańcem. – Odkręć zakrętkę i pociągnij z gwinta.

Kobieta wypija kilka małych łyków i oddaje mi termos. Też sobie pociągam.

– Cholera, za słodki mi wyszedł.

– Wiem, czego się boisz – mówi Bożenka. – Ale niepotrzebnie. Uciekłam spod ołtarza, ale ja dla siebie to zrobiłam. I dla swojego niedoszłego męża. Bo zrozumiałam, że nic dobrego z tego ślubu nie wyniknie. Nie kocham go. Tak jak ty mnie. Mówi się trudno, żyje się dalej. Prawda, Romek?

– To czemu wróciłaś do Rocka? – pytam ostrożnie.

– Tylko nie myśl, że nastaję na ciebie. To moje rodzinne strony. Tu mam znajomych, krewnych. – Przechyliła się na krześle w moją stronę, mimowolnie

przycisza głos. – Nie wydzwaniałam, uszanowałam twoją decyzję. Też jestem twarda. Tylko dziś... Popatrzyłam na termometr i zaniepokoiłam się.

– Ładnie z twojej strony.

– To się zbieraj.

– Masz tam tylko jedno łóżko w tej kawalerce – zauważam.

– Oddam ci całe. Prześpię się w kuchni na dmuchanym materacu... Dla gości trzymam. A zresztą... – Jej oczy rozbłyskują, pochyla się nade mną. – Właściwie co ci zależy? Jesteś teraz wolny, tak jak ja. Czemu nie dać sobie trochę przyjemności? Moje ciało tęskni... Twoje nie?

Odsuwam głowę i milczę. Beznadziejna sytuacja. Bożena przygląda mi się długo, posmutniała.

– Zdejmij tę uszatkę, Romek – mówi wreszcie.

– Czemu?

– Na chwilę. Chcę zobaczyć.

Ściągam czapę z łysej wytatuowanej pały. Ona wstaje z krzesła i, wciąż opatulona kocem, obchodzi mnie jak jakiś dziwny okaz. Potem prostuje się.

– Jesteś w żałobie – oświadcza. – To po niej. Po twojej żonie. Cierpisz przez nią.

– Czemu tak myślisz?

– Ściąłeś się.

– I co z tego?

– Kobiety, jak tracą mężów, skracają włosy. Pierwsza rzecz. Nie zauważyłeś? Chyba że są już stare. Młodsze tną się prawie zawsze.

– Jestem facetem.

– Ukarales się. Tym tatuażem też. Co to ma być, to z tyłu głowy?

– Orzeł.

– Bielik?

– Koleś w salonie nie mówił, jak się nazywa. Pokazał mi rysunki, wybrałem tego.

– Tatuaż na głowie boli, słyszałam.

– Trochę. Igła wali w kość.

Milczymy długą chwilę. Ona odzywa się wreszcie:

– Powiedz coś, Roman.

Wzruszam ramionami; między nami nie ma już tematów. Nie zamierzam się tłumaczyć czy dyskutować.

– To ja już pojedę.

– Masz auto?

– Taksówką.

– Odwiozę cię. W taką noc żaden sałaciarz w Rocku już nie pracuje.

Jednak wydzwania Ubera i o dziwo po kwadransie w porcie zjawia się skoda z młodym Ukraińcem za kierownicą. Żegnam ją podaniem ręki. Potem zawijam się w bambetle w swojej metalowej trumnie, myśląc, że jak się obudzę, szczęśliwie będzie już poniedziałek. Wezmę się do roboty dla mojego najlepszego klienta i nie będę myślał o życiu prywatnym. Bo nie ma o czym.

Obiektywnie rzecz biorąc, przypomina ono teraz zamrożony kubek wody.

Dzień ósmy

Poniedziałek, 9 stycznia 2017

Godz. 8.15
Pensjonat Urokliwa Skarpa
gmina Sieńki, ul. Żagłowa 7

Mróz nieco zelżał, ale nie na tyle, by brać prysznic w łazience hangaru. Krany zamarzły. Moje ciuchy zaczynają cuchnąć, nie mogę w takim stanie spotykać się z ludźmi. Dzień zaczynam od wyprawy na zaminowany teren: do pralni i łazienki w swoim byłym domu. Muszę doprowadzić się do porządku.

Wkraczam do pensjonatu dość niepewnie, ale o dziwo, Baśka wita mnie uprzejmie. Pomaga mi wybrać świeże džinsy i dwa swetry z garderoby.

- Przepraszam, że nie proponuję, żebyś wrócił pod normalny dach.
- Rozumiem. W porcie nie jest aż tak źle.

Umyty i ogolony, przebrany i na koniec nakarmiony z bufetu śniadaniowego przed dziesiątą ruszam do boju siwą od szronu beemą. W drodze do Warszawy ostrożnie obchodzę się z gazem – asfalt jest pokryty plackami lodu, a opony zimowe, które dostałem w komplecie z wozem, to co prawda topowa linia michelinów, ale mają już swoje lata. Najlepsza guma twardnieje po trzech. Za to jedną z zalet wielkich silników jest to, że wydajnie zasilają nagrzewnice. Bez względu na temperaturę zewnętrzną w kabinie robi się ciepło jak w uchu już po krótkiej chwili.

W drodze wykonuję kilka telefonów. Najważniejszy do znajomego ze służby kontrwywiadu, z którym łączy nas, nazwijmy to w ten sposób, pasja strzelecka. Kilka razy w roku spotykamy się w strzelnicy przy Wojnickiej.

- Masz pozdrowienia od Tadeusza Dąbrowskiego. Mówi ci coś to nazwisko?
- Coś więcej? – prosi mój znajomy.
- Pracuje jako sekretarz jednego muzyka. Ksywa Dąbrowa. Ponoć znacie się ze szkoły. Kojarzysz takiego?
- Muszę pomyśleć – mówi powoli. – To w środę o czternastej. Nie spóźnij się, będę miał mało czasu.

Pierwszym punktem dnia będzie wizyta u wiceprezeski Giwery.

Godz. 10.30
Zarząd Główny Polskiego Zrzeszenia
Banków Rolnych
Warszawa, ul. Jasna 1/3

Mój kontrakt jest wciąż w podpisie.

– Przepraszam, że nie zadzwoniłam. – Giwera jest dziś w srebrno-beżowym kostiumie składającym się z żakietu i spodni. – Powinnam cię uprzedzić. – Wcale nie wygląda na skruszoną. – Tyle spraw stało na ostatnim zarządzie, że nie zdążyliśmy się tym zająć – dodaje i poprawia dłonią włosy. Już trzeci raz je poprawia, odkąd wszedłem. Chrząkam.

– To kiedy?

– W tym tygodniu na pewno. Obiecuję.

– Mówiła mi pani... – zaczynam, ale mi przerywa:

– Jestem Magda. Nie musisz być takim sztywniakiem.

I puszcza do mnie oko, jakby sugerowała, że mam zdejmować portki. W Hollywood za takie molestowanie już by wyleciała z pracy. Ale nie mieszkamy w Ameryce. Wracam do głównego wątku.

– Wspominała pani prezes, że nie inwestujecie w waszych bankach w zabezpieczenia antynapadowe, bo to się nie opłaca. Ale co z ludźmi? Pracowników wam nie szkoda?

– To zupełnie inna sprawa – odpowiada pewnym siebie tonem. – Ludzi szkolimy pod względem bezpieczeństwa. Są prowadzone praktyczne zajęcia dla załóg wszystkich banków i oddziałów.

– Na czym polegają?

Giwera się śmieje.

– Głównie ich przekonujemy, żeby nie bronili kasy. Że w banku nie ma miejsca dla bohaterów, a kasjerzy mają posłusznie wykonywać polecenia napastników. Mówimy, żeby zawsze zakładali, że broń jest prawdziwa, a w torbie naprawdę ktoś trzyma bombę. Wbrew pozorom nie jest prosto przekonać do tego ludzi, zwłaszcza kobietom taka postawa nie mieści się w głowach.

- No to sensownie – przyznaję. – A kto prowadzi te szkolenia?
- Nasz szef BHP je organizuje w imieniu centrali, a firma zewnętrzna pozoruje napady. Robimy też inspekcje i audyty procedur bezpieczeństwa.
- Jakież nazwisko ma ten szef?
- Malicki. Lechosław.
- Przy okazji, potrzebuję nazwisk pracowników centrali. Wszystkich, którzy tu pracują lub pracowali, nawet krótko, w ciągu ostatnich trzech lat.
- Poproszę szefową HR.
- A nie mogłaby pani sama wyciągnąć tych informacji z systemu?
- Myślisz, że nasza kadrowa puści farbę z ust? Nie znasz jej.
- Nic nie myślę – odpowiadam. – Z mojego punktu widzenia już fakt, że członkowie zarządu wiedzą o dochodzeniu, jest słaby.
- Tego nie da się obejść – zauważa Giwera. – Od tego jest zarząd, by wszystko wiedział. Jest też kwestia wynagrodzenia. Do dziesięciu tysięcy euro mogę dać ci zlecenie bez przetargu, ale każdy wydatek nieujęty w budżecie rocznym musi być klepnięty przez zarząd. Bardzo mi przykro.
- Zrozumiałem za pierwszym razem, kiedy mi pani o tym powiedziała. Czy personalna jest w tym zarządzie?
- Nie.
- Więc nie poszerzamy grona poinformowanych.
- Podejrzewasz kogoś tu w zrzeczeniu? Może mnie też? – Uśmiecha się, a jej wydatne piersi lekko falują. – Jeśli trzeba, poddam się przeszukaniu. Czy nie ukrywam na sobie jakichś kompromitujących dowodów.
- Doceniam... pani transparentność. Tak, zdziwiłbym się, gdyby to nie okazała się robota kogoś z centrali. Czasem za napadem stoi ktoś z dołu hierarchii, jak ochroniarze z Łochowa, którzy dla stu tysi z sejfu zastrzelili kolegę i trzy kasjerki z filii Kredyt Banku przy Żelaznej.
- Pamiętam. Coś okropnego. – Wzdryga się. – U nas też zginął ochroniarz.
- Właśnie. Więc na tym etapie niczego nie można wykluczyć.
- Wygrałeś, chłopaku. Sama wyciągnę te dane i wyślę ci e-mailem. Mówisz, masz. To kiedy zaczynasz mnie przeszukiwać?
- Już bym to zrobił, pani prezes – mówię, wstając z fotela. – Ale jestem żonaty. Moja żona miałaby problem z czymś takim. Wkurzyłaby się po prostu. Proszę mnie

zrozumieć. Muszę panią chronić jako swoją klientkę. Nie chciałaby pani mieć z moją żoną do czynienia, kiedy się wkurzy.

– Takiego czegoś jeszcze nie słyszałam. – Giwera wlepia we mnie niedowierzający wzrok, a ja puszczam do niej oko i wychodzę z gabinetu.

Godz. 11.04
Parking przy Jasnej, róg Złotej

Daniel dzwoni w dobrym momencie, kiedy już jestem w aucie, ale jeszcze nie uruchomiłem silnika.

– Twój biznesmen siedzi w Hali Mirowskiej – mówi mój współpracownik bez żadnego wstępu. – Zamówił stek.

– O tej porze? – dziwię się. – Nie wiedziałem, że tam jest knajpa.

– Wejście od Jana Pawła, przy aptece. Red coś tam. Na piętrze. Figurant czeka na kogoś. Siedzę w barze dwadzieścia metrów od niego.

– Ilu ochroniarzy?

– Żadnego. Przybiegł tu piechotą. Biuro ma po drugiej stronie ulicy.

– Już jadę – rzucam i uruchamiam silnik.

Godz. 11.17
Restauracja Red Ed
pl. Mirowski 1

Schody w Hali Mirowskiej są obskurne, a zapach smażeniny nie pozostawia wątpliwości, w czym specjalizuje się knajpa. Na górze rudery niespodzianka: nowoczesne wnętrza, przestronne, z oknami od podłogi do sufitu. Często się teraz takie spotyka w Warszawie w starych gmachach z przemysłowej cegły.

W ścianie rząd lodówek ze szklanymi drzwiami, za którymi wiszą na hakach brunatne półcie mięcha. Bąbel dobrobytu na starym, brudnym targowisku, gdzie stołeczni emerycy szukają taniego jedzenia, a hipsterzy ekologicznej żywności. Jak mi się wydaje, i jedni, i drudzy są dymani bezlitośnie przez chytrych handlarzy.

Ignoruję szatniarza, który chce zabrać mi kurtkę; nie wiem jeszcze, jak szybko będę opuszczał to miejsce. Sala jest długa; po mojej lewej, przy barze, Daniel tkwi pochylony nad filiżanką kawy i bawi się telefonem. Jak wszyscy młodzi ludzie w dzisiejszych czasach, gdy na kogoś lub na coś czekają. Większość stolików o tej porze jest wolna, ale na prawie wszystkich stoją kartki z napisem „Rezerwacja”. Michał Sokołowicz siedzi przy szklanej ścianie, za którą ma widok na własny biurowiec przy Jana Pawła.

Jest w towarzystwie chudego łysego mężczyzny, którego łatwo kojarzę. Widuje się go w telewizji, a w dawnych czasach spotykałem go też w sądach. Nie określiłbym go, jak „Super Trybuna”, jako „mecenasa gangsterów”, ale na pewno jest to prawnik dla tych, których zasoby finansowe nie są mniejsze od kłopotów, w których się znajdują. Parę lat wstecz inne papugi opowiadały sobie z zachwytem, że jeden z gangsterów powiesił pana mecenasa za palce rąk na gałęzi drzewa po niekorzystnym wyroku.

Ruszam prosto do ich stolika; są tak zatopieni w rozmowie, że Sokołowicz unosi głowę, dopiero gdy z hurgotem odsuwam krzesło i siadam przy nich – szeroko uśmiechnięty jak ktoś, kto właśnie odnalazł starego druha.

– Pan prezes już nie rozmawia z prawnikami u siebie w biurze? – pytam. – Obawiamy się podsłuchów? ABW depta po piętach?

Źrenice wodnistych oczu zwężają się, ale pozbawiona wyrazu, nijaka twarz rekina biznesu pozostaje nieruchoma jak ściana wieżowca.

– Czego chcesz?

– Złamałeś umowę.

– Za dwie minuty będzie tu moja ochrona.

– Kłamczuch! Tak szybko nie da rady. Ale spoks, nie potrzebujesz jej. Nie przyszedłem ci nic złamać. To jeszcze faza łagodnej perswazji.

– Panie mecenasie – były partner biznesowy mojego brata odwraca się do prawnika – da nam pan pięć minut? Może weźmie pan sobie coś w barze? Bardzo przepraszam.

– Oczywiście. Nie ma najmniejszego problemu.

Patrzemy, jak papug oddala się sztywnym krokiem niczym bocian cierpiący na reumatyzm. Potem pochylamy się nad stolikiem i wbijamy w siebie ślepie jak psy szykujące się do zwarcia.

– Obiecałeś, że nie tkniesz Witka.

– Dotrzymałem słowa.

– Oddałeś go gangowi przemytników.

– Sprzedałem swój dług. Oni kupili. Tego nasza umowa nie zakazywała. Co z nim będzie dalej, nie moja sprawa.

– Zrobili z niego kuriera. Nie ma szans przeżyć.

– Rozmawiaj z nimi. – Wzrusza ramionami. – Ja do twojego brata już nic nie mam.

– O jakim długu mówisz? – próbuję z innej strony. – Dostałeś porsche za pół bańki.

– Bez łaski. Było kupione za moje pieniądze. Ukradzione mi.

– Dogadaliśmy się – powtarzam, choć już widzę, że wiele z nim w ten sposób nie zwojuję.

– Przez tego, bez obrazy, chuja twojego brata, straciłem kilka milionów – syczy Sokołowicz. – Nie chcieliście spłacać mnie, to teraz spłaciecie twardszych zawodników.

– To nie mój dług. A Witold już wyjechał z Polski. Nie jako kurier.

– Słyszałem. Znajdą go.

– Kim są? Powiedz mi.

– Zapomniałem. Ustalisz sobie, jesteś detektywem. Panie mecenasie! – Macha ręką do tamtego. – Już tu skończyliśmy. Zapraszam!

Mam ochotę powiedzieć mu na odchodne coś, co nie pozwoli mu spać po nocach, ale nie robię tego. Zemsta to takie danie, które smakuje na zimno. I gdy jest serwowane niespodziewanie.

Gdy schodzę po schodach, mijają mnie wbiegający na górę ochroniarze. Nie mam pojęcia, jak Sokołowicz ich wezwał. Ale w tej chwili to zupełnie nie ma znaczenia.

Godz. 12.12
Redakcja „Super Trybuny”
Warszawa Praga-Południe, ul. Złotowska 9

Robert Cygan, redaktor naczelny brukowca i mój – właściwie mogę powiedzieć – kumpel od lat, krzywi się.

– Rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty? To jakaś prehistoria, Roman. Ta gazeta powstała jedenaście lat później, nasze archiwum nic takiego nie zawiera.

– A może starsi redaktorzy pamiętają?

– Już dawno ich zwolniliśmy. Teraz się wycina stare drzewa, nie zauważyłeś? W lasach i w firmach.

– To gdzie poczytam o zabójstwie żony tego muzyka?

– W bibliotece czasopism. Na Koszykowej albo w BUW-ie. Ale najlepiej wal od razu do Ośrodka KARTA na Mokotowie. Mają tam prasę bezdebitową z okresu komuny i stanu wojennego. W tej oficjalnej, w bibliotekach, nie znajdziesz wielu informacji.

Redaktor nie wygląda kwitnąco. Kruczoczarna czupryna siwieje na skroniach, urósł mu brzuch, ślepie ma podkrążone. W otwartej hali, gdzie pracują dziennikarze, jest mniej ludzi niż za mojej poprzedniej bytności. No i skromna oferta stołówki zdradza, że najlepsze czasy branża medialna ma już za sobą.

– Mieliśmy zwolnienia grupowe przed świętami – wzdycha. – Prawie pięćdziesiąt osób. Druk się kończy, bracie. Jak kiedyś malowanie bizonów na ścianach jaskiń. W sieci czyta nas więcej ludzi niż kiedykolwiek, ale co z tego? Internet zarabia na waciki. Według mnie pobiedujemy jeszcze dwa, trzy lata góra, a potem trzeba będzie szukać innego pomysłu na życie.

– Już w ogóle gazet nie będzie? – Trudno mi to sobie wyobrazić. – To komu gliniarze będą na lewo sprzedawali zdjęcia i cynki?

– Z papierowymi będzie koniec. A z nimi skończy się kasa w mediach. Zamiast kilku mocnych gazet będziesz miał sto gównianych serwisów. Bez pieniędzy na reporterów z prawdziwego zdarzenia ani na kupowanie informacji.

– Niby dlaczego?

– Bo ogłoszenia w necie prawie nic nie kosztują.

– To co będą dawali w tych serwisach?

– Mordobicie w klatkach. Dziś nic innego ludzi nie interesuje. Nawet seks chyba im się znudził.

– Przesada!

– Wcale nie! Klikalność na zdjęciach dup z gołym biustem na naszym portalu spada. Masz pojęcie? Sam powiedz, Medyna, jak ja w takich warunkach mam dalej bronić cywilizacji i wartości demokratycznego społeczeństwa obywatelskiego?

– Nie pamiętam ciebie tak skwaszonego. Robert, ty się czasem nie rozstałeś z żoną?

Redaktor naczelny „Super Trybuny” krzywi się, jakby Mongoł podał mu oczy owcy do zjedzenia. Potem wzdycha i spuszcza głowę.

– Pozwu żadne z nas nie składało. Ale tak, w realu mieszkam sam. Tak jak ty, jeśli wywiad nie kłamie.

Wieści się rozchodzą, cholera. Drapię się w łysinę. Swędzi, bo włosy zaczęły odrastać. Powinienem je znów ogolić albo zapuścić, jedno z dwojga. Odkąd mieszkam w blaszaku, obsługa glacy nastęrcza mi pewnych problemów.

– Tak jak ja to na pewno nie mieszkasz! – zapewniam go i śmiejemy się obaj. Ale w tym śmiechu nie ma prawdziwej wesołości. – O co tym razem wam poszło?

Robert lubi mieć porządek w papierach, dlatego trzykrotnie się żenił i dwa razy rozwodził. Z jedną i tą samą kobietą.

– O to, co zawsze – odpowiada, wzruszając ramionami. – Nie umiemy ani żyć bez siebie, ani wytrzymać ze sobą.

Godz. 13.01
Ośrodek KARTA
Warszawa, ul. Narbutta 29

Archiwistka ośrodka, która z racji wieku sama mogła mieć coś wspólnego z opozycją za czasów komuny, znajduje mi gruby plik artykułów na interesujący mnie temat. Spędzam nad pożółkłymi kartkami kilka godzin, fotografując każdą aparatem telefonicznym i robiąc skąpe notatki.

Bibułę z tamtego okresu czyta się trudno i z zaskakująco małym pożytkiem – przynajmniej dla współczesnego detektywa. Mało tam konkretów, dominują komentarze. Autorzy, najczęściej anonimowi, jadą po władzy, w kwestii śmierci Zofii Szmit, po mężu Górskiej, panuje całkowita jednomyślność. To sprawa bezpieczeństwa.

Okrutna i bezsensowna egzekucja. Prawie na pewno pomyłono ofiarę. Zaprzeczenia ministra spraw wewnętrznych i rzecznika wojskowego rządu nie brzmią zbyt wiarygodnie. Trudno się dziwić, bo oficjalne śledztwo zakończyło się porażką, nikomu nie wklepali zarzutów. Wniosek, zdaniem wszystkich autorów, narzuca się sam: władza kryje sprawców.

Wczesnym wieczorem wychodzę jednak z archiwum bez poczucia zmarnowania czasu. Mimo wszystko jakąś orientację w sprawie uzyskałem, nigdy nie wiadomo, który drobiazg może mieć znaczenie. Teraz muszę się zastanowić, jak to ugryźć. Jaką przyjąć strategię dochodzenia i od czego zacząć. Jawi mi się kilka możliwych dróg.

Spacerkiem przenoszę się na Puławską, gdzie w knajpce Dziki Ryż wciągam zupę z krewetkami, pomidorowy gulasz wołowy zrobiony na ostro i banana opiekanego w słodkim cieście. Zostawiam porządny napiwek. Wolę kuchnię Długiego Arka, ale i tu wpisywać się do książki zażaleń nie ma powodu.

W drodze powrotnej przez zimowe miasto zmieniam zdanie i skręcam w Grzybowską. Tu lokuję się w jednej z tych modnych sieciówek, gdzie oferują kawę parzoną na kilka sposobów, kanapki, słodycze i szybki internet. Resztę zadań dnia wykonam w cieple i wśród ludzi. Zajmuję miejsce przy jednym ze stołów i odpalam laptop. Bez pośpiechu przeglądam listę banków od sekretarki Giwery. Potem studiuję mapy komputerowe. Zaznaczam na nich dwadzieścia dwie placówki. Niektóre z nich aplikacja pokazuje na zdjęciach. Kilka innych ma swoje strony internetowe, gdzie też znajdują fotografie.

Metodą żmudnej eliminacji po dwóch godzinach skracam listę do jednego samodzielnego banku rolnego i dwóch oddziałów zrzeszenia. Zostawiam też trzy inne placówki, których wyglądu nie znam, ale wydają się pasować do przyjętych przeze mnie kryteriów.

Nanoszę sześć adresów na mapę województw mazowieckiego i łódzkiego. Lekko licząc, jutro będzie do przejechania z pięćset kilometrów. Mam nadzieję, że uda mi się obskoczyć wszystkie w jeden dzień, jeśli tylko pogoda pozwoli. W kwestii pracy terenowej wśród moich kolegów słyszy się różne opinie, ale ja bez tego niewiele potrafię osiągnąć w detektywistycznej robocie.

Na razie pogoda jest zniechęcająca. Wychodzę na dwór i już w drodze na parking buntuję się: do cholery z moją lodową norą! O dziewiątej wieczór zamiast nad zalewem melduję się w Ibisie na Grochowie, tym samym, w którym jeszcze kilka dni temu ukrywał się Witek z dziewczynami. Niby sto dziewięćdziesiąt złotych dla mnie piechotą nie chodzi, jednak za te pieniądze wyśpię się w wygodnym łóżku. A rano umyję się w cywilizowanej łazience i zjem porządne śniadanie, z jajecznicą i pieczonymi kielbaskami. Hotel stoi blisko wylotu trasy A2 na wschód, co też ma swoje znaczenie.

Za pięć złotych kupuję w holu szczotkę do zębów i małą tubkę pasty. W pokoju szybko się rozbieram i padam na łóżko jak kłoda. Po raz pierwszy od wielu dni nic mi się nie śni.

Dzień dziewiąty

Wtorek, 10 stycznia 2017

Godz. 19.45

Port gminny w Sieńkach

Nie było tak źle; temperatura w ciągu dnia podniosła się do minus pięciu stopni, śnieg nie padał. Bez przygód w ciągu czternastu godzin okrążyłem warszawską metropolię ze wschodu na zachód, zaczynając od Wyszkowa, przez Mińsk Mazowiecki, Grójec i Kutno, potem odbiłem na północ do Płońska, by zakończyć podróż w Nasielsku, rzut beretem od mojego blaszaka. Obejrzałem z zewnątrz i od środka, nie afiszując się nadmiernie, sześć banków rolnych, w tym cztery oddziały.

Trzy z tych placówek teraz skreślam ze swojej listy.

Metoda jest prosta – szukam banku, który sam bym wybrał do włamania. Z trzech, które pozostały, oddział w Płońsku przy Grunwaldzkiej 43 zaznaczam w laptopie czerwonym kolorem.

To idealna lokalizacja. Płońsk leży około siedemdziesięciu kilometrów szybką trasą od Warszawy, wewnątrz okręgu na mapie, którym wczoraj obrysowałem lokalizacje poprzednio okradzionych banków rolnych. Najdalszy był w Mławie, sto dwadzieścia pięć kilometrów od stołecznej siedziby zrzeszenia. Płoński oddział jest własnością warszawskiego Banku Rolnego imienia Wincentego Witosa. Zajmuje w całości dwupiętrową kamienicę z płaskim dachem. Sądząc po dekoracyjnej elewacji, powstała przed drugą wojną światową. Fasadę odnowiono, ale od tyłu budowla dopiero czeka na otynkowanie. I tu jest najlepsze: wykonawca ustawił rusztowania aż po dach. Teraz pewnie czekają na poprawę pogody. Poza starawą kamerą w hali kasowej od frontu nie widzę żadnego monitoringu. Ani od ulicy, ani w podwórku. Co więcej, kamienica jest nieco odsunięta od ulicy, a od tyłu nie wychodzą na nią okna żadnego bloku mieszkalnego. Są tam tylko garaże i jakieś komórki. Aż się prosi, żeby nocą, w złą pogodę, zjawić się tam z wizytą na dachu pokrytym starą papą.

Godz. 20.19

– Nie możesz zmienić zdania, Witku. Nie będziemy walczyli z całym światem. Musisz się ukryć, przeczekać kryzys.

– Bo chodzi o mnie, prawda? Nie chcesz stanąć w obronie brata...

– Nie popadaj w rozgoryczenie, proszę! Musimy myśleć praktycznie, braciszku. Nie wiem jeszcze konkretnie, z kim mamy do czynienia, ale to musi być duży gang.

– Wiedziałem, że wymiękniesz. Starzejesz się.

– Raczej mądrzeję. Nie nadstawiam karku bez potrzeby. Swojego i waszych. Po co ryzykować, gdy wystarczy grać na zwłokę? Policja, jak znam życie, prawdopodobnie ma tych gangsterów na celowniku. Stawiam guziki z rozporka przeciwko złotym krugerrandom, że chłopaki prowadzą działania operacyjne. Nie tylko w Polsce. Ale to trwa, żeby zebrać dowody procesowe.

– A program ochrony świadków?

– Nie ma szans, Witek. Sam wiesz. Za cienka płotka z ciebie.

– Z Sokołowiczem nic nie wskórałeś?

Teraz ja się zamyślam.

– Nic. To mściwa menda. Również dlatego nie powinieneś teraz kręcić się w Polsce. Przeczekasz gdzieś w bezpiecznym miejscu – powtarzam. – Aż twoi prześladowcy źle skończą. To kwestia czasu. Wytluką się nawzajem, a resztę zgarnie policja. Tak zawsze kończy się z gangami.

– Jak długo? – pyta z rezygnacją.

– Nie wiem. Może rok.

– Tu się nie da zostać? Na tej wyspie?

– Dużo dłużej już chyba nie.

– Szkoda, dziewczyny cieszą się z wakacji.

– Zabierz je w świat.

– Za co? Dasz mi kasę?

– Tylko trochę, na początek. Przekażę ci przez Maksa. Potem będziesz musiał

sobie radzić.

– No to sorki, jadę sam. Zaopiekujesz się Renką i małą?

Rozważam to przez chwilę.

– Zaopiekuję się. Aż staniesz na nogi.

– Tylko nie możesz jej posuwać.

– Jasne. Palcem nie tknę twojej kobiety. Wymyśliłeś, gdzie się przyczaisz?

– Słyszałeś o Wietnamie?

– Kraj taki. Gdzieś w Azji.

– W tamtej okolicy bym spróbował.

– Nie za daleko? – pytam ostrożnie.

– Pamiętasz, jak kończyła się komuna? Szczęki, łóżka, handel... Złoty czas dla biznesu, braciszku! Teraz w Wietnamie jest jak kiedyś w Warszawie. Kumpel nie mógł się nachwalić: życie tanie jak barszcz, za pięć złotych na ulicy taki obiad, że palce lizać, a młodą Wietnamkę obracasz całą noc za sto pięćdziesiąt złotych. Masz pojęcie?! – Słyszę entuzjazm w jego głosie.

Oby Renka tego nie usłyszała.

– No to spoko, mamy plan. A Maks jest wciąż w pobliżu? Dasz go do telefonu?

Przez następne dwie minuty zgłaszam swojemu zleceniodawcy dwie prośby o charakterze organizacyjnym. Kompozytor nie ma z nimi problemu, trzy tysiące euro z mojej zaliczki przekaże Witoldowi gotówką. Co do filharmonii, Tadeusz Dąbrowski mnie tam wprowadzi, już wyleciał do Warszawy.

Potem Maks pyta o postępy w swojej sprawie. Wije się trochę.

Dzień dziesiąty

Środa, 11 stycznia 2017

Godz. 10.05
Filharmonia Narodowa
Warszawa, ul. Jasna 5

Aż trudno uwierzyć, jak pod nieobecność szefa zmienia się jego asystent. Wystrojony w brązowy dwurzędowy garnitur i bijący po oczach czerwony krawat Dąbrowski nie ucieka wzrokiem w dół jak wtedy, gdy Górski jest w pobliżu. Dumnie wyprostowany nawet fizycznie wydaje się większy, gdy mnie wita w holu filharmonii. Ściska mi rękę z całej siły, jakby chciał się popisać.

Korci mnie, żeby przypomnieć sobie szkolne czasy i sprawdzić, czy ładnie kłęka. Ale obaj oiekamy uprzejmością i ważny pan Dąbrowski prowadzi mnie wyłożonymi dywanem kamiennymi schodami do dyrektora tych narodowych szarpidrutów, tak jak było ustalone wcześniej z Maksymilianem Górskim.

– Pan oczywiście zna to miejsce, Romanie? Tak generalnie? – rzuca niby mimochodem, gdy wspinamy się po schodach.

Jeden z tych, co próbują wbić ci szpilę, żeby się wywyżżyć.

– Oczywiście nie – odpowiadam. – Koledzy słyszeli, że w bufecie dają tu ciepłe piwo, więc nie przychodziliśmy. Ten dyrektor coś wie o moim zleceniu?

– Nic. Maks chce zachować dyskrecję. Poza tym idziemy do dyrektora muzycznego, bo administracyjny zapadł na gripę, biedak. Pół Warszawy choruje... Janusz Kacper, musiał pan słyszeć? To też jest pewnego rodzaju sława w świecie muzycznym. Maks nie chce wprowadzać go w swoje... małe kłopoty.

I znów to ironiczne, badawcze spojrzenie. Ciekawe, czy jego samego kompozytor wtajemniczył we wszystko. Długi korytarz na pierwszym piętrze i jesteśmy na miejscu. Drzwi są wysokie, masywne, z drogiego drewna. Nazwisko i tytuł wygrawerowane na mosiężnej płytce. Cofam się kilka kroków.

– To jaka jest nasza legenda? Muszę wiedzieć, zanim wejdziemy.

– Amerykanie wynajęli pana do ochrony Maksa w trakcie pobytu w Polsce. Wymóg firmy ubezpieczeniowej. Maks podpisał kontrakt na muzykę do hollywoodzkiej megaprodukcji filmowej. Gwiazdy, reżyser, operator i kompozytor, wszyscy są ubezpieczeni na duże pieniądze, więc też chronieni dwadzieścia cztery przez siedem aż do zakończenia zlecenia. Dobrze brzmi?

– Kupią to?

– W filharmonii są przyzwyczajeni do gwiazd i ich ochrony. Legenda jest bliska prawdy, tyle że wymóg ochrony Maksa dotyczy tylko Rosji, Turcji, Izraela oraz Francji. Niech pan nie pyta mnie dlaczego. Wchodzimy?

Dąbrowski puka i nie czekając, otwiera drzwi mosiężną klamką. Długowłosego dyrektora muzycznego zastajemy rozciągniętego na kozetce z kompresem na czole i maską do oddychania na twarzy. Wita nas gestem długiej chudej ręki. Zaprasza, by siadać.

– Maestro źle się czuje? – pyta Dąbrowski.

– Przepraszam, ale ten smog mnie zabija – odpowiada tamten spod maski ledwo słyszalnym szeptem. – W Konstancinie nie mam problemów, ledwie przyjadę do Warszawy, ohydny gaz zakleja mi płuca. Ból rozsadza mi czaszkę. Jak można żyć i pracować w takim zakopconym kraju! Odwołałem próby i jadę do domu. Mam wszystkiego dość!

– Maestro, to jest Roman Medyna, zatrudniony przez Amerykanów do ochrony osobistej maestro Górskiego.

Dąbrowski zwięźle wciska swój kit dyrektorowi muzycznemu i uzyskujemy zezwolenie na to, bym kręcił się po placówce w ramach „stosownych badań pod kątem bezpieczeństwa naszego mistrza”.

– Czy mógłbym otrzymać spis osób tu zatrudnionych lub regularnie przebywających w filharmonii? – pytam, gdy już wstajemy się żegnać.

Pod koniec spotkania decydenci chętniej spełniają uciążliwe prośby, bo chcą mieć gości z głowy. Maestro Kacper posyła mi umęczone spojrzenie.

– Lista muzyków, członków chóru i części personelu wisi na naszej stronie internetowej.

– A pracownicy administracji, techniczni?

– Ich też pan sprawdza?

– Jeśli mają dostęp do wszystkich pomieszczeń. Przykro mi, że muszę nalegać.

– Sekretariat przygotowuje na jutro.

– A na dziś nie byłoby możliwe?

Maestro opuszcza głowę na poduszkę i zamyka oczy, dając znać, że to koniec audiencji. Wychodzimy i Dąbrowski zamyka za nami wielkie drzwi.

Godz. 10.22

Pomieszczenie gościnne w filharmonii przypomina dwupokojowy luksusowy apartament. Gęsto w nim od antyków z włoskiego orzecha, kryształowy żyrandol wielkości UFO wisi pod wysokim sufitem, a boazeria ze szlachetnego drewna pokrywa ściany. Pod wysokim oknem stoi biurko obite zieloną skórą; fotel jest też nią obity. Dalej stoi kanapa, dwa fotele wielkie jak trony i wygodna leżanka z giętym oparciem. Drugie pomieszczenie wypełniają regały z książkami, płytami i zestawem stereo; przez otwarte drzwi widzę też fragment lakierowanego na czarno pianina.

To wszystko zostało przekazane do dyspozycji Maksa Górskiego na czas prób przed premierą. Nie wchodzę do środka, stoję w drzwiach jak ktoś, kto zajrzał tu przypadkowo albo przez pomyłkę.

– Każdy może tam wejść – zauważam. – Poza strażnikiem w holu na dole macie zero ochrony w tej filharmonii.

– To jest instytucja kultury – odpowiada wyniośle Dąbrowski. – W naszym środowisku wzajemne zaufanie jest normą. Inny świat, panie detektywie.

Ciekawostka. Bo mnie już raz placówka z eleganckiego świata sztuki wzywała na ratunek z powodu plagi kradzieży. W teatrze ginęły telefony komórkowe, pieniądze z torebek i portfeli w garderobach aktorów, perfumy, kosmetyki, biżuteria. Jednej z artystek zniknęły nawet surowe steki i tabliczka czekolady z siatki zakupów. Zadanie dla detektywa było banalne: wystarczyło oznaczyć flakon francuskich perfum niewidocznym proszkiem fluorescencyjnym, a gdy szybciotko zniknął z torebki pozostawionej pozornie bez opieki, oświetlić lampą ultrafioletową łapki wszystkich obecnych w budynku. Kradło aktorskie małżeństwo. Tłumaczyli potem, że byli źli na koleżanki i kolegów, którzy tłukli kasę w serialach, gdy oni wegetowali na gołych pensjach. No i była głośna sprawa rzeźbiarza, specjalisty od sztuki w betonie, który zatapiał w swoich dziełach szkielety kilkuletnich dziewczynek. Przygwoździł go Adaś Michejda, mój następca w Stołecznej. Facet resztę życia spędzi w psychiatryku – chyba że lekarze znów zmienią pogląd na to, co jest chorobą.

– A te drzwi nie mogłyby być zamknięte na klucz? – pytanie formułuję neutralnie, bo Górski nie za to mi płaci, żebym tu robił komuś uwagi.

– Niepraktyczne. Personel musi mieć dostęp do apartamentu, wnosi się tu kwiaty, garderobiani dostarczają świeże koszule, ludzie z restauracji gorące posiłki. W każdej chwili do mistrza mogą mieć sprawy członkowie ekipy artystycznej, dyrygenci czy ktoś z mediów. No i ja. Paranoja utrudnia normalne funkcjonowanie.

– To mistrz specjalnie tu nie wypocznie.

– Daje radę. – Dąbrowski się śmieje. – On spala się w pracy, zużywa niewiarygodną ilość energii. Ale kiedy ma próby, ucina sobie godzinne drzemki. Jest z tego znany. Podobno już jako młody człowiek tak miał. Choćby się waliło i paliło, musi się wyłączyć w ciągu dnia. Dziś byśmy powiedzieli – reset. Potem może znów szaleć do późnej nocy.

– Kiedy jeszcze nie był taką szyszką i nie miał apartamentu do dyspozycji, to gdzie tu sypiał w filharmonii?

– Zawsze można się gdzieś zaszyć, w gmachu jest dużo pomieszczeń. Teraz maestro ma swój pokój.

– I co? Stawia ciebie pod drzwiami, żebyś odganiał ludzi?

– Nie. Wiesz na klamce zawieszkę „Nie przeszkadzać”. Jak w hotelu. Zostawiam cię teraz, Roman, pewnie chcesz się rozejrzeć, a ja mam co robić. Jakby co, masz mój numer komórki.

– Już skończyłem się rozglądać.

– Nawet nie wszedłeś – dziwi się.

Fakt, chętnie obejrzałbym sobie ten apartament dokładniej, ale to byłby błąd. Szantażysta mógł schować w pokoju dyrygenta miniaturową kamerę. Unieszkodliwienie podglądu nie jest problemem, gdy się wie, jak szukać, ale mleko już by się wylało. Nie ma sensu informować sprawcy, że ofiara poprosiła o pomoc.

Muszę pomyśleć, jak to ugryźć.

Godz. 14.01
Strzelnica PC Gun
Warszawa, Praga-Północ, ul. Wojnicka 4

Z moim koleśkiem ze służb procedura jest zawsze taka sama: informacja na papierze, z ręki do ręki. Żadnych e-maili, esów. Zero elektroniki, metody analogowe. Kiedy mam do Włodka interes, spotykamy się na strzelnicy na starej Pradze. Pukamy sobie z klamek do papierowych tarcz, porównujemy wyniki, żartujemy. Dyskretnie przekazuję mu kartkę z zapytaniem. Rozchodzimy się. Odpowiedź przychodzi szybko. Jeśli kwestia jest zerojedynkowa, tak lub nie, to telefonicznie. Jeśli trzeba ją omówić szerzej, płacę za naboje ponownie. I sporo z górką.

Powód konspiracji jest taki, że w Polsce urzędowe informacje o skazaniu oficjalnie ulegają zatarciu najdalej po dziesięciu latach – jedynie wyroki za pedofilię są wyjęte spod tego dobrodziejstwa. Na dodatek dostęp do wszelkiej wiedzy o obywatelach został skomplikowany przez zaostrzone przepisy chroniące prywatność – również w policji. Funkcjonariusze mogą logować się do Krajowego Rejestru Karnego, ale system rejestruje wszystkie zapytania. Gdy pracujesz na komisariacie, oficjalny wniosek o sprawdzenie kogoś drogą służbową to droga przez mękę: trzeba wyjaśnić na piśmie, w jakiej sprawie, podać sygnaturę akt i uzasadnienie, zebrać podpisy przełożonych.

Po ostatniej nowelizacji ustawy przestałem nawet prosić kumpli w policji o takie przysługi. Nie mogą pomóc. Ale jeśli jesteś paniskiem ze służb specjalnych, rygory cię nie obowiązują. Wszystkie wyroki, kiedykolwiek wydane, są dla ciebie dostępne. Swobodnie przeczesujesz bazy rządowe i wiele korporacyjnych, i w praktyce nie musisz się tłumaczyć przed nikim. W razie czego zawsze możesz zeznać, że weryfikowałeś kandydatów na informatorów.

Włodek zaczynał w policji w tym samym czasie co ja. Tyle że był bystry, dostał zaproszenie od kontrwywiadu. Ożenił się z atrakcyjną pracownicą Biura Ochrony Rządu. Gdy jeden z ochranianych, palant nawet jak na polityka, zaczął ostro dobierać się do jej majtek, w zastępstwie męża przeprowadziłem z reprezentantem narodu rozmowę wychowawczą. Gdyby to Włodek poszedł wtedy na spotkanie w biurze poselskim, obiłyby gościowi mordę i pożegnał się ze służbą.

- Aż tyle chcesz sprawdzać? – pyta, rzuciwszy okiem na mój papier.
- Minimum konieczne. Mają spory zarząd. Plus jedno nazwisko. Wspominałem.
- Idziesz w koszty – zauważa.
- Klient płaci.
- Czyli kto?
- To nie jest taka sprawa, żebyś musiał się martwić.

Tożsamość klientów jest delikatną kwestią. Mamy umowę, że on nie jest dociekliwy bez potrzeby, ale gdy potrzeba naprawdę się pojawi, przestanę być małomówny. Albo nie będę składał zlecenia. Do tej pory nie mieliśmy takiej sytuacji. Zaczepiamy świeże tarcze, nakładamy ochraniacze na uszy i znów pukamy z własnej broni w sąsiadujących alejkach strzelnicy, aż kończy się nam amunicja. Mógłbym dokupić, ale w strzelnicy jest narzut na naboje, a ja mam jeszcze pudełko w domu.

Tarcze Włodka wyglądają lepiej niż moje. Pocieszam się, że w realu, gdy naprawdę coś od tego zależy, zwykle trafiam celniej niż w PC Gun.

Godz. 15.06
Parking niestrzeżony
Warszawa, Praga-Północ, ul. Podlaska

Łańcuch rąbie mnie w plecy jak żelazny łom, gdy z pilotem w ręku idę w stronę swojej beemy. Impet zwała mnie do przodu. Runąłbym twarzą na brudny śnieg, ale odruchowo wyciągam ręce przed siebie i łapię za krawędź dachu zaparkowanego auta. Nie mogę złapać oddechu, ale to nie jest moje największe zmartwienie w tym momencie.

Atakujący potrzebuje prawie trzech sekund, żeby cofnąć ramię, wziąć porządny zamach, odwrócić kierunek ruchu i chlasnąć ponownie ciężkim żelastwem. Kiedy zmywasz naczynia albo drapiesz się po dupie, trzy sekundy to tyle co nic. W trakcie walki wręcz to wieczność. Dość długo, by się zmobilizować, odwrócić głowę i zrobić właściwy unik przed następnym uderzeniem – w ostatnich częściach sekundy.

Odpycham się rękoma w bok i schodzę ciałem w dół. Łańcuch z łoskotem wali w karoserię. Kolejne zyskane sekundy wykorzystuję na odskoczenie do tyłu, złapanie równowagi i zdjęcie miary z przeciwnika.

Alarm uszkodzonego auta zaczyna wyc.

Plecy mnie palą, wciąż nie mogę wciągnąć powietrza do płuc.

Napastnik się spieszy. Chce szybko dokończyć sprawę, zanim zacznę wcielać w życie jakieś własne pomysły. Zakręca łańcuchem nad głową jak młynkiem i znów atakuje. Udaje mi się kolejny unik, chowam głowę w ramiona i padam na ziemię. W oczach zaczyna mi się robić ciemno z braku tlenu.

Jeszcze zrywam się na nogi, ale widzę faceta przez mgłę. Powinien teraz łupnąć mnie porządnie w głowę, ale sfrustrowany nieporęcznym narzędziem zmienia taktykę. Upuszcza łańcuch, rozkłada ramiona i rzuca się na mnie całym ciałem. Zwieramy się jak zapaśnicy albo klinczujący bokserzy.

Ciemność.

Reaguję już tylko odruchowo, ale zwierzęca część mojego mózgu przejmuje dowodzenie, a mięśnie wciąż pracują. Rękoma przyciskam mu ramiona do korpusu i przekręcam głowę, by nie dać się trafić czołem w twarz. Ruchami bioder blokuję

jego próby wyprowadzania ciosów kolanami.

Przewracamy się na ubite śnieżno-lodowe klepisko parkingu.

Płuca odblokowują się nagle. Spazmatycznie łapię powietrze. Niestety, przestaje też odchyłać głowę. Pierwszą rzeczą, którą widzę w powracającym polu widzenia, jest łysa czacha wjeżdżająca na moją twarz jak pociąg wynurzający się z tunelu.

Łup! Trafia mnie solidnie, ale zamiast oszołomić, ból trzeźwi mnie i rozwściecza do końca. Zabieram się do roboty po swojemu. Nie bawię się w subtelności sztuk walki, czystą przemocą przekręcam napastnika na plecy. Krew leje się na niego obficie z mojej poharatanej twarzy, gdy zajmuję pozycję na górze. Mam cię, myślę.

To błąd.

On też jest zaprawiony w bojach. Szarpie korpusem i zapaśniczym wymykaniem uwalnia się spode mnie. Przetacza się na bok po śniegu i podnosi. Idę w jego ślady – ale zbyt wolno. Tym razem atakuje nogami i rękoma, jak kick bokser. Obrywam w głowę i dwa razy w korpus.

Wie, jak to robić, uderzenia nogami z obrotów wyprowadza szybko i wysoko. Musiał zarabiać walkami w klatce. Z wyglądu też by pasował: wysoki, z szerokimi ramionami, ogolony na łyso jak ja, okrągłe, wściekłe oczka. Na zaciśniętych pięściach ma tatuaże. Gdyby po pierwszym trafieniu zostawił nieporęczny łańcuch i od razu potraktował mnie wręcz, byłoby po sprawie. Ale i tak mam problem.

Jakaś kobieta krzyczy za nami na parkingu. Jej piskliwy głos i rytmiczne dźwięki klaksonu mieszają się. Zaraz ściągnie tu więcej ludzi. Być może również policja.

Zaniepokojony pojawieniem się świadka napastnik przyspiesza ataki. Zasypuje mnie gradem ciosów, przyjmuję je na przedramiona, skupiam się na unikach. Obrona zawsze pochłania mniej energii niż atak. On jest szybszy, ale ja – silniejszy. Jeśli nie jest we wzorowej kondycji, za chwilę zwolni. Poluję na kontrę.

Wreszcie udaje mi się go trafić. Jego gęba też zalewa się krwią. Spiesz się dalej, kolego. Co nagle, to po diable.

Lokuję szybką serię w korpus, odskakuję. But ślizga się na lodzie, noga ucieka spode mnie. Utrzymuję równowagę, ale kosztem przyjęcia kolejnego ciosu, na głowę. Kontruje prawą prostą, co go zatrzymuje.

Więcej krwi na śniegu, tym razem mojej.

Mamy już sporą widownię. Kobieta ucichła, ale zaczynają nas dopingować zachrypnięte męskie głosy, zachęcają do większej bojowości. Jak to na Pradze.

Nie widzę ich. Nie spuszczam z przeciwnika oczu ani na mgnienie. Znów wyprowadza nogą uderzenie z obrotu, ale wreszcie udaje mi się złapać jego stopę prawą ręką. Przytrzymuję ją, przekręcam obiema rękami i ciągnę w górę. Facet odbija się z ziemi, próbuje złapać mnie w nożyce. Nie pozwalam mu na to, brutalnie przekręcam nogę w odwrotną stronę niż jego ruch. Trzask jak pękniętej gałęzi. Po kolanie.

Z bólu przewraca się na ziemię. Kopię go zimowym butem w głowę. Raz, potem drugi. Mocno i precyzyjnie. Wiotczeje.

Pozamiatane.

Godz. 15.13

Wyczerpany padam obok niego na ziemi. Dyszę jak po maratonie, ciało mi dygocze. Gdy oddech zaczyna się uspokajać, podnoszę się na kolana i oklepuję ubranie pokonanego. W kieszeni krótkiej kurtki wyczuwam coś metalowego. Odciągam zamek błyskawiczny.

Kombinerki. Masywne, z przecinakiem. Idealne do drutu – albo palców. Czyżby koleś szykował się do poważnej rozmowy ze mną?

Chowam kombinerki do kieszeni własnej kurtki i siadam na nim okrakiem: może ma przy sobie dokumenty. Jego prawa ręka unosi się jak atakujący pyton do mojego gardła. Zaciska palce.

No nie! Tak nie będziemy się bawili. Biorę krótki zamach prawą i trzaskam go w szczękę. Poprawiam lewą. Znow prawą. Uchwyt na moim gardle słabnie, ale nie puszcza. Chłop ma twardy łeb. Chwytam za jego duszącą dłoń moimi obiema, mocujemy się. Tłucze mnie w korpus drugą pięścią. Wreszcie udaje mi się trochę odciągnąć jeden z palców zaciśniętych na mojej szyi. Oplatam go palcami, odciągam, aż pęka kość.

Dwa zero. Facet krzyczy z bólu i wreszcie przestaje się bronić.

– Kto cię nasłał! Mów.

Milczy. Zobaczymy, jak długo. Obracam ciężkie ciało twarzą na śnieg i choć gość się wyrywa, zwiążuję mu nadgarstki za plecami plastikowym paskiem. Odпочydam przez chwilę. Wyjmuję z kieszeni kombinerki i chwytam kciuk jego drugiej, jeszcze nieuszkodzonej dłoni między stalowe ostrza. Zaciskam przecinak dostatecznie mocno, żeby się przejął.

– Mów albo ujębię – dyszę. – Bez kciuka nawet nie podetrzesz się tą ręką.

Coś trąca mnie w plecy. Ludzie rzucają kamieniami czy bryłkami lodu. Któryś woła, żebym „go puścił”. Kobiety klną wrzaskliwie. Najwyraźniej nie jestem ich faworytem. Krzyki narastają.

Podnoszę się i rozglądam. Spora grupa młodych mężczyzn, dwie kobiety. Jeszcze trzymają się w bezpiecznej odległości, ale za chwilę nabiorą odwagi. Podejdą bliżej i zaczną robić tu własne porządki.

Chowam przecinak do kieszeni, wyciągam nienaładowany pistolet i unoszę go

nad głowę. Tłumek cichnie. Kucam, chwytam pod pachy swojego więźnia, podnoszę do pionu. Obejmuję go ramieniem w pasie i wlokę do beemki. Powłóczy uszkodzoną nogą, ale współpracuje. Ludzie znów coś krzyczą. Jeszcze pięć metrów, jeszcze dwa. Otwieram bagażnik pilotem i wpycham faceta do środka jak worek węgla. Jęczy, gdy składam jego wystające nogi i zatrzaskuję klapę.

Gdy chowam broń i otwieram drzwi auta, gapie nabierają odwagi. Rozbiegają się, by zastawić mi drogę. Nie podoba mi się to. Ruszam szybko tańczącym na lodzie ciężkim wozem, tylko samobójca ustawiłby się przed maską. Odskakują, o karoserię bębnią rzucane kamienie i bryłki lodu. Koniec parkingu, bokiem ześlizguję się w prawo na Podlaską. Na czarnym odcinku asfaltu gumy łapią przyczepność. Bmw z rykiem przyspiesza i oddalamy się w stronę Kawęczyńskiej.

Znam dobrze te okolice z początków służby w policji. Zaczynałem w rejonowej siódemce, Warszawa Praga-Południe. W lewo ta uliczka kończy się ślepo.

Godz. 15.27
Warszawa, al. Waszyngtona,
w kierunku do Śródmieścia

Moja gęba wygląda w lusterku nieciekawie: krew, rozbity łuk, rozbity nos. Lewe oko już ledwo widać. Szyja poharatana, za chwilę będzie sina.

Dobrze, że Baśka mnie nie widzi w tym stanie... Tylko by się utwierdziła w przekonaniu, że jestem beznadziejnym dzikusiem. Który umie walić pięściami i głową, nic więcej.

Przy Skaryszaku wjeżdżam w boczną uliczkę i zatrzymuję się przy kupie zgarniętego śniegu. Muszę się trochę ogarnąć, zanim wjadę do Śródmieścia, najbardziej monitorowanej i nasyconej policją części miasta. Obmywam twarz śniegiem, próbuję osuszyć się kawałkiem irchy, którą znalazłem w skrytce w tablicy rozdzielczej po poprzednim właścicielu. Ircha czerwienieje od krwi, ale zimny śnieg pomaga. Kruszę butem trochę lodu, zawijam w irchę i przykładam do rozbitego łuku brwiowego. I zaczynam myśleć, co zrobić dalej z tym fantem, który trzymam w bagażniku.

Facet siedzi cicho jak mysz pod miotłą.

Mam do niego pytanie. Już raz nie zechciał odpowiedzieć. Chcę je ponowić. Wiedza, kto go nasłał, uprościłaby mi życie. Pytanie, jak daleko chcę się posunąć. Gdyby sytuacja była odwrotna, ten przyjemniaczek bez wahania zabrałby mnie do jakiejś piwnicy albo do lasu pod miastem. I tam na spokojnie by mi cmykał kombinerkami paluchy po kawałku aż do skutku.

Gliniarzowi, nawet emerytowanemu, nie wypada robić takich rzeczy.

Z drugiej strony, moja świętej pamięci mamusia mawiała, że jak czegoś nie wolno, ale się musi, to trochę wolno. Do lasu w Starej Miłosnej z tego miejsca nie byłoby nawet pół godziny... Mógłbym przynajmniej go porządnie postraszyć.

Warknięcie syreny i błysk koguta za moimi plecami przerywa mi te rozmyślenia. Nawet nie zauważyłem, jak do mnie podjechali radiowozem.

– Kontrola drogowa. Otworzy pan bagażnik, panie kierowco.

Godz. 17.27
Komenda Rejonowa Policji VII
Warszawa Praga-Południe,
ul. Grenadierów 73

– Dokąd go wiozłeś?

– Jak to dokąd? Na policję.

– Minąłeś komendę.

– Bo pomyślałem, że może jednak lepiej do szpitala. Coś mu się stało w nogę. Zastanawiałem się właśnie, gdzie by dostał najlepszą opiekę.

– Dawno się znasz z poszkodowanym?

Niewiele tu się zmieniło od moich czasów. Ciasne klitki, brudne korytarze, kraty na oknach. W pokoju przesłuchań na tandetnym stole stoi jeszcze maszyna do pisania, ale gliniarz w cywilu wstukuje moje dane do protokołu dwoma palcami na klawiaturze komputera.

– Nie wiem, kto to jest. Napadł na mnie.

– Świadkowie twierdzą inaczej. I wiozłeś go w bagażniku.

– To ja jestem poszkodowany. Jebnął mnie łańcuchem przez plecy.

– Oj tam.

– Żądam obdukcji lekarskiej. Nie żartuję.

– On też żąda. Trochę słabo chodzi. I coś ma z ręką.

– Obrona konieczna.

– Jesteś podinspektorem policji w stanie spoczynku i masz zezwolenie na gnata. Mogłeś pogrozić.

– Pusty magazynek.

– Detektyw chodzi po mieście z kławką bez naboju?

Nie wydaje się zainteresowany odpowiedzią; już wie, że niczego użytecznego ode mnie nie usłyszy. Typowy pies z pierwszej linii: średni wiek, w swetrze opinającym wydatny brzuch, zaniedbany jak ten cały komisariat. O świecie swoje wie, zna procedury. W jego pokoju przesłuchań nie jestem byłym kolegą ani

policyjnym autorytetem.

– Nie będziesz wnosił oskarżenia, rozumiem?

– Nie wiem.

– Przekroczyłeś granice obrony koniecznej – rzuca z satysfakcją, gdy wygodniej odchylam się na oparcie krzesła i kładę skute kajdankami nadgarstki na stole. – Przesrana sprawa.

– Jasne. A wy zatrzymaliście mnie przypadkiem.

– Sygnał od obywateli.

– Na starej Pradze.

– Zaufanie do policji rośnie. Ale widzę, nie u wszystkich. Pan inspektor nie ufa siłom prawa i porządku. Wstyd.

– Cały się rumienię.

– Nic nie dodamy do protokołu?

– Wszystko jest. Ty na pewno mi nie powiesz, jak tamten się nazywa? Ksywkę chociaż?

– Jak cię oskarży, to się dowiesz. We właściwym czasie.

Godz. 22.01

Resztę popołudnia i większość wieczoru spędzam w piwnicy komisariatu. Znaleźli dla mnie osobną celę – jedyny gest funkcjonariuszy dla byłego kolegi. Dobre i to, przynajmniej mogę drzemać. Wreszcie drzwi celi otwierają się i słyszę, że zostaję zwolniony. Nie spodziewałem się niczego innego. Odbieram swoje rzeczy z depozytu, podpisuję papier i wychodzę na świeże powietrze.

Przeciągam się, biorę kilka głębokich, przyjemnych oddechów. Wiatr chwilowo przewiał smog znad Warszawy, powietrze jest rześkie, igiełki mrozu miło odświeżają płuca.

Moja beema stoi po drugiej stronie Grenadierów. Gdy zbliżam się do wozu, w policyjnej kii zaparkowanej z tyłu opuszcza się szyba kierowcy. Funkcjonariusz ma daszek czapki opuszczony nisko na twarz.

– Nie wiem, co oni chcą panu wklepać – słyszę cichy, młody głos. – Ten, którego pan inspektor uszkodził, to Ziggy, żołnierz Kulawiaków. Z gangu wolskiego. Facet walczy w klatce, więc gratuluję. Można ich znaleźć w klubie Nokaut na Woli. Dobrej nocy, panie inspektorze.

Kiwam głową.

– Dzięki. Dobrej nocy, chłopaki.

Bez słowa podnosi szybę. Noc jest jasna i pogodna, drogi czarne. Do portu w Sieńkach docieram po godzinie bez przygód, ale sztywny jak nieboszczyk. Szczególnie szyja mi dokucza; poharatał mi ją pazurami ten Ziggy bardziej, niż sądziłem. Ale i ona się zagoi. To był długi dzień.

Zasypiam w swoim wyrze całkiem spokojny. Myślę o Baŝce i naszym synku.

Dzień jedenasty

Czwartek, 12 stycznia 2017

Godz. 10.05
Stowarzyszenie Bokserskie Nokaut
Warszawa, ul. Młynarska 29

Już na pierwszy rzut oka widać, że tu pakują chłopaki z miasta.

Na podwórku stoi nowiutkie czarne ferrari, otacza je kilka beemek i mercedesów w sportowej opcji. Siłownia mieści się w suterenie przedwojennej wolskiej kamienicy. Schodzi się do niej po wyszczerbionych betonowych stopniach. Drewniane drzwi, stare i pokryte łuszczącą się farbą olejną, są otwarte – wystarczy pchnąć. Ciemnawe pomieszczenie. Worki bokserskie na łańcuchach pod niskim stropem. Najprostsze żelastwo do treningu kulturystycznego: sztangi, stopy talerzy, raki z hantlami, ławki do wyciskania. Smród potu. Dudni głośne disco polo.

Są gangi, które robią szpan w klubie fitness hotelu Marriott, i są takie, których szefowie wolą swojskie klimaty dawnej robotniczej dzielnicy.

Mimo wczesnej pory sala jest pełna. Mięśniaki, wystrzyżone łby, wytatuowani jak ja. Pompują żelazem bez pośpiechu, pod dużym obciążeniem. Tu się robi konkretną masę – żadnych rowerków, orbitreków do pedalskiego aerobiku. Ale towarzystwo jest wystrojone w markowe koszulki, szorty.

Na krześle pod ścianą jakiś koleś wali sobie zastrzyk domięśniowy w udo.

Spojrzenia zimne jak aura, spode łba. Wlazłem do prywatnej siłki. Chyba żaden mnie nie rozpoznaje, więc bez pośpiechu rozglądam się jak nieświadomy frajer, który wstąpił z ulicy, szukając miejsca na trening. Ziggy'ego nie spodziewam się tu zastać. Dziś siedzi gdzieś w kolejce do chirurga ortopedy. Poza tym Ziggy musi ćwiczyć inaczej, moc, ale też szybkość. Kick bokser potrzebuje ringu.

Odpychają mnie wzrokiem, ale żaden się nie odzywa.

– Właściciel ferrari jest tu? – przekrzykuję muzykę.

Grube łapy pompujące żelazo nieruchomieją w całej sali. Po mojej prawej facet z klatką piersiową wielkości beczki odkłada hantle i wstaje z ławki. Drugi z hukiem upuszcza sztangę na betonową podłogę. Wyglądają na braci. Nie są bliźniakami, ale do siebie podobni. Niewysocy, krzywe nogi. Starszy ma pewnie koło czterdziestki; starannie ostrzyżony szatyn, siwieje na skroniach. Drugi ma wielkie

blizny i jakieś wgniecenia na łbie. Przeszedł większą awarię: porusza się mniej pewnie, jakby był spowolniony.

– Chcesz odkupić? – pyta starszy, stając przede mną.

To chyba ma być ironia.

– Jak niebite...

– Nie jjjj-est, kuuur-waaaaa, na sPPP-rzedaż! – denerwuje się drugi. Jest jeszcze bardziej napompowany, ale poza motoryką chyba ma problemy z psychą. – Kumas, kundlu jeden?!

– Spokojnie, Maciek. Ja się tym zajmę.

Kolejni wytatuowani odkładają ciężary i podchodzą kołyszącym krokiem. Otaczają mnie kołem. Zero gościnności w tej siłowni. Tym razem magazynek glocka pod moją pachą jest pełny. Tyle że niewiele to zmienia. Na takie sytuacje lepiej mieć granat – wyciągasz zawleczkę, przyciskasz palcami łyżkę do korpusu, pokazujesz wszystkim. Nikt nie zaryzykuje.

– Pójdę jednak – mówię grzecznie. – Chyba zły moment wybrałem. Przeszkadzam panom w zajęciach.

– Skoro już jesteś – starszy nie spuszcza ze mnie złych oczu – mów, co ci leży na sercu... glino. Chcesz ferrari kupić z pensji?

– Dlatego szukam jeżdżonego. Ale i tak wolę porsche. Kupię od kogoś innego. Zmywam się – mówię już zdecydowanie. – Owocnego treningu życzę.

Odwracam się na pięcie, wkraczam między spoconych gangsterów. Ustępują niechętnie, ale starszy z braci nie daje rozkazu do akcji. Zrobił pokaz siły, wystarczy mu – na razie. Bez zatrzymywania się, nieprzesadnie szybkim krokiem docieram do drzwi. Potem schodami na zewnątrz i już szybciej, przez podwórko na ulicę.

Słabo to wyszło w sumie. Nawet nie zapytałem o Ziggy'ego. Immunitet, jaki mają gliniarze wśród przestępców, w dzisiejszych czasach funkcjonuje kiepsko. Zwłaszcza gdy chodzi o byłych gliniarzy. No i jestem obolały po wczorajszym; to nie jest moment, by znów się bić. Albo się strzelać z całym światem.

A może Witek ma rację, że się starzeję? Mogłoby się skończyć tak, że to oni by mi zadali kilka bolesnych pytań. O miejsce pobytu brata, na przykład.

Jednak tego nie zrobili. Czyżby ci Kulawiakowie jeszcze się nie zorientowali, jaka jest moja rola w tej historii? Przecież nasłali na mnie goryla z kombinerkami. Chociaż Ziggy mógł wziąć zlecenie z boku, od dobrze płacącego klienta. Miałbym

tu swoje typy. Dwa nazwiska są na szczycie listy, a człowiek ma więcej niż dwóch wrogów.

Chyba jednak istnieje łatwiejszy sposób, by znaleźć odpowiedź na moje pytanie.

Godz. 10.20
Restauracja Wawa
Warszawa, ul. Grzybowska 3

Parkowanie w centrum Warszawy zimą w środku tygodnia to zadanie graniczące z niemożliwością – chyba że ktoś zna specyfikę okolicy. Na osiedlu Za Żelazną Bramą jest kilka dużych, strzeżonych parkingów. Jeden z tyłu za hotelem Radisson, wystarczy powiedzieć, że jesteś klientem optyka, który ma sklep z gabinetem wzdłuż Jana Pawła, a ramię szlabanu unosi się w górę. Drugi to płatny parking w miejscu, gdzie kiedyś stał Teatr Żydowski. Zachodnia firma, która go zburzyła, liczy drogo za godzinę, pewnie zbierają na budowę wieżowca. Więc miejsce tam zawsze jest.

Niedaleko tych podwórek są knajpki, gdzie można w cieple odbyć parę rozmów telefonicznych. Najbardziej lubię Wawę, to bezpretensjonalna miejscówka, bez obrusów i głośnej muzyki. Niestety, okazuje się zamknięta. W Warszawie knajpy, jak niektórzy ludzie, żyją mocno, ale krótko. Obok już funkcjonuje sieciówka, która Wawę zabiła. Biorę „zimową herbatę” w kuflu z kawałkami cytrusów, przyprawioną miodem, goździkami i wanilią, i rozsiadam się przy zacisznym stoliku pod ścianą.

– Lechosław Malicki?

– Przy telefonie.

Połączenie jest słabe, ledwo go słyszę.

– Nazywam się Roman Medyna – mówię głośniej do swojego aparatu. – Wiceprezes Godlewska przekazała mi numer, ale od rana nikt nie odbierał. Już myślałem, że się do pana nie przebiję.

– Przebywałem na terenie budynku.

– Chciałbym podjechać do banku i porozmawiać. Znajdzie pan kwadrans jeszcze przed południem?

– A kim pan jest? Pani wiceprezes nic nie wspominała.

To nie jest problem połączenia. Kierownik od bezpieczeństwa i higieny pracy w Zrzeszeniu Banków Rolnych mówi szeptem, bez intonacji.

– Wyjaśnię na miejscu. Sprawa bankowa. Mam upoważnienie do rozmów

z pracownikami centrali.

– Niestety, za chwilę ruszam w podróż służbową. Zajmie cały dzień. To może dotyczy szkoleń?

– Nie. A jutro rano?

– Będę na całodniowym kursie w NBP. W tym tygodniu raczej nie uda nam się spotkać.

– Może więc wieczorem? To pilna rzecz. Pani wiceprezes...

– Bardzo przepraszam, żona choruje – przerywa. – W sprawie umówienia się na spotkanie służbowe proszę o telefon w poniedziałek.

Rozłącza się. Ciekawe, czy wszyscy behapowcy są tak trudno uchwytni, czy trafiłem na wyjątek.

– Misiek? Możesz mówić?

– Jak chcę, to mogę, men.

– Nazwisko bracia Kulawiakowie coś ci mówi?

– A co to ja jestem? Twój, kurwa, świadek koronny? Myślałem, że prywatnie dzwoniysz.

– No prywatnie. Sprawa dotyczy mojej rodziny.

– Pytaj. – Gangster wzdycha już na zapas.

Nigdy nie polubił roli informatora. Ale obaj wiemy, że jak trzeba, to współpracuje.

– Słyszałeś o nich? – powtarzam.

– A ty słyszałeś o braciach Kaczyńskich, he, he? Kulawiaków trudno nie znać, men. Młodszy przeżył egzekucję. Wziął kulkę w czoło, łapiduchy dekiel z bańki mu zdejmowali, żeby wyjąć. Świr wygląda teraz jak pierdolony Frankenstein. Maciej ma na imię. Starszy, Adam, wybił do nogi tamtych, co mu to zrobili.

– W czym siedzą?

– Głównie dragi. Import, eksport, rapaport – chichocze z własnego dowcipu. – To duża grupa.

– Jak wędruje towar?

– Słyszałem, że mułów używają.

– Skąd ich wysyłają?

– Nie spowiadają mi się.

– Z Modlina na przykład?

– Możliwe. Ta rodzina, o której wspominałeś, to może twój brat? Ten... Witold?

– Nie bądź taki ciekawy, Misiek.

– Ktoś dopytuje się o niego. Jeśli podpadł Kulawiakom, to już po nim, men. – Misiek wyraźnie się ożywia. – Adam Kulawiak nikomu nie darowuje. Nigdy.

– Nie ciesz się z góry. Pogadamy jeszcze, ale nie przez telefon. Bierzemy młodych na basen w tym tygodniu?

– Nawet ty go nie obronisz, emerytowany podinspektorze policji. Na takich, co myśleli inaczej, już hektar trawy rośnie. Masz braciszka z głowy, mówię poważnie. Sobota, w Mazowszance, zwykła pora?

– Witka już nie ma w Polsce, Misiak. Nie znajdą go.

I tak jedna z moich zagadek się wyjaśnia. Ale nie do końca.

Godz. 12.10
Droga nr 61, okolice Pułtуска

– Maks, nie za wcześnie dzwonię? Nie obudziłem nocnego marksa?

– Już wstałem. – Słyszę ziewanie.

– Słuchaj, wiem, jak to ugryźć.

– Co?

– Jak zgarnąć twojego szantażystę. Powinieneś założyć tę czapkę, o której mówił. Pokazać się w niej na najbliższej próbie z orkiestrą. Daj sygnał, że jesteś gotowy zapłacić.

– Ale ja nie zamierzam! – Kompozytor natychmiast przestaje być senny. – Człowieku, czy ja potrzebuję detektywa, żeby po prostu wykaszleć forszę?!

– Nie o to chodzi – tłumaczę spokojnie, jak dziecku. – Przekazanie okupu to najsłabszy moment każdego szantażu. I najlepszy, żeby złowić sprawcę. W budynku filharmonii, jeśli on tam działa, to będzie trudne. Ten ktoś raczej rozumie zasady gry, którą z tobą toczy. Proste numery ze świecącym proszkiem czy ukrytymi kamerami nie przejdą. Za cwany jest na to. Ale gdy wyciągnie łapki po okup, sytuacja się zmieni na naszą korzyść.

– Założmy więc. Pokazuję się w czapce. I co potem?

– Kilka scenariuszy. Jeden, że się przestraszy i wycofa. Wtedy go nie złapiemy, ale przynajmniej zyskasz spokój. Ale sądzę, że raczej przekaże ci instrukcje, jak przekazać forszę. A kiedy się dowiemy, co wymyślił, to ja już będę wiedział, co robić.

W słuchawce przez długą chwilę panuje cisza.

– Wiesz co, Roman? Zaczynam się wahać. Krystyna powtarza, że lepiej tego gnoja ignorować. Za niecałe dwa tygodnie mam premierę, potem wyjeżdżam z Polski. Zostawię ten brud za sobą. Szkoda mojej duchowej energii na takie rzeczy.

– Słuszne podejście – mówię.

Zawsze zachęcam klientów, by nie zaczynali wojen, jeśli naprawdę nie muszą. I znów na łączu panuje cisza.

– Jednak porozmawiajmy jutro, jak będę w Warszawie – decyduje wreszcie. – Chcę z tobą rozważyć wszystkie za i przeciw. Znajdziesz chwilę około południa? W Bristolu. Potem będę miał jeszcze parę spraw, a wieczorem lecimy z Dąbrową do Budapesztu. Odbieram medal europejskiego człowieka kultury czy coś w tym rodzaju. Więc będziemy musieli się streszczać.

– Będę przygotowany.

Jestem rozczarowany przebiegiem rozmowy. Dopiero wobec groźby, że się straci klienta, dociera do nas, jak dobrze jest go mieć. Ale może jeszcze nie wszystko stracone, poza tym jestem prawie na miejscu.

Godz. 12.29
Wieś Szygówek nad Narwią,
okolice Pułtuska

Nawet w dawnych czasach, gdy zaglądaliśmy tu na imieniny szefa i na grille, które urządzał nad Narwią dla młodych śledczych, łatwo było zgubić drogę. Po zjeździe z asfaltu trafia się w las, w labirynt wijących się szutrówek, które wciąż się rozwidlają, wpadają w inne – poskręcane i podobne do siebie jak nitki makaronu w garnku. Spodziewałem się, że teraz, pod śniegiem, będzie jeszcze gorzej. Tymczasem okazuje się, że gmina puściła traktor z pługiem z Szygówka aż do szosy na Pułtusk. Dojeżdżam jak po sznurku.

Wieś sprawia wrażenie wymarłej. Jest typowo letniskowa, niewielu zostało tu starych mieszkańców, prawie nikt nie uprawia ziemi. Nielicznych miejscowych kiedyś złościło bogactwo „miastowych”, którzy od razu stawiali sobie lepsze domy, mieli samochody, ładne żony, czyste ubrania. Dziś miejscowi też mają samochody.

Działka szefa leży kawałek za wsią, blisko rzeki. Bramę wjazdową zastaję szeroko otwartą, jakby się mnie spodziewał. Ale to niemożliwe, nawet żona nie ma z nim kontaktu, przez te gęste lasy zasięg komórek szwankuje. Z komina drewnianej chłopskiej chaty, która pod koniec lat osiemdziesiątych zeszłego wieku została tu zwieziona w częściach bodaj z Kurpiów, smuży się dym. Drzwi są zamknięte. Nikt nie odpowiada na stukanie, więc ruszam wydeptaną w śniegu ścieżką nad rzekę.

Widzę go od razu, gdy z gęstwiny zaśnieżonych krzaków wychodzę na skutny lodem brzeg. Siedzi z króciutką wędką na składanym krzeselku nad wyciętą w lodzie przerębłą. Narew wylała, jest zamarznięta na całej szerokości. Wiatr zawiewa wściekle, kołuje śniegiem w powietrzu – jak na zimowej pocztówce.

Nie widać nikogo innego na całym odcinku rzeki. Ruszam w jego stronę, uważnie stawiając kroki, bo lód pod śniegiem jest zdradziecki, ślisko jak cholera. Szef odwraca głowę w uszatej czapce z zająca. Zapuścił brodę. Mruży oczy pod bujnymi brwiami.

- Kto ci tak skuł mordę, Romek?
- Źli ludzie, szefie.
- Zawsze tak się tłumaczysz. Tylko kiedyś to głównie inni obrywali, a ja

musiałem ci chronić tyłek.

– Tak było i tym razem, szefie.

– A ja myślę, że wreszcie ktoś cię załatwił. Starzejesz się.

– Jak szef uważa.

– Za cienko jesteś ubrany. Dygoczesz. A może jesteś chory?

– Nie, szefie.

– Ktoś o ciebie teraz dba? Słyszałem, że Baśka wyrzuciła cię z domu. Zawsze uważałem, że kiedyś pozna się na tobie i zrozumie, że nie powinna za ciebie wychodzić.

– Zrobiła to tylko dlatego, że szef już był żonaty.

Karol Buholtz, legenda wydziału zabójstw jeszcze w niesłusznych czasach milicji, nasz mistrz zawodu, którego nazywaliśmy Starym, na długo zanim faktycznie stał się stary, chichocze zadowolony i podnosi się ze swojego krzeselka. Starannie nawija żyłkę na kołowrotek wędkę. Na lodzie obok wykutego otworu leży kilka zamrożonych płotek i jeden spory leszcz, który wciąż mozolnie porusza pokrywą skrzelową. Stary schyla się z widocznym trudem i wrzuca ryby po kolei do plastikowego wiaderka z wieczkiem. Wręcza mi je, potem składa swoje krzeselko i też daje mi do niesienia.

– Zawsze ktoś przylezie mi przeszkadzać, akurat gdy ładnie biorą.

Pół godziny później siedzimy w chałupie przy buzującym kominku i popijamy bimber ze szklanek do herbaty. Na zakąskę szef dał kiszzone ogórki i chleb ze smalcem. Ustaliliśmy, że zostaję tu na noc – choć jest ryzyko, że znów śnieg zasypie drogę. Przywiezioną przeze mnie butelkę bułgarskiego koniaku Słoneczny Brzeg, kiedyś jego ulubionego, obojętnie odstawił na bok. Ale wiem, że i na nią przyjdzie kolej.

Kudłaty jak niedźwiedź, z brodą koloru soli z pieprzem, ubrany w niegdyś służbowy ciemnozielony sweter z naszywkami i sztruksowe spodnie, szef prezentuje się nieźle jak na swoje lata – a dobija chyba do osiemdziesiątki. Szura nogami i porusza się trochę sztywno, ale jest bystry jak szpak i zdrowie wyraźnie mu dopisuje. I wciąż ma to władcze coś w oczach, które sprawia, że mimo zachęt, a nawet wypitego bruderszaftu, nie potrafię się przemóc i mówić do niego „Karol”. Byłemu podwładnemu nie przechodzi to przez gardło. Stańto na szefie, jakby w połowie drogi między „pan” a „ty”.

– Na ubraniu Górskiego nie było śladów krwi?

– Żadnych – mówi szef bez wahania. Pamięta najdrobniejsze szczegóły sprawy z 1984 roku. – Ale mógł najpierw rozebrać się do naga. I dopiero wtedy zaciukać żonę.

– Mógł. Mieliśmy taki przypadek.

– Na Mokotowie, przy Wilanowskiej, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym – potwierdza. – Piekarz.

– Żona chciała rozwodu, bał się, że zabierze mu zakład, bo na nią był zapisany. – Teraz ja popisuję się pamięcią. – Potem wziął prysznic, przelał chlorem kolanko pod sitkiem, ubrał się i jako zrozpaczony wdowiec zadzwonił po policję.

– Pamiętasz też, jak go przygwoździłem? – pyta szef z dumą.

– Ślad krwi na zasłonie prysznic. A kompozytora szef sam słuchał w Mostowskim? – delikatnie naprowadzam go znów na swoją sprawę.

– Razem z takim Gładyszewskim. Nie znasz, już nie żyje. Robił za złego. Obstukiwał Górskiego, ale skurwiel ani pisnął.

– Takie były procedury – mówię ze zrozumieniem.

Szef wychyla resztę zawartości ze swojej szklanki.

– Ano. I zawsze będą. To w sumie dobra metoda, wynikowo patrząc. Ale tamtej nocy nie zadziałało. Facet zachowywał się tak, jakby nic nie czuł. Żadnego bólu. Nawet badaliśmy go na narkotyki.

– Szef nic nie wskórał po dobroci?

– Nie było dość czasu. Rano ci z SB zabrali nam śledztwo i świadka. Albo to wojsko za tym stało? – Zamyśla się. – Nie pamiętam dokładnie. To się działo tuż po stanie wojennym, podejrzany należał do elity, kurwa, artystycznej. Minister spraw wewnętrznych prowadził gry z opozycją i z warszawką, nam z milicji nie ufał. A służby były rozprężone. Różni pułkownicy kombinowali operacyjnie na własną rękę, nikt nad tym nie panował, ci na szczycie nie wiedzieli, co się wyrabia niżej. Aż parę miesięcy później idioci ukatrupili Popiełuszkę. To ich dopiero otrzeźwiło.

– A może szef pamięta, kto konkretnie przejął Górskiego?

Buholtz zastanawia się, bezwiednie pocierając palcem po skroni.

– Chyba Kącki – mówi wreszcie. – Tak, twój imiennik. Pułkownik Roman Kącki. Wkroczył do pokoju przesłuchań, pokazał rozkaz podpisany przez ministra i zabrał świadka. Z wszystkimi protokołami. A może rozkaz podpisał sam Jaruzelski. Cholera, nie pamiętam.

- Czyli raczej zabrało go wojsko, nie SB.
- Kącki był oficerem łącznikowym generała i do specjalnych poruczeń. Działał z różnymi służbami.
- A które pionki w wojsku i w służbach cywilnych mogły przejąć taką sprawę?
- Jeśli sprawa śmierdziała, do reformy Kiszczaka w SB to byłby pewnie pion trzeci, działalność antypaństwowa. Ale która służba potem, to ci nie powiem. Wszystko wtedy wymieszali. Minister przyszedł z wojska i podporządkował bezpieczeństwo wywiadowi wojskowemu.
- Żyje jeszcze ten Kącki?
- Szef kręci głową z powątpiewaniem.
- On był już wtedy w sile wieku. Nie jestem pewien. A czemu w ogóle grzebiesz w takich starociach, Romek? Klient jakiś się znalazł?
- Morderstwo do dziś nie jest wyjaśnione.
- Ja bym wyjaśnił. – W głosie starego człowieka pojawia się nuta chępliwości.
- Moim zdaniem mieliśmy właściwego kandydata. Dzień, dwa dłużej i byśmy postawili mu zarzuty.
- To czemu tamci go puścili?
- Wzrusza ramionami i znów napełnia szklanki.
- Mówiłem, ale ty jak zawsze nie słuchasz, Medyna. Minister podlizywał się warszawce. Jaruzelski zresztą też: wystarczyło, że żona jakiegoś opozycjonisty czy artychy poprosiła ładnie o spotkanie, a generał kazał wypuszczać z internatu czy nawet warunkowo z mamra. O Maksymiliana, kurwa, Górskiego, o ile pamiętam, Zachód się upomniał. Konkretnie Francja.
- To jednak było głośne morderstwo, tej żony.
- I co z tego?
- Jak szef z tym Gładyszewskim go słuchali, nie sprawiał wrażenia, że jest w szoku?
- Pewnie trochę. Potem faktycznie się rozchorował.
- Więc nie da się wykluczyć wersji, że opozycja miała rację? Że żonę kompozytora pokroił ktoś z waszych?
- Żeby do końca wykluczyć, to nie. – Szef podnosi szklankę do ust, wypija połowę i odstawia na blat stolika tak energicznie, że trochę bimbrowy rozpryskuje się na chleb i ogórki. – Kwestia, kogo uznasz za „naszych”. Było zabijanie w bezpiece,

było w wojskowych służbach. Taka jest prawda.

– Zna szef konkrety?

– W twojej sprawie nie. Ale oprócz Popiełuszki kilka przypadków by się znalazło, mniej głośnych, bez finału w sądzie. Teraz mam czas na książki, przeczytałem chyba wszystkie na temat dawnych tajnych operacji cywilnych i wojskowych. Dużo chłamu, ale też prace poważnych historyków. Z IPN i innych. Z gośćmi, którzy wtedy coś znaczyli w sprawach wewnętrznych, też gadam. Z kilkoma łowię ryby tu nad Narwią. Siadają na tym samym fotelu co ty, piją ten sam zajzajer, jeśli tylko zdrowie pozwala. I wspominamy różne sprawy, jak to stare dziady. Oficjalnie wyśmiewają temat, jak jakiś dziennikarz się zgłosi, ale we własnym gronie nie oszukują. Niewiele ryzykują, bo takie rzeczy się robiło bez papierków, rozkazy szły ustne. Dowodów nigdy nie będzie.

– Dużo było takich zabójstw?

– Dokładnej liczby nikt nie zna. Sam z dobrych źródeł słyszałem o kilku. Na palcach jednej ręki policzę. W Polsce nie było tego aż tak dużo, jak w innych demoludach, w Rumunii na przykład. Więc można też wysnuć wniosek, że większość z tych opowieści o mordercach z komunistycznej bezpieki jest dęta.

– Jednak ludzie ginęli.

– Ludzie giną z wielu powodów. Zobacz, ile razy w Krakowie otwierali śledztwo w sprawie tego studenta, ponoć zabitego przez SB w siedemdziesiątym siódmym. Możesz nie wierzyć dochodzeniom z czasów komuny, ale później, w wolnej Polsce wszyscy święci prześwietlali tamto zdarzenie: prokuratorzy, komisje specjalne, historycy, dziennikarze. I co? Dupa! Na koniec wciąż wychodzi, że to był nieszczęśliwy wypadek.

– Koledzy tego zabitego mają inne zdanie.

– Udają, że coś wiedzą, a wiara w spiski jest silniejsza w Polsce niż wiara w Boga. Ale jak się zgadało o książkach, coś mi się przypomniało. Zaczekaj.

Szef przez chwilę szpera na półkach, które zajmują całą ścianę z tyłu chaty. Wraca z tomem obłożonym w starą gazetę. Mama też tak okładała książki.

– Natrafiłem na wyprzedaży za złotówkę. Brat tej zabitej Zofii Górskiej napisał. Mnie on wygląda na idiotę, ale parę ciekawostek tu znajdziesz... Możesz zabrać do domu. Teraz pijemy, nie czytamy. I opowiesz mi, co się dzieje z tobą i Baśką... Bo chyba nie jesteś aż takim kretynem, żeby spieprzyć takie małżeństwo, Roman?

Godz. 23.48

Gdy wiatr się uspokaja, na poddaszu jest cicho, aż w uszach dzwoni. Ostatni raz, gdy tu nocowałem, korniki żarły belki tak, że było je słychać. Aż dziw, że chałupa wciąż stoi. No, ale to było latem... Prawie zasypiam, gdy w ciemności z gwizdem wpada esemes. Coś musiało się zmienić w pogodzie nad lasami, chmury się rozwiały albo przeciwnie, w każdym razie sygnał GSM wzmocnił się i komórka odebrała wiadomość. Po omacku sięgam do kieszeni bluzy, którą powiesiłem na oparciu krzesła przy tapczanie.

Mój kumpel Włodek chce umówić się na piwo, ale nie może się dodzwonić. Trzy godziny temu pisał. Odpisuję mozolnie, myląc litery, że odezwę się rano, i zapadam w pijacki sen, wciąż trzymając aparat telefoniczny w ręce.

Godz. 23.58
Gdzieś w Warszawie

Znów nie mogę zasnąć; trzeba wstać i wziąć proszek. Myślę i myślę, ale nie chce być inaczej. Należało odwołać ten skok. Decyzja jest słuszna. Cholerny trup ściągnął na nas uwagę. Pewność siebie gubi ludzi, pycha kroczy przed upadkiem. Błędy popełnia się szybko, siedzi się długo.

Ale zawieja za oknem! W taką pogodę możesz ukraść Pałac Kultury i nikt nie zauważy. Jednak lepiej się przyczać.

Jerzos się rzuca, że pękam, a takie dobre miejsce udało się nam znaleźć. Ale Marlenka nawet się nie odezwała. Dziewczynka zna swoje miejsce w szeregu, a Jerzos pruje pysk. Jest pazerny na kasę i to go zaślepia. Pod celą wydawał się w porządku, ale to było kiedyś. Teraz mnie drażni. Odwykłem przez ostatnie lata od myślenia recydywy. A właściwie – bezmyślności.

Dzień dwunasty

Piątek, 13 stycznia 2017

Godz. 9.05
Wieś Szygówek nad Narwią
okolice Pułtuska

Budzę się w świecie tak białym, że po wyjściu z chałupy przysłaniam ręką oczy. Śniegu napadało od groma, bez terenówki nie ma mowy o wydostaniu się z puszczy. Szef smaży jajecznicę, kroi grube pajdy wiejskiego chleba, zaparza dzbanek kawy. Po śniadaniu gwizdże na psa i idą do wójta, by dowiedzieć się, czy gmina planuje przetrzeć trakt do szosy.

Z braku lepszych zajęć zabieram się do przeglądania otrzymanej wczoraj książki. Tytuł: *Zamordowana muza*. Pod spodem mniejszymi literami: *Kulisy zabójstwa wybitnej kompozytorki Zofii Szmit*.

Autor – Kazimierz Szmit.

Z ciekawości zdejmuję papier z książki, żeby zobaczyć okładkę. Z czarno-białej fotografii patrzę oczy zamyślanej szczupłej szatynki. Może dowiem się czegoś interesującego o pierwszej żonie swojego klienta. Siadam w wiekowym fotelu przy oknie chałupy i już po kilku minutach nie mam wątpliwości, że Kazimierz Szmit kochał siostrę, a Maksymiliana Górskiego nienawidzi jak psa.

Na skrzydełku z tyłu książki jest fotografia autora. Około pięćdziesiątki, włosy typu Jezus, do ramion. Pociągła, trochę napuchnięta twarz.

Typ artychy; w krótkim wstępie do książki z dużą kreatywnością piętrzy obelgi pod adresem byłego szwagra: „agent bezpieczeństwa”, „beztalencie”, „arywista i złodziej”. „Miernota bez skrupułów”, „kariera po trupach”. I jeszcze, „pseudoświatowiec z krwią na rękach”.

Sprawdzam datę publikacji: 2008.

Jak się stąd wydostanę, upewnię się, co dokładnie znaczy „arywista”. Ale mój zapał do lektury słabnie, z doświadczenia wiem, że za najmocniejszymi oskarżeniami zwykle mało się kryje. Zaczynam jednak czytać, nie mam nic lepszego do roboty.

Autor zaczyna od rozwlekłego opisu, jak wielką pozycję w polskiej muzyce zajmowała rodzina Szmitów. Pradziadek Benedykt grał w orkiestrze na prapremierze *Straszego dworu* Moniuszki, a jego syn Józef był jednym

z nadwornych muzyków przy dworze cesarza Franciszka Józefa w Wiedniu. Kolejne pokolenia kontynuowały tradycję, pierwszy koncertowy fortepian Steinway ze słynnej fabryki w Hamburgu znalazł się w krakowskim mieszkaniu Szmitów już na początku dwudziestego wieku. W latach siedemdziesiątych to Zofia Szmit, a nie jej przyszły mąż, w klasie kompozycji konserwatorium w Krakowie uchodziła za fenomenalny talent. Jej wczesne utwory – nie Górskiego, który dorastał jako Alojzy Główka w rodzinie małopolskich rzeźników, a nazwisko zmienił jako dwudziestolatek – otworzyły „epokę” w muzyce współczesnej.

Przelatuję wzrokiem rozdział, w którym brat ubolewa, że siostra zignorowała ostrzeżenia rodziny i zdecydowała się wyjść za mąż za „parweniusza Główkę”. Ten nie zrażał się początkowym brakiem zainteresowania ze strony dziewczyny. Traktował Zosię jak księżniczkę, otaczał opieką, w przenośni i dosłownie nosił ją na rękach. Na koniec dopiął swego. Studencki ślub zgromadził tłum w krakowskim kościele i potem w akademiku. Rodzina i przyjaciele robili dobrą minę do złej gry. Sam autor, zgrzytając zębami, w zastępstwie chorego ojca poprowadził siostrę do ołtarza, czego do tej pory nie może sobie darować.

Dalszą część książki zajmuje mało dla mnie zrozumiały wywód na temat *Symfonii żałobnej*, najważniejszego utworu młodziutkiej kompozytorki. Autor twierdzi, że utwór Zofii Szmit był „olśniewającym, w pełni dojrzałym arcydziełem”, „absolutnie przełomowym” dla muzyki współczesnej, „opartym na nowatorskiej kombinacji systemów harmonicznym” o „trzech i pięciu interwałach symetrycznie ułożonych konsonansów i trójdźwięków”. Dla mnie abrakadabra, ale odnoszę wrażenie, że tu autor akurat ma pojęcie, o czym pisze. Pod jego zdjęciem na skrzydełku czytamy, że jest malarzem, który od dziecka uczył się też muzyki „w mieszkaniu ze starym fortepianem, pod baczny wzrokiem naszych wielkich przodków z portretów na ścianach”.

Dalej Kazimierz Szmit twierdzi, że dzieło siostry nigdy nie zostało wykonane pod nazwiskiem prawdziwej autorki. Publiczność po raz pierwszy usłyszała utwór na festiwalu „Warszawska Jesień”, wznowionym we wrześniu 1983 roku po przerwie spowodowanej stanem wojennym. Nosił nazwę *Wariacja symfoniczna jeden i pół*, a jako autorzy na plakatach występowali Maksymilian Górski i Zofia Szmit-Górska. Dyrygował osobiście Maksymilian. Został wygwizdany i zszedł ze sceny czerwony z wściekłości, ale kilku obecnych w sali zagranicznych fachowców, którzy zjechali do Polski na ten właśnie festiwal, było pod wrażeniem.

Dlaczego Zofia zgodziła się podzielić autorstwem z mężem, autor nie wyjaśnia.

Dyrektorowi muzycznemu Filharmonii Narodowej też musiało się coś spodobać

w wygwizdanym dziele, bo zaprosił młodych kompozytorów do rozmowy nad udoskonaleniem kompozycji. Jakiś czas później, wyraźnie zadowolony z jej nowego kształtu, wyznaczył termin światowej premiery dzieła na początek sezonu 1984/1985. Tym razem Maksymilian figurował jako wyłączny autor. A Zofia krótko przed triumfalną premierą straciła życie w tajemniczych – „choć może wcale nie tak tajemniczych”, pisał jej brat – okolicznościach.

Szef wrócił. Stęka w sieni, ściągnając baranicę i ciężkie filcowe buty. Akurat w momencie, kiedy lektura zaczęła mnie naprawdę ciekawić: Szmit stwierdza na stronie czterdziestej drugiej, że dysponuje nie tylko osobistą wiedzą, ale również „żelaznymi dowodami” przeciwko temu, kto zabił jego siostrę. „Wszystko czarno na białym, nie do podważenia – pisze. – Wystarczy, że przedstawiciele władz (prokuratury albo policji) się zgłoszą, a wszystko zostanie położone na stół. Jeśli ktoś jest jeszcze zainteresowany w Sprawiedliwości”.

Zamykam książkę z myślą, że skoro przez osiem lat to się nie wydarzyło, musi być jakiś powód.

– Traktor z pługiem już poszedł – mówi szef. – Za pół godziny możesz ruszać do Warszawy. Jak książka?

– Trudno powiedzieć. Kompozytor podał autora do sądu o zniesławienie?

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Mój były szef kuca, by dorzucić do pieca szczapę twardego brzoźowego drewna. – Ciekawe, co?

Godz. 12.10
Hotel Bristol

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 42/44

– Czy to takie dziwne? – Maksymilian Górski kręci głową zniesmaczony, oddając mi książkę nad przykrytym białym obrusem stołem w restauracji Marconi.
– To zwykły paszkwil. Mój były szwagier to idiota i nienawistnik, zawsze mnie zwalczał. Zosię to bardzo bolało. Po jej śmierci zerwałem z nim wszystkie kontakty, jego maniackie zarzuty były nie do zniesienia. Zauważ, że sam wydał tę książkę, żadne wydawnictwo jej nie chciało. Została zignorowana, zero recenzji w prasie, zero reakcji w środowisku muzycznym. Nikt się nie dał nabrać na jego teorie. Gdybym teraz Kazika pozwał do sądu, tylko zrobiłbym mu reklamę i przydał znaczenia tym wariackim rojeniom.

– Adwokat tak poradził?

– Nawet nie pytałem adwokata. Sprawa od początku była dla mnie jasna. Jak ty trafiłeś na ten... śmieć?

– Staram się być systematyczny, proszę pana.

– Jesteśmy po imieniu, Roman – zauważa.

– Będziesz miał coś przeciwko temu, żebym za twoje pieniądze jednak wybrał się do Katowic porozmawiać z tym Kazikiem?

Kompozytor wybałusza na mnie oczy.

– Mówię ci, to wariat! Poza tym wcale nie jestem pewny, czy chcę się dalej bawić w to dochodzenie.

– Wspominałeś. Ale my szukamy kogoś, kto cię raczej nie lubi, Maks. Zaglądam pod każdy kamień na polu, nawet jak jest obsrany przez trznadle. Moja praca na tym polega.

Górski wzdycha ciężko, krzywi się.

– Zmęczony tym jestem.

– Ludzie mówią, że najciemniej jest przed świtem. Stara prawda, mnie się potwierdza w życiu.

Mój klient ma minę, jakby łykał gorzkie lekarstwo.

– Naprawdę uważasz, że akurat tobie się uda?

– Myślę, że jest szansa.

– No to jedź. – Wzdycha z rezygnacją. – Nigdy nie nabiorę rozumu. Ale dlaczego do Katowic? On już nie mieszka w Krakowie?

– Adres wydawcy jest w książce. Agencja Artystyczna Szmit. Rozmawiałem z nim przez telefon.

– To jedź – powtarza, wzruszając ramionami, patrzy na zegarek, który nosi na prawym nadgarstku. – Ale pamiętaj, że mam już serdecznie dość tej historii. I tego kraju, gdzie każdego, kto wyrasta ponad przeciętność, obryzgują świńskim gnojem. I jeszcze te wieczne próby wyciągania pieniędzy... Kazik już dawno próbował mnie wydoić. Nie zdziwię się, jeśli to on stoi za szantażem. Tak, masz rację, jedź do niego.

– Opowiedz o tym dojeniu.

Patrzy na zegarek i potrząsa głową.

– Nie w tej chwili, czas się skończył. Ale wiesz co? Leć z nami do Budapesztu. Muszę tam być wieczorem. Pogadamy wreszcie dłużej, po drodze i na miejscu. A rano, jeśli zechcesz, w drodze powrotnej wysadzę cię w Pyrzowicach pod Katowicami. Sam się przekonasz, co to za pokraka ten Kazik. Startujemy z Bemowa około szesnastej. Dasz radę?

– No, nie wiem...

– Daj się namówić. – Maks weseleje na jakąś myśl. – Nie będziesz żałował. Zabawimy się trochę u braci Madziarów.

Godz. 13.01
Zarząd Główny Polskiego Zrzeszenia
Banków Rolnych
Warszawa, ul. Jasna 1/3

Dziś pani wiceprezes ubrana jest w obcisłe dżinsy i koszulę w kratę. Przechodzi mi przez myśl, że odchodzi z pracy i przyszła zabrać rzeczy. Ale jej gruba sekretarka przywitała mnie w luźnym swetrze. Urzędnicy, których widziałem na korytarzu, też zostawili w domu garnitury.

– W piątki mamy dzień *casual* w centrali. – Giwera jakby czytała w moich myślach. – Obowiązują stroje sportowe. Dużo korporacji to wprowadza, żeby pracownicy czuli się jak rodzina. Ale pan Roman i tak nie jest wrażliwy na elegancję kobiet. Po co się starać...

Jej makijaż przeczy tym słowom. Tylko nad oczami musiała spędzić z pół godziny. Pamiętam, jak się to odbywa, nieraz nasze wyjścia z Bašką opóźniały się przez takie malowanki.

– Podpiszemy umowę?

Rozkłada ręce jak papież.

– Jeszcze nie dziś. Przepraszam w imieniu zarządu.

– Bez zaliczki już więcej nie kiwnę palcem.

– Więcej? A co takiego do tej pory zrobiłeś w tej sprawie, kotku?

– Przepracowałem na rzecz banku dwie pełne dniówki. W tym jedną, tłukąc się po kraju i spalając własną benzynę.

– I?

– Znalazłem dobre miejsce na pułapkę.

– Zmieniam się w słuch.

– Wyjaśnię, jak będzie zaliczka.

– Mów teraz. Jeśli mnie przekonasz, sama dziś ci puszczę. Jakoś to rozksięgujemy. Pięć tysięcy?

– Może być.

Szczegółowo opisuję, jak wytypowałem bank w Płońsku. I czego potrzebuję od

niej jako wiceprezeski.

– Mam rozgłosić w centrali, że przez weekend będzie tam zdeponowana większa suma? – Kręci głową. – Jak niby miałabym to zrobić? Dlaczego mielibyśmy trzymać gotówkę akurat w tej dziurze?

– Wymyśli pani coś. Nie znam się na bankowych procedurach. Ale chyba jakieś pieniądze transportujecie od czasu do czasu? Ktoś w centrali o tym musi wiedzieć, prawda? Księgowość, logistyka, ochrona. W zasadzce musi być przynęta. Jak kawałek żółtego sera w łapce na myszy.

– Jak wiesz, w naszych bankach nie ma porządných sejfów. Zagwarantujesz, że pieniądze będą bezpieczne?

– Jeśli będziecie się ściśle trzymali moich instrukcji, to raczej nie przepadną.

– Kiedy mają tam trafić?

– Przyszła środa. Albo czwartek. Żeby były na miejscu w pochmurną noc. Do tej pory złodzieje wykonywali swoje skoki głównie w tygodniu. Miałaby pani prezes dwa dni, żeby wszystkiego dopilnować.

– Spróbuję.

– Jeszcze ten Malicki, wasz behapowiec...

– Leszek. Co z nim? Jego też wtajemniczyć?

– Wręcz przeciwnie! Czy jego żona często choruje?

– Krysia, nasza personalna? Dziwne pytanie. To istny okaz zdrowia. Rano wyglądała kwitnąco. Podejrzanie kwitnąco, gdyby ktoś mnie pytał. Chyba ma kogoś na boku. Też chciałabym tak wyglądać, Medyna...

– Pani prezesce nic nie brakuje.

– To mnie nie zawieź, żonaty detektywie.

Godz. 13.23

**TK Maxx, Domy Towarowe Wars & Sawa
Warszawa, ul. Marszałkowska 104/122**

– Wbili mi wizę od ręki! – Wicio już się cieszy na podróż. Było mu łyso, gdy Renka popłakała się przy pożegnaniu na Centralnym. – Przecież nie będzie im źle we Wrocławiu u krewnej, prawda? – zastanawia się teraz. – To wdowa. Sama zajmuje cały bliźniak. Najważniejsze, że dziewczynom nic nie grozi. Będziesz miał na nie oko, co, Romek?

Jasne. Dla kobiet Wrocław powinien wystarczyć, ale Wicio musi zmyć się z Polski, nie tylko z Warszawy. Zagrożenie jest realne. Wybrałem na spotkanie sklepy w samym centrum miasta, bo tu zawsze panuje duży ruch, jesteście ukryci wśród ludzi. Mamy do kupienia parę drobiazgów, głównie kosmetyki i bieliznę, stanowczo zakazałem obojgu pojawiać się w mieszkaniu przy Międzyborskiej. Blok może być wciąż pod obserwacją. Niewykluczone nawet, że ktoś czeka w środku na nieostrożnych gospodarzy.

– Ubranie dostanę tanio na miejscu – uznał Witek. – W końcu Azja to jedna wielka szwalnia.

Gdy wrzuca do swojej walizki na kółkach drobiazgi z drogerii, zauważam w niej ładnie złożony lniany garnitur z Hydry. Ja swój zostawiłem, byłoby mi równie głupio go zabrać z tamtego domku, jak ręczniki. Ale mój brat zawsze był zapobiegliwy. Poradzi sobie w tym Wietnamie.

– Masz jakiś plan na początek? – zagaduję.

– Zatrzymam się u kumpla, mówiłem ci o nim. Handlowaliśmy razem papierosami elektronicznymi. Rok temu biznes się skończył, on pojechał się rozejrzeć w Azji i od razu został. Prowadzi interesy i teraz opływa we wszystko.

– Da ci robotę?

– Po co? – dziwi się. – Rozkręcę coś własnego.

– Nie znasz języków ani terenu.

– Wietnamce rozumieją po rusku, to i po polsku damy radę – stwierdza mój brat z niewzruszoną pewnością. – A ty, Romek, zamiast mnie zniechęcać, lepiej myśl, jak będziesz ochraniał moje dziewczyny.

– Nie wiem jeszcze – przyznaję. – Ale coś wymyślę.

– Chyba wiem, jak ci pomóc.

– Jak? – niepokoję się.

– Łąduję w Hanoi i od razu wrzucam selfie na fejsa na tle palm. Mają chyba tam palmy, nie? No i piszę, uważasz, że Ameryka Południowa jest piękna. Taką ściemkę robię. Podaj mi jakiś kraj...

– No... Brazylia. Albo Meksyk.

– Napiszę, że w Brazylii jest zajebiście. Jak Kulawiacy to zobaczą, zmarnują dużo czasu i forsy, żeby mnie tam dopaść. Albo od razu machną ręką. Bo ile można się napinać, żeby ukarać jednego muła, co się urwał? Są chyba granice, nie? Tak czy inaczej, odpuszczą, Renka wróci do siebie. A potem ja też, jak tych chujów szlag trafi.

– Dobry plan, Witek.

– No widzisz! Tylko dlaczego to ja zawsze muszę za wszystkich myśleć?

Chcę wierzyć, że mu się uda. Mój brat spada na cztery łapy lepiej od kota. Z czymś takim trzeba się urodzić. Z otuchą w sercu odprowadzam go do wynajętego pokoju, tym razem przy Pięknej, i zakazuję mu się kręcić po mieście. We wtorek rano sam odwiozę go na lotnisko. Wicio przysięga, że mnie posłucha, i ściskamy się mocno na pożegnanie.

Godz. 14.17
Strzelnica PC Gun
Warszawa, Praga-Północ, ul. Wojnicka 4

Tym razem nie wykupujemy czasu w alejce strzeleckiej, obaj z Włodkiem się spieszymy. Wrzucam do maszyny dwie monety pięciozłotowe i przysiadamy na chwilę z puszkami coli w rękach na drewnianych krzesłach w pomieszczeniu z modnej surowej starej cegły, z instalacjami elektrycznymi i rurami na wierzchu.

– Chcę, żebyś sprawdził to od drugiej strony. Czy ktoś zmieniał nazwisko na Lechosław Malicki. Jeśli tak, to jak się nazywał przedtem? I czy nie figuruje w kartotece kryminalnej.

– Da się zrobić. – Włodek kiwa głową. – Szkoda, że od razu o tym nie pomyślałeś. Ale napiszę, że to działacz Platformy. Teraz wszyscy szukają haków na tych ze starego układu. Zwykła stawka?

– Dam ci z góry.

– Przyda się... Aha, uwaga. Ten Dąbrowski, o którego pytałeś onegdaj... Niespodzianka, niespodzianka! To jeden z naszych. Więc bądź miły i nic mu nie łam, jakbyście się pogniewali.

– Chodziło mi po głowie, że jest ze służbami. Będę miły.

Zauważyłem, że jako detektyw wciąż to ludziom powtarzam.

Godz. 16.19

**Przestrzeń powietrzna
nad gminą Sieńki, przy Zalewie Zegrzyńskim**

– To tamten? – Maksymilian Górski stuka palcem w boczną szybę kabiny pilota. Unoszę się ze swojego fotela, żeby zobaczyć.

– Tak, nasz pensjonat.

Pochyla maszynę,niżając się jeszcze bardziej, i pochyła lewe skrzydło, kładąc ją w zakręt. Hucząc silnikami, king zatacza koło nad czerwonymi dachami Urokliwej Skarpy. Już raz widziałem nasze włości z powietrza, wtedy byłem na pokładzie policyjnego helikoptera. Teraz wyglądają jeszcze ładniej, z uporządkowanym terenem, wykończonymi pawilonami i dużą jadalnią pod szkłem wychodzącą na zalew. Z komina pralni unosi się biała para.

– Gratulacje, hotel nad samą wodą – stwierdza kompozytor, ciągnąc maszynę w górę i ponownie na kurs. – W Stanach mówią *waterfront, prime property*. Z przyjemnością będziemy z Krystyną gościli u ciebie. Tutaj to dobry biznes?

– Zapraszam, nie będą państwo rozczarowani.

Potem lecimy nad kołdrą chmur na południe, z lekkim odchyleniem na zachód. Maks informuje mnie, gdy przelatujemy nad Kielcami, potem nad Krakowem i nad Tatrami. Ale tylko trochę wierzchołków gór udaje się zobaczyć, poza tym chmury. Tadeusz Dąbrowski, koleś ze służb, chrapie za nami w salonce zwinięty w skórzanym fotelu.

– Miałeś mi opowiedzieć, jak ludzie próbują naciągać cię na pieniądze – przypominam sobie gdzieś nad Słowacją.

– Od pewnego poziomu to nieuniknione – wzdycha. – Problem wszystkich bogatych. Albo uważanych za bogatych. Ciebie ludzie nie proszą o pożyczki?

– Coraz częściej. Choć bogaty nie jestem.

– Widzisz, to pojęcie względne. Pożyczasz?

– Różnie bywa – przyznaję. – Nie potrafię dobrze ocenić, kto odda, a kto nie. Sparzyłem się parę razy. Ale trudno mi odmawiać.

– No to wyobraź sobie, że jesteś osaczany takimi prośbami praktycznie

wszędzie, gdzie się ruszysz. I że nie oddaje nikt. Znajomi i nieznajomi cisną, bo jest genialny interes do zrobienia, bo komuś dziecko urodziło się z rzadką wadą genetyczną, bo mama ma raka. Albo twój sławny kolega potrzebuje chwilówki, głupie parę tysięcy euro, bo się spłukał w Monte Carlo.

– Odmawiasz?

– Wszystkim nie możesz. Utopią cię. Osmarują w mediach jako kutwę bez serca.

– Aha. To jak sobie z tym radzisz?

– Założyłem fundację charytatywną, przeznaczam na nią cztery procent swoich dochodów. W Hollywood nawet wypada mieć taką fundację. No i są odpisy podatkowe, to też jest prawda. Zatrudniam kogoś do zarządzania darowiznami. Dziewczyna jest psychologiem z zawodu i absolwentką szkoły biznesu. Prześwietla wnioski. Kiedy ktoś mnie zaczyna nagabywać, daję mu wizytówkę fundacji i serdecznie życzę powodzenia.

– Dobrze – stwierdzam. – Choć nie sądzę, żebym znalazł się kiedyś w potrzebie takiego rozwiązania. Tego Szmita, jak przypuszczam, nie udało ci się spławić wizytówką.

– No, nie! Zalażł mi skurwiel za skórę. Kilka lat temu podał mnie do sądu o pieniądze z tantiem za *Wariację symfoniczną*, które rzekomo należały się jego siostrze. Założyli fundację z jakimś krewnym, szemranym adwokatem, nazwali ją imieniem Zosi i w imieniu tej fundacji oskarżyli mnie o plagiat i odszkodowanie. Gigantyczne.

– Na podstawie czego?

– Mieli jakieś partytury studenckich kompozycji Zosi. Twierdzili bezczelnie, że moja *Wariacja symfoniczna jeden i pół* została skopiowana z jej *Symfonii żałobnej*. Biegli nie pozostawili na tej wersji suchej nitki, ale wiesz, jak to jest w polskich sądach. Sprawa toczyła się długo, zanim ostatecznie uprawomocnił się korzystny dla mnie wyrok. W sumie kosztowało mnie to dużo zdrowia, nie mówiąc już o kosztach zastępstwa procesowego.

– Nie byliście oboje z Zofią podpisani jako współautorzy tej pierwszej kompozycji?

Odwraca głowę i przygląda mi się zdziwiony.

– To była wczesna wersja – przyznaje. – Zośka dołożyła kilka swoich pomysłów, ale żaden z nich nie wszedł do końcowej partytury. Premiera w filharmonii była pod moim nazwiskiem. Ona w życiu by się nie dopisała do

cudzej twórczości. Oboje byliśmy bardzo skrupulatni pod tym względem.

– Próbowałeś układać się z jej bratem, załatwić sprawę polubownie?

– Próby były. Ale z pewnymi ludźmi nie da się rozmawiać, Roman. Żadne racjonalne argumenty nie docierają. Rzucają się jak sępy, gdy zwietrzą ofiarę. I nie myśl, że tylko w Polsce. W Los Angeles wytaczają mi procesy po każdej nagrodzie. Najwięcej po Oscarze. Aż pięciu nikomu nieznanym kompozytorów doszukało się podobieństwa swoich kawałków do tych nagrodzonych. Nagłośnili to w mediach, musiałem się tłumaczyć, że nie jestem wielbłądem. Różnica w Stanach jest taka, że tam proces, jak się już zacznie, idzie szybko, a wyrok ma rozstrzygające znaczenie. Wszyscy przyjmują go do wiadomości, sprawa zostaje zamknięta. W Polsce wozisz się po sądach latami, a na koniec i tak cię nie wybielą. W najlepszym wypadku wychodzisz z takiej sprawy sprany na szaro. Jak ten były premier oskarżony o szpiegostwo, nie pamiętam nazwiska...

– W Ameryce wygrałeś?

– We wszystkich przypadkach. Reputacja nietknięta, sępy się nie nazarły. – Milczy chwilę, potem dodaje: – Chcę, żeby jedno było jasne, Roman. Ja nie daję się okradać, ale nie jestem skąpym człowiekiem. Sam chyba to widzisz? Łatwo ze mną negocjować, chętnie dzielę się tym, co mam. Zarabianie przychodzi mi bez trudu, szkoda mi życia na szarpanie się o każdy grosz.

– A gdybyś był biedny?

– Uczciwie? Nie wiem. Może bym próbował się szarpać, jak inni. Ale jakie to ma znaczenie? W życiu znamy tylko jeden scenariusz – ten, który się wydarza.

Po niecałej godzinie lotu Maks prosi, bym poszedł obudzić Dąbrowskiego i sam zapiął pasy. Za chwilę lądujemy w Budapeszcie.

W ostatniej fazie lotu mam trochę stracha. Za sterami pilot amator, a samolot zniża się przy zerowej widoczności. I akurat przypomina mi się z naszej telewizji, że jego kumpel Harrison Ford nie tak dawno rozbił maszynę. Jednak Górski spokojnie gada z wieżą i na przyrządach wyprowadza maszynę precyzyjnie nad lotnisko. Chmury kończą się nagle, za szybą pilota pojawia się rozświetlony czarny pas. Maks sadza maszynę gładko, jak zawodowiec.

Nie biję brawa, ale jestem pod wrażeniem.

Godz. 18.03
Kempinski Hotel Corvinus
Budapeszt, Erzsébet tér 7–8

Bracia Madziarzy przyjmują Maksa po królewsku. Limuzyna długa jak jamnik zabiera go z płyty lotniska, Dąbrowę i mnie pakują do furgonetki. Straż graniczna tylko salutuje, eskorta policyjna na bombie prowadzi nas do centrum miasta. Hotel jest wypasiony niemożliwie: dywany, w których zapadasz się po kostki, kandelabry, marmury. Boy w okrągłej czapce i mundurze generała z operetki niesie do windy torbę kompozytora z taką pieczołowitością, jakby zawierała Arkę Przymierza. Z ukłonem zaprasza Maksa, by wysiadł na pierwszym piętrze. Drugi boy, już bez takich ceremonii, wiezie Dąbrowskiego i mnie na szóste. Spodziewam się, że wylądujemy w jakiejś dwójce, jednak nie, pokoje dostajemy osobne, na dodatek bardzo porządne.

W moim na stole stoją świeże kwiaty, patera z owocami, a butelka bąbelków chłodzi się w stalowym naczyniu z lodem. Nasz artysta mówił prawdę, na współpracownikach nie sępi.

Do dziesiątej wieczór mam czas wolny: Maks odbiera jakiś order od prezydenta Węgier, potem jadą z nim na uroczystą kolację. Ale po wszystkim planujemy się spotkać „w apartamencie szefa na przyjemną resztę wieczoru”, jak to określa Dąbrowski. Mówi mi, że do tego czasu chce się zdrzemnąć, więc sam ruszam na miasto na spacer.

Kiedyś byłem w Budapeszcie służbowo, ale to było wieki temu, niewiele pamiętam. Trzymam się historycznej części śródmieścia, oglądam bez pośpiechu pięknie oświetlone zabytkowe budynki z parlamentem jak z widokówki wzdłuż brzegu Dunaju. Dochodzę jednak do wniosku, że Warszawa nie ma się czego wstydić. Wcale teraz nie odstajemy, nasza stolica też trzyma europejski sznyt.

Jest tu cieplej niż w Polsce, śniegu niewiele. W bardzo zwykłym bistro w bocznej uliczce zjadam potrawkę z kurczaka z papryką, wskazuję danie palcem w karcie ze zdjęciami. Bez problemu płacę kartą; wychodzi taniej niż w Warszawie. Potem przystaję w jakimś barze na czarną kawę i kieliszek sznapsa. Włóczę się jeszcze trochę i bez żadnych problemów odnajduję drogę z powrotem do hotelu. Drzemię w fotelu, gdy Dąbrowski stuka do drzwi.

Godz. 23.10

Maks wita nas w białej koszuli i czarnych spodniach od garnituru; koszulę obciąga przypięty na lewej piersi wielki medal w kształcie gwiazdy. Chyba dla jaj. W apartamencie – cztery razy większym niż nasze pokoje – jest też młoda kobieta z wysmukłym kieliszkiem w ręku. Gospodarz nalewa i nam szampana, przedstawia dziewczynę jako fankę z miejscowej orkiestry symfonicznej. Dąbrowski puszcza do mnie oko, choć i bez tego bym wiedział, że to dziwka. Ale z niezłej półki: długonoga i ubrana w kusą szmatkę, jakiej nie znajdziesz w dzielnicowym markecie.

– Zrób muzykę – mówi Maks i Dąbrowski sięga po pilota do telewizora.

Wyszukuje kanał MTV, kobieta zrywa się z entuzjazmem, zaczyna tańczyć. Maks i jego sekretarz wstają również, ale po chwili jest jasne, że zajmują się sobą. Gdy muzyka spowalnia, mężczyźni się obejmują. Najwyraźniej dziwka jest przeznaczona dla mnie. Ona też dochodzi do takiego wniosku, bo zaczyna się rozbierać, nie spuszczając ze mnie oczu.

– Łeb mnie napierdala – mówię do nikogo w szczególności i odkładam swoje szkło.

Robię różne rzeczy dla swoich klientów, ale takiej akcji nie ma w ofercie.

Nie próbują mnie zatrzymać. Dąbrowski wręcz wydaje się zadowolony, gdy opuszczam imprezę. Chyba jest zazdrosny o względy Maksa.

Godz. 23.50

- To ty, Romek? Co się stało?
- Głos Baśki w słuchawce jest zaspany; daję jej chwilę.
- Jesteś sama? – pytam cicho.
- Tak, sama w łóżku. A co?
- Nic. Chciałem usłyszeć twój głos.
- Biedaku... Mam ci powiedzieć wierszyk?
- Nie kpij. Nie chcę się kłócić.
- Dobrze, odpuszczam. Skąd dzwonisz?
- Z Budapesztu.
- Szkoda... A co ty tam robisz?
- Dlaczego szkoda, Basiu?
- Bo... gdybyś był przed domem, może bym cię zaprosiła na górę. Wstrzeliłeś się z tym telefonem.
- Serio?
- Czasem tęsknię za tobą.
- Ja za tobą też.
- Ciało tak łatwo nie zapomina.
- A ten... Mariusz... Na pewno go tam nie ma obok ciebie?
- Słabe to pytanie, Roman. O nim chcesz rozmawiać?
- Chyba nie. Ale dobrze wiedzieć, że czasem o mnie też myślisz.
- Nie przez cały czas, Romek. Nie wyobrażaj sobie.
- Ja o tobie często.
- Co za wyznanie!
- Znów kpisz ze mnie?
- Jestem szczerą. Ale dzisiaj tak, chciałabym cię tu mieć. Na pewno jesteś w Budapeszcie, nie przed drzwiami?
- Zadzwonię, gdy będę bliżej.

- Odmieni mi się do tego czasu. Albo tobie.
- Pewnie odmieni. Dobranoc, Basiu.
- Skoro cię nie ma, zrobię sobie dobrze sama.
- Chcę posłuchać. Mów mi, co robisz.
- Świntuch! – śmieje się Baśka, ale nie kończy połączenia.

Tej nocy w Budapeszcie śpię lekko, jakbym unosił się w ciepłym, niewidzialnym puchu.

Dzień trzynasty

Sobota, 14 stycznia 2017

Godz. 10.25
Katowice, ul. Lompy 16 m. 4–4A

– Czytasz nuty?

To pytanie Kazimierz Szmit zadaje po otwarciu drzwi mieszkania, jakby pytał o hasło wstępu do swojej twierdzy. W pierwszej chwili nie rozumiem, o co chodzi. Myślami wciąż jestem nad Pyrzowicami.

To było ciężkie lądowanie. W Budapeszcie za sterami dwusilnikowca usiadł Dąbrowski, bo Maks wciąż nie wytrzeźwiał do końca. Za trzeźwość Dąbrowskiego też bym głowy nie dał, ale przestworzy nie pilnuje policja powietrzna z alkomatami, a rano niebo wyglądało lepiej niż wczoraj. Jednak już nad Słowacją zrobiło się gorzej, a nad Polską wlecieliśmy w zamieć i silny wiatr, aż kołysało samolotem. Widoczność beznadziejna. Zaproponowałem, żeby zrezygnowali z wysadzania mnie w Katowicach, ale okazało się, że panowie planowali lecieć do Monachium, nie do Warszawy. Maks na koniec usiadł na drugim miejscu w kabynie pilota, podzielili się zadaniami i po długim krążeniu nad lotniskiem king ciężko łupnął podwoziem o zlodzony pas. Na szczęście wytrzymało i dotoczyliśmy się do terminalu.

W sumie trudno mi zaliczyć ten wyjazd do udanych. Mój zleceniodawca sprawiał wrażenie nieobecnego myślami i chyba stracił zainteresowanie sprawą szantażu. Nie powiedział mi jeszcze, że kończy współpracę, ale może to zrobić przy następnym spotkaniu. Mam złe przeczucia.

Mówi się trudno; zamiast rozpamiętywać stratę, lepiej się skoncentruję na drugim zamówieniu, z banków. Ale skoro jestem już w tych Katowicach, postanowiłem jednak pójść na umówione spotkanie i sprawdzić tego szurniętego Szmita. Nigdy nie wiadomo, co życie przyniesie.

– Nie – odpowiadam. – Nie mam zielonego pojęcia o nutach. Ledwo odróżniam, kiedy grają.

– Na pewno jesteś detektywem? – Obraca moją legitymację w palcach. – Z taką posiniaczoną gębą? Może jednak bokserem? Przypomnij sobie.

– Biję się o prawdę.

Szmit bez widocznego powodu nagle zmienia zdanie i zaprasza mnie do środka.

Jest rosły, prawie mojego wzrostu. W realu wygląda starzej niż na fotografii w książce; w końcu minęło sporo lat. Osiwiał i jeszcze bardziej spuchł na twarzy. Musi łąć gołdę albo coś brać. Od wejścia zasypuje mnie pytaniami, ale nie słuca odpowiedzi. Jego oczy są rozbiegane, jakby miał trudności ze skupianiem uwagi.

Wprowadza mnie do niemożliwie zagraconego saloniku: dywan typu perski, mosiężne kinkiety, obrazy tłoczą się na ścianach. Ciężkie antyki przygniatają niewielki pokój, trudno przejść między kanapą, komodą a fotelami. Na ścianach same portrety – mężczyźni w surdutach, kobiety w długich sukniach zapiętych pod szyją. Płótna są dobrze zachowane, ramy ozdobne, złote albo czarne. Nie jestem historykiem sztuki, ale widzę podobieństwo rysów. Obrazy najwyraźniej przedstawiają członków rodziny gospodarza na przestrzeni kilku pokoleń.

Gdy siadamy, Szmit zabiera się do zaznajamiania mnie z przodkami.

– Mój prapradziad Benedykt Szmit. – Wskazuje mężczyznę z dumnie zadartym nosem, bokobrodami jak kotlety i przedziałkiem pośrodku głowy. – Od niego zaczęła się muzyczna świetność naszego rodu. Jako pierwszy Szmit grał w orkiestrze Teatru Wielkiego, ale nasze tradycje artystyczne sięgają czasów Pierwszej Rzeczpospolitej. Ten w rogu to Hipolit Szmit, budowniczy organów, magnaci kupowali je u niego do kościołów na Kresach. A tamten to Józef, dwadzieścia lat w Wiener Staatsoper, cesarski waltornista na dworze Franciszka Józefa. Obok ciotka Konstancja, odznaczona przez samą cesarzową Zytę komandorią Orderu Elżbiety. Za działalność kościelną ją dostała, ale była też wybitną skrzypaczką. I piękną kobietą, nazywano ją „ozdobą dworu”.

– Widzę. A tamta to Zofia?

– Tak. Niestety, to portret pośmiertny, namalowany przeze mnie z fotografii. Pan ją poznał?

– Z okładki pana książki.

– Nie oddaje jej sprawiedliwości, ale to nie moja wina. Zwykle portrety robi się ludziom dojrzałym, gdy już coś osiągną. Dobry malarz jest w stanie uchwycić głębię osoby i przelać na płótno. Niestety, świeczka biednej Zosi została zdmuchnięta, gdy dopiero zaczynała rozkwitać jako artystka. Jej dobry portret nigdy nie powstanie.

– Porozmawiajmy o niej.

Kładzie palec na ustach.

– Pst! Nie tutaj! – szepcze i wskazuje ręką drzwi obok kuchni.

Za nimi jakieś schody prowadzą na górę.

Godz. 10.40

Malarz zajmuje dwa połączone mieszkania, jedno nad drugim. To na górze zostało przerobione na otwartą przestrzeń pracowni. Zaskakuje mnie sufit: jest cały wyklejony tekturowymi pudełkami na jajka. Chyba to coś w rodzaju wygłuszenia domowych hałasów. Oprócz sztalug i systemu stereo z podłogowymi kolumnami głośnikowymi stoją tu pianino i zestaw komputerowy, typowy pecet z atramentówką HP. Najwięcej miejsca zajmują dwa stoły z litego drewna. Na nich w artystycznym nieładzie porozrzucone narzędzia, z których jestem w stanie rozpoznać tylko tuby z farbą, pędzle różnych wielkości i kształtów, niezliczone szpachelki oraz metalowe urządzenie wielkości starego telewizora, które, sądząc po lekkim zapachu spalenizny w powietrzu, zapewne służy do wypalania czegoś. W każdym razie przypomina stary prodiż. Jedną ze ścian wypełniają porządne drewniane półki, na których ustawiono w równiutkich szeregach kilkaset sztuk białej porcelany, od talerzy przez wazy, salaterki, dzbanki aż po kubki i małe filiżanki do kawy.

Kazimierz Szmit ponownie pokazuje mi gestem, żebym milczał. Skradając się, podchodzi do okien. Na szybach jest coś dziwnego – a zarazem znajomego. Podchodzę przyjrzeć się z bliska: to płyty CD. Na każdej szybie są trzy, przytwierdzone taśmą klejącą, w równiutkich odstępach; wychodzi dwadzieścia cztery sztuki na czterech oknach. Gospodarz, niezadowolony z mojej ciekawości, zasuwa mi przed nosem grubą kotarę. Takie same kotary od sufitu do ziemi wiszą przy pozostałych oknach. Gdy zasuwa ostatnią, w pomieszczeniu robi się ciemno i cicho.

Obawiam się, że resztę spotkania odbędziemy w takich warunkach, ale Szmit zapala świece na stołach. Potem wybiera duży czarny winyl z bogatej kolekcji na półce i odpala na stereo jakiś koncert fortepianowy. Podkręca głośność, potem trochę przycisza, żeby dało się rozmawiać.

Palcem wskazuje na swój dziwny sufit i wywraca porozumiewawczo oczami.

– Podłuch? – pytam, specjalnie głośno.

– Wywiad mikrofalowy – potwierdza ponuro. – Z satelity i lokalny. Osaczają mnie od lat.

– Kto, jeśli wolno spytać?

– Co za różnica? Przeciwnik. – Wzrusza ramionami. – Oni. A co, pan, dorosły człowiek, na dodatek detektyw z zawodu, ma jakieś złudzenia?

– Nie mam żadnych. Wszystko jasne, panie Kazimierzu. Pan bywa może w Warszawie?

– Nie.

– Na pewno?

– Nie lubię tego miasta. Wiele lat nie byłem. Wie pan dlaczego?

– Proszę mi powiedzieć.

– Kraków ma klasę, Śląsk ma duszę. Uczciwą, jak spracowane ręce górnika. A Kongresówka jest skundlona. Warszawą się brzydę.

– Bo tam zginęła pana siostra?

– Też. I tam przyjmuje hołdy jej morderca.

– Przeczytałem pana książkę. Jako podinspektor policji jestem gotowy podjąć pana wyzwanie. Interesują mnie dowody, o których pan napisał.

– Czyli jaki to stopień? – przerywa mi. – Na normalne, znaczy?

– W wojsku byłby podpułkownik.

– Nie wygląda pan.

– Nie za urodę awansowałem. Wystarczy sprawdzić w internecie. Wieloletni funkcjonariusz wydziałów zabójstw. Obecnie licencjonowany detektyw. Tu jest moja legitymacja, proszę...

Studiuje ją z ważną miną, a ja szybko przechodzę do rzeczy, bo nie chcę wdawać się teraz w dyskusję, kto jest moim mocodawcą.

– Napisał pan w książce, że dysponuje pan wiedzą, kto zamordował pańską siostrę. Więc proszę. Uruchomię wymiar sprawiedliwości. Jeśli faktycznie położy pan coś na stole.

– To zrobił jej mąż – oświadcza Szmit uroczyście, kładąc rękę na sercu.

– Przydałoby się więcej.

– Mam niepodważalny dowód. Dlatego pytałem, czy pan czyta zapis nutowy. Ale skoro nie, dysponuję też nagraniem. Usłyszysz pan wszystko na własne uszy! Usiądzie pan w tym fotelu i dobrze się skupi, bo nie będę puszczał swoich dowodów w nieskończoność.

– Dlaczego akurat tu?

– W tym miejscu pracowni jest węzeł akustyczny, najlepszy odbiór.

– Proszę najpierw wyjaśnić. Czego będę słuchał?

– Za chwilę wszystko stanie się absolutnie jasne. – Szmit wciska klawisz adaptera, muzyka fortepianowa kończy się w pół taktu. – Szczęśliwie udało się dotrzeć do oryginalnych partytur mojej siostry, zachowały się w szkole muzycznej. Wśród nich znaleźliśmy podstawowe wersje *Symfonii żałobnej* napisane po śmierci jednego z profesorów szkoły, z którym była szczególnie związana...

– Co ich łączyło?

– Miłość do muzyki.

– Oraz...?

– Oraz wszystko, co łączy genialnego ucznia z wybitnym pedagogiem, proszę pana. Głęboka więź intelektualna i artystyczna. Komunia dusz.

Szmit schyla się i wyciąga jedną z szuflad stylowej komody, na której stoi urządzenie.

– Proszę nie szukać tu tanich sensacji – mówi, łypiąc na mnie gniewnie.

Oczy ma okrągłe, jak wielki, dziobaty ptak.

– Co się stało z tym profesorem? Umarł ze starości?

– Zginął, wspinając się w Tatrach – odpowiada sucho. – Nazwisko też chce pan znać? Dariusz Rossini.

– Dobrze, wróćmy do pana siostry – proponuję ugodowo. – Zeskanował pan może te znalezione nuty? Ja ich nie przeczytam, ale znajdę specjalistów. Pewnie dałoby się zrobić wydruk. – Wskazuję jego drukarkę.

– Jest zepsuta – mówi krótko.

Pochyla się niżej nad szufladą i zaczyna w niej szperać.

– Kontrolka pali się na zielono.

– Drogi panie! – Podnosi głowę i mija mnie wzrokiem. – Ja takimi rzeczami się nie zajmuję. Nie mam prawa jazdy ani pojęcia o obsłudze komputera. Od tego są taksówkarze i sekretarki. Nie odbieram chleba prostym ludziom. Rozumie pan?

Wyjmuje z szuflady plik zapisanego papieru nutowego, potem wydrukowane nuty z okładką i na koniec dwa pudełka z płytami CD.

– Proszę. Tu są oryginalne, zrobione ręką mojej siostry zapisy nutowe jej pierwszej dużej kompozycji. A tu kupiona w krakowskim sklepie muzycznym partytura *Wariacji symfonicznej jeden i pół* z przybranym nazwiskiem pana Alojzego Główni na karcie tytułowej. Zgadza się?

– Widzę. Ale co z tego ma wynikać?

– Wszystko. Niestety, nie tylko policjanci są ignorantami w sprawach sztuki. Również sąd w tym kraju nie był w stanie samodzielnie porównać zapisów dwóch utworów muzycznych. Zwłaszcza że poszczególne partie nie zawsze pokrywają się ze sobą, niektóre są przemieszane albo poprzerastawiane. Między innymi dlatego musiałem pójść w koszty i dokonać nowych nagrań: wielkiego dzieła i żalosnej imitacji.

– *Symfonia* Górskiego nie jest dostępna na płytach?

– Wariacja symfoniczna – poprawia mnie. – Złodzieja Główki. Jasne, zrobiła karierę! Dostępnych wykonań jest jak flegmy w spluwacze, od Berliner Philharmoniker po Tokijską Orkiestrę Symfoniczną. Ze dwadzieścia ensambli ją nagrywało. Tyle że to są wielkie zespoły, po kilkadziesiąt osób, a nas było stać na wynajęcie studia na jedną noc i zapłacenie kilkunastu muzykom. Utwór Zosi jest oszczędny, rozpisany na mały zespół instrumentalny, ale plagiator Główka zaszalał. Nawet harfy są w ukradzonej wersji, armaty i preparowany fortepian. Musieliśmy złodziejskie nuty trochę przearanżować. Żeby dało się porównać utwory.

– I co na koniec z tego wynikło? – powtarzam swoje pytanie.

– Jeszcze pan powie, że chcę panu coś zasugerować. Jak ta głupia sędzia.

Tak jak kazał, rozsiadam się w fotelu i zamykam oczy. Płytką odpala i od razu wiem, że to nie dla mnie. Dźwięki nie układają się w melodie. To są serie męczących, szarpiących zgrzytów, jęki skrzypiec, dudnienia, szумы, stękanie, aż trudno uwierzyć, że coś takiego wykonuje trzeźwa orkiestra. Na dodatek te dźwięki gryzą się ze sobą, serie się przeplatają albo nakładają na siebie jak walczące węże. Niektóre powtarzają się monotonnie jak woda kapiąca z zepsutego kranu, inne cichną albo stają się nie do wytrzymania głośne. Męczy mnie to, jednak po paru minutach jakoś zaczynam ten diabelski koktajl ogarniać, choć nie rozumiem, na jakiej zasadzie. Układa mi się w głowie w pulsującą całość – trudno powiedzieć, że przyjemną. Raczej niepokojącą i przeraźliwie smutną... Jak taniec bezkształtnych upiórów na dnie piekła.

– To była symfonia Zofii Szmit – mówi jej brat, gdy wszystko cichnie. – *Żalobna*. Teraz proszę słuchać drugiego utworu.

Jest do pierwszego łudzaco podobny. Te same nekające dźwięki wydobywane z instrumentów, podobne serie i kombinacje. I taki sam efekt końcowy, gdy nieznośny kłęb hałasu jednak porusza emocje. Też przygnębiający do szpiku kości. Jak trup wykopany w lesie.

– To było nagranie zrobione z partytury złodzieja i mordercy. Przekonał się pan sam.

– Brzmią podobnie.

– Więc ma pan dowód.

– Nie. To nawet nie jest poszlaka.

– Czego ty więcej chcesz, człowieku nieszczęsny, na litość Boga jedyne!?! – Aż sinieje na twarzy.

– Krzyk nic nie zmieni, panie Szmit.

– Wiedziałem, wiedziałem, wiedziałem! – wrzeszczy jeszcze głośniejszym głosem. – Jesteś taki jak inni. Nic nie rozumiesz!

– Wyłumacz więc – specjalnie mówię bardzo cichym głosem, ale on ignoruje wskazówkę.

– Nie kojarzysz najprostszych faktów, debilu łysy?! Młoda, genialna kompozytorka tworzy arcydzieło. Otwiera nowe horyzonty. Kreatura mąż kradnie utwór, a ją morduje z zimną krwią. Z pomocą esbecji robi na swojej kradzieży światową karierę. Koniec opowieści. Czego tu można nie rozumieć?!

– Górski jest na liście IPN jako współpracownik? – pytam jeszcze ciszej. – Albo jako ten Główka?

– Jest za sprytny – odpowiada, nagle rzeczowy, jakby kosmici odpalili mu w głowie zupełnie inną aplikację. – On zawsze trzymał z esbekami. Na wydziale był członkiem komunistycznego ZMS, a w stanie wojennym, kiedy wszyscy wypisywali się z partii, on się zapisał. Po tym, jak zabił Zosię, dostał paszport na to pseudoleczenie we Francji. Sam Jaruzelski dał zielone światło.

– Masz dowód, że to Jaruzelski? Świadka? Dokumenty?

– Wszyscy wiedzą w Warszawie.

– I wszyscy potwierdzą to w sądzie?

– Jak inaczej by się wydostał? Przed zakończeniem śledztwa? Każdy, kto żył w komunistycznej Polsce, wie, że to normalnie było niemożliwe. Na jakieś załamanie nerwowe? Śmiechu warte! Wyjechał, bo był agentem. A przynajmniej współpracował.

– Twoja siostra go wybrała na męża.

– Szybko przejrzała na oczy! Kiedy on ją zabił, ich związek leżał już w gruzach. Zosia znalazła innego, odpowiedniego mężczyznę.

- Nie ma o tym w książce.
- Bo to niczyj interes. Tobie też nie będę opowiadał. O zmarłych mówi się tylko dobrze. Choć dziś i to dla motłochu przestaje mieć znaczenie.
- W tej sytuacji może jednak powinienem poznać nazwisko tego mężczyzny.
- Z moich ust go nie usłyszysz.
- To też był muzyk?
- Może tak, a może nie.
- Górskiemu niczego nie udowodniono w wolnej Polsce – próbuję z innej strony. – A biegli sądowi nie doszukali się podobieństwa w tych nutach. Dobrze zrozumiałem?
- Sędzia była stronnicza! – wybucha. – Najpierw nie dopuściła nagrań jako dowodów. Odrzuciła też nasz wniosek, żeby sama ich wysłuchała, dla własnej informacji.
- Biegli sądowi...
- Co to za biegli?! – piekli się. – Byli durniejsi od własnych trzewików, ale doskonale wiedzieli, z której strony chleb jest posmarowany. Dwa lata błaznom zajęło, żeby wystawić tę rzekomą ekspertyzę. Wiesz, co napisali?
- Powiedz, jakbym nie wiedział.
- Że na podstawie samego zapisu nutowego nie da się stwierdzić plagiatu. Bo są rozbieżności, bo przypadek rzekomo nie spełnia jakichś tam enumeratywnych kryteriów w przepisach. Masz wyobrażenie?
- Składaliście apelację?
- Aż do Sądu Najwyższego. Nawet jej sukinsyny nie rozpatrzyli. Cały proces był od początku ustawiony przeciwko nam. Sądy chronią przestępców. Nie ma prawa ani sprawiedliwości w Polsce, taka jest prawda!
- Maksymilian Górski twierdzi, że w pozwie chodziło wyłącznie o pieniądze. Chcieliście się wzbogacić na cudzej tragedii.
- Szmit znów zrywa się na równe nogi, macha rękami w stronę ściany z półkami, gdzie stoi porcelana.
- Tam, widzisz!? Co tam stoi? Co tam stoi, pytam! – syczy.
- Szkło.
- Austriackie i niemieckie porcelanowe zastawy stołowe – najlepszych firm! Białe, widzisz? Wypalane z dodatkiem kości. Jak myślisz, po co tu są?

– Jak masz mi jeszcze coś do powiedzenia, to lepiej mów, Szmit. Jestem detektywem, zagadki mnie męczą. Zaraz sobie pójdę.

Nie podnoszę się z fotela, ale groźba działa. Uspokaja się momentalnie.

– To jest moje źródło utrzymania – wyjaśnia już grzeczniej. – Mam z tego dziesięć razy więcej kasy, niż potrzebuję.

– Robisz talerze.

– Boże na wysokości, ja jestem artystą! Maluję na porcelanie miniatury – scenki rodzajowe. Przedwojenne sztettele na Kresach, targi, chałupy, zaprzęgi, sanie. Wypalam i przez galerie w Ameryce i w zachodniej Europie sprzedaję swoje miniatury Żydom i emigrantom. Są sentymentalni, poza tym płacą za sztukę na najwyższym poziomie. Ja nie potrzebowałem pieniędzy od zbrodniarza Głównki dla siebie.

– To dla kogo? Górski mówi, że żądałeś cholernie dużo.

– Tworzę fundację dla kobiet kompozytorek, jedyną w swoim rodzaju. Nie ma takiej na świecie. Na to poszłyby pieniądze.

– Każdy tak może powiedzieć.

Bez słowa otwiera inną szufladę, wyciąga teczkę z dokumentami, otwiera i podtyka mi pod nos.

– Zobacz sobie. Akt powołania fundacji. Notarialny, z wszystkimi załącznikami. Tu jest data, fundacja założona została długo przed procesem! – Stuka kościstym palcem w dokument. – Czy się to mordercy podoba, czy nie! – Znow podnosi głos. – I powiem ci coś więcej. Ta fundacja będzie działać! Sam gromadzę środki, niewiele mi już brakuje. Na siebie wydaję niewiele. Fundacja imienia Zofii Szmit zmieni świat muzyki, otwiry go dla utalentowanych kobiet, choć mnie podsłuchują i na każdym kroku rzucają kłody pod nogi!

– Kto pana podsłuchuje i przeszkadza, Szmit?

Wzrusza ramionami z nagłą rezygnacją, garbi się, jakby ostatni spazm złości wyczerpał jego energię.

– Widzę, że nic nie zdziałasz ze swoim nastawieniem. Więc idź już sobie, człowieku. Jesteś dla mnie bezwartościowy, jak oni wszyscy.

Godz. 16.02

**Linia kolejowa nr 1, centralna Polska,
okolice Piotrkowa Trybunalskiego**

W przedziale pociągu PKP Intercity z Katowic do Warszawy mamy wybór w kwestii temperatury: albo może być gorąco i duszno jak w łaźni, albo zimno jak w psiarni. Kręcenie gałką regulatora możliwości pośrednich nie udostępnia. Pasażerowie w przedziale optują za gorącem bez otwierania okna. Większość podróży spędzam więc na korytarzu, patrząc na zimowy krajobraz przesuwany się za oknem i myśląc o różnych rzeczach. Kobieta, która wyszła wypalić papierosa przy uchylonym oknie, próbuje mnie poderwać. Mówię jej, że moja żona, kick bokserka, ma problem z przemocą i jest o mnie chorobliwie zazdrosna. Patrzy szeroko otwartymi oczami na fioletowe ślady na mojej twarzy.

Robota dla Maksymiliana Górskiego wyślizguje mi się z rąk. Przykre, ale nie będę zwijał się w precel, by ratować ten kontrakt. To nie jest tylko kwestia honorowa, również praktyczna. Pieniądze mają to do siebie, że nie przychodzą, gdy się napinasz. Chcesz mieć kasę, po prostu rób swoje, najlepiej jak się da. Do tej pory tego się trzymałem i głodny nie chodzę. Teraz też nie jestem stratny – poznałem znanego człowieka, polatałem samolotem w fajne miejsca, pomógł mi schować brata. W sumie nie mam co narzekać.

Choć pięćdziesięciu tysięcy euro szkoda.

Godz. 17.22
Warszawa

Z Centralnego biore taksówkę na parking lotniska na Bemowie, stamtąd własnym transportem podążam nad zalew. Mam kilka powodów, by nocować u siebie. Brak świeżej bielizny jest najmniej ważny z nich.

Dzień czternasty

Niedziela, 15 stycznia 2017

Godz. 14.50
Kino Narew
Pułtusk, pl. Teatralny 4

W niedziele zawsze spędzam czas z synem. Misiak Jezierski z Michałem juniorem zwykle dołączają i bawimy się w męskim gronie: dwóch patykowatych siedmiolatków, gruby jak hipopotam lokalny gangster i były policjant, obaj z pokomplikowanym życiem.

Zimą Rocko nie oferuje wielu atrakcji, zwłaszcza dla dzieci. Więc zwykle kończymy w parku wodnym hotelu Mazowszanka albo w Legionowie na kulkach w Miki Landzie, albo gdzieś w okolicy w salonie gier wideo. Dziś Baśka, oddając mi Orła Białego, zasugerowała kino, w Pułtusk akurat dają *Epokę lodowcową*, a młody uwielbia kreskówki. Kupujemy z Miśkiem ten pomysł.

Przy kasie chłopcy marudzą, zamiast kreskówki woleliby przedpremierowy pokaz *Konga. Wyspy czaszki*, ale twardo stawiamy na swoim. I dobrze robimy, film okazuje się świetny, beka od początku do końcowych napisów. Potem przenosimy się, jak zawsze, do pizzerii, a synkowie dochodzą do wniosku, że my też stanowimy stado wędrujące przez śniegi i lody: Misiak to mamut, tata Orła – tygrys szablonowy, a oni to młode wilki. Tylko tym głupkiem z wyłupiastymi oczami nikt nie chce być.

– Pasujesz na mamuta – mówię do gangstera, kiedy przynoszą nam aromatyczne gorące placki.

– Jasne. Taki tygrys jak ty mi nie podskoczy.

– Powinieneś wziąć wegetariańską. Mamuty żarły zieleninę.

– Chrzanisz. Na tej lodowej pustyni?

– Może wygrzebywały spod śniegu? A jak twoja dieta? Schodzisz z wagi?

– Na razie powoli – mówi Misiak smutno i sięga po podwójny kawałek pizzy z pepperoni i wieprzowiną. – Lekarz mówi, że jestem ciężki przypadek, men. Spowolniony metabolizm. Postawił mnie na pudełkową. Jak będę ćwiczył regularnie i trzymał dietę, do jesieni powinienem zejść do stu dwudziestu. A za rok będę ważył mniej niż ty.

– No tak, pizza jest w pudełku.

– Od jutra kręcę na rowerku półtorej godziny każdego dnia. Postanowione, men.

– Silna wola to podstawa.

– Mały nie może mieć ojca pod trawnikiem. – Sięga po następny kawałek pizzy, zwija w rulon. – Ale niedziele konował dał mi wolne, mogę żreć, co chcę. Inaczej człowiek by zwariował. A następny raz na pizzę zapraszam do mnie – rzuca i szczyrzy zęby, czekając na moją reakcję.

Interes pod nazwą Don Vito Corleone, Klub Dżentelmena w rynku Rocka oferuje różne ciekawe usługi, ale pizza jest tam z mikrofali.

– Chłopcy są za mali na takie wizyty.

– Już nie. Bałagan zamknięty, men! – oświadcza triumfalnie. – Dziwki odprawiłem, rury do tańca wyrzucone, w tawernie też remont. Będzie perełka, men! Zamówiłem nowe meble, malują Wezuwiusza na ścianie, do kuchni zatrudniłem Włocha.

– Prawdziwego? Z Włoch?

– Z Zielonki. Ale makaroniarz z krwi i kości, Alfredo. Zapuścił u nas korzenie, śmiesznie gada. W knajpie, gdzie był parę lat, już mu nie pasuje. Mówi, że nie chce wyjeżdżać z Polski, w tych Włochach lewactwo szaleje. Przyjął moją ofertę z pocałowaniem ręki.

– Idziesz w koszty, Misiek.

– Zarobi na siebie.

– Jesteś pewny? W biznesie łatwo jest przeinwestować.

– U mnie nie ma tak, że się dokłada do pracownika – obrusza się. – Wszystkie dziewczyny miały pozytywny *cash flow*. To podstawa, czy handlujesz pietruszką, czy cipką. Musi być na plus. Nie inaczej będzie z Włochem.

– Myślałem, że lubiłeś swój biznes.

– Wszedłem w lepszy, men.

– W tawernie?

– Tawerna zostaje dla przyjemności. Biznes jest... ogólny. Większa kasa, poważne towarzystwo.

– Poważni goście nie mają chęci na foczki? – drocą się.

– A i owszem. Czasem mi się wydaje, że tylko o tym myślą. Ale ja już nie dostarczam tego towaru – deklaruje z powagą. – Junior rośnie, ma się wstydić kiedyś za starego? No i potrzebuje matki. Jaka porządna kobieta będzie się

zadawała z właścicielem burdelu?

– A z bandytą?

– Już bardziej. A ty co się czepiasz? Sam się podziargałeś jak recydywa, men.

– Jestem wolny facet.

Jakoś bez radości to ze mnie wychodzi, co gangster wyłapuje w lot.

– Może do niej wrócisz? – troszczy się. – Koczujesz w porcie jak szczur, bez nikogo u boku. Co za sens?

– Żadnego, Misiu.

– No to co się zastanawiasz? Ogon między nogi, i wracaj do tej twojej gliny!

– Jak ty wrócisz do Swiety.

– Nie mam jak.

– I o to chodzi, Misiu. Nie ode mnie tylko zależy, jak ta historia się skończy.

– Teraz baby rządzą, men – wzdycha.

– A mnie się wydaje, że zawsze tak było.

Godz. 22.15
Pensjonat Urokliwa Skarpa
gmina Sieńki, ul. Żagłowa 7

A miało być tak pięknie.

Baśka była wręcz miła, kiedy późnym popołudniem odwiozłem Orła. Żadnych przycinków ani awantur, że rozpuszczam młodego i znów kupiłem mu zabawkę. Na pożegnanie pocałowała mnie w policzek i przez króciutką chwilkę staliśmy objęci. Od razu popędziłem do Mazowszanki wykąpać się, wygrzać w saunie i porządnie ogolić. Na szczęście przed wylotem do Budapesztu odebrałem ciuchy z pralni w Rocku. Do kieszonki marynarki włożyłem małą szklaną rurkę, próbkę z perfumami, którą dali mi w drogerii, gdy kupowałem krem i maszynkę do golenia.

Nasz syn jest w łóżku najpóźniej o dziewiątej, matka egzekwuje to żelazną ręką. Dałem jej jeszcze trochę czasu na ogarnięcie pensjonatu i siebie samej i podjechałem na Żeglarską. Popsikałem się mocno perfumami, otworzyłem drzwi auta – i znieruchomiałem.

Nie podnoszę się z siedzenia beemy.

Na parkingu pensjonatu, wśród samochodów gości, stoi pokraczny fiat właściciela hurtowni afrykańskich win.

Mija co najmniej minuta, zanim zatrząskuję drzwiczki, odpalam silnik i wycofuję się stamtąd.

Godz. 22.45

Moja komórka brzęczy, kiedy kończę mościć się w śpiworze w swoim metalowym lokum. Wysuwam ramię, by zobaczyć wyświetlacz: to Baśka. Czekam, aż telefon przestaje dzwonić, potem wyłączam go całkowicie.

Godz. 23.59

Nalewam szklanę wódki, dopełniam colą i wypijam duszkiem. Piecze w ustach i w gardle, ale pomaga. Zaczyna mi się kręcić w głowie i wreszcie udaje mi się zasnąć.

Dzień piętnasty

Poniedziałek, 16 stycznia 2017

Godz. 9.45
Restauracja San Marco
Centrum Handlowe Promenada
Warszawa, ul. Ostrobramska 75C

– Coś ty taki zmarnowany? – pyta Robert.

Przyganiał kocioł garnkowi, redaktor „Super Trybuny” sam ma podkrążone oczy. I minę taką, jakby godzinę temu jego lekarz mu powiedział, że ma jeszcze miesiąc.

– Łajdaczyłeś się, co?

– Jasne – mówię. – Z twoją. Ty za to kwitniesz.

– Właściciel sprzedaje gazetę Szwedom.

– Ożeż! Posuną cię?

– Pierwsza rzecz. Naczelnny zawsze leci w takiej sytuacji.

– Myślałem, że masz udziały.

– Pięć procent. Warte trochę kasy na pożegnanie, nic więcej. Mam w spółce gównem do powiedzenia.

– Może się z nimi dogadasz... Będą potrzebowali redaktora z jajami.

– Chcą robić grzeczną gazetę. Czasy się zmieniły.

– Ludzie przestaną czytać.

– I tak przestają. Internet nas zżera. Jeszcze kilka lat i prasa papierowa zniknie. Ci Szwedzi chcą wyssać jak najwięcej kasy z reklam, póki tytuł jeszcze się trzyma. A ostre teksty odstraszą ogłoszeniodawców.

– Co będziesz robił?

– Nie wiem. – Wzrusza ramionami. – Widzę dwie opcje: zejść ludziom z oczu, bo mam dużo wrogów w Warszawie. Albo ogłosić, że piszę książkę. Wtedy dalej będą się bali.

– Mówiłeś Trzeciej?

– Jeszcze nie.

Jego ślubna ma taką ksywę, ponieważ dwa razy się rozwodzili i wciąż są razem.

Robert się śmieje, że technicznie rzecz biorąc, jest jego trzecią żoną.

– Szkoda – mówię. – Fajne mieliśmy jazdy, redaktorku.

– Wszystko, co dobre, się kończy, glino.

– Co złe też.

– Filozof z ciebie. Ale przecież przyszedłeś z interesem. Za dobrze cię znam, Medyna. Mów, póki jeszcze zajmuję swój gabinet.

– Jest podobno taki szoł w telewizorni *Stop złu*.

– Ano jest.

– Wiesz coś bliżej?

– Interwencyjny szajs na ogólnodostępnym kanale cyfrowym. Pół narodu ogląda z chusteczkami w rękach. Autorzy stają w obronie uciśnionych, piętnują złoćców. Albo na odwrót, nie pamiętam. Jesteśmy jednym z partnerów medialnych.

– Co to znaczy?

– Promujemy ich w „Super Trybunie”, oni nas – w szkłe. Podrzucamy im tematy, bo ci telewizyjni redaktorzy potrafią tylko głądzić z tłuczkami w łapkach, poza tym nie wiedzą, na jakim świecie żyją. Dajemy im mięso, oni w zamian pokazują nasze okładki, puszczają gadułki reporterami. Zwykła cross-promocja.

– To znaczy, znasz koleśi w tym programie.

– Jasne. A co?

– Wzięli mnie na muszkę.

– Ciebie?!

– Mnie. Chcą mnie szarpnąć, bo, uważasz, jak moja pierwsza żona była jeszcze niepełnoletnia, złamaliśmy prawo o obowiązku szkolnym.

– Zalewasz!

– Serio.

– Cienkie jak dupa węża. Ja bym się nie przejmował, Romek. Olej to.

– Ale moja eks zgodziła się z nimi gadać do kamery. Za kasę. Nie jest za mądra, więc pewnie da się podpuścić. Diabli wiedzą, co zmontują. Byłem wtedy policjantem. Ktoś chce mnie skończyć jako detektywa. Czuję przez skórę, że podplącił tę stacyjkę. Alicja sama by takiego ruchu nie wymyśliła.

– Może i tak być – zgadza się Robert. – Czego oczekujesz ode mnie?

– Dowiedz się, kto im podsunął temat. Imię, nazwisko. Poza tym nie dałoby się przekonać tych popaprańców, żeby ze mnie zesli?

– To tak nie działa, Roman. Mogę spróbować czegoś się dla ciebie dowiedzieć, akurat niedługo mamy nagranie w *Stop złu*. Ale o ukręceniu sprawie łba zapomnij, brachu. Dziennikarze nie oddają sobie takich przysług.

Wybucham śmiechem, więc dodaje szybko:

– W każdym razie niektórzy z nas. Zrobię, co się da, ale są granice. W porządku, Romek?

Trudno powiedzieć. Ja bym się dla kumpla bardziej postarał. Do końca wspólnego śniadania nie rozmawiamy już o niczym istotnym. Mimo wszystko rozstajemy się jak zawsze, obejmując się i klepiąc po plecach. Spieszę się, bo w innej części centrum handlowego jestem umówiony z moim Włodkiem ze służb. Coś dla mnie wreszcie ma, a jeszcze nie wyciągnąłem gotówki z bankomatu.

Swoją drogą szkoda „Super Trybuny”. Mówcie, co chcecie o brukowcach, ale to jedyne gazety, które potrafią ugryźć w białą dupę kogoś z lepszego towarzystwa, jeśli jest powód. Miło było mieć ich za plecami od czasu do czasu. Kończy się epoka, cholera. Ujadanie po internetach to już nie to samo.

Godz. 10.43

– Bingo. – Włodek mówi niezbyt głośno, pochylając się nad stacjonarnym rowerem treningowym w Go Sport.

Ja obok sprawdzam rękoma sprężystość gumowego pasa bieżni, jak ktoś, kto na serio zastanawia się nad zakupem.

– Sam ocenię. Mów.

– Lechosław Malicki to zmienione nazwisko. Jako Leszek Wielgus zaliczył dwie odsiadki. Zawodowy złodziej. Kradzieże samochodów, włamania do sklepów, a nawet do fabryki telewizorów, która była w Pułtusku. W osiemdziesiątym szóstym dostał dwa lata, wyszedł po roku. W dziewięćdziesiątym drugim sąd wlepił mu cztery, odsiedział prawie dwa w Białoleścu. Skazania zatarte. Koleś uczestniczył w eksperymentalnym programie resocjalizacji młodych recydywistów. W jego przypadku powiodło się. Ożenił się, podjął pracę, od lat żadnego zatargu z prawem. Akta odłożone do zbioru zamkniętego.

– Kiedy zmienił nazwisko?

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, urzędowo, wszystko legalnie. Ale rzecz powinna być odznaczona w kartotece kryminalnej, a nie została.

– Jak to tłumaczysz?

– Ktoś oddał mu przysługę albo po prostu zapomniał zrobić znacznik. Tak czy inaczej, podczas cyfryzacji zasobów nie powstał link.

– I droga kryminalisty do pracy w bankowości została otwarta – mówię cicho.

Wsuwam kopertę z pieniędzmi pod gumową bieżnię, wstaję i odchodzę. Pięć stów to korzystna cena za prawdopodobny przełom w sprawie banków rolnych. Ta suma powinna do mnie wrócić ze stukrotnym przebicciem. Za moimi plecami Włodek przystępuje do oględzin bieżni.

– Jadę do pani, pani prezes. Znajdzie pani kwadransik? Mam dobre wiadomości.

– Ja też mam dla ciebie wiadomość, ale nie wiem, czy dobrą. – Giwera jest wyraźnie wściekła. – Dziś w nocy wyleciał w powietrze nasz bankomat. I wiesz gdzie? W oddziale banku w Pułtusk, który wytypowałeś, detektywie. Nasza cholerna forsa fruwała nad całym miasteczkiem! Możesz mi, kurwa, wytłumaczyć, co się dzieje?

– Będę u pani za piętnaście minut.

– Dziś nie dam rady, mam zarząd przez cały dzień! Między innymi z tego powodu. Będę musiała się tłumaczyć ze swojego wniosku o umowę dla ciebie. To tak wyglądają twoje pułapki?

Już nie brzmi zalotnie ta kobieta.

– Jesteśmy blisko rozwiązania zagadki. Zdziwi się pani.

– To ty się zdziwisz, Medyna. – Głos Giwery przypomina teraz syk żmii. – Policja w Pułtusk po pościgu ujęła sprawcę. Wypił przed robotą, miał we krwi półtora promila. Wjechał w drzewo równiutko, jakby służył w BOR-ze. I wbrew temu, co sugerowałeś, to nikt z banków. I nikt od nas z centrali. Zwykły kryminalista z długą kartoteką. Jakiś Jerzy Skrzek. Więc szanownego pana detektywa zapraszam do siebie jutro. Z ciekawością wysłucham, co ma do powiedzenia. Sekretarka się odezwie.

Może to i dobrze. Mam całą resztę popołudnia, żeby uzupełnić informacje. Skręcąc w stronę Mokotowa.

W Centralnym Zarządzie Służby Więziennej pracuje mój znajomy, kiedyś policyjny antyterrorysta. W strzelaninie w Magdalence stracił przedramię i jedno płuco, dziś na Rakowieckiej u klawiszy prowadzi biuro kwatermistrzowskie, ale zna tam wszystkich i rozmowa z nim nigdy nie jest stratą czasu, gdy potrzebuję informacji o byłych więźniach.

Jednoręki prowadzi mnie na herbatkę do burkliwej pani kapitan w biurze informacji i statystyki, stamtąd po półgodzinie trafiam do starszego chorążego Służby Więziennej, który przeczesuje komputerową bazę danych, wstukując podane przeze mnie nazwiska. Garstkę informacji, które nie są objęte klauzulą

tajności, puszcza na drukarkę. Potem nie wylogowując się z komputera, wychodzi za potrzebą i na całe pół godziny zamyka mnie na klucz w swoim pokoju.

Resztę dnia spędzam w archiwum redakcji „Przeglądu Więziennictwa Polskiego” oraz w czytelni prasy w bibliotece na Koszykowej.

Dzień szesnasty

Wtorek, 17 stycznia 2017

Godz. 10.55
Lotnisko im. Chopina,
hala wylotów, stanowisko Aeroflotu
Warszawa Okęcie

W dniu wyjazdu Wicio przestał się cieszyć na tę swoją Azję. Był markotny, kiedy rano odbierałem go z Pięknej, milczał całą drogę na lotnisko. Próbowałem go rozruszać gadkami szmatkami o pięknych dziewczynach i podobno najlepszym żarciu świata, ale mojemu bratu tylko trzęsły się ręce ze zdenerwowania. Już bez słowa staliśmy w długiej kolejce do odprawy tureckiej linii lotniczej. Pobrał kartę pokładową, nadał niewielką walizkę na bagaż.

Nagle okazuje się, że to już – dalej nie będę mógł mu towarzyszyć. Obejmujemy się.

– Uważaj na siebie.

– Byłby obciach, gdyby mnie Wietnamce skosili, co?

– Musiałbym wtedy się tam wybrać, żeby im powyrywać te krótkie nóżki z dup.

– Nie będzie potrzeby. Masz telefon, z którego mogę zadzwonić do Renki, prawda? Chcę się z nimi pożegnać.

Coś takiego! Powiedział „z nimi”. Śmieszne, jeśli akurat teraz mój brat zaczął przejawiać ludzkie uczucia – nie tylko wobec kobiety, ale też jej dzieciaka. Renka z Alicją odjechały do Wrocka pociągiem zaraz po przylocie z Hydry, bo uważałem, że tak będzie bezpieczniej. Matka nie chciała też dłużej trzymać dziewczynki poza szkołą. Jej krewna załatwiła dla niej miejsce we wrocławskiej podstawówce. Wybieram numer i podaję bratu aparat.

Odchodzi na bok, nie chce, żebym słuchał. Gadają długo. Wicio chwilami ma minę, jakby miał się rozkleić w tej hali odlotów. Wreszcie kończą.

– Rozmawiałeś z Alicją? – pytam z ciekawości.

– Była pierwszy dzień w nowej szkole. Renka mówi, że małej się podoba, będzie miała nowe koleżanki. Ale tęskni za tymi starymi.

– To wygnanie nie potrwa wiecznie – mówię lekko. – Kulawiakowie będą mieli ważniejsze zmartwienia niż ty. Ręczę za to. Ani się obejrzysz, a będziecie znów razem, u siebie w Warszawie.

– A może ściągnę je tam do siebie? – Wicio rozmarza się nagle. – Jeślibym się urządził, mała mogłaby pójść do szkoły w Wietnamie. Złapie język, nauczy się gotować po tamtejszemu... Dla dziecka to kapitał.

– Pamiętaj, nie wychylaj się tam na miejscu. Nie ściągaj na siebie uwagi – pouczam go, choć wiem, że nie posłucha. – I najważniejsza prośba, Witek: trzymaj się z daleka od przestępców. Nie znasz ani mentalności tamtego środowiska, ani terenu. Zjedzą cię na śniadanie. A więzienia w Azji należą do najgorszych na świecie. Nasze to przy nich pensjonaty.

– Ty lepiej się martw, żeby moim dziewczynom nic się nie stało. Obiecałeś.

– Spoko, braciszku. Będę ich strzegł jak jastrzęb. Pamiętasz, jak się umówiliśmy na łączność? Zapisaleś hasło i nick? Na papierze, nie w telefonie.

– Mam.

– Z tą pracą to pewniak?

– Jasne. Firmy handlowe w Hanoi szukają tłumaczy i ekspertów od europejskich przepisów. Dużo się nauczyłem, prowadząc interes – dodaje, widząc moje zaniepokojenie. – Zasady biznesowe mam w małym palcu. Będzie super, zobaczysz.

– Uważaj na siebie – powtarzam, ściskamy się po raz kolejny i Witek z biletem w ręku przekracza linię, która dzieli publiczną część lotniska od przeznaczonej tylko dla odlatujących.

Mojemu bratu nawet do głowy nie przyszło, żeby mnie też życzyć szczęśliwego przetrwania z tymi zbrojami, których dzięki niemu mam na karku.

Zapewne sobie jakoś poradzę, ale o ile znam Wicia, jego historia prawie na pewno skończy się inaczej, niż bym chciał. Odpycham tę myśl od siebie jak najdalej. Od martwienia się o innych człowiek tylko dostaje worków pod oczami.

Godz. 12.30
Zarząd Główny Polskiego Zrzeszenia
Banków Rolnych
Warszawa, ul. Jasna 1/3

Zero dekoltu dzisiaj, zero uwodzenia. W czarnym golfie, minimalnym makijażu i surowo marszcząca brwi Giwera komunikuje mi każdym spojrzeniem i gestem, że jest wkurzona.

Niewiele sobie z tego robię. Inaczej pomyślałaby, że rzeczywiście ja dałem ciała.

– Rozumiem zdenerwowanie zarządu – mówię, patrząc jej w oczy, spokojny jak baranek. – Jeśli pani prezes chce detektywa, który będzie robił to, co wymyśli zarząd, to proszę takiego poszukać.

– Jestem gotowa właśnie to zrobić. Nasze zrzeszenie oczekuje wyników, nie jakichś księżycowych koncepcji.

– To nie jest księżycowa koncepcja. Wytypowałem zagrożoną placówkę i faktycznie została zaatakowana. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności policja zatrzymała podejrzanego. Przypuszczam, że uda mi się zdobyć informacje o wyniku przesłuchań. Nie zdziwię się, jeśli ujawnią zbieżność z innymi napadami. Trafiłem na trop, który prowadzi bezpośrednio do centrali.

– I zaraz mi nie powiesz, kotku, co to za trop, prawda?

– Jestem podinspektorem policji w stanie spoczynku, pani wiceprezes. Nie kotkiem ani pani chłopakiem. Przed swoimi klientami nie mam sekretów, ale wyniki prowadzonych czynności ujawniam, kiedy jestem gotowy je ujawnić.

Mierzymy się wzrokiem.

– Czyli kiedy? – pyta, zagryzając wargi.

Słabość jej pozycji polega na tym, że wypłaciła mi zaliczkę i będzie musiała się z niej rozliczyć.

– Kiedy mam dowody gotowe do położenia na stole – rzucam, już bardziej pojednawczo. – To kwestia dni, nie tygodni.

– I taki jesteś pewny siebie, podinspektorze, że chcesz dziś niepokoić osoby z naszej centrali.

- Zgadza się. Dwie osoby.
 - Dlaczego miałabym się zgodzić?
 - Bo wiem, co robię, a pani, mimo złości, zdaje sobie z tego sprawę. I dlatego, że tu oprócz poważnych strat materialnych, jest również zabójstwo.
 - To nie był nasz pracownik – rzuca sucho.
 - Dopóki nie przymkniemy sprawców, gang nie przestanie działać. Będą robili kolejne włamania, aż wreszcie się rozejdzie, że placówki Zrzeszenia Banków Rolnych są bezbronne.
 - Szantażujesz mnie teraz.
 - Nie. Media same się połapią.
 - Szukasz po omacku. Rzucisz cień na centralę.
 - To będą dyskretne rozmowy. Po drugiej stronie ulicy, na rogu Sienkiewicza, jest knajpa. Chyba włoska. Proszę o pierwszej zabrać tam waszą personalną na lunch. Przysiądę się do was.
 - Będę się przysłuchiwała tej rozmowie.
 - W obecności szefowej ona niewiele powie. Zostawi pani nas samych.
- Giwera zastanawia się, analizując wszystkie za i przeciw.
- Założmy przez chwilę, że idę na to. I okazuje się, że pan inspektor spudłował, personalna nie ma ze sprawą nic wspólnego. Co wtedy? Ona składa skargę do zarządu. Nie wytłumaczę się z czegoś takiego.
- Nie muszę się namyślać, co odpowiedzieć.
- Pani prezes może być spokojna. To, co już mam w ręku, wystarczy, żeby personalna zrobiła się malutka. To pani będzie kontrolowała sytuację, nie ona.
 - Ale muszę wiedzieć, o czym mówisz.
 - Natychmiast po spotkaniu.
 - Teraz, niechłopaku. – Giwera uśmiecha się po raz pierwszy od początku tej rozmowy. – Jeśli mam ci wystawiać swoich kolegów, muszę, kurwa, wiedzieć, co robię. Inaczej twoja umowa, którą, zdziwisz się, mam wreszcie parafowaną przez zarząd, trafi do niszczarki. Leży tam na biurku, widzisz? A niszczarka to tamto czarne pod ścianą. Ja też potrafię być uparta, Medyna.

Godz. 13.01
Trattoria Regina
ul. Jasna 8, Warszawa

Jest długa jak koszykarz, szczupła jak anorektyczka i tak cicha, jakby umarła, tylko nikt tego nie zauważył. Pozostaje nieporuszona, gdy po odejściu Giwery pochylam się nisko nad obrusem stolika i patrząc prosto w wielkie jak u elfa szarozielone oczy, odpalam małą bombę.

Niezbyt głośno, ale powoli i wyraźnie wymawiam oba nazwiska jej męża: to, pod którym siedział w więzieniu na Białolece, i to, pod którym obecnie jest zatrudniony w tym samym zrzeszeniu banków, gdzie ona jest szefową kadr. Spodziewam się, że absolwentka wydziału prawa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu podskoczy na krześle. Że zaatakuje argumentem o zatarciu wyroku, który zapadł ponad piętnaście lat temu. Że wskaże, że według prawa jej mąż może być zatrudniony, gdzie mu się żywnie podoba, bo obecnie jest takim samym obywatelem jak ja. I oskarży mnie o ciężkie naruszenie jego prywatności i dóbr osobistych.

Tymczasem żadnej reakcji. Wysoka kadrowa milczy.

– Nic pani nie powie?

– A jak brzmi pytanie?

Głos cichy, chłodny i nieporuszony jak lód na jeziorze.

– Czy nazwisko Jerzy Skrzek coś pani mówi?

– Nie.

– Siedział w celi razem z Leszkiem Wielgusem w połowie lat dziewięćdziesiątych. Zatrzymany wczoraj nad ranem w Pułtusku przy próbie obrabowania tamtejszego banku rolnego. Potraktował semteksem bankomat placówki.

– I jak brzmi pytanie?

– Czy pani wie, co to jest semteks?

– Wiem.

– Czy pani mąż nadal utrzymuje kontakty ze Skrzekiem?

- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Gdyby utrzymywał, wiedziałaby pani?
- Raczej nie. To by mnie nie interesowało.

– Nie klei się ta rozmowa. A powinna. Dwadzieścia lat temu jako młoda prawniczka była pani jedną z instruktorek eksperymentalnego programu w więzieniu na Białołęce nakierowanego na młodych recydywistów. Wyciągnęła pani włamywacza i złodzieja samochodów Leszka Wielgusa, dziś Lechosława Malickiego, z kryminalnego środowiska. W jego przypadku „pogłębiona resocjalizacja” zakończyła się powodzeniem. Osadzony Wielgus ukończył zaocznie szkołę średnią, zdobył papiery specjalisty BHP i wzorowo spełnił warunki zwolnienia warunkowego. Co więcej, tak skutecznie zaadaptował się do życia w społeczeństwie, że ożenił się z instruktorką programu. Czyli z panią.

Agnieszka Norbel-Malicka reaguje minimalnie żywiej, bo mówi dwa zdania zamiast jednego.

- Kto panu udostępnił te informacje? To przestępstwo.

– Niekoniecznie. Tygodnik „Polityka” opublikował w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku reportaż o sukcesach programu, choć bez nazwisk. Pani jest na jednym ze zdjęć – trudno się pomylić, że tak powiem. Ten kryminalista musiał być charakternym mężczyzną, nie to, co te dzieciaki, koledzy ze studiów, prawda? Autorka tekstu dobrze pamięta panią i jego. Określiła was jako niedopasowaną parę. Już wtedy.

Żrenice szarozielonych oczu się zwężają.

- Miło z jej strony.

– Pytanie więc brzmi: czy nie mamy tu może do czynienia z jakąś regresją u pani męża, powrotem po latach na drogę przestępstwa? Ciągnęło go do starych kumpli spod celi? Na przykład Skrzeka?

– Mój mąż od dawna nie wykazuje zainteresowania moją osobą – słyszę spokojny głos. – Podobnie jak ja nim. Nie wiem, z kim się obecnie obraca. Nie wchodzimy sobie nawzajem w drogę.

- Ale jesteście nadal małżeństwem.
- To trudne pytanie. Mieszkamy razem.
- Macie dzieci?
- Nie.

Zastanawiam się, jak się przebić do tej kobiety. Baśka by coś wymyśliła, mnie

nic nie przychodzi do głowy.

– Powtórzy pani Malickiemu tę rozmowę?

– Jeśli zapyta.

– A zarządowi? Wasze banki stały się obiektem działań grupy przestępczej. Powinna panią zaniepokoić wiedza, właśnie uzyskana ode mnie, że pani mąż może mieć z tym coś wspólnego.

– Czy stawia mu pan taki zarzut? Albo prokurator?

– Jeszcze nie.

– Więc nie mam o czym dyskutować. Ani z zarządem, ani z panem.

– Człowiek stracił życie – próbuję ostatniego argumentu. – W trakcie jednego z napadów dokonano zabójstwa. Czy to też dla pani nie ma znaczenia?

Szefowa kadr energicznie wstaje z krzesła i przewiesza pasek torebki przez ramię.

– Ma znaczenie, nawet duże. – Jej głos dobiega gdzieś spod sufitu. – Bo tym bardziej wątpię, żeby Lechosław Malicki miał z tym coś wspólnego. Program penitencjarny, o którym zechciał pan łaskawie wspomnieć, był skierowany wyłącznie do osób skazanych za przestępstwa przeciw mieniu, niewykazujących skłonności do przemocy. Wszyscy kandydaci, włącznie z moim późniejszym mężem, przechodzili rygorystyczne testy psychologiczne na tę okoliczność. Dużo różnych rzeczy można o moim mężu powiedzieć, ale nie to, że fizycznie krzywdzi ludzi. Obawiam się, że prowadzi pan swoje poszukiwania, panie detektywie, pod niewłaściwym adresem. Pani prezes Godlewska nie będzie zadowolona, gdy o tym usłyszy.

Godz. 14.00

Dokładnie o umówionej godzinie przy stoliku w Trattoria Regina materializuje się mężczyzna w wieku trudnym do określenia i o rysach twarzy, które się natychmiast zapomina. Lechosław Malicki ubrany jest w garnitur, jakich są tysiące, rzadziejące włosy ma zaczesane banalnie na bok. Wodniste, pozbawione wyrazu oczy wydają się nieruchome jak oczy lalki. Facet ma prawdziwy dar wtapiania się w tło. Znałem kiedyś mordercę, który też miał taką umiejętność.

Rozumiem też, dlaczego ktoś mógł uznać tych dwoje za niedopasowaną parę. Wyrazista z niewyrazistym, wysoka z niskim. Ale oboje niemowy.

Przedstawiamy się sobie imionami i nazwiskami, bez podawania rąk. Ja siadając, szuram krzesłem, on zajmuje miejsce bezgłośnie. Nie chce nic do picia ani jedzenia. Ja zamawiam kolejną już kawę.

Przyglądam mu się bez pośpiechu; od razu popada w ten rodzaj ostrożnego bezruchu, który charakteryzuje przesłuchiwanym zawodowców. Dystansują się od własnych emocji, stają się nieobecni. Również ślady po wywabionych tatuażach – cynkówce w kąciку oka i na dłoni, między kciukiem a palcem wskazującym – zdradzają kryminalistę starej szkoły. Tusze więziennej roboty są niemożliwe do całkowitego wywabienia ze skóry.

– Widziałeś się przed chwilą z żoną, Wielgus? Powiedziała ci, że wiem, prawda?

– Nie – odpowiada tak cicho, że pochylam się nad stołem, żeby go lepiej słyszeć. – Pani prezes kazała mi się spotkać z wynajętym przez zarząd detektywem. Jestem.

– Nie dziwi cię, że znam twoje prawdziwe nazwisko?

– Poprzednie – poprawia mnie. – Obecne jest prawdziwe. Nie dziwi. Psy zawsze wiedzą takie rzeczy.

– Psy wiedzą dużo więcej. Skrzek wpadł w Pułtusk. I śpiewa jak w *Jaka to melodia*.

Przymyka powieki, żebym nie widział reakcji źrenic. Kontroluje oddech.

– Nie znam.

– Znasz, znasz. Spędziliście razem ponad rok pod celą na Białolece. Teraz jest

w twojej ekipie dekarzy, Wielgus. Specjalność: dziury w dachach. Ha, ha!

– Nie wiem, o czym mowa.

– Przecież wiesz. Macie, chłopaki, pomysły! Ale ładnie to tak obrabiać własną firmę? Znudziło ci się życie uczciwego obywatela?

Milczy z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Zachciało się urzędnikowi adrenaliny, to teraz wyjdiesz na wolność jako stary człowiek. Chociaż osobiście obstawiam dla ciebie dożywocie ze względu na tego strażnika w Dęblinie.

– To po co straszyć? Dowody do prokuratora i brać mnie! – ożywia się.

Gdy blef nie przechodzi, można spróbować z innej strony.

– Jeszcze nie dziś, ale dopadnę cię – mówię, patrząc mu prosto w te wodniste gały. – Bo wiem, że to ty, a reszta to kwestia techniczna. Zdobędę dowody. Nie zajmie mi długo. I nie łudź się, przygwożdżę całą twoją grupę.

– Czyli nie masz nic – stwierdza pogodnie.

Wytrzymuje moje spojrzenie.

– Masz wyobraźnię, psie – szepcze tak cicho, że ledwo go słyszę. – Ale uważaj. Jeśli oczernisz mnie przed szefami i wyrzucą mnie ze zrzeszenia, z palcem w dupie wygram w sądzie pracy. Zaraz potem wystąpię z cywilnymi roszczeniami przeciwko tobie. Chyba nie wiesz, jakie teraz zasądzą nawiązki za bezpodstawne naruszenie dobrego imienia i dóbr osobistych. Zdziwisz się, ile kasy będziesz musiał wykaszleć. I jeszcze jedno: nazywam się Lechosław Malicki. Jest na to legalny papier. Lepiej zapamiętaj.

Wstaje i odchodzi tak, jakby dym rozpułnął się w powietrzu, zostawiając gryzący zapach.

Godz. 22.55

Gdzieś w Warszawie

Jerzosa nie wezmą na huki. Nie pójdzie na układ ze śledczymi, nawet jeśli będą go straszili długim wyrokiem. Taki już skubaniec jest – niezbyt lotny, ale nie boi się celi. Ma w sobie chłopski upór. I, niestety, chłopską pazerność. Tu był mój błąd. Nie przewidziałem, że Jerzos sam pokusi się na ten skok, z chytrości.

Budynek był rozpracowany do ostatniego detalu: jak wejść, co zrobić z alarmem, jak się ewakuować. Tyle że Jerzos samodzielnie nie miał szans dobrać się do szafy pancерnej. Bez Marlenki nie dostał się nawet do pomieszczenia z tą szafą, było zabezpieczone stalową żaluzją z trudnym zamkiem. Kiedy się o tym przekonał, postanowił chociaż rozłupać bankomat wmurowany na parterze, obok wejścia do banku. Myślał, że chapnie kasę i da w rurę, zanim tamtejsze psy się zlecą. Ale o budowie bankomatu też pojęcia nie miał. Ani ile użyć plastiku, gdzie przyłożyć.

Na dodatek wypił dla kurażu jednego za dużo i dał się złapać wsiowej policji. Trudno, stało się. Trzeba się teraz zakręcić za dobrym adwokatem dla niego, ale poza tym nie panikujemy. Żadnych nerwowych ruchów. Burza się przetoczy jak zawsze, wróci słoneczny ranek.

Dzień siedemnasty

Środa, 18 stycznia 2017

Godz. 9.55
Green Caffè Nero
Warszawa, ul. Bracka 16

– Adasiu? Masz coś dla mnie? Już?

– My jesteśmy szybkie chłopaki – słyszę w słuchawce śmiech nadkomisarza Michejdy, który za moich czasów jako młody zdolny przeszedł z Wojewódzkiej w Katowicach do Stołecznej, ale utopili go tam w papierach i ostatnio mało się o nim słyszy. – Pytałeś o bombera z Pułtuska. Przejmujemy go dzisiaj do nas.

– Gada?

– Koledzy z powiatowej niewiele wskórali.

– Tacy delikatni?

– To on stara recydywa.

– Co mówi komputer?

– Jerzy Skrzek, z zawodu pracownik budowlany. Murarz cieśla, kurwa mać. Ma gospodarstwo rolne pod Halinowem, prowadzi tam handel złomem i używanymi przyczepami. Odsiedział trzy wyroki, artykuł dwieście siedemdziesiąt dziewięć głównie. Przez ostatnie lata nic, chyba się ustatkował. Albo przyczaił. Według naszych z powiatu pije i awanturuje się tyle co wszyscy. Poza paroma mandatami i jednym doniesieniem o znęcanie się nad psem nic na niego nie znalazłem. Ty masz więcej?

– Jak sami szybko nie dojdziecie, pomogę jako życzliwy były kolega.

– Dawaj od razu. Facet użył materiału wybuchowego, a teraz wszystko, co się da podciągnąć pod terroryzm, dostaje priorytet. I środki.

– Muszę się przedtem skonsultować ze swoim klientem, Adasiu.

– Dociśniemy tego Skrzeka. Zajmie się nim kolega, który ma ksywę Dziadek do Orzechów. Jestem dobrej myśli.

Rozłączamy się, dopijam kawę i kończę sernik, na który skusiłem się zamiast buły na śniadanie. Podobno człowiek powinien zjadać sześćdziesiąt różnych produktów w tygodniu, a przeciętny Polak zjada tylko dwanaście. I to się zgadza w moim wypadku. Ale kiedy człowiek nie ma normalnego domu, nie ma też

możliwości, żeby się zdrowo odżywiać. Ani regularnie trenować. Jeszcze trochę, a urośnie mi brzuch.

Na razie jednak nie mam pojęcia, jak mógłbym coś zmienić w swojej egzystencji. Więc pchamy życia taczki.

Już mam kurtkę na sobie i chowam portfel, gdy odzywa się komórka. Wyświetla nazwisko Maksymilian Górski i jego niemiecki numer telefonu. Naciskam na „odbiór” i „głosnomówiący”. Nikt mnie nie przekona, że przykładanie urządzenia radiowego do głowy ma dobry wpływ na mózg. I tak ledwo się wyrabiam z tym, co Bozia mi dała.

– Maks, co za niespodzianka.

– Słuchaj, nastąpiła zmiana – słyszę zdenerwowany głos. – Jednak potrzebuję twojej pomocy. Musisz bez zwłoki wznowić śledztwo.

– W tej samej sprawie? Co się zmieniło?

– On skontaktował się ze mną. Tym razem mailowo. Chcę, żebyśmy zaczęli działać. Wszystkie ręce na pokład. Bezzwłocznie!

– Powiedz, co ci napisał.

– Łajdak stworzył stronę internetową. Coś potwornego! Jeszcze jej nie powiesił w sieci, ale przysłał zrzut ekranowy wersji roboczej. Grozi, że odpali stronę w przyszłą środę wieczorem, w czasie mojej premiery w Warszawie. Każdy, kto wklepie do wyszukiwarki moje nazwisko, zobaczy to... coś!

– Co jest na tej stronie, Maks?

– Zdjęcia pociętej Zosi.

– Znasz te zdjęcia?

– Nigdy przedtem ich nie widziałem. Ale to na pewno ona. Zostały zrobione w tamtym mieszkaniu... gdzie ją zamordowali. Jezu, ręce mi latają, ledwie trzymam komórkę!

– Kiedy to dostałeś?

– Dziesięć minut temu.

– Na pewno to ona? W zdenerwowaniu łatwo się pomylić. Zwłoki ofiar są do siebie podobne.

– To ona – mówi z mocą.

– Ile jest tych zdjęć?

– Trzy.

- Możesz mi je przysłać, teraz, na mój numer?
- Tylko zrzut ekranowy.
- Obejrzę i oddzwonię. Nie denerwuj się!

Zrzut witryny wpada po kilkunastu sekundach. Wielki tytuł, czerwonymi literami: DRAKUL GÓRSKI IS MURDERER. Pod nim trzy czarno-białe zdjęcia ofiary. Wszystko widać bardzo wyraźnie. Fachowa robota – bez wątpliwości policyjnego fotografa. Pod zdjęciami krótki tekst po polsku i po angielsku. Że Maksymilian Błazej Górski, laureat Oscara i Grammy, zamordował żonę w 1984 roku i pozostaje bezkarny.

W sumie zgrabna robótka. Trudno się dziwić, że chłop się zdenerwował.

– Wyobrażam sobie, co czułeś, patrząc na to – mówię, gdy łączymy się ponownie. – Bardzo przykre. Ale powiedziałaś mi, że nie zamierzasz zajmować się oszczerstwami.

– On to wrzuci do sieci, kiedy media na całym świecie będą wymieniały moje nazwisko. Wszyscy to zobaczą, całe moje środowisko. I Bóg raczy wiedzieć, ilu melomanów. Tysiące, może setki tysięcy ludzi. Dziennikarze szybko ustalą, że to faktycznie była moja żona. I że zginęła w niejasnych okolicznościach. Trafiony, zatopiony.

– Mówiłeś, że w Ameryce sądy działają inaczej.

– I co z tego, że wygram? Tym razem to nie kwestia autorstwa jakiejś muzycznej frazy, która interesuje kilka osób. Taka sprawa porusza emocje i wyobraźnię. Będę skreślony w kilka godzin jako żonobójca. Musimy tę kanałą zatrzymać, Roman.

– Od kilku dni zajmuję się innymi sprawami.

– Podwajam honorarium.

– Nie o to chodzi. Zrobię, co będę mógł, na podstawie dotychczasowej umowy. O to bądź spokojny. Ale straciliśmy sporo czasu.

– Wciąż mamy tydzień do premiery – zauważa.

– Jesteś teraz w Warszawie?

– W Berlinie. Ale po południu ląduję na Bemowie. Spotkajmy się w hotelu około dwudziestej drugiej.

– Masz próbę w filharmonii?

– Tak. O osiemnastej.

– Bądź na niej w jakimś nakryciu głowy, jak chciał szantażysta. My na razie nie musimy się spotykać. Pozostajemy w kontakcie.

– Wszystkie ręce na pokład. Mamy tydzień – powtarza z naciskiem i kończy połączenie.

Godz. 10.30
Zarząd Główny Polskiego Zrzeszenia
Banków Rolnych
Warszawa, ul. Jasna 1/3

Giwera słucha i robi notatki, a ja uzasadniam swoją nagłą decyzję, tak jakby była efektem długich przemyśleń. Podaję argumenty jeden po drugim. Pani wiceprezes nie zdradza w żaden sposób, co o tym myśli, nie zadaje pytań. Siedzi na krześle naprzeciwko mnie przy niskim stoliku z ciasteczkami i wodą sodową. Ma na sobie szary kostium ze spódnicą dość długą, by zasłaniała kolana, na których trzyma żółty notatnik. Jej ręka z długopisem porusza się, zapisuje każde moje słowo. Może nawet zna stenografię.

– ...żeby podsumować, pani prezes. Uważam, że wykonałem zlecenie. Zidentyfikowałem przywódcę grupy, która rabowała wasze placówki – przykro mi, okazał się nim pracownik centrali. Nie jest to niezwykła sytuacja. Tego rodzaju kryminalne działania najczęściej wychodzą od kogoś z poszkodowanej organizacji. Jako szef BHP i organizator szkoleń bezpieczeństwa Lechosław Malicki ma bezpośrednią wiedzę o budynkach, zabezpieczeniach, usytuowaniu szaf kasowych i tak dalej. Wiedział wszystko słabych punktach konstrukcji budowli, o funkcjonowaniu ochrony i o bieżących procedurach atakowanych banków. Jako pracownik centrali uzyskiwał też informacje o konwojach przewożących gotówkę między oddziałami. To pozwalało mu typować placówki do obrabowania. Zapisała pani?

– Tak.

– Wskazałem też wąską grupę byłych skazanych, spośród których z bardzo wysokim prawdopodobieństwem rekrutują się pozostali członkowie grupy. Wyroki uległy zatarciu, ale przygotowałem listę dwunastu nazwisk; te osoby prokuratura będzie mogła zweryfikować legalnie dopuszczalnymi metodami. Sugeruję, że grupa liczyła od trzech do pięciu osób.

– Jest.

– Drugi istotny punkt, pani prezes, jest taki, że po mojej rozmowie z Lechosławem Malickim i po zatrzymaniu na gorącym uczynku przez policję w Pułtuskach Jerzego Skrzeka nie będzie już dalszych napadów. Skończyło się raz na

zawsze. A o to zrzeczeniu szło przede wszystkim, nieprawdaż? Pozostaje udowodnienie sprawcom winy, tak by mógł się nimi zająć wymiar sprawiedliwości. To jest kwestia trzecia. Mamy w tej sprawie również zabójstwo, więc bezdyskusyjnie sprawa wychodzi poza interes prywatnego przedsiębiorstwa. I to też jest główny powód, dla którego uważam, pani prezes, że dalsze prowadzenie tego dochodzenia należy już powierzyć instytucjom państwowym.

– Bo?

– Bo jako prywatny detektyw nie dysponuję laboratorium kryminalistycznym – wyjaśniam. – Tylko policja może porównać próbki biologiczne i mikroślady z miejsc przestępstw. Moi koledzy po fachu nie zrobili dotąd wiele w sprawie napadów, jednak miejsca zdarzeń zostały zabezpieczone. Ekipy techniczne w ramach postępowania kryminalistycznego zgromadziły liczne dowody. Są to ślady biologiczne zawierające zapach oraz DNA, włos mężczyzny, ślady zostawione przez narzędzia, mikroskopijne fragmenty tkanin, ślady na zwłokach i co najmniej dwa fragmenty odcisków palców na metalowych szafach. Miejsce zdarzenia to bogate źródło informacji o przestępstwie i przestępcy.

– Więc co się zmieniło? Mieli nas w dupie ci twoi koledzy, Medyna. – Słowa Giwery brzmią sucho.

– Dzięki moim ustaleniom śledczy będą teraz mogli połączyć sprawy włamań, dowody analizować wspólnie. Mogą też przymierzać je do konkretnych podejrzanych. Jeśli badania genetyczne oraz inne obciążą te osoby, będą to już dowody procesowe, trudne do obalenia. – Przerzywam, bo przydałoby się jakieś mocne zakończenie tego przemówienia. – Nie ma potrzeby, żeby sprawcy ginęli z mojej ręki, jak pani prezes sugerowała, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Ręka Giwery nad kartką przystaje.

– Żartowałem – wyjaśniam.

– Dlaczego uważasz, że policja i prokuratura wezmą się do roboty? – powtarza swoją główną wątpliwość. – Lali na nas szeroką strugą prawie rok. A teraz przestaną, bo machniesz czarodziejską różdżką?

– Dostali wszystko na tacy. Łatwo osiągną wynik. Policja lubi takie sytuacje. To idealny moment, by ustąpić im pola.

– Co ci się tak nagle spieszy, Medyna?

– Nie brakuje mi zleceń.

– Rezygnujesz z honorarium, ma się rozumieć.

– Absolutnie nie! – Unoszę ręce, protestując. – Wypełniłem umowę. Oczekuję

zapłaty.

– Wypełniłeś najwyżej częściowo, jeśli to, co mi opowiadasz, jest w ogóle prawdą.

– Pani próbuje mnie obrazić?

– Nie. Od razu byś wiedział. Ale co my mamy na przykład zrobić teraz z Malickim? Zarząd będzie w kropce.

– Nie uduszę go dla was – mówię zły, bo orientuję się, że z tą chytrą babą nie pójdzie mi tak łatwo. – Poślijcie go na przymusowy urlop. Tylko płatny – dodaję szybko.

– Trzydzieści procent.

– Poda was do sądu, jeśli nie dacie mu całej pensji.

– Mówię o tobie, chłopaku. Proponuję ci jedną trzecią sumy z umowy. Minus zaliczka, którą już dostałeś.

– Siedemdziesiąt pięć procent.

– Połowa. I przelew idzie w tym tygodniu.

– Zgoda. Ale jeśli w poniedziałek nie znajdę dwudziestu tysi na koncie, dzwonię do adwokata. I do znajomego redaktora bardzo poczytnej gazety.

– Lepiej zadzwoń do mnie – mówi Giwera powoli, przesuając ślepia po moich biodrach. – Dziś wieczorem. Żeby była pewność.

– Gdzie proponujesz uzyskiwać tę pewność? – pytam po namyśle.

– W tapas barze obok Hiltona przy Grzybowskiej. Tam zaczniemy celebrować zakończenie współpracy. Około dwudziestej? Mieszkam w pobliżu. Tylko się nie zdziw, wieczorami bywam roztargniona, mogę zapomnieć włożyć bieliznę.

Dwadzieścia tysięcy to godne wynagrodzenie za usługę seksualną, jeśli spojrzeć na sprawę od właściwej strony. Giwera daje mi szansę na mocny debiut w branży. Zaimponowałbym Miśkowi.

Godz. 13.01
Collegium Civitas
Pałac Kultury i Nauki
pl. Defilad 1, Warszawa

Warszawiacy od upadku komuny się kłócą, czy wyburzyć Pałac Kultury jako symbol ruskiego panowania nad Polską, czy raczej odskrobać go z sześćdziesięcioletniej warstwy brudu jako rozpoznawalny na całym świecie znak naszej stolicy. W tej dyskusji opowiadam się raczej za umyciem kamiennego tortu i pozostawieniem go w spokoju, ale muszę przyznać, że jako adres do odwiedzania sprawdza się słabo, zwłaszcza zimą.

Parkingi wokół pałacu są w bandyckich cenach, na dodatek miejsc jak na lekarstwo. Za to do głównego wejścia wędruje się przez teren rozległy jak Syberia – i o tej porze roku równie pusty, zawiany śniegiem. W holu jeszcze długa wyprawa do wind, jak podejście do K2 w Himalajach, co je w kółko pokazują w telewizji. Te na szczęście są szybkie, błysk i jestem na dwunastym piętrze.

W poszukiwaniu sali wykładowej błąkam się po korytarzach wyłożonych staroświecką klepką, pod wysokimi kandelabrami, mijam rzędy drzwi i okien z solidną stolarką. Radzieckie klimaty. Nie widać na tych ramach upływu czasu; co dęb, to dęb. Ciekawe, czy fajnie jest studiować w takim skansenie. Na pewno oryginalnie, później dzieciaki trafią do szklanych wież kapitalizmu i będą wspominali ten gmach z sentymentem. Utrzymanie takiej landary, ogrzewanie zimą i wszelkie konieczne naprawy muszą kosztować fortunę, ale wygląda na to, że wszystkie pomieszczenia są wynajęte. PKiN nie stoi pusty.

Kolejny zakręt korytarza i nagle jestem na miejscu. Drzwi do auli wykładowej są już otwarte, studenci rozchodzą się ze swoimi plecakami. Przy pulpicie wykładowcy grupka młodych ludzi otacza mężczyznę w średnim wieku, mocnej budowy, z siwiejącymi włosami do ramion. To były wiceminister spraw wewnętrznych, znany jest w środowisku służb pod ksywą Pióra. W telewizji przedstawiają go jako twórcę nowej bezpieki w niepodległej ojczyźnie. Za komuny był opozycjonistą, teraz skończył z polityką i robi za wykładowcę i eksperta, prowadzi firmę wywiadu gospodarczego. Schodzę w dół auli i przysiadam na jednej z ławek, by poczekać, aż skończy rozmowę. Daje znać ręką, że mnie widzi, ale konsultacja po wykładzie się przeciąga. Większość z chłonnej młodzieży

stanowią ładne dziewczyny. Nie ma to, jak być celebrytą.

Wreszcie uczestnicy kolejnego kursu wypychają ich z auli. Pióra żegna studentki i prowadzi mnie do pustego pokoiku dla kadry dydaktycznej. Wsuwa szufladę, w której ma popielniczkę, i chciwie zaciąga się papierosem z charakterystycznej żółto-białej paczki. Kiedy paliłem, też najbardziej smakowały mi camele. Ale z pensji gliniarza nie mogłem sobie często pozwalać na taki drogi gatunek.

Mówię, z czym przyszedłem, a on potrząsa burzą kudłów.

– Kącki? Nie kojarzę.

– Przecież to pan ich lustrował, czytał akta.

– To były setki funkcjonariuszy. Gdyby nie inni, do dziś bym nad tym siedział.

– Pułkownik Roman Kącki był oficerem łącznikowym, podlegał bezpośrednio ministrowi Kiszczakowi, wykonywał polecenia generała Jaruzelskiego. To nie była płotka, powinien pan kojarzyć. Chyba że cała ta cała lustracja była lipna.

– No, zaintrygował mnie pan.

Pióra wyciąga z teczki mały laptop, odpala go i wchodzi do sieci.

– Jest – mówi po kilku minutach klikania. – W archiwum IPN, jak byk. Pułkownik Służby Bezpieczeństwa Roman Kącki. Pracownik gabinetu ministra. Data śmierci: jedenasty listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt. To wyjaśnia zagadkę. Nie kojarzę go, bo nie był lustrowany. Z przyczyn naturalnych.

– Na co zmarł?

– Tu nie ma informacji. Ale powinno dać się ustalić.

– Panu byłoby pewnie łatwiej niż mnie.

Pióra zapala kolejną fajkę, zastanawia się.

– Niekoniecznie. Nie wymawiam się od pomocy, ale widzi pan, ja zajmowałem się głównie wywiadem wojskowym. To ich żeśmy przeświatłali. Od esbeków były inne komisje. Sprawa, którą pan opisuje, nie wygląda na robotę służb wojskowych. Obcinanie cycków do nich nie pasuje. Może teraz robią takie rzeczy, w czasach dżihadu. Ale nie za późnej komuny.

– Jednak ktoś tę kobietę paskudnie pokroił.

– Jakiś zboczeniec raczej. Najczęściej okazuje się, że w chirurga bawi się oszalały z zazdrości mąż albo kochanek.

– W tym przypadku ktoś z samej góry odebrał śledztwo milicji. To nie wskazuje

na zabójstwo w afekcie. Jak nie Kącki, to kto mógłby mi coś powiedzieć?

Pióra puszcza kółko z dymu.

– Niezweryfikowani, odrzuceni esbecy. Najlepiej pułkownik Henryk Niemirski. Nieformalny lider tego środowiska. Zacząłbym właśnie od niego. Tylko proszę uważać, to stary cwaniak. Będzie pan wiedział, jak go znaleźć? Bo niestety nie mam aktualnego namiaru...

Godz. 20.05
Port gminny w Sieńkach

– Czemu nie przyjechałeś w niedzielę? – Głos Baśki brzmi miło, nie słyhać w nim pretensji.

A mnie od razu dusi na samo wspomnienie.

– On był u ciebie.

– No to co? Nie twoja sprawa, ale ci powiem: nie został na noc.

– To co robił późnym wieczorem?

– Rozmawialiśmy. Przyjechałeś, ale zobaczyłeś jego samochód i od razu się wycofałeś, tak? Oj, Romek, Romek.

– Nie chcę o tym mówić, Barbara. Robisz, jak uważasz.

– Doszliśmy z Mariuszem do wniosku, że nie jestem gotowa na nowy związek. Zresztą on też nie.

Zapada cisza, trawię tę informację.

– Nie żal ci? – pytam wreszcie.

– Lubię z nim być, czuję się przy nim spokojna. Robimy razem fajne rzeczy. Obiecał, że nauczy mnie latać samolotem. Mam nadzieję, że dotrzyma słowa.

– No widzisz, ja tego nie umiem. Niczego cię nie nauczę.

– Po co się rozgoryczasz, Roman?

– Po nic.

Znów nic nie mówimy. Jednak coś mnie powstrzymuje przed rozłączeniem się. Jest coś w naszej rozmowie, czego dotąd nie było. Czego nie znam.

– Rozmawiaj ze mną, Roman – słyszę.

– Na przykład o czym?

– O tym, co czujesz.

– Nic nie czuję.

– Nie kłam!

Zagryzam zęby.

– Jestem... trochę zły.

– Przecież nie robię nic innego niż ty przedtem. Różnica jest taka, że ja ciebie nie okłamuję.

– Mścisz się?

– Nie. Po prostu przestałam stawiać ciebie w centrum swojego życia. Teraz zajmuję się sobą. Kieruję się własnymi potrzebami. Tak trudno ci to znieść? Tak smakuje dorosłe życie, Roman.

– Wolałem to poprzednie, kiedy byliśmy razem.

– Jestem to w stanie zrozumieć. Prawda boli, wolimy jej unikać. Ale jeśli nie przepracujesz w głowie, dlaczego rozpadło się nasze małżeństwo, drugie z rzędu dla nas obojga, kolejny raz będzie tak samo. Znów ci się nie uda. Jeszcze jedno, w sobotę są urodziny Orła. Postaraj się być.

– Nie nadażam za tobą, Baśka!

Telefon komórkowy ma grubą wadę: nie można trzasnąć słuchawką, kończąc rozmowę. Chyba że weźmiesz zamach i pieprzniesz nim o ścianę. Niewiele brakuje, żebym to zrobił.

Dzień osiemnasty

Czwartek, 19 stycznia 2017

Godz. 14.10
Bar Côté

Warszawa, pawilon na tyłach Nowego Świata

Spodziewałem się zasuszonego, cichego staruszka o podejrzliwym spojrzeniu, tymczasem pułkownik Niemirski emanuje energią jak syberyjski wulkan. Musi mieć dobrze ponad siedemdziesiąt lat. Zwalisty, w kraciastym garniturze wydaje się wypełniać sobą całą przestrzeń wietnamskiego baru w obskurnym betonowym pawilonie. Tubalnym głosem, szeroko gestykułując, zaprasza mnie do swojego stolika, gdy tylko przekraczam drzwi.

– Tutaj, inspektorze drogi, tutaj!

Brat łąta. W życiu go nie spotkałem, a jasnoniebieskie oczy żarzą się z radości na rumianej twarzy, dłoń wielka jak bochen z entuzjazmem pompuje moją. Siadamy i bez żadnych wstępów robi mi wykład o „nadmierzalnej szamie” serwowanej w tym lokalu.

– Nazwę wymawia się *k'tu*, to znaczy ciocia. Zabawne, co? Buda dziadowska, ale proszę się nie zrażać. Azjaci są praktyczni, uważają, że liczy się żarcie, nie wystrój lokalu. Byłem dwa lata na misji w Wietnamie i mówię ci, kochany, nie ma drugiego miejsca w Warszawie z tak autentycznym orientalnym jedzeniem. Już dla nas zamówiłem sajgonki, chipsy krewetkowe, wołowinę curry i w pięciu smakach. Ryż i smażony makaron też.

– Jak się zatruję, pan płaci rachunek.

– Wtedy sam będę niósł twoją trumnę, przyjacielu. – Znosi się głośnym śmiechem. – Obiecuję. Póki wciąż żyjesz, załatwmy, co mamy do załatwienia. Kto cię przysłał do skromnego emeryta?

– Pióra.

Niemirski prostuje się w krześle. Wietnamczyk postury dwunastolatka stawia na stoliku salaterki z gorącymi sajgonkami i marynowaną białą kapustą, sosy, kładzie sztućce i serwetki. Jedzenie rzeczywiście ładnie pachnie. Pułkownik ceremonialnie nakłada mi na talerz trzy ruloniki z chrupiącego ciasta z nadzieniem.

– Jedzmy, póki gorące!... Ten kudłacz nie miał z nami nic wspólnego – dodaje po chwili. – Weryfikował wojskowych.

– Wiem. Ale twierdzi, że pan może mi pomóc.

– Dlaczego, kochany?

– Dlaczego wskazał pana czy dlaczego miałby mi pan pomagać?

– Ha! Znakomicie postawione pytania! Obydwa! – Mój rozmówca wraca do tonu, który przybrał na początku spotkania, ale w oczach już nie ma serdeczności – Kiedy się przedstawiłeś przez telefon, poczułem się zaszczycony. Że taka znakomitość, detektyw, o którym pisze moja ulubiona gazeta, ma jakąś sprawę do nic nieznaczącego byłego esbeka! Który coś, gdzieś, kiedyś tam. Zamierzchłe czasy. Zachodziłem w głowę, o co może chodzić. Ale gdy przywołałeś tę postać, wypowiedziałeś na głos ten przydomek, zrobiło mi się przykro.

– Dlaczego? Pióra coś ci zrobił? – Czas nas zrównać w tej rozmowie, bo tykanie przesłuchiwanego to stara sztuczka psychologiczna.

– Mnie nic. On wyrzucał najbardziej zasłużonych dla Polski funkcjonariuszy wywiadu i kontrwywiadu. On i jego kumple robili to samo, co ich jeszcze głępsi następcy robią teraz. Na naszą służbę były inne miotły. Coś ci powiem: osobiście jestem w stanie ich nawet zrozumieć. Taka była mądrość etapu, warunki rewolucyjne, wielu z nas musiało odejść. Pogodziliśmy się z tym, w każdym razie większość.

– Naprawdę?

– Tak. I z tym, że nas demonizowali i opowiadali niestworzone rzeczy. Że tarzamy się w moskiewskich pieniądzach, że jak ośmiornica opanowaliśmy biznes. Jaka ośmiornica! Ja znam, kochaneńki, kapitanów, majorów, którzy skończyli w szatniach. Jeden wiceadmirał wylądował jako handlowiec u króla złomu, na dodatek szybko stracił tę pracę. Sam żyję z tego, że mam starą krypę na Wiśle, która robi za tani hotel dla handlarzy ze Wschodu i innej biedoty. Powiem ci więcej. – Zniża głos. – Mnie nie dziwi nawet, że obecny rząd złamał tamto historyczne porozumienie, obniżając nam emerytury i skazując starych ludzi na wegetację. Praworządność nigdy nie była mocną stroną Polski.

– Takie emerytury ma większość ludzi – zauważam.

– Masz pewność, że i twojej ci kiedyś nie cofną?

– Zostawmy to – proponuję. – Ani ty, ani ja nie mamy wpływu na politykę. Zwróć uwagę, że Pióra musi cię cenić, skoro mi ciebie wskazał. Ale i tak się naszukałem. Dopiero rano udało mi się zdobyć namiar. Doceniam, że zgodziłeś się szybko spotkać.

Niemirski stuka się palcem w czaszkę.

– Bo tu są wciąż cenne rzeczy, prawda? Bo gdy potrzeba pomóc, to nagle okazuje się, że my, starzy esbecy, jednak jesteśmy coś warci – mówi gorzko. – O to mi tylko idzie. Tu mam żal. Ale dobrze, ty nie jesteś z nich. Rozmawiajmy.

– Nazwisko Kącki coś ci oczywiście mówi.

– Mówi. Roman Kącki. Pułkownik SB. Dawno nie żyje.

– Jak zginął?

– Murzyn spadł mu na głowę z balkonu.

– Jaja sobie robisz.

– Wcale. On gdzieś od... osiemdziesiątego szóstego roku mieszkał w Ameryce. Od żony uciekł. Wcisnął ciężarną kochankę do polskiej misji w ONZ, a potem do niej dołączył jako konkubent i ojciec dziecka.

– Wasi go wypuścili, a Amerykanie przyjęli? Trudno uwierzyć.

– Różne układy panują w wielkim świecie. Tak było wtedy i tak zawsze będzie. Na Kąckiego nieszczęście, bo w Nowym Jorku Bambo na haju wypadł z wieżowca i wylądował prosto na jego głowie, kiedy szedł z wózkiem po chodniku. Ameryka to kraj nieograniczonych możliwości. Czemu o niego pytasz?

– Według moich informacji w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym ten pechowiec odebrał policji przesłuchiwanego w sprawie o zabójstwo. Kobieta z podciętym gardłem i pochlastanymi piersiami. Rozkaz miał przyjść bezpośrednio od Jaruzelskiego. Ale może od Kiszczaka.

– I co?

– Do dzisiaj nie wykryto sprawcy. Mówisz, że Kącki wyjechał. Ówczesny podejrzany też szybko znalazł się za granicą. Wygląda, jakby wszystkie służby kryły zabójcę.

– Bzdura. Pamiętam sprawę. To, co mówisz, opozycjoniści pisali w tych swoich samizdatach. I do dziś powtarzają – mówi Niemirski z przekąsem. – Przede wszystkim z usytuowania Kąckiego wcale nie wynika, że to my zrobiliśmy. On był pomiędzy służbami cywilnymi i wojskiem. Coś w rodzaju łącznika. Wykonywał dyskretne misje od najważniejszych osób w państwie.

– Na przykład kiedy jedna służba chwyciła w łapy kogoś z drugiej, tak?

– Mogło się zdarzyć. Ale jeśli idzie o tamten ubój, to nie był nikt z naszych. Inaczej bym wiedział. Jeśli już, to wojsko maczało w tym palce.

– Kto z wojska? Wśród których szukać?

– Wszyscy już chyba śpią na cmentarzach. Poza tym jesteś mi winien

odpowiedź na drugie pytanie.

– Dlaczego powinienes mi pomóc? Bo jestem fajny. I mam dobrą pamięć. Nie zapominam przysług.

Drobny Wietnamczyk przynosi na półmiskach dwa rodzaje wołowiny, na słodko i na ostro. I więcej wody w dzbankach.

– Podoba mi się. Bardzo dobra odpowiedź – stwierdza pogodnie pułkownik Niemirski, nakładając makaron i wołowinę z curry na swój talerz. – Pij wodę, to jest ostre jak piorun. Dam ci jedno tylko, ale naprawdę dobre nazwisko. Bo cię lubię.

Godz. 15.03

Warszawa, Nowy Świat przy Ordynackiej

Czarny mercedes, wielgachna S klasa, jadący w kierunku Alej Jerozolimskich hamuje tak nagle, że autobus miejski z trudem unika huknięcia go od tyłu. Dostrzegam to kątem oka, zmierzając chodnikiem w przeciwnym kierunku. Merc gwałtownie robi nawrót i zrównuje się ze mną. Przyciemniona szybka z tyłu kabiny obniża się.

– Hej, Medyna!

Sokołowicz uśmiecha się i macha ręką, żeby podejść. Tyłne drzwi limuzyny otwierają się zapraszająco.

– Wsiadaj na chwilę – mówi facet, któremu mój brat popsuł biznes. – Podrzucić cię gdzieś?

– To oczywiście przypadek? Że się widzimy?

– Jasne. – Sokołowicz odsuwa się w lewo, robiąc dla mnie miejsce na tylnej kanapie.

Wsiadam i zamykam drzwi.

– Podwieźć cię gdzieś? – Magnat warszawskiego rynku nieruchomości powtarza pytanie tak naturalnie, jakbyśmy codziennie oddawali sobie miłe drobne przysługi.

– Mam wóz za rogiem, na Kopernika.

– No to się streszczę. Co byś powiedział na to, Medyna, gdybym zdjął ci media z karku?

– To ja mam media na karku?

– Nie udawaj. Telewizja szykuje o tobie ostry program. Bardzo przykra sprawa, o ile się orientuję. Będzie się działo.

– Lubię, jak się dzieje.

– Takie coś ci się nie spodoba. Stracisz licencję i twarz w Warszawie.

– Więc to ty jesteś frajerem, który utopił kasę w sponsoring tego gówna.

– Nawet nie wiesz, kto ci wbije nóż w plecy, Medyna. Niespodzianka, niespodzianka! Chcesz posłuchać propozycji?

– Wyłącznie z ciekawości. Intryguje mnie twój piękny umysł.

– Jest robótka do zrobienia. Dla kogoś z jajami. Dobra zapłata, zero ryzyka. Może się zdziwisz, ale pomyślałem o tobie. Poza wszystkim, co nas dzieli, zawsze miałem dla ciebie szacunek. Nawet uznanie jako do zawodowca. Twój pierdolony braciszek wyniósł się z kraju, pole jest oczyszczone, pomyślałem, co mi szkodzi pierwszemu wyciągnąć rękę. Moglibyśmy zacząć zamykać nasze rachunki. Zrobisz dla mnie parę rzeczy, które robisz dobrze. Życie jest zbyt krótkie, żeby je marnować na kłótnie.

Otwieram drzwi mercedesa, wystawiam nogę na zewnątrz i odwracam się do niego.

– Ale mnie się podoba tak, jak jest, Sokołowicz. Ja lubię od czasu do czasu dobrze skopać komuś tyłek i ty mi pasujesz w takiej roli. Potrzebuję tego dla higieny psychicznej. Rozumiesz?

Godz. 18.49
Tawerna Don Vito Corleone
Rocko, ul. Kościuszki w okolicy rynku

U Miśka neon się nie świeci, witryna zaklejona pakowym papierem. Ale widzę, że w środku pali się światło. Faktycznie robi remont w burdelu. Z ciekawości próbuję drzwi. Są otwarte, więc zaglądam: wewnątrz pierwszego pomieszczenia, pizzerii, jest wyprute do gołych ścian.

Nie ma już tandetnych starych mebli, kolejowego bufetu, nawet podłogi z wiekowych desek znikły. Ze ścian zbito tynki. Gorąco jak w tropiku, słyszę charakterystyczny szum gazowej nagrzewnicy. Przejście do dawnego Klubu Dżentelmena zostało poszerzone, w świetle gołych żarówek widzę pracujących robotników. Robią nową wylewkę z betonu, leją płynną masę z taczki i rozprowadzają ją grabiami i długą deską. Pod ścianą Misiek we własnej osobie siedzi na krześle ubrany w swój ulubiony błękitny dres i białe buty do gry w kosza. Nadzoruje prace.

– Może mi się zdaje, ale chyba schodzisz z wagi. Nie dałbym ci w tej chwili grama ponad sto czterdzieści kilo – witam go.

Gangster, zdziwiony w pierwszej chwili, uśmiecha się z zadowoleniem.

– Już widać, co? Robimy postępy. Oraz remoncik – dodaje, widząc, z jakim zainteresowaniem rozglądam się po niedawnej jaskini grzechu. – A ty z czym o tej porze, glino?

– Towarzystwo. Przechodziłem rynkiem. Pomyślałem, zajrzę.

– Cipki ci się zachciało?

– W tej chwili to daleka rzecz na mojej liście, Misiek.

– I dobrze, bo zmieniam branżę. Namyśliłeś się w sprawie tego winiarza, men? Jak chcesz, to rano poślę mu do sklepu Szerszenia z ekipą. Rok będzie jeździł na wózkach po tym spotkaniu.

– Chyba już nie ma sensu, Misiek. Moje małżeństwo to przegrana sprawa.

– Dopiero kiedy ona tak uzna, będzie przesrana – zauważa gangster. – To, co ty myślisz, men, się nie liczy. Zapamiętaj moje słowa: jeszcze do niej wrócisz i będziesz wielkim hotelarzem.

– Co to, to nie. Ostatnie miesiące mnie nauczyły, że nie jestem żadnym biznesmenem ani hotelarzem. Ja urodziłem się psem i psem zostanę.

– Nie tak głośno! – Misiek rzuca mi nerwowe spojrzenie. – Bądź sobie nawet Marylą Rodowicz, ale ci tam nie potrzebują słyszeć, z kim ja się zadaję. A co z hotelikiem?

Wzruszam ramionami.

– Baśce biznes pasuje. Idzie jej coraz lepiej. Powiem ci coś, Misiek. Przyznaję, mam czarny nastrój. Nie będę ci płakał w mankiet, ale potrzebuję napić się wódki dziś wieczorem. Tak naprawdę to z tym przyszedłem.

– Trafiłeś pod dobry adres. – Michał Jeziński się rozpromienia. – Na górze pokoje kurew są jeszcze nieruszone. Można siedzieć, spać. Trzymam tam rzeczy, włącznie z butelkami z baru. Starczy nam do Wielkanocy, men, jak będzie trzeba.

Nie wypijamy jednak ani łyka, bo zaraz po dziewiętnastej brzęczy moja komórka i odzywa się roztrzęsiony Górski. Pięć minut później gnam pustą o tej porze szosą do Warszawy.

Dzień dziewiętnasty

Piątek, 20 stycznia 2017

Godz. 11.09
Warszawa, most Gdański

Dron jest biały i leci nisko nad lodem zamrożonej Wisły. Gdybym nie wiedział, czego szukam, trudno byłoby go dostrzec z górnej platformy mostu Gdańskiego. Lód i śnieg na rzece skrzą się w słońcu, aż oczy bołą. Wyostrzam obraz w lornetce. Zdalnie kierowany aparat zmierza od strony zoo, w poprzek rzeki. Takiej właśnie sytuacji się spodziewałem, na nią liczyłem. Teraz zacznę polowanie – wcześniej, niż spodziewa się sterujący tym dronem.

Podbiegam do hondy, którą postawiłem na chodniku. Wrzucam lornetkę do skórzanej torby przy tylnym kole, wskakuję na siodełko, odpalam silnik i ruszam w kierunku praskiego brzegu. Jezdnie są dziś czarne, lecz na letnich oponach ciężki motocykl hamuje długo. Na śniegu ryzyko wywrotki jest pokaźne. Ale nie było czasu zorganizować odpowiedniejszej, terenowej maszyny z kolcami na gumach.

Na wszelki wypadek, gdyby dron jednak nadleciał skądś po warszawskiej stronie Wisły, przy bulwarze pod mostem postawiłem swoje bmw z byłym aspirantem Danielem za kierownicą.

Po drugiej stronie mostu nie widzę nikogo z konsolą do sterowania z długą anteną. Szantażysta kryje się gdzieś w łęgach nad samą rzeką. Brzeg od strony praskiej jest dziki, pełen zamrożonych zatoczek i płycizn, porośnięty drzewami i kępami bezlistnych krzaków. Przyjemne miejsce na spacer latem, przez cały rok dobre do ukrycia się i ucieczki. Nienadzwyczajne do pościgu.

Postanawiam obserwować sytuację z góry. Jeśli uda się wypatrzeć, do jakiego punktu dron zmierza w drodze powrotnej, z okupem od Górskiego, może zdołam skrócić dystans. Stawiam motor blisko schodów prowadzących na nabrzeże i cofam się pieszo kawałek na most, żeby widzieć cały brzeg.

Gdy w środę na próbie kompozytor pokazał się w czapce, reakcja szantażysty nie była natychmiastowa. Wieczorem i przez cały dzień w czwartek nic się nie działo. Już myślałem, że się czegoś wystraszył. Jednak późnym wieczorem przyszedł esemes – z telefonu na kartę. Uruchomiłem Włodka jeszcze w nocy, ale numeru z karty ani kodu aparatu, w który została włożona, nie było w rejestrach służb. Teraz trzeba się legitymować przy zakupie takiej karty, ale system jest dziurawy i handlarze „czystymi” kartami bez żenady ogłaszają się w mediach.

Szukaj więc igły w stogu siana.

Esemes zawierał szczegółową instrukcję. Sto tysięcy frankowych banknotów szczelnie owinać przezroczystą folią spożywczą. Dodatkowo zabezpieczyć ją gumkami aptekarskimi. Od węższej strony przykleić taśmą pętlę ze sznurka i dobrze zabezpieczyć. Czekać o ósmej rano na bulwarze po lewej stronie Wisły, sto metrów na południe od mostu Gdańskiego. Dalsze instrukcje nadejdą na ten sam numer telefonu.

Były też pogrożki, co Górskiego spotka, jeśli zacznie kombinować, albo zawiadomi policję. Same niedobre rzeczy.

Kazałem mu odpisać, że ma pieniądze, ale w stufrankowych banknotach i może wymienić je na większe nominały dopiero po otwarciu banków. Po godzinie wpadł kolejny es: szantażysta przesunął godzinę odbioru na jedenastą. To dało mi czas na ułożenie planu i przygotowania.

Moje początkowe wrażenie, że mamy do czynienia z zawodowcami, nie potwierdzało się. Instrukcja wskazywała, jaki pomysł ma szantażysta na odbiór okupu. Minimalizowanie masy pieniędzy oraz pętelka do podwieszenia paczki wskazywały na zdalnie sterowany aparat latający, ale raczej na zabawkę niż profesjonalny dron o większym udźwigu. Wybór miejsca obok mostu, na który nie da się wjechać bezpośrednio z nad Wisły, podpowiedział mi resztę.

Łączę się przez komórkę ze swoim pomocnikiem Danielem, który z przystanku tramwajowego na niższej platformie mostu przez lornetkę obserwuje Maksymiliana Górskiego.

– Dron wylądował – raportuje. – Klient patrzy na komórkę, chyba odebrał wiadomość... Klient kuca przy dronie, przyczepia paczkę... Dron wystartował, leci w twoją stronę!

Godz. 11.16

Mam go w polu widzenia lornetki. Sunie równolegle do mostu, mija kolejne filary, przy ostatnim odbija w moje lewo. Przybliżył się na tyle, że śledzę go gołym okiem. Paczuszka wielkości rozłożonego portfela kołysze się pod nim. Dron zmierza teraz prosto w kierunku kamiennej ostrogi, która wrzyna się w rzekę. Otacza ją zwał spiętrzonego lodu.

Nikogo tam nie ma. Dopiero gdy przykładam lornetkę do oczu, udaje mi się go dostrzec. Siedzi z boku ostrogi, ubrany w biały narciarski kombinezon z kapturem. Trudno go wypatrzeć na tym oślepiającym białym tle.

Pora zacząć tango. Zjeżdżam motorem po schodach, które prowadzą z mostu w stronę ogrodu zoologicznego. Stopnie są oblodzone, ale tylko zsuwam po nich ciężką maszynę z dłońmi na zaciskach hamulców, utrzymując równowagę szeroko rozstawionymi nogami. Dopiero na dole wrzucam bieg. Pamiętam nieźle tę okolice, wiem, w którym miejscu można tu zjechać na nadrzeczne łęgi. Kiedy zaczynałem jako praski gliniarz, niejedną noc ganialiśmy po nich złomiarzy, którzy opalali tu z izolacji miedziane przewody kradzione na kolei.

Przejeżdżam ulicą pod mostem na północ, w kierunku Bródna, i zaraz potem, łamiąc przepisy, skręcam w lewo, w dróżkę, która prowadzi wzdłuż samej rzeki. Kamienna ostroga zaczyna się jakieś dwieście metrów dalej.

Na dróżce leży ubity śnieg, ale szerokie opony hondy toczą się naprzód, dopóki nie odkręcam zbyt mocno manetki gazu. Mój plan jest następujący: gdy wypatrzę operatora, przybliżam się do niego, na ile to możliwe, potem porzucam motor i kończę pościg pieszo.

Na wysokości ostrogi przystaję, by się rozejrzeć. Prowadzi na nią wąziutka kręta ścieżka, zdeptana i porośnięta krzakami z obu stron. Właśnie zamierzam w nią wjechać, gdy zza zakrętu z hukiem silnika i łamanymi gałęziami wyłania się przód dżipa. To antyk z płóciennym dachem. Facet w białym kombinezonie i w ciemnych okularach siedzi za staroświecką wielką kierownicą. Gwałtownie zatrzymuje auto na mój widok.

Chyba nawet się dziś nie nabiegam. Odpalam kamerę na swoim hełmie.

Zsiadam z motocykla i ruszam w jego stronę. Biała czapka pochyla się, ze zgrzytem skrzyni wrzuca bieg i dżip cofa się gwałtownie. Rzucam się biegiem za

uciekającym autem, ale na wstecznym porusza się zaskakująco sprawnie. Nie dogonię go; zawracam do motocykla i ruszam w pościg.

Krzaki kończą się po kilkudziesięciu metrach. Na otwartej przestrzeni widzę, jak dżip zgrabnie zsuwa się z ostrogi na rzekę. W tamtym miejscu lód jest gładki, prowadzi prosto na szeroką przestrzeń zamrożonej Wisły.

Więc tak to ma być.

Kilkadziesiąt sekund później przewracam się z motorem, gdy próbuję zjechać z ostrogi w tym samym miejscu. Ale szybko stawiam maszynę na koła i wskakuję na siodełko.

Dżip jest stary, ale jary i lekki. Napęd na cztery koła daje mu przewagę nad motocyklem ślizgającym się jak pijany byk. Nie martwię się tym nadmiernie, wystarczy, że utrzymam się za nim. Kiedyś będzie musiał wyjechać na stały ląd, a tam się spotkamy. Na asfalcie nie ma szans mi uciec.

Samochód kluczy przede mną, przesuwa się w kierunku środka rzeki, potem znów przybliży do brzegu. Jadę odgniecionym w śniegu śladem jego opon, dzięki temu poruszam się szybciej. W miarę jak przyzwyczajam się do tych warunków jazdy, stopniowo skracam dystans między nami. Jesteśmy już blisko mostu Poniatowskiego, gdy dżip znowu odbija w lewo. Wygląda na to, że uciekający chce skorzystać z piaszczystej plaży w tamtym miejscu, by przedostać się na stały ląd.

Czuję adrenalinę jak myśliwy, gdy zbliża się do finału polowania.

Trzask lodu pod tylnym kołem hondy o ułamek sekundy poprzedza katastrofę. Motocykl staje jak wryty, a ja przelatuję nad kierownicą niczym pływak skaczący do wody. Ląduję twardo, uderzenie wybija mi powietrze z płuc i rozłącza jakiś kabelek w głowie, bo na moment przestaję też widzieć. Czuję jednak, że szoruję twarzą po lodzie.

Czerń rozprasza się powoli, obraz się wyostrza. Niebo jest niebieskie, a słońce pali w oczy. W uszach mi szumi jak cholera.

Ostrożnie podnoszę się na łokciu, potem siadam. Dotykam ręką twarzy – na dłoni jest krew. Mój motocykl tkwi po bak w wodzie, tylko przednie koło i kierownica wystają z dziury. Kask spadł mi z głowy i potoczył się kilkadziesiąt metrów dalej; rzadko zawracam sobie głowę zapinaniem paska pod brodą.

Moje zezowate szczęście. Gdybym miał terenowy motor, finał zabawy byłby inny. Ale jeździ się tym, co się ma.

Staję na nogi. Kręci mi się w głowie. Dżip zatrzymał się z pięćdziesiąt metrów ode mnie. Kierowca macha ręką, potem ją unosi. Widzę już dostatecznie dobrze:

pokazuje mi środkowy palec i odjeżdża w stronę plaży. Po chwili znika mi z oczu.

Gdzieś w tym miejscu do rzeki wpływa pewnie ściek albo cieplejsza struga wody podziemnej. Lód jest tu cieńszy. Wystarczająco mocny, by przemknęło po nim lekkie auto o czterech punktach podparcia, ale nie dość mocny, by utrzymać ciężki dwukołowiec z ponadstukilowym kierowcą.

Chyba skurwiel wiedział o tym. Podprowadził mnie tu specjalnie.

Podnoszę kask; kamera nadal nagrywa, dobre i to. Wyłączam ją i nakładam kask na głowę. Mój stary kokos jakoś wytrzymał to wszystko. Przechodzę na brzeg i z komórką w ręku długo się zastanawiam, kogo wezwać na ratunek do hondy. Na koniec zrzucam problem na głowę Daniela. A potem biorę głębszy oddech i wybieram numer Maksy Górskiej, żeby mu przekazać kiepską wiadomość.

Nie przyjmuje jej zbyt dobrze.

Godz. 12.41
Redakcja „Super Trybuny”
Warszawa, Praga-Południe, ul. Złotowska 9

– Zmień chirurga plastycznego, chłopie. – Redaktor „Super Trybuny” jest rozbawiony moim wyglądem. – Sądząc po twojej fizys, ten, który teraz nad tobą pracuje, nie jest utalentowany.

– Macie tu jakiś plaster? – Bez pytania rozsiadam się w fotelu, który naczelnny trzyma w swoim gabinecie dla gości.

– I wodę utlenioną, i watę, i plaster.

Robert Cygan podnosi słuchawkę telefonu, przekazuje dokładnie taką samą instrukcję sekretarce.

– Zdejmuj kurtkę, Marta cię opatrzy.

– Jest pielęgniarką? – pytam podejrzliwie.

– Matką bliźniaków – odpowiada pogodnie.

Przez następnych kilka minut skupiam się głównie na tym, by nie ruszać twarzą ani nie wydawać dźwięków niegodnych dorosłego mężczyzny. Marta wydobywa mi pęsetą z policzka jakiś brudny, twardy obiekt wielkości jednogroszowej monety. Jest powolna, ale dokładna. Przemywa i dezynfekuje skaleczenia, smaruje je grubo jakąś żółtą maścią, na koniec okleja lewą część mojej twarzy dwoma plastrami. Proponuje mi jeszcze proszek przeciwbólowy, ale dziękuję i dziewczyna z tacą w rękach wycofuje się za drzwi do sekretariatu.

– Dobrze zgadłem, że masz apteczkę w redakcji.

– Konieczność. Dziennikarstwo tabloidowe to sport kontaktowy – śmieje się Robert. – Dobrze się składa, że wpadłeś. Mam wiadomość dla ciebie.

– Dawaj najpierw złą.

– Jest tylko dobra. Program o tobie spadł. *Stop złu* nie wyemituje materiału o starych grzeszkach inspektora Romana Medyny.

– Nie gadaj!

– Masz problem z bani, możesz oblewać.

– Jakiś to załatwił, Robert?

– Nie ja. To twoja eks ich wydymała. Najpierw powiedziała, że bez kasy do ręki nie stawi się na planie. W końcu dali jej w kopercie. Przeliczyła, schowała do torebki, a na nagraniu wychwalała cię pod niebiosa! Nie mieli z czego robić swojego paszkwilu.

– Zuch dziewczyna.

– Na dodatek tamci muszą jeszcze zwrócić kasę sponsorowi.

Aż mi trudno w to uwierzyć, ale Alicja raz w życiu mnie posłuchała. Zrobiła dokładnie tak, jak jej powiedziałem. No naprawdę cud. Chyba zadzwonię do niej wieczorem z gratulacjami.

Przypomina mi się scena z mercedesem na Nowym Świecie i to bydłę Sokołowicz. Więc już wiemy, skąd się wzięła wielkodusznna oferta pana magnata nieruchomości. Facet jest cwańszy niż szerszy.

Fotografuję swój wysunięty palec i wysyłam mu faka przez komórkę.

Dzień dwudziesty

Sobota, 21 stycznia 2017

Godz. 11.14
Dom Opieki „Silvia”
Otwock, ul. Majowa 139

Latem tu musi być zielono i spokojnie. Budynki to parterowe klocki o dużych oknach, proste i jasne jak narysowane w Ikei, wokół zadbane teren. Już parkując samochód, zastanawiam się, ile w takiej oazie może kosztować miesięczny pobyt starego człowieka. Ciężkie tysiące złotych. Gdy wchodzę do środka, wrażenie się potwierdza. Niezła miejscówka jak na emeryta Ludowego Wojska Polskiego.

W recepcji siedzi młody mężczyzna. Na mój widok naciąga na gębę profesjonalny uśmiech. Mówię, że przyszedłem odwiedzić jednego z pensjonariuszy. Oczywiście jestem umówiony.

– Nazwisko?

– Koziół. Stefan Koziół.

Recepcjonista przestaje się uśmiechać.

– Chodzi o pana pułkownika?

– Tak.

– Jest pan członkiem rodziny? Albo znajomym?

– Znajomy pułkownika telefonicznie zapowiedział mu moją wizytę.

– Dziś z nim rozmawiał?

– Zapewne. Albo wczoraj wieczorem. Jest jakiś problem?

Zastanawia się, patrząc na mnie uważnie.

– Proszę usiąść tam i chwilę zaczekać.

Z fotela w poczekalni widzę, że rozmawia z kimś przez telefon. Po niedługiej chwili obok recepcji pojawia się kobieta w zielonej sportowej bluzie. Recepcjonista wskazuje na mnie. Kiwa mu głową i zbliża się do mnie energicznym krokiem.

– Jestem kierowniczką ośrodka. Czym możemy panu służyć?

– Przyjechałem odwiedzić Stefana Kozła, który przebywa tu w ośrodku. Spotkanie uzgodnił Henryk Niemirski. Pani kolega robi jakieś trudności.

– Zapewniam, że to nie on. – Kobieta krzywi usta. – Pan Koziół... z nikim się

nie spotyka. Czy mogę zapytać, z kim mamy zaszczyt?

Podaję jej swoją legitymację detektywa. Długo ją ogląda, widać brała mnie za kogoś innego.

– Proszę za mną – decyduje wreszcie.

Prowadzi mnie korytarzami w pastelowych kolorach, z dziecinnymi rysunkami na ścianach. Takie ludki maluchy rysują rodzicom albo wnuki dziadkom. Uchyła jedne z drzwi na samym końcu budynku, zaprasza, żebym zajrzał do środka.

W świetle niewielkiej lampy widzę starca. Owinięty w pled leży nieruchomo na meblu, który przypomina zmechanizowany fotel. Ma na wpół otwarte oczy i opadniętą szczękę. Z nosa sterczy mu przezroczysta rurka doprowadzająca tlen, druga kropla po kropli sączy biały roztwór do jego ramienia. Pierś porusza mu się prawie niedostrzegalnie. Nie reaguje na naszą obecność.

– Pan Stefan nie ma kontaktu z otoczeniem już od kilku tygodni. Zaawansowana choroba Alzheimera. Obawiam się, że spotkanie, na które pan liczył, nie może dojść do skutku.

– Głupio mi, nie wiedziałem. Dziękuję za pani uprzejmość.

Cholerny Niemirski. Nie wiedział o tym czy zakpił sobie ze mnie?

– Nasz ośrodek specjalizuje się w opiece nad takimi pacjentami – mówi kierowniczką pogodnie, prowadząc mnie z powrotem do recepcji. – Jesteśmy członkiem sieci klinik wspieranych przez fundację szwedzkiej rodziny królewskiej. Utrzymujemy światowe standardy w dziedzinie opieki geriatrycznej, nasz personel odbywa szkolenia w Szwecji, Danii i Niemczech...

– Nie zostanę waszym klientem, nie jestem Kulczykiem – przerywam jej, wciąż zły na Niemirskiego. – Nie ta liga portfelowa. I jeszcze nie ten wiek.

– Proszę nie myśleć w taki sposób! – poprawia mnie. – Ma pan jeszcze rodziców? Nasi rodzice zasługują na najlepszą opiekę, jaką tylko możemy im zapewnić. Ośrodek „Silvia” oferuje dogodne długoterminowe kredyty, współpracujemy z bankami i towarzystwami ubezpieczeniowymi. Z przyjemnością dam panu naszą broszurę. Mamy też stronę internetową, gdzie znajdzie pan bardzo wyczerpujące informacje.

– Czy tego pacjenta ktoś odwiedza?

– Żona. W każdą sobotę. – Spogląda na zegarek na prawym nadgarstku. – Mniej więcej o tej porze. Jeśli pan zaczeka w recepcji, pewnie ją pan spotka.

Godz. 12.25

Kobieta około siedemdziesiątki ma wciąż dobrą figurę, co podkreśla ryzykownie krótką sukienką, rzadkie jak puch dmuchawca włosy pofarbowane na wściekle fioletowy kolor, usta powiększone czerwoną szminką, mocne plamy różu ożywiają pomarszczone policzki. Efekt dopełniają zrobione na czarno brwi i oczy.

Długo obraca w palcach moją legitymację, jakby liczyła, że coś wypatrzy pod skórzaną okładką.

– Mój mąż jest bardzo zasłużony dla Polski – stwierdza uroczyście. – Zajmował się sprawami państwowymi najwyższej wagi. Wart jest pomnika, a nie tego, co go spotkało. Ale Polacy już tacy są. Wszystkich swoich wielkich ludzi najpierw opluwają. Z Mickiewiczem też tak było. Wiedział pan o tym?

– Nie.

– Kiedyś będą nazywali ulice nazwiskiem mojego męża.

– Właśnie dlatego pytam panią pułkownikową o te papiery. Ważni ludzie, zwłaszcza wojskowi, jak pani mąż, dysponują ważnymi archiwami, dokumentacją, za którą przyszłe pokolenia będą wdzięczne. Jestem przekonany, że mając tak wspaniałą żonę, która walczy o jego dobre imię, nie musiał martwić się o swoje papiery. Jestem pod wrażeniem jakości opieki, jaką mu pani tutaj zapewnia.

– Pro-ooszę pana, a jaki to koszt! – Kobieta robi zboląłą minkę jak mała dziewczynka. – Jakie wydatki na lekarstwa! Od ust sobie odejmujemy w naszej rodzinie, byle tylko kochany Stefanek mógł tu przebywać i opływać we wszystko. Sama już nie dawałam rady się nim opiekować. To duży, piękny mężczyzna. Kiedy zaczął się ten alcajmer, wszystko mu się mieszało, nie poznawał nikogo, gubił się na mieście. Ale silny był jak tur. Miałam z nim krzyż pański. Musiałam oddać.

– Nikt nie może mieć o to do pani pretensji – zapewniam ją uroczyście.

– Jestem drobną osobą, jak takiego podnieść, umyć, za przeproszeniem zmienić mu pieluchę?

– Absolutna racja.

– Tylko bez przerwy zamartwiam się o pieniądze.

– Może... byłbym w stanie pomóc. Mój klient zapłaci za poważne informacje.

– Czy pan, panie...

– Roman Medyna.

– ...panie Medyna, właśnie! Czy ma pan jakiś stopień służbowy?

– Podinspektor policji. To jak podpułkownik.

– Ach, to wspaniale! – Żona Stefana Kozła aż klaszcze w ręce. – Kamień spadł mi z serca. Mam zaufanie do wyższych oficerów, jeśli pan wie, co chcę powiedzieć.

– Oczywiście, pani pułkownikowo.

– A jakich informacji pan potrzebuje, pułkowniku?

– Interesują mnie wszelkie dokumenty, w których byłyby wzmianki o tych osobach. Albo o zabójstwie kobiety przy ulicy Zielnej w Warszawie dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku.

Na tylnej stronie swojej wizytówki zapisuję tę datę i adres oraz nazwiska Alojzy Główka, Maksymilian Błażej Górski, Zofia Szmit i Kazimierz Szmit.

– Wszystko na temat tych osób może mieć znaczenie.

– Mogę sprawdzić w... szpargałach męża. A jaką kwotę honorarium miał pan na myśli?

– Nawet kilka tysięcy złotych, jeśli informacje mnie zadowolą.

– Za dużo wiem o życiu, żeby tak się umawiać – mówi z filuternym błyskiem w oku. – Jeśli znajdę coś konkretnego, jak protokół, raport albo spis nazwisk, przekażę panu za dziesięć tysięcy złotych.

– Pięć tysięcy – proponuję. – Za materiał o przełomowym znaczeniu.

– Nie targujmy się. Sama ocenię, ile informacje będą warte. Nie jestem wcale głupią blondynką, za jaką mnie wszyscy macie. Ech, wy mężczyźni!

– Wcale tak nie pomyślałem, pani pułkownikowo. Gdyby pani zechciała poszukać szybko, choćby dziś wieczór na przykład, byłbym dodatkowo wdzięczny. Sprawa ma pilny charakter dla tego, który płaci.

– Przecież widzę, że pan jest z tych niecierpliwych.

I puszcza do mnie zabójcze oko.

Godz. 14.10
Majcher Jeep
Autoryzowany dealer Jeep, Chrysler, Lancia
Warszawa, ul. Grochowska 171

Marek Majcher wstaje w swojej kanciapie, by uścisnąć mi rękę. Lustruje mnie wesołymi niebieskimi oczami od stóp do głów.

– Niech zgadnę, pan po dżipa, prawda? Jedyne wybory dla dojrzałego, żądnego życia mężczyzny! Gratulacje, jest pan we właściwym miejscu. I w najlepszym czasie, bo mamy wyprzedaż modeli z zeszłego roku! Korzyści do trzydziestu tysięcy złotych, równoważność VAT, dorzucamy opony i pierwszy rok serwisowania za darmo. Od czego zaczniemy jazdy próbne? Cherokee – pełna opcja. Jeśli trzeba, znajdzie się i bardzo ładny grand cherokee dla szanownego pana. A może renegade dla małżonki? Mamy sztukę w pomarańczowym lakierze, kobiety szaleją za tymi wozami...

– Willys. Słyszałem, że pan prowadzi klub offroadowy.

Diler się rozpromienia.

– Najlepszy w Polsce. Największy i najbardziej prestiżowy, proszę pana.

Rano, po śniadaniu w Mazowszance, skorzystałem z darmowego wi-fi ośrodka, żeby przeczesać strony internetowe takich klubów. Znalazłem ich kilka w Warszawie i okolicach. Postanowiłem zacząć od jedyne, który zrzeszał wyłącznie posiadaczy amerykańskich dżipów.

– Facet z Toyoty też tak mówi.

– Coś panu opowiem. – Diler uśmiecha się jeszcze szerzej. – Ostatnio w grudniu, tuż przed świętami, zrobiliśmy mały rajd w Bieszczadach. Baza w Arłamowie, w sobotę rano wyjeżdżamy w teren w kilkanaście dżipów. Pogoda jak dzwon, leciutki mrozek, lampa na niebie. Górki, pagórki, przeprawy przez trakty leśne, piękne okoliczności przyrody, zabawa fantastyczna. Na koniec wyprawy zaplanowałem przejazd korytem Sanu, żeby wozy obmyły podwozia z błota. Przy zjeździe do rzeki natykamy się na toyotę land cruiser: prezes z rodziną w środku wybrali się na wycieczkę w plener. Wóz nówka sztuka, w środku żona w futrze, kilkuletni syn i jeszcze dziadek, i duży wilczur. Gość opuszcza szybę i pyta, czy może do nas dołączyć, bo słabo zna okolicę. Machnąłem ręką, trudno,

jedź.

W rzece poruszamy się w jednej linii. Ja zawsze prowadzę, bo znam koryto i dokładnie wiem, którędy można. Górskie rzeki nie są głębokie, ale zdradzieckie. Wszyscy jadą moim śladem, po kilkuset metrach facet z toyoty zaczyna się nudzić. Odbija w bok i od razu pakuje się w głębszy dołek, zalany silnik gaśnie. Widzę w lusterku, że tkwią w pułapce, woda po szyby. Cofam kawałek i mówię temu prezesowi, że wydobędę ich stamtąd, ale sorki, sam musi zaczepić linę wyciągarki do haka z przodu swojego pojazdu. Woda w rzece ma tylko kilka stopni, nie zamierzam do niej włączyć dla kogoś, kto nie jest moim klientem ani nawet gościem.

Zamiast wyczołgać się przez otwarte okno, prezes jak idiota otwiera swoje drzwi. San momentalnie wypełnia wnętrze toyoty, żona w futrze piszczy, pies szczeka, dziadek klnie, wszyscy siedzą po pachy w płynnym lodzie.

Prezes brnie po pachy w rzece, heroicznie walcząc z nurtem, dociera do mojej wyciągarki. Potem, już ze stalową liną w rękach, wraca do swojego wozu. Musi zanurkować, żeby zaczepić pętlę o hak pod przednim zderzakiem. Jest już fioletowy z wychłodzenia, ale musi usiąść za kierownicą, by choć trochę, mimo braku wspomagania, pokierować wozem i pomóc go wyprowadzić. Bez większych problemów wyciągam ich w komplecie na brzeg, wylewamy wodę z kabiny, wspólnie uruchamiamy mu silnik. Pokazuję facetowi najkrótszą drogę do hotelu.

Wieczorem siedzimy w hotelowym barze. Zjawia się ten od toyoty. Podchodzi do naszej grupy i mówi: „Panowie, było ekstra super. Czy ja muszę kupić dzipa, żeby dalej z wami jeździć?”.

– I co pan odpowiedział?

– Sprzedałem mu grand cherokee, pełen wypas, skóra i drewno.

– Mnie interesują starsze modele. Takie jak ten.

Pokazuję mu fragment filmu na wyświetlaczu mojej kamerki z hełmu. Wyjmuje okulary do czytania, ogląda fragment ponownie.

– Willys MB – mówi wreszcie. – Produkcja wojenna. Tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty rok. Unikatowy egzemplarz. Żadnych przeróbek poza brezentem dachu, akumulatorem i częściami eksploatacyjnymi. W pełni oryginalny, w pełni sprawny.

– Skąd taka pewność? Zna pan ten samochód?

Marek Majcher wzrusza ramionami.

– Należy do mnie.

Godz. 18.30
Pensjonat Urokliwa Skarpa
gmina Sieńki, ul. Żaglowa 7

Obaj z Orłem jesteśmy uszczęśliwieni. On, bo ma oboje starych w komplecie, obok siebie przy stole, na którym stoi tort ze świeczkami na jego cześć, a ja po prostu dlatego, że jestem przy nim w takim dniu. W końcu mały człowiek obchodzi siódme urodziny tylko raz. Baśka zaskakująco dobrze wpisuje się w nasz nastrój.

Ubrała się w ładną granatową sukienkę, ułożyła ciemne włosy, a jej oczy w kształcie migdałów, jak Arabki, ani razu mnie jeszcze nie spiorunowały. Dawno takiej miłej swojej żony nie pamiętam.

Śmieje się z nami do rozpuku, gdy młody bezskutecznie próbuje zgasić świeczki. Co jakąś zdmuchnie, to ogienek wyskakuje na szczycie ponownie, bo to są specjalne rekwizyty, niegasnące. Kupiłem je w internecie. Solidny niemiecki produkt: chwila nieuwagi i możesz spalić całe miasto.

Baśka nawet mnie nie ochrzaniła za ten zakup. Jakby nagle zaczęła rozumieć facetów.

Świętujemy przy stoliku w końcu sali jadalnej, bo jednak interesu trzeba doglądać. Poza tym kto nam dogodzi lepiej niż nasza gwiazda patelni? Arek przygotował dla Orła Białego własnego wyrobu frytki z kurczakiem, dla nas rydze z patelni. W sezonie wszystkie grzyby poza rydzami mrozimy bez mycia, trafiają do zamrażarki z resztkami ściółki leśnej, igłami sosny, fragmentami zeschniętych liści, żeby zachowały aromat. Rydze jednak mrożenia nie tolerują, dlatego Arek sparza je krótko i wekuje. Serwowane zimą robią piorunujące wrażenie na naszych klientach. Podobnie jak czosnek niedźwiedzi, który dodajemy na przykład do jajecznicy.

To już nie jest mój świat. Nie urodziłem się na hotelarza. Jednak mam sentyment do tej epoki naszego życia z Baśką, kiedy przeszliśmy na policyjne emerytury, sprzedaliśmy mieszkanie i wszystko, co mieliśmy, postawiliśmy na jedną kartę na tej skarpie nad zalewem. Baśce rola kobiety biznesu pasuje znacznie lepiej, co pokazują wyniki finansowe pensjonatu. Gdy chwalebę rydze, pyta o moje dochodzenia. Opowiadam jej trochę, bez szczegółów. Odwzajemnia się anegdotami o ekipie telewizyjnej, która filmowała Arka w naszej kuchni. Ją też nagrywali do

tego filmu, ale wycięli, w wersji, którą telewizja wyświetliła w ostatnią niedzielę, nie było tej wypowiedzi.

Młody z hukiem wjeżdża hulajnogą, którą dostał ode mnie w prezencie, w jeden ze stolików z gośćmi, ale poza stłuczoną szklanką i rozlaną wodą nie ma wielkich strat. Baśka zabiera hulajnogę i wnosi do kanciapy za kuchnią, do której tylko ona ma klucz.

Około ósmej wieczorem Orzeł zaczyna marudzić. Jest zmęczony, to dzisiaj jego trzecia impreza urodzinowa. Pierwszą zaliczył w przedszkolu, a potem z kolegami w Miki Landzie w Legionowie, pod opieką matki. Obłowił się jak mały bandyta: ma cały wór słodczy – oczywiście „pod opieką” mamy. Od dziadka dostał grę komputerową, od matki komiksy, a od ojca tę nieszczęsną hulajnogę „sportową”, do wywijania akrobacji. W sklepie mi powiedzieli, że to obecnie jest największy szal wśród dzieciaków.

Kiedy informacja o przeznaczeniu hulajnogi dotarła do jego matki, jedyny raz dzisiejszego wieczoru zrobiła minę typu „uduszę cię”. Jednak znów się powstrzymała, jak przy świeczkach, które zgasły dopiero w misce wody. Naprawdę staramy się wszyscy, żeby dziś było przyjemnie.

- Położysz go spać? – sugeruje Baśka miękko.
- Ja jeszcze nie idę spać! – protestuje Orzeł, przecierając oczy.
- Oczywiście. Poczytam ci *Narnię*, chcesz?
- Nu-uuuda!
- To może *Wyspę skarbów*?
- Tatusiu, to jest takie stare, że ja nie wiem!!!
- Piraci są cool...
- Tylko z Karaibów!
- Tamci też są z Karaibów.
- Wcale nie! Z Anglii!
- No to *Harry Potter*? – wzdycham z rezygnacją, bo tej książki akurat nie cierpię. Sam nie wiem dlaczego.

Orzeł Biały wreszcie zbiera swoje fanty. Arek wynurza się z kuchni i jak co wieczór krąży po sali w białym kucharskim kitlu i czapce prawie do sufitu, pozdrawiając gości. Co rusz ktoś prosi gwiazdę telewizji o wspólne zdjęcie albo autograf. A Baśka posyła mi spojrzenia, poprawia włosy, uśmiecha się samymi kącikami ust.

Znam ten wzrok i te gesty. Ale moja żona jest twarda. Zaraz rozczenie jej minie. Nie będzie dalszego ciągu.

Wycieram usta serwetką, dziękuję, wstaję od stołu i uciekam na górę do – do niedawna naszych – prywatnych pokoi. Będę czytał wyciągniętemu w wannie synkowi *Harry'ego Pottera*, potem jeszcze w łóżku, aż słodko zaśnie, zadowolony i bezpieczny. Kiedyś liczyłem, że Baśka mnie zatrzyma, kiedy będę wychodził od naszego dzieciaka. Wypatrywałem jakiejś zachęty z jej strony, sam próbowałem ją zaczepiać. Ale już wiem, że kiedy zbliżam się do niej za blisko, gdy jej dotykam, tylko wpada w złość. Jakby jej się na nowo wszystko przypominało.

Godz. 21.43

Gdy schodzę na dół, Baśka stoi oparta o blat baru, nadal w tej podkreślającej figurę granatowej sukience, z kieliszkiem koniaku w dłoni. Własnymi rękoma montowałem ten bar prawie cztery lata temu.

– Napij się ze mną – mówi. – Na dobre zakończenie dnia.

– Prowadzę. Chyba... że chcesz, żebym został do rana.

Wpatruje się we mnie, długo bada mnie oczami. Albo może sonduje własne reakcje? Na koniec potrząsa głową.

– Nie. Przepraszam.

– W porządku, Basiu.

– Może kiedyś.

– Na pewno.

Czuję zapach jej perfum. To jakieś nowe. A w pokoju na górze są jakieś obce rzeczy. Ktoś się w nim zatrzymał. Baśka puściła dwójkę jakiemuś gościowi? Chcę o to spytać, ale rezygnuję. Jest mi ciężko na sercu, gdy wracam do swojej nory w porcie. Próbuję się pocieszyć, że ona też tęskni za mną, a złość w końcu jej kiedyś przejdzie. Ale już sam nie wiem, czy w to wierzę.

Dzień dwudziesty pierwszy

Niedziela, 22 stycznia 2017

Godz. 10.58
Hotel Bristol

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 42/44

Pułkownikowa, żona Alzheimerowego Dziadka, jak go nazwałem na własny użytek, chce wyssać maksimum korzyści z naszej znajomości. Zażyczyła sobie spotkania w jednej z najdroższych kawiarni w mieście; do tej pory bywałem w Bristolu tylko wtedy, gdy płacił ktoś inny.

Zatelefonowała już rano, że coś znalazła, i za nic nie chciała powiedzieć więcej przez telefon. Nie wybierałem się do Warszawy, ale po chwili telefon odezwał się znowu i spotkanie w tym samym miejscu wyznaczył też Maks Górski. Rozmawiałem z Dąbrowskim, kompozytor jeszcze spał. Więc wyszykowałem się i ruszyłem do miasta.

Pułkownikowa znów ma mocny makijaż na pomarszczonej twarzy, ale włożyła inną sukienkę, czarną w kwiaty. Nie żałuje sobie, zamawia kawę z irlandzką whisky i wielki kawał czegoś, co wygląda na tort czekoladowy z wiśniami, tylko inaczej pokrojony, w kostki. Zabiera się łapczywie do jednego i drugiego.

– Często tu przychodziliśmy ze Stefanem na te torciki – mówi, mrużąc oczy z rozkoszy. – Mąż zawsze mawiał, że jeśli kawiarnia, to musi być wiedeńska. Ostatecznie szwajcarska, inne są dla pospólstwa. Lubi pan *Apfelstrudel*, panie pułkowniku?

– Chętnie spróbuję – odpowiadam uprzejmie jak angielski lord. – Ale innym razem. Rozumiem, że pani coś znalazła.

– Tak. Udało mi się coś wyszperać w szpargałach Stefana.

– Z przyjemnością rzucę okiem.

Oczekuję, że wreszcie sięgnie po swoją dużą torbę, ale żona Stefana Kozła robi chytrą minkę.

– Lepiej niech się pan zmieni w słuch.

– Bo...?

– Bo to, co mam, to jest nazwisko. Ale jeśli je powiem, pan mi nie zapłaci.

Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam.

- Co to za nazwisko? Proszę przynajmniej określić osobę. Kim jest.
 - To ktoś ze Służby Bezpieczeństwa, kto prowadził obserwację bloku w dniu, gdy popełniono morderstwo. Blok w Śródmieściu. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku. Żona muzyka zaciukana.
 - I co z tego?
 - Może coś zauważył, ten funkcjonariusz. – Robi minę, jakby chciała się ze mną podroczyć.
 - Jeśli mam kupić nazwisko, to napisane na dokumencie, który będę mógł wziąć do ręki.
 - Przyniosę następnym razem. Tylko do wglądu.
 - Będę chciał zobaczyć oryginał i sfotografować.
 - Dobrze.
 - Mówimy o mężczyźnie? Bo może funkcjonariuszka prowadziła obserwację?
 - Żona pułkownika Kozła zaprzecza ruchem głowy, zajęta resztkami ciastka.
 - Jeśli coś wniesie, zapłacę za kontakt do tego funkcjonariusza. Ale nie z góry.
 - To nie tak. – Odkłada łyżeczkę, oblizuje wargi i znów sięga po pachnący alkoholem kufel jasnobrązowej kawy z mlekiem i białym kremem na wierzchu. – On to już na pewno nic panu nie powie. Pochowaliśmy go na Wólce Węglowej, będzie ze dwa lata. Ale wdowa żyje i udziela się w naszym stowarzyszeniu. Jestem z nią w kontakcie. Ona dysponuje tym, czego pan szuka.
 - Pani chce, żebym kupił kota w worku.
 - Nie jestem blondynką, pułkowniku – odpowiada sucho. – Oferta jest, jaka jest. Nie będzie innej. Uczciwie stawiam sprawę.
 - Goszczę panią w tej chwili i daję słowo oficera, że jeśli trop poprowadzi mnie do celu, wypłacę pani honorarium.
 - Ile?
 - Pięćset złotych.
 - Stawka godna oficera policji. Zawsze pan taki skromny?
 - Jestem skromnym detektywem. Tylko tyle mogę położyć na stoliku z funduszu, który mam do dyspozycji. Większą sumę musiałby autoryzować mój klient – tłumaczę. – To potrwa. Poza tym wątpię, czy się zgodzi. Mamy wiele innych tropów i źródeł do dyspozycji.
- Kobieta zastanawia się, na koniec kiwa głową.

– Wezmę teraz te pięćset i jeszcze tysiąc, gdy skontaktuję pana z wdową. Wtedy pan pozna nazwisko. To podejrzliwa, zamknięta w sobie osoba. Bez mojego wstawiennictwa i tak nic pan nie uzyska.

Maksymilian Górski jest kłębkim nerwów. Schodzi ze swojego pokoju do Cafe Bristol kilka minut po wyjściu pułkownikowej i nie reaguje radośnie na mój widok, jak przy poprzednich spotkaniach. Aż zszarzał ze strachu, że szantażysta odpali swoją stronę z oszczerstwami.

– Monitorujemy internet przez cały czas – zapewniam go po raz nie wiem który od próby schwytania szantażysty na Wiśle. – Nic się nie pokazało. Ani wczoraj, ani w nocy, ani dziś rano. Mówiłem z góry, że tak będzie.

– Pewności nie masz – stwierdza ponuro.

Zamawia u kelnerki czarną kawę i rogalik.

– Szantażysta ma jeden cel: wycisnąć z ciebie pieniądze. Gdy odkrył, że w paczce z okupem było sto kartek pokrojonego papieru, wściekł się. Jednak nie spełnił swojej pogroźki. A to znaczy, że wciąż ma nadzieję, że mu zapłacisz. Dlatego pytam, Maks: czy skontaktował się już z tobą?

– Nie.

Ten facet w życiu nie oszukałby wariografu. Milczę przez chwilę, kiwając głową.

– Maks, jesteś moim klientem. Nie musisz kłamać. Płacisz i ty tu rządysz. Możesz być pewny mojej lojalności. Niczego ci nie narzucam. Proszę cię tylko, żebyś mnie teraz uważnie posłuchał. Ja już wiem, kto próbował podjąć okup.

Kompozytor dosłownie podskakuje na krześle z wrażenia.

– Kto to?! Mów!

– Między wiedzieć, kto cię szantażuje, a móc tej osobie udowodnić przestępstwo szantażu, jest spora różnica. Chcesz skończyć z nękaniami ciebie raz na zawsze? To pozwól mi zakończyć moje dochodzenie. Potrzebuję jeszcze kilku dni.

– Chcę znać to nazwisko. Natychmiast, skoro ja rządę!

W jego oczach widzę rozgorączkowanie.

– Nie utrzymasz tajemnicy, Maks – mówię cicho.– Zdradzisz się, że wiesz. Spłoszysz sprawcę i nie złapiemy go za rękę.

Mierzymy się wzrokiem i Górski kapituluje.

– Marny ze mnie aktor – przyznaje niechętnie. – Ale mamy tylko trzy dni. Premiera *Drakula* jest w środę.

– Zrobię wszystko, żeby zdążyć, Maks. Szantażyście przekaz, że jesteś gotowy do negocjacji na serio. Jestem przekonany, że dopóki ma cień nadziei na kasę, nie będzie się spieszył z atakowaniem ciebie publicznie. Mamy czas. Nie szykuj pieniędzy na okup.

– Chciałbym ci wierzyć. Ale raz ci już uciekł.

– Rób swoje i pozwól mi robić swoje.

Górski wzdycha ciężko.

– Masz czas do premiery. Jeśli on opublikuje ten paszkwil, nasza umowa przestaje obowiązywać. Pamiętaj o tym, Roman. Nie zapłacę ci wtedy nawet eurocenta.

Trudno. Nigdy się nie wie do końca, jak się rozwinie sytuacja. Wierzę w swoje metody pracy, jednak nie jestem Duchem Świętym. Nie mówię tego Maksowi. Jest rozdygotany i bez takich zastrzeżeń z mojej strony.

Nigdy też nie wiadomo, czy klient zapłaci.

Dzień dwudziesty drugi

Poniedziałek, 23 stycznia 2017

Godz. 9.05
Filharmonia Narodowa
Warszawa, ul. Jasna 5

Popycham wysokie drzwi z mosiężną tabliczką, na której wygrawerowano nazwisko dyrektora muzycznego. Janusz Kacper ma się dziś lepiej niż podczas mojej poprzedniej wizyty. Chudy, długowłosa mężczyzna przygląda mi się pytająco ptasimi oczami. Jednak mnie kojarzy, podnosi się zza biurka. Wyciąga rękę z delikatnymi palcami. Ściskam ją z należytą ostrożnością.

– Ochronia pan naszego drogiego Maksa – mówi dyrektor muzyczny. – Był pan u mnie z Dąbrowskim, prawda? Co pilnego sprowadza pana tu tak rano?

– Głód wiedzy, maestro. Zawsze głód wiedzy!

– Obyśmy tylko zdołali go nasycić.

– Francuski dyrygent, podobno znany. Miał prowadzić orkiestrę podczas premiery symfonii pana Górskiego w tej filharmonii w osiemdziesiątym czwartym roku. Mógłby pan mi znaleźć jego nazwisko? Na przykład w archiwum?

– Jean-Christophe Gibault – mówi bez wahania. – Słyszał pan?

– Nie.

– W halach koncertowych to nazwisko waży tyle samo ile Daniel Barenboim, Neeme Järvi czy Leonard Bernstein.

– Aha. Gdzie go znajdę?

– Monsieur Gibault obecnie prowadzi Królewską Orkiestrę Symfoniczną w Sztokholmie.

– Cholera – wyrywa mi się.

Nie zdążę obrócić, nawet gdyby jakimś cudem udało mi się uzyskać szybką audiencję u tej znakomitości.

Kacper triumfalnie podnosi kościsty palec w kierunku sufitu.

– Ma pan szczęście, drogi przyjacielu!

– Mam?

– Maestro przylatuje we wtorek wieczór, będzie jednym z gości na premierze Maksa. Górski nie powiedział panu tego?

- Nie miałem okazji zapytać.
- Asystent Maksa też wie. – Robi podejrzliwą minę. – Ten, no... Dąbrowa.
- Wiem, przepraszam, że zawracam głowę. Ale pan Maksymilian śpi o tej porze, a pewna sprawa wyskoczyła nagle. Gdzie ten maestro się zatrzymuje?
- Dla najważniejszych gości zarezerwowaliśmy pokoje w Bristolu. – Jak wszyscy ufni ludzie, Kacper łatwo przyjmuje wyjaśnienia, byle nie były krzyżaco nieprawdopodobne. – Zapowiada się impreza rangi międzynarodowej. Urwanie głowy z przygotowaniami, ale nie ulega wątpliwości, że muzycznie czeka nas olśniewający wieczór – zapewnia.
- Gratuluję i trzymam kciuki.
- Na pewno uda się panu skontaktować z Gibaultem z pomocą Maksa. Są bliskimi przyjaciółmi.
- Dobrze.
- Jeśli to coś ważnego, to mógłbym spróbować dodzwonić się do jego asystenta. Nawet zaraz...
- Nie ma potrzeby – zapewniam go. – Widzę, że dziś szczęśliwie smog panu nie dokucza.
- Na szczęście przewiało Warszawę. – Uruchamia duży smartfon leżący na biurku. – Mam taką aplikację, określa stan powietrza w Śródmieściu. Widzi pan? „Dość dobry”. Pyły zawieszono między trzydzieści a czterdzieści. Sanatorium dla gruźlików to nie jest, ale może uda się przeżyć. Tak przynajmniej było z rana. A teraz odświeżę... Zobaczmy... – Zaczyna stukać w klawiaturę.
- Żegnam się i dyskretnie ulatniam z gabinetu, zostawiając dyrektora muzycznego nad tą czynnością. Liczę, że szybko zapomni o całej rozmowie. Jestem też zadowolony, bo wygląda na to, że obejdzie się bez nocnego lotu do Szwecji. Czasem jednak szczęście mi sprzyja.

Godz. 9.49
Zarząd Główny Polskiego Zrzeszenia
Banków Rolnych
Warszawa, ul. Jasna 1/3

– Byliśmy umówieni na dwadzieścia tysią. Nie wpłynęły na konto – mówię.

– I nie wpłyną. Zmieniłam zdanie – odpowiada Giwera pogodnie i odwraca się do swojej sekretarki. – W porządku, kochanie, sama to załatwię z panem Medyną.

Sekretarka próbowała bronić dostępu do szefowej własnym pulchnym ciałem, trzymała łapkami klamkę drzwi gabinetu kurczowo, jak tonąca linę ratunkową. Nie zamierzałem się z nią szarpać, tylko przesunąłem kobietę razem ze skrzydłem drzwi i wkroczyłem do pani wiceprezes. Jeszcze nikomu nie udało się mnie zbyć, po prostu nie przyjmując moich telefonów.

– Nie możesz ot, tak odstąpić od umowy – protestuję.

– Zarząd się nie zgodził. – Kręci głową. – Nie uznali twojej argumentacji, arogancki chłopaku. A ja... nie widziałam powodu, żeby dla ciebie wkładać głowę do paszczy lwa.

Nie dałem jej takiego powodu, fakt.

– Co zarząd powiedział?

– Że sprawa jest rozbabrana, a nie zamknięta. Dla zrzeszenia to gorzej, niż gdybyś nikogo nam nie wskazał. Bo co powinniśmy teraz zrobić? Straciliśmy zaufanie do Malickiego, ale nie mamy podstaw, by go zwolnić. Proponowaliśmy mu urlop bezpłatny, ale się nie zgodził. Jesteśmy w kropce, Roman.

– Zaproponujcie mu płatny, stać was. I zgłóście wasze podejrzenia do prokuratury.

– Zarząd odrzucił tę drogę. Wiesz najlepiej, jak działa prokuratura. Palcem nie kiwnie. A jeśli nawet zamówi jakieś badania, to ile to potrwa? Pewnie całe miesiące albo dłużej. A my nie mamy czasu. Kazali mi zatrzymać twoją wypłatę i poszukać lepszego detektywa. Taka jest prawda, chłopaku. I dokładnie to zamierzam zrobić.

– Zaczekaj. Skoro tak, to ja... Pieprzyć to, wracam do sprawy! Skończę, co zacząłem. Skoro mój honor detektywa znalazł się na szali...

– Powiedziałabym, że twoje honorarium. Twierdziłeś, że nie masz prywatnego laboratorium.

Chyba słyszę szyderstwo w jej głosie.

– Wymyślę inny sposób, by faceta przyszpilić. Powiedz to zarządowi. Tylko dajcie mi czas. Stoi?

– O to to ja powinnam zapytać – zauważa z uśmiechem.

– No... to stoi.

– Deal. – Wyciąga do mnie rękę nad biurkiem.

Jestem już w drzwiach, gdy rzuca za moimi plecami:

– Tylko nie każ mi za długo czekać. Cierpliwość każdej kobiety się kiedyś kończy, ładny panie Medyna.

Godz. 10.30
Warszawa, ulica Marszałkowska
w kierunku na północ

– Zaczekaj, Robercie.

Przez chwilę walczę jedną ręką ze splątanymi kablami słuchawek, nie przerywając jazdy. Ruch na Marszałkowskiej wciąż jest gęsty, mimo że wszyscy, którzy muszą, już dawno dojechali do pracy.

– Już! Czego życzą sobie upadające media?

– Chcę zapytać kwitnącego detektywa, czy nie miałby czegoś na okładkę „Super Trybuny”. Muszę karmić bestię, Roman.

– Ma apetyt na coś konkretnego?

– Zeżre wszystko: księdza heblującego dziatwę, rozwód celebrycki, polityka w szkodzie, gangsterskie porachunki. Bez różnicy, byle się sprzedało. Wydzwaniam do wszystkich. Poratujesz, bracie?

Przez sekundę bawi mnie myśl, że to doskonała okazja, by ukarać banki. I namolną Giwerę.

– Niestety, bracie redaktorze – mówię z żalem, który jest szczery. – Ostatnio prowadzę nudne życie. Ale jak mi się trafi jakiś krwisty stek, nakarmimy twojego potwora.

– Pamiętaj o mnie, Romek.

– A ty o mnie.

Godz. 11.02

Warszawa Ursynów, ul. Miklaszewskiego 3A

Pułkownikowa Kozłowa nigdy nie była pod tym adresem, co nie przeszkadza jej udzielać mi stanowczych wskazówek, gdzie skręcać. I byśmy się zgubili z kretesem w labiryncie gierkowskich osiedli, gdyby nie moja nawigacja w komórce. Odpalam aplikację i wychodzi, że jesteśmy blisko. Znajduję miejsce do zaparkowania przed jakąś kliniką dentystyczną i ruszamy na poszukiwanie właściwego budynku i klatki schodowej w skupisku wysokich prefabrykowanych budowli. Kobiecie nie zamykają się usta.

– Umówiłam nas u niej, bo po co wozić babę do Śródmieścia, prawda? I jeszcze karmić. Jej mąż był zwykłym łapsem, dochrapał się niby na koniec kapitana, a i ten awans był z grzeczności, bo ustrój socjalistyczny się już załamywał i kierownictwo starało się zadbać o ludzi. Mój mąż też taki był, zawsze najpierw myślał o innych, dopiero na końcu o sobie. Tamten umarł jako szatniarz, taka jest prawda. Przyjeliśmy tę, pożałuj Boże, kapitanową do naszego grona wdów oficerskich. Kto teraz, panie pułkowniku, zwraca uwagę na takie sprawy. Mamy demokrację, prawda? Opiekujemy się nią. Ona też dokłada starań, ciasta na spotkania przynosi własnego wypieku. Na nic więcej biedaczki nie stać.

– Jak on się nazywał?

– Jeszcze nie teraz. Numer trzy jest tam, o! – Wskazuje budynek na prawo od nas.

– Ale my szukamy 3–3A.

W końcu pani z pieskiem w wełnianym kubraku na smyczy pokazuje nam najwyższy, brązowo-beżowy blok.

Pułkownikowa kontynuuje dziecinną konspirację, zasłania przede mną tablicę domofonu, wybierając numer mieszkania. Dobrze, że nie próbuje zawiązać mi oczu. Winda długo wlecze się na dziesiąte, ostatnie piętro.

Stara kapitanowa czeka w otwartych drzwiach; mają wymalowany numer 1021. Współczesnym zwyczajem brak plakietki z nazwiskiem. Choć dawniej pewnie też jej nie było. Wdowa jest drobna, schludna, siwiejące włosy ma gładko zaczesane na głowie. Typowa szara mysz. Pułkownikowa rzuca się ją obejmować, co kobieta przyjmuje z wyraźnym niezadowoleniem. Gdy się przedstawiam, mruczy swoje

nazwisko. Proszę, by je powtórzyła.

– Wons – mówi dziwnym głosem.

No i bingo, myślę sobie. W pokoju gościnnym stół jest nakryty dla gości. Na włóczkowym obrusie stoją szklanki na podstawkach, łyżeczki, talerzyki z widelczykami i patera z pachnącym drożdżowym ciastem z kruszonką. Ścianę obok zdobią zdjęcia Piłsudskiego i Jana Pawła II. W rogu pokoju, nad małym biurkiem wiszą oprawione zdjęcia rodzinne.

– Pani pułkownikowa napije się pewnie kawy?

Gospodynię trudno zrozumieć. Musiała mieć coś robione z gardłem. Lekarz, który próbował ratować moją mamę, sam miał wyciętego raka krtani i też tak syczał.

– Ależ tak, droga Wonsowo. Zalejesz mi dwie łyżeczki, może być neska.

– Dla mnie herbata, jeśli można – odpowiadam na jej nieme pytanie.

Gdy pani domu wychodzi do kuchni, wstaję, by obejrzeć te rodzinne zdjęcia. Pułkownikowa próbuje gestami przywołać mnie z powrotem do stołu, ale nie zwracam na to uwagi.

Czarno-biały portret ślubny. Obok on i ona z niemowlakiem na rękach. Poniżej, w wyblakłych kolorach, amatorska fota całej trójki na nadmorskim bulwarze, chyba w Bułgarii albo na Krymie. On ma już łysinę i początki brzucha, ona się nie uśmiecha. Oboje obejmują ramionami chmurnego kilkunastolatka. Jest jeszcze zdjęcie maturalne, chłopak ma teraz włosy do ramion, wąs sypie mu się pod nosem, ale spogląda wciąż chmurnie. Kawałek dalej na ścianie wyprężony kapitan Wons z odznaczeniem na klapie marynarki, ściskający dłoń mężczyzny w mundurze generała Milicji Obywatelskiej.

Kapitanowa wraca, dźwigając tacę z herbatą w przezroczystym dzbanku i kawą w zaparzarce z tłoczkiem. Nie okazuje niezadowolenia, gdy widzi mnie przy zdjęciach.

– Jak kapitan miał na imię? – pytam, zajmując ponownie miejsce przy stole.

– Ih-re-neusz – charczy.

– A ten ładny chłopak państwa?

– Arh-ka-diusz.

Pułkownikowa próbuje odzyskać kontrolę, chrząka, ale nie pozwalam jej się wtrącić do rozmowy.

– Wygląda na zdolnego. Poszedł może w ślady ojca? Gdzieś w służbach

pracuje?

– Nie, prosz paa. – Unosi głowę z dumą. – Jes obistą.

– Kim?

– Ghra na ob-oju... – odpowiada mozolnie. – In-strh-ument dę-ty... jak flet... ale rho-szerzony... końcu... Syn... lekcje... płaciliśmy nauczy-cieli... muzyczną uko-ńczył z wyrh-żnieniem... Teh-raz po świe-cie jeździ... nagra-ody ma... W Filhar-monii Nahro-dowej ph-racuje... Mąż, że prh-acy nie będzie... miał... skoń-czy w knaj-pach... do kotleta.... On o rhodzi-nę dbał... ale jako ojciec... nie układało się im...

– Siusiu mi się zachciało od tego pani charkotu, Wonsowa – oświadcza wyniośle pułkownikowa. – Czy mogę tu gdzieś skorzystać z łazienki?

– Na le-wo – odpowiada gospodyni swoim szeptem. Czeka, aż tamta wyjdzie, i pochyła się w moją stronę konspiracyjnie. – Ta sta-ra... do wszy-go się wtrą-ca... Mówi-łam... sama się spot-kam... a ta... że tylko z nią... Pan o mo-im niebosz-czyku... chce?... Znajo-mi ... by-liście?

– Nie znałem pani męża, niestety.

– W hote-la-stwie phra-cował... Był spe-c-ja-listą od... pie-niędzy... Potem kan-tor.... otworzył w cen-tru-m... Przy Świę-tokrzy-skiej... Daw-no sprzeda-ł... Pa-n mo-że był?

– Niestety, nie.

– To... jaka... sphr-awa? – dziwi się.

– Zastanawiam się, czy nie zostały jakieś papiery pana Ireneusza. Z męża... pierwszej pracy.

Kobieta zaciska usta tak mocno, że tworzą tylko wąską różową linię pod haczykowanym nosem.

– Stare dokumenty, pamiątki spraw, które prowadził – tłumaczę. – Oficerowie często gromadzili sobie taką dokumentację. Żeby były pod ręką w razie czego.

– Nic tak-ie-go... nie ma-my – gulgocze szybko. Za szybko.

– Szkoda. Bo nie proszę za darmo. – Zawieszam głos znacząco, ale kobieta nie zmienia wyrazu twarzy. – A może syn by wiedział?

– Syn nie wie. Mówi-łam... z oj-cem na ba-kier... by-li.

Dawniej, kiedy Baśka mi pomagała, była nieoceniona w takich sytuacjach. Skoro mnie ze świadkiem nie szło, przejmowała inicjatywę i zawsze na koniec dowiadywała się czego potrzebowaliśmy. Ale te dobre czasy minęły. Przybieram

współczujący wyraz twarzy.

– Zawsze szkoda, kiedy tak się dzieje. Zwłaszcza że syn zdolny. Mógłby od ojca dużo skorzystać.

– Nie wie-m... co aku-rat. – Wdowa syczy głośniej. – Chy-ba tylko... jak ha-ra-tać ludzi... Bo-ga się za-pier-ać. Syn... nie po-sze-d w nie-go... I sz-czę-ście!

– A czemu dalej z matką mieszka?

– Był że-nia-ty... ale się ro-zeszli... Z jej su-ki winy... Głu-pi-a sę-dzia mieszkanie... jej przy-znał-a, że... ni-by by-ło na nią za-pisa-ne... To się tu... s-phro-wa-dził.

– Dla matki pewnie dobrze.

– Dob-rhy chło-pak jest... mą-dhry. Dyp-lo-mów, a pu-cha-rów-tyle... nie ma g-dzie... trzy-mać.

– Mogę je zobaczyć? Sam mam syna i wiem, co to jest rodzicielska duma.

– Cze-mu... nie.

W korytarzu mijamy zaskoczoną i bardzo niezadowoloną pułkownikową. Oczywiście zawraca i rusza za nami. Pokój syna poprzednio był zapewne gabinetem ojca. Jedna ze ścian jest do sufitu zastawiona półkami z pociemniałej sosny, które pamiętają chyba Gierka. Resztę umeblowania stanowią czarne metalowe szafki na dokumenty, spore biurko i fotel. Młody dodał tu komputer stacjonarny, stojak na nuty i kolekcję instrumentów w smukłych futerałach. Między dwoma oknami przyśrubował szerokie, lakierowane na biało półki, na których stoi zestaw stereo z gramofonem i mnóstwo winyli, płytek CD, DVD. Widzę nawet porządnie poukładane staroświeckie kasety. Jest też kilka statuetek. Obok półki wiszą oprawione dyplomy i zdjęcia Arkadiusza Wonsa we fraku, z jakimś fletem w dłoniach, kłaniającego się razem z orkiestrą, przyjmującego kwiaty...

– Matka, kogo ty tu....

Młody człowiek w futrzanej czapce i kurtce podbitej kożuszką. Nie rozpoznałbym go ze zdjęć za moimi plecami. Przerywa w pół zdania, patrzy na nas szeroko otwartymi oczami. A potem robi zwrot i wybiega.

Dopiero gdy słyszę trzaśnięcie drzwi wejściowych, ruszam w pościg. Jego matka głośno gulgotce na moimi plecami.

Facet pędzi na dół. Dobia do mnie łoskot ciężkich butów i w wąskiej przestrzeni między podestami pode mną widzę jego dłoń na poręczy. W moim wieku, na dodatek z tytanowym kolanem, już się nie sfruwa ze schodów jak wiatr. Ale wciąż

mogę zjeżdżać po poręczy. Pośladek na poręcz, mocne odepchnięcie się, ślizg, zeskok. Nawrót, pośladek na poręcz, odepchnięcie, ślizg i tak dalej.

Nie udaje mi się do niego zbliżyć, ale tym sposobem mniej zostaję z tyłu. Gdy na dole wypadam z klatki schodowej, ma nade mną najwyżej pięćdziesiąt metrów przewagi. Rwie jak zając na przełaj przez pokryty śniegiem trawnik. Nie próbuję go od razu dogonić. Nastawiam się na dłuższy pościg, rozkładam siły. Jeżeli nie trafił mi się maratończyk amator, szybko straci parę w trudnym terenie, okutany w ciężkie ubrania. A ja nawet nie spocę się za bardzo. Jedną z nielicznych przewag fizycznych męskiego ciała około czterdziestki jest wytrzymałość. Jeśli w tym wieku wciąż uprawiasz jakiś sport, trudno cię zajeździć.

Godz. 11.55

Strach dodaje chłopakowi skrzydeł. Próbuje zgubić mnie na osiedlowym parkingu, potem kluczy między blokami, przebiega przez Indiry Ghandi w okolicy Multikina, zmuszając auta w obu kierunkach do awaryjnego hamowania. Parę razy ogląda się, ale wciąż widzi mnie za sobą w tej samej odległości. Nagle skręca i rzuca się schodami w dół na stację metra Imielin.

Dobrze kombinuje: każda stacja ma szereg wyjść. Może próbować się zgubić wśród pasażerów, jeśli akurat nadjechała kolejka. Albo wskoczyć do wagonu ułamek sekundy przed zatrzaśnięciem drzwi i odjeżdżając, pokazać mi wysunięty palec. Tylko na filmach nieustraszony policjant przysysa się do wagonika od zewnątrz i w ten sposób kontynuuje pościg.

Młody Wons właśnie na to liczy i nawet szczęście mu sprzyja. Przeskakuje przez bramkę, zbiega na peron, a potem pędzi wzdłuż stojącego składu. Gdy skrzydła wejść z sykiem zaczynają się zasuwać, wskakuje do środka.

Dwadzieścia metrów za nim robię to samo, tylko ułamek sekundy później. Udaje mi się wsunąć ręce między zamykające się elementy drzwi. Rozciągam je, pokonując pneumatyczny siłownik, i wciskam się do wnętrza pociągu. Jakaś kobieta w małym chłopcem rzuca mi spojrzenie pełne potępienia.

– Przepraszam. Młody, nie próbuj mnie naśladować! – wołam i ruszam w kierunku czoła składu.

Jest to jeden z tych nowoczesnych zestawów, metalowa gąsienica bez podziału na wagony, można przejść w czasie jazdy od początku do końca. W porze południowej w metrze nie ma tłoku, biegnę truchtem, mijając siedzących pasażerów.

On robi to samo, słaniając się na nogach, zmierza w tym samym kierunku – aż musi przystanąć przed kabiną maszynisty. I tam go dopadam. Nawet nie próbuje się bronić, dyszy wyczerpany.

Kładę mu rękę na ramieniu. Pociąg zaczyna zwalniać przed kolejną stacją.

– Arkadiuszu, bezsensowna ta przebieżka. I tak już jest pozamiatane – mówię cicho. – Może przejdziemy na drugą stronę peronu i po prostu wrócimy do domu? Porozmawiać jak dorośli ludzie? Co ty na to?

Wciąż nie może wykrztusić słowa. Ale potwierdza ruchem głowy i wsiadamy na peron. I tam dopada nas kontroler biletów.

Godz. 23.32

Gdzieś w Warszawie

Cholera, może nie być dobrze.

Nie wiadomo, co zrobić z taką sprawą. Mówię sobie, że na pewno wszystko jest w najlepszym porządku. Nic się nie dzieje.

Ale sam sobie nie wierzę.

Pojechałem do Marlenki i jej teściowej na Wileńską, żeby uspokoić młodą. Jerzos nie będzie sypał. Znam go dwadzieścia lat i mam pewność w tym względzie. Nie połączą go z nami. Wpadł głupio na własną rękę. Już mam na oku dobrego adwokata, wystarczy, że kobiety go zatrudnią, w sumie nie ma czego się obawiać. Ale nawet gdyby psy się zjawiły, to najważniejsze nie panikować. Nic na nie nie mają.

Marlena ledwo słuchała. I w ogóle się nie przejęła. Była zimna, myślami gdzieś indziej. Jeszcze z taką reakcją się nie spotkałem. Normalnie ludzie, zwłaszcza młodzi, co jeszcze nie garowali, dosyć się denerwują w takiej sytuacji. A jak stara Maciejewska pochwaliła się, że jej syn wychodzi na pierwszą przepustkę już w piątek, a ona kupiła wódkę i schab, i będzie radość w domu, to Marlena popatrzyła na teściową tak dziwnie, pustymi oczami. A mnie jakby mróz poszedł po kościach.

Jak stamtąd szedłem do wozu, przyszło mi do głowy coś bardzo dziwnego. Aż stanąłem na chodniku.

Nie uspokoję się, dopóki teraz czegoś nie sprawdzę.

Choć przecież wiem, że nie mogę mieć racji i to wszystko są tylko strachy na Lachy.

Dzień dwudziesty trzeci

Wtorek, 24 stycznia 2017

Godz. 9.50
Hotel Bristol

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 42/44

Na Krakowskim w nocy wyroiły się afisze *Drakula*. Najbliższy jest tuż przy hotelu Bristol, przyklejony na okrągłym walcu stylizowanym na starą Warszawę. Gapię się na ten plakat, mam kilka minut do spotkania z Maksem. Nazwisko kompozytora jest wypisane białymi literami na nagrobku, na którym siedzi wampir z kłami jak pies. A mnie się zdawało, że muzyka poważna jest o poważnych sprawach.

Przy stoliku w hotelowej jadalni nad dużą filiżanką kawy zastaję asystenta Dąbrowskiego. Z apetytem wcina owsiankę i czyta jakąś niemiecką gazetę. Gdy dostrzeżę, że się rozglądam po sali, zaprasza do siebie.

– Tutaj. – Wskazuje krzesło. – Chcesz śniadanie?

– Dawno po. Jestem umówiony z twoim szefem.

– Maks śpi. Próbowali z orkiestrą i chórem do czwartej nad ranem. Obudzi się dopiero po południu i pojedzie prosto do filharmonii. Zawsze tak robi przed premierą. Kawy?

– Już wypiliśmy.

– Coś mu przekazać, gdy wstanie?

– Że wykonałem zadanie. Nie musi się już niczym martwić. Niech spokojnie szykuje się do koncertu.

– Premiery – poprawia mnie i sięga do kieszeni marynarki. – Mam dla ciebie bilety, możesz przyjść z osobą towarzyszącą. Jesteś też zaproszony na uroczystość w kuluarach. Później już nie, ale to będzie naprawdę ścisłe grono, rozumiesz chyba.

– Nie moje klimaty, podziękuj Maksowi.

– Na pewno? Bo jeśli chodzi o strój wieczorowy, to możesz wynająć...

– Nie będę mu zawracał głowy w taki wieczór. Kiedy wylatuje z Warszawy po tej premierze?

– Pojutrze wieczorem. To będzie dzień dla mediów, od południa ma w kółko wywiady i jeździ po telewizjach.

– W takim razie proponuję, żeby spotkał się ze mną rano, jak tylko wstanie. Będziemy potrzebowali pół godziny, by zamknąć sprawę.

– Masz szantażystę?

– Na tacy.

– Opowiadaj.

– Tylko Maksowi osobiście.

– Jestem jego asystentem. Nie ma przede mną sekretów.

– Ale ja mam.

Nie jest zadowolony z odpowiedzi, ale nie nalega.

– Na śniadanie pojutrze nie mamy nikogo zabukowanego – decyduje kwaśno. – Maks zejdzie tu z pokoju około dziewiątej. Jeśli uda mi się go dobudzić.

– Spotykam się z tylko z Górkim. Bez ciebie.

– I tak potem wszystko mi powie – rzuca lekceważąco.

– To będzie jego decyzja. Na razie, cześć. – Wstaję z krzesła.

– Zabawne, jak niektórzy nie potrafią się zorientować, z kim warto trzymać i której strony chleb jest posmarowany.

– Jedni są głupi, drudzy mądrzy. A ja, na przykład, mam uraz na spadające kamienie.

Nie ściskamy sobie rąk na pożegnanie. Ten Dąbrowa wykazuje mało zręczności jak na oficera, który się wkręcił do wielkiego świata. Albo się nie przykładają. Pewnie się starzeją, ale wciąż mi wychodzi, że w dzisiejszych czasach rozpanoszyło się gówniarstwo. Nikomu nie chce się robić porządnie swojej roboty, wszystko schodzi na psy. Z psami na czele.

Godz. 10.33
Kawiarnia Telimena
Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 27

Kiedyś tu umawialiśmy się na randki albo próbowaliśmy wyhaczyć studentki z uniwerku po drugiej stronie ulicy. Teraz w starej kawiarni zagnieździła się jakaś sieciówka, ale słodycze są w porządku. Zajmuję stolik przy oknie z widokiem na pałac prezydenta, zamawiam sernik, „zimową” herbatę z cytrusami i przyprawami i dzwonię do pewnego detektywa we Wrocławiu. To kolega kolegi; płacę mu za dyskretną obserwację Renki i Alicji – czy ktoś podejrzany wokół nich się nie kręci.

– Czysty horyzont. – Słyszę w telefonie męski głos, ochrypły od nikotyny. – Sprawdzaliśmy wyrywkowo przez dwa dni i jedną noc. Brak nadajników w samochodzie kobiety. W niedzielę obie spacerowały po starówce, nikt za nimi nie chodził. W szkole nie wypytywano o dziewczynkę.

- Nikt z miasta nie dostał zlecenia?
- Trzymamy ucho przy ziemi.
- Pochodźcie za nimi jeszcze w piątek. Pilnujcie szczególnie małej.
- Twoja kasa, brachu. Zniżka ci się kończy.
- Wyślij rachunek za pierwszy tydzień.

Brak wiadomości to dobra wiadomość. Może dziewczynom udało się zgubić ślad. Niedługo przekonamy się, czy podstęp mojego brata – wieszanie w necie samojebek pod palmami – też przyniesie skutek. Jestem dobrej myśli: gdybym Witka szukał, nabrałbym przekonania, że właśnie siedzi w kraju.

Godz. 12.30

Warszawa Ursynów, ul. Miklaszewskiego 3A

Drzwi otwiera matka. Przechodzi mi przez myśl, że oboista się ulotnił. Jednak nie, czeka w salonie, wyprostowany za stołem, z rękoma na kolanach. Spięty jak uczeń przed egzaminem.

Zgodnie z umową przygotował dla mnie fanty: kartonową teczkę z papierami, rolkę wąskoobrazkowego filmu w okrągłym metalowym pudełku i płytke DVD. Żeby wszyscy szantażyści byli tacy grzeczni.

– Ty nie na próbach?

– Zadzwoiłem wczoraj, że jestem chory – mówi cicho. – To chyba już bez znaczenia.

Patrzę na zegarek.

– Mamy kilka godzin, żebyś się szczegółowo wyzwierzył.

– W zamian za co? – Podnosi głowę i patrzy mi prosto w oczy.

– Za to – mówię powoli – że dokonam lepszego dla ciebie wyboru. W tej chwili mogę ci udowodnić poważne przestępstwo, próbę szantażu. Mam w ręku dosyć dowodów. Zasadniczo powinienem iść z tym do prokuratury, ale mogę też zostawić decyzję w sprawie doniesienia swojemu klientowi, twojej niedoszłej ofierze.

– I co z tego? – pyta piskliwym głosem.

Jest tak zdenerwowany, że chyba nie rozumie, do czego zmierzam.

– Jeśli to, co mówiłeś mi wczoraj o zawartości tego filmu, jest prawdą, ten drugi wariant może okazać się dla ciebie lepszy.

Matka Arkadiusza Wonsa wnosi tacę z herbatą i świeżym ciastem. Tym razem to babka piaskowa, prosto z piekarnika, pachnie wanilią. Kobieta albo całkowicie nie zdaje sobie sprawy z sytuacji syna, albo stara się mnie udobruchać tym, co robi najlepiej.

– Masz tu komputer. Można na nim odegrać tę płytke, prawda? – zwracam się do oboisty, sięgając po pierwszy kawałek.

Godz. 16.10

Na Wisłostradzie w kierunku Śródmieścia

– No cześć, panie inspektorze. – Z głośniczka komórki dobiega głos nadkomisarza Michejdy. – Jak życie detektywa? Nieustające pasmo sukcesów, zakładam.

– Dziś akurat tak. Coś w tym rodzaju. – Nie potrafię się powstrzymać przed kolegą po fachu. – Zamykam pewną sprawę. Ale dzwonię w innej, która jest w waszych rękach. Jerzy Skrzek. Ten koleś, co wysadził bankomat w Pułtusk i dał się złapać.

– Co z nim? – pyta Michejda.

– Właśnie chciałem zapytać. Mieliście go docisnąć. Jakiś postęp w śledztwie?

– Szczerze? Wzięliśmy go do Mostowskich, ale czeka w piwnicy na swoją kolej. Mamy od groma spraw, nie wiadomo, gdzie najpierw ręce włożyć. Są ważniejsze niż jakiś frajerski skok.

– Za mniejsze rzeczy ludzie kiblują latami.

– Pamiętam, że się nim interesujesz.

– To może pomogę?

– Co masz na myśli?

– Pojadę tam i przesłucham Skrzeka dla was. Po koleżeńsku.

– Ha, ha, żarty się pana inspektora trzymają.

– Śmiech przez łzy. Naprawdę nic nie ruszyliście?

– A bo to się pali? – dziwi się. – Sąd dał sankcję na trzy miesiące i pewnie przedłuży, jak będzie trzeba. W końcu facet zrobił wybuch. Teraz wszyscy walczymy z terrorem.

– Nie ma wyjścia, muszę powiedzieć mu więcej.

– Adam, to może być członek grupy, która od prawie roku włamuje się do banków rolnych. Ich centrala mnie wynajęła, bankierzy są zniecierpliwieni, bo policja niewiele zrobiła w tej sprawie. Jak dalej będziecie siedzieli na rękach, pójdą po rozum do głowy i zaczną was dociskać z góry. Przez wicepremiera albo wyżej. Wiem to z dobrego źródła. Mogą nawet głowy polecieć, przy takich szefach, jakich

teraz macie... Jestem dla was lepszą opcją, Adam.

– Może tak być. – Ton Michejdy zmienia się na mniej zrelaksowany. – Ale zapomnij, do pokoju przesłuchań cię nie wpuszczę ani do niego do celi. Wiesz co jednak? Spotkam się z tobą i powiesz mi, co masz w sprawie tych banków. Może szef nada sprawie priorytet i wtedy połączymy siły. Oczywiście to będzie dyskretnie, między kolegami.

– Jest w tym kasa – rzucam ostrożnie.

– Tylko tak się chwalisz przede mną, prawda?

– Oczywiście – śmieję się. – To nie jest żadna korupcyjna propozycja.

Umawiamy się na jutro i odkładam słuchawkę. Jeśli udałoby mi się ich przekonać, żeby porównali próbki śladów biologicznych z miejsc włamań z DNA Malickiego, byłaby szansa, żeby ta sprawa też wyszła na prostą.

Godz. 20.40

Hotel Bristol, hol główny

Tłumaczka jest śliczna jak z obrazka. Ma niewiele ponad dwadzieścia lat, ciemne włosy do ramion i figurę, jak to dziś się mówi, porażającą, trudno zdjąć z niej oczy, choć ma na sobie zimowe spodnie i gruby sweter. I parluje po francusku jak nakręcona. Okrycia wierzchnie zostawiliśmy w szatni i teraz blisko recepcji wypatrujemy maestro Jeana-Christophe'a Gibaulta.

Jakieś pół godziny temu powinien wylądować na Okęciu na pokładzie samolotu ze Szwecji. Zakładając, że został wyprowadzony ścieżką dla VIP-ów prosto do limuzyny, powinien pojawić się w Bristolu lada chwila.

Dziewczynę znalazłem w Instytucie Romanistyki na Powiślu. Po prostu podszedłem do grupy studentów siedzących w kafeterii, pokazałem legitymację detektywa i powiedziałem, czego potrzebuję. Szybko dobiliśmy targu ze ślicznotką. Chyba nawet nie tyle pieniądze ją skusiły, ile przygoda.

Przy recepcji stoi niewielka kolejka: para Azjatów reguluje rachunek, za nimi jakieś starsze małżeństwo rozmawiające po niemiecku i dwóch mężczyzn z grubymi czarnymi teczkami na dokumenty, jakie noszą adwokaci i podróżujące korpuludki. Żaden z nich nie przypomina Francuza z fotografii, którą ściągnąłem z internetu i trzymam otwartą na komórce.

Minuty płyną powoli. Z sali za nami dobiegają dźwięki fortepianu, w powietrzu mieszają się języki i zapachy perfum jak smugi niewidzialnego dymu. Francja-elegancja, ale facet w ciemnym garniturze, w którym łatwo rozpoznać hotelowego detektywa, przygląda się nam coraz uważniej. Nie pasujemy mu do tego miejsca; jeszcze trochę, a może być kłopot. Na szczęście dziewczyna nie wygląda na prostytutkę, więc tajniak się waha.

Boy hotelowy prowadzi do recepcji wózek z metalowym pałakiem, na którym wiszą torby na ubrania, za nim kroczy dystyngowany pan około pięćdziesiątki z burzą włosów w stylu Zbigniewa Wodeckiego, tylko białych. Ma na sobie długi do ziemi czarny płaszcz i biały szalik. Dyskretnie spoglądam na komórkę ukrytą w dłoni.

– Elu, to ten – mówię cicho.

Dziewczyna potrząsa głową i rezolutnie rusza do akcji. Ja pozostaję na miejscu,

raczej bym jej nie pomógł w nawiązaniu kontaktu. Mężczyzna jest zdziwiony, ale podaje jej rękę, zaczynają rozmawiać. Po chwili studentka wskazuje mnie ręką, wymieniamy z Francuzem spojrzenia. Znów rozmawiają. Detektyw przybliży się do mnie.

– Czy państwo są gośćmi hotelowymi? – pyta neutralnym tonem, uprzejmie, nie przestając obserwować dziewczyny.

– Jesteśmy z ekipy kompozytora Górskiego. Pomagamy w kwestiach organizacyjnych. Tamten pan jest Francuzem, gościem honorowym premiery w filharmonii. Właśnie przyjechał do Polski.

– Oczywiście – przyjmuje to do wiadomości. – W porządku. Prowadź ostrożnie dziś w nocy – dodaje życzliwie i odchodzi.

Bierze mnie za kierowcę albo ochroniarza. A mówią, że swój swego zawsze rozpozna.

Trzy minuty później jest po wszystkim. Gibault z boyem pchającym wózek na ubrania oddalają się do windy, dziewczyna wraca do mnie z wypiekami na twarzy.

– Jak poszło?

– Dokładnie tak, jak pan chciał. Zdziwił się, potem chyba się zaniepokoił. Ale przekonałam go, żeby się spotkać. – Robi dumną minę. – Za pół godziny w hotelowym barze.

– Świetnie.

– Wywiązałam się. – Wyciąga rękę i obraca dłoń, pociera palce. – Proszę o moją stówkę.

– Nawet dwie. Będę nadal potrzebował tłumaczki.

– To razem będzie cztery.

– Czemu aż tyle?

– Praca w godzinach nocnych – odpowiada. – W trudnych warunkach. Płatne z góry.

Studentka jest nie w ciemności. Skrzywiony kładę jej na dłoni banknoty. Gdy zamyka na nich palce, przytrzymuję jej rękę.

– Potrzebuję tłumaczki, która zapomni treść całej rozmowy. I nie będzie niczego pamiętała – chyba że ją osobiście o to poproszę. Wtedy będzie pamiętała wszystko. Jesteś taką właśnie tłumaczką czy tylko umiesz podbijać cenę?

Godz. 21.20

– Pan Gibault chce wiedzieć, skąd pan o tym wie.

– Powiedz mu, że bezpośrednio od nikogo. Ale zapoznałem się dokładnie z wszystkimi okolicznościami tragedii, włącznie z tym, jak pomagał panu Górskiemu. Przeprowadziłem drobiazgowo dochodzenie i wyciągnąłem taki właśnie wniosek.

Dziewczyna tłumaczy moje słowa, Francuz odpowiada dwoma krótkimi zdaniami.

– To znaczy, że to tylko pana hipoteza. Nie wie pan na pewno.

– Przetłumacz dokładnie: nie poprosiłem o to spotkanie, żeby teraz prowadzić gierki słowne jak adwokat. Jestem gliną, który jest bliski ujawnienia mordercy. Powinno mu zależeć, nawet po tylu latach, żeby tak się stało. Kochał tę kobietę.

Dyrygent znów szybko rzuca parę zdań.

– Pan Gibault nie widzi związku. To są jego osobiste sprawy.

– Nie tylko jego, niestety.

Gdy Elżbieta tłumaczy moje słowa, siwowłosy muzyk przymyka oczy i wzdycha, mocując się z myślami. Gdy je otwiera, mówi powoli, krótkimi zdaniami, jak ktoś dobrze obyty z pośrednictwem tłumaczy.

– On w dalszym ciągu uważa, że to są jego prywatne sprawy. I może jeszcze jednej żyjącej osoby. Chociaż tragedia pani Górskiej, tragicznie zmarłej, oraz jej męża zawsze poruszała go głęboko. Osobiście nie ma nic do ukrycia.

– Czy Maks Górski wiedział, że pan romansuje z jego żoną?

Jean-Christophe Gibault cofa głowę, jakby to pytanie było policzkiem w twarz.

– Wyciąga pan bardzo osobiste sprawy. I dla mnie wciąż bolesne.

– Czy wiedział? – powtarzam pytanie.

Dziewczyna przekłada je mechanicznym, beznamiętnym głosem.

– Wtedy nie sądziłem, żeby wiedział – kapituluje muzyk. Zakrywa twarz dłońmi, potem patrzy na mnie bezradnie. – Ale nie mogę tego wykluczyć. Byliśmy kiedyś z Sophie w lodziarni, niedaleko filharmonii. Jednej z nielicznych w Warszawie w tamtych latach, zapomniałem, jak się nazywa ta ulica. Taka

szeroka, niedaleko filharmonii. Przytulaliśmy się do siebie. Zaczęliśmy się całować. W pewnej chwili wydało mi się, że widzę Maksa, jak stoi na ulicy i przygląda się nam przez szybę witryny. Mignął mi i zniknął. Ale już zapadał mrok, mogłem się pomylić.

Godz. 23.40
Gdzieś w Warszawie

Kurwa, kurwa, kurwa! Ten gliniarz, co przypadkiem zastrzelił jej dzieciaka, też nie żyje. Spadł z dachu kamienicy. Ponoć. Bo był pijany. I zawieszony w czynnościach do wyjaśnienia tamtego postrzału.

Dwa trupy. Nie oszukujmy się. I kto? Takie nic, takie chuchro! Diabła bym się raczej spodziewał.

Najgorzej, że to była moja decyzja, żeby ją brać do grupy. Nawet byłem zadowolony, że nietypowe rozwiązanie się sprawdziło. Stary Maciejewski wykitował w niemieckim pierdłu, a młody siedzi na Białolece za nieudany napad, w którym na dodatek stracił malutkie dziecko. Potrzebowaliśmy ślusarza i nagle był ślusarz. Co z tego, że dziewczyna.

No i teraz mam. Ale niby jak miałbym wpaść na coś takiego? Na taką właśnie możliwość?

I najważniejsze, co teraz robić? Bo sytuacja, kurwa, nie wygląda dobrze z żadnej strony.

Dzień dwudziesty czwarty

Środa, 25 stycznia 2017

Godz. 8.07

Port gminny w Sieńkach

Obudziłem się z przyjemną myślą, że nie mam nic do roboty. W tygodniu pan detektyw lata po świecie jak kot z butelką przywiązaną do ogona – ale dziś nic nie hałasuje za moimi plecami.

Cisza i spokój jak w weekend.

Jedną dużą sprawę mam praktycznie zamkniętą. A drugą nie wiem jak ugryźć. W takiej sytuacji trzeba przestać biegać i zacząć myśleć. Ponieważ jednak najlepiej mi się myśli, gdy biegam, może od tego zacznę dzień?

Wystawiam głowę ze stalowej budy. Na zewnątrz jest ciemnawo i bezwietrznie. Nad wodą mgła. Temperatura chyba dodatnia, z niskich chmur opada na ziemię lekka mżawka. Pies by nie wyszedł, ale dla prawdziwego sportowca takie warunki to pikuś, zdarzało mi się wypływać kajakiem na zalew nawet w deszcz ze śniegiem.

Naciągam na grzbiet gruby podkoszulek, dres i wodoszczelną kurtkę z kapturem i ruszam z kijkami ścieżką, która prowadzi lasem wzdłuż brzegu. Po mniej więcej dwóch tysiącach metrów jestem rozgrzany. Odpinam kije z nadgarstków, chwytam je pośrodku i zaczynam trucht, początkowo wolno, potem przechodzę w bieg i stopniowo osiągam swoją prędkość przelotową. Z każdym mijającym rokiem ta prędkość odrobinę się zmniejsza, ale wciąż trzymam przyzwoite tempo. Co najważniejsze, mogę tak ciągnąć kilometrami.

Powietrze jest zupełnie nieruchome i cuchnie, gdy mijam skupiska domów. Cała okolica spowita jest smogiem. Nic, tylko głęboko oddychać. Pocieszam się, że w Warszawie dziś musi śmierdzieć jeszcze bardziej. Na ulicach widuje się ludzi w filtrujących maskach na twarzach: japiszony dbają o płuca.

Moje stopy uderzają miarowo o rozmarzającą ziemię, nogawki dresu zaczynają przemakać, a myśli się toczą własną koleją. Biegając, nie potrafię narzucić sobie tematu. Jeden z moich klientów – już nie żyje, rak go wykończył dwie jesienie temu – miał taką teorię, że każdy człowiek nosi w głowie coś w rodzaju maszyny analitycznej. Ona działa bez przerwy, jak lodówka, poniżej progu świadomości, jakby w tle twoich myśli. Jak masz problem, pewnego ranka budzisz się z gotową odpowiedzią. Tej maszynie nie da się jednak rozkazywać, pracuje, nad czym sama chce, i wyniki wypluwa niespodziewanie. Moja chyba lubi biegi długodystansowe,

bo gdy dobiegam do zapory w Dębem i robię nawrót, uświadamiam sobie, że w sprawie Maksy Górskiej pozostaje jeden nierozwiązany aspekt. Powinienem koniecznie z kimś o tym porozmawiać. Najlepiej z dobrym psychologiem policyjnym.

Takim jak Baśka.

Moja żona jest najlepszym psychologiem policyjnym, jakiego znam. Tylko czy ja teraz mogę i chcę iść do Baśki z czymkolwiek? Na to pytanie muszę sobie już sam odpowiedzieć, maszyna nie zajęła stanowiska.

Godz. 10.21

Rocko, centrum miasteczka

Po prysznicu w portowej łazience postanawiam skorzystać z wolnego dnia i trochę się ogarnąć. Moje ciuchy, legowisko i w ogóle wszystko w kontenerze capi stęchlizną. Wietrzę pomieszczenie, zgarniam ubrania i pościel, pakuję tobół do bagażnika i wyruszam do pralni w Rocku.

Po półgodzinie z kwitem z pralni w kieszeni przechodzę spacerem do kawiarni Pszczółka przy rynku, gdzie dają śniadania. Zamawiam jajecznicę z czterech jaj na swojskiej kielbasie, do tego świeżą bułę, masło, wiejski twaróg i trochę miodu w miseczce. Przy rachunku szok: wszystko za równo dziewiętnaście złotych. W porównaniu z Urokliwą Skarpą ceny skandalicznie niskie. Biznes się broni tylko dzięki temu, że większość naszych klientów schodzi z pokojów. No i na szczęście konkurencja to już nie jest mój problem, skończyłem z hotelarstwem. Niech się Baśka martwi.

Po dawnym bałaganie Miśka kręcą się budowlańcy. Przy krawężniku stoi czarny hummer, a gwiazda lokalnego świata przestępczego siedzi za kierownicą. Na mój widok opuszcza przyciemnioną boczną szybę.

– Cho no! – Pokazuje mi puszkę jacka danielsa z colą. – Coś dobrego. Wskakuj.

– Za wcześnie. – Kręcę głową, ale obchodzę wielgachną furę i wspinam się do środka od strony pasażera. – A ty czemu tak na widoku wysiadujesz?

– Robole szlifują gładź na ścianach, pyli jak skurwysyn. A tu fotele wygodne, men. Ale oko muszę na nich trzymać, inaczej wszystko spierdolą. Na pewno nie chcesz? – Otwiera kolosalną łapą lodówkę w konsoli między siedzeniami: ma zawartość jak w minibarku w naszym apartamencie, dużo dóbr do picia w puszkach i małych buteleczkach.

Kręcę głową.

– Podjedź do mnie wieczorem do portu. Będę chętny.

– Dziś nie mogę – wzdycha. – Muszę pilnie z Juniorem do lekarza w Warszawie.

– Coś się stało? Ukaraleś go bejsbolem, bo zjadł jedno ciastko więcej?

Małe, bezrzęse oczy wpatrują się we mnie z bezmiernym zdumieniem.

– Srasz czy żartujesz? Ja bym dzieciaka swojego uderzył? Ty się walnij w ten gupi łeb, Medyna! Albo zrobię to za ciebie!

– Żartowałem, grubasie. Tata kwoka, ha, ha! Gadaj, co z małym. Chcę wiedzieć. Michał Jezierski junior to w końcu najlepszy kumpel mojego Orła.

– Nie wiem, czy ci mówić... coś takiego, men. Jak rozchlapiesz po mieście, kurwa, zajebię.

– No to będę zajebany.

Ogromny mężczyzna krzywi się i napina mięśnie, jakby musiał wydusić to z siebie.

– Biorę Juniora do, kurwa, psychiatryka.

– Co?!

– Jest zboczony.

– Pogięło cię? Chcesz zamknąć syna w wariatkowie?

– Jakie zamknąć? – denerwuje się. – Na wizytę jedziemy. Żeby psychiatryk go obejrzał. Może jakieś pigułki da. Albo zastrzyk. No, żeby pomógł Michałkowi. Dwie stówy dziad bierze za wizytę, musi go naprostować, men!

– Jak niby jest zboczony?

Gangster czerwienieje na twarzy. Otwiera usta, potem je zamyka, spoglądając na mnie bezradnie. Wreszcie heroicznie decyduje się zwierzyć. Zniża głowę i mówi szeptem, tak jakby ktoś jeszcze mógł nas usłyszeć w tej furze:

– A jak ma być zboczony? Seksualnie, men.

– Misiek, na okres Świętej Genowefy, on nawet nie skończył siedmiu lat! Co ty chrzanisz? Chłopcy w tym wieku w ogóle nie...

– A mój tak! – przerywa mi. – Przyszedł do mnie do łóżka jak zwykle, położył się obok i wali: „Tato, a jak będę duży, to będę musiał dziewczynom lizać cipki i cycki?”. Naprawdę tak zapytał! Masz pojęcie?

– Co mu powiedziałaś? Że będzie musiał? – Z trudem ukrywam wesołość.

– Jak to co?! To, co każdy normalny ojciec by powiedział w takiej sytuacji – obrusza się. – Żeby się zamknął, bo dostanie w mazak. I czym on się w ogóle interesuje? To nie są sprawy dla małych dzieci. Kazałem mu myć zęby, bo się spóźni do szkoły.

– Coś odpowiedział?

– Że nie ma szkoły, bo jest niedziela. I że nie jest już wcale mały, gówniarz

jeden. Sam powiedz, co ty byś zrobił, mądralo.

– Bym zamykał drzwi do sypialni na klucz, Misiek. I wyniósł z domu pornole.

Grubas aż podskakuje na fotelu.

– Kurwa, odkąd Swieta poszła w długą, żadnej suki do nas nie wpuściłem. W domu dzieciaka musi być porządek. Książ po kolędzie do nas przychodzi.

– A nie brałeś go do biura czasem? Może w bajzlu coś podpatrzył?

– Nigdy, przysięgam.

– A na pizzę?

– Gdzie indziej chodziliśmy.

– No to masz hydrozagadkę.

– Sam widzisz – stwierdza ponuro i opada na fotel hummera, jakby powietrze z niego uszło. – Dlatego jedziemy dziś do psychiatryka. Ale jak puścisz parę z ryja, men, nie żyjesz. Ja wcale nie żartuję.

Patrzy na mnie tak nieprzyjemne, że mu wierzę. Widok tej tłustej, wścieklej mordy był ostatni w życiu kilku facetów, zanim trafili do piachu. Albo na wieczne odpoczywanie na dnie zalewu, według niektórych wersji. Misiek jest wiarygodny, gdy mówi takie rzeczy.

Jednak nie mam pretensji o pogrózkę. Nasza znajomość ma wbudowane istotne ograniczenia. Gdyby on z kolei wygadał się, gdzie są te truposze, sam bez wahania bym pomógł go zamknąć na resztę życia.

Godz. 20.16
Pensjonat Urokliwa Skarpa
gmina Sieńki, ulica Żaglowa 7

Murzyński samochód Padliny stoi na parkingu, na moim miejscu. Ale tym razem się nie wycofuję. Chrzanić to, jestem dorosłym chłopcem.

Jak na środę, w środku jest dużo ludzi, praktycznie pełna jadalnia. Długi Arek chodzi między stołami, gada z ludźmi. Więc to kolejny wieczór specjalny, stąd frekwencja. Ciekawe, co Baśka wymyśliła na dziś. Nie widzę jej na dole. Na górę nie będę wchodził. Chyba nie w czas przyjechałem, nie pogadamy teraz o moim śledztwie.

Zaglądam do baru. Nieznany mi chłopak robi drinki za kontuarem; Baśka wciąż zatrudnia nowych. A po drugiej stronie, na wysokim stołku – Padlina. Siadam na takim samym, na wprost niego. Nie zamierzam się krępować.

Sam przywiozłem te cholerne stołki z Ikei i tu je montowałem. Tylko nie wyobrażałem sobie, że będę z nich korzystał w charakterze gościa.

– Łychę. Colę i lód osobno – mówię do chłopaka.

– Jaką whisky?

– Zwykłą.

– Czerwony johnnie może być?

– Może.

– Weź granta. Jeszcze tańszy – słyszę Padlinę.

Mówi cicho, jakby do samego siebie.

– Masz problem? – Patrzę wprost na niego. – Mało oberwałeś?

Wytrzymuje mój wzrok.

– Po co się pienisz? Śmiesz mnie, że się szczypiesz we własnym barze. Chcesz? Postawię ci coś lepszego.

– Wal się.

Przez parę minut siedzimy w milczeniu. Padlina opróżnia swoją szklaneczkę i zamawia dwie drogiego single malta. Przesuwa jedną w moją stronę po kontuarze.

– Wygrałeś. Możesz to opić.

– Co masz na myśli, gnoju?

– Pięć, Dziesięć, Piętnaście.

Nic nie odpowiadam.

– Nie jarzysz, glino. To taki sklep. Z ubrankami dla smarkaczy. Zamiast dziecinnie próbować mnie obrazić, ciesz się. Świątuj swój sukces. Jestem tu, by zabrać swoje rzeczy i się pożegnać.

– Co się stało? – pytam po długiej chwili.

Wzrusza ramionami.

– Nic z tego nie będzie. Basia wciąż cię kocha. Tęskni. Nie potrafi przestać o tobie myśleć. Przyznała to wreszcie. Pora zniknąć z obrazka.

– Nie obchodzi mnie.

– Bardzo cię obchodzi, Medyna. Nie gadaj bzdur! Wrócisz do żony. Zostawiam ci to wszystko – dodaje ironicznie, z gestem ręki.

– Uprzejmie z twojej strony.

– Żebyś wiedział.

– Słyszę gorycz.

– Tylko smutek.

Znów milczymy przez dłuższą chwilę. A potem przy barze zjawia się Baśka. Staje pomiędzy nami, dotyka nas obu rękoma.

– Co za spotkanie! Nie pozabijacie się, chłopcy? Nie mogę was teraz rozdzielać.

– Spoks, nie będzie potrzeby – mówię. – Przyjechałem z tobą pogadać o sprawie zawodowej. Ale nie wiem, czy to dobry czas.

– Chętnie, ale musiałbyś poczekać. Mamy „Degustację langusty z Arkiem”. Pełne ręce roboty.

– Nie spieszy mi się. A ten pan bawi mnie rozmową.

– Ja też nie mam nic pilnego – mówi Padlina. – Ale zostawię was samych.

Dłoń mojej żony zaciska się krótko na jego ramieniu.

– Muszę już iść. Nie róbcie scen – mówi i szybko odchodzi.

Sięgam po szklaneczkę tego single malta.

– Serio, takie z ciebie dobre panisko? Zostawiasz moją żonę w spokoju?

– Jeśli chcesz moją radę na przyszłość, nie zadawaj się z mężatkami w kryzysie.

To emocjonalne granaty bez zawleczek. Nawet jeśli twierdzą, że im się małżeństwo rozleciało i wystąpią o rozwód. I potem, gdy im się wydaje, że chcą być z tobą. Bo to zwykle jest głównie prawda. I na koniec to ty dostajesz w tyłek.

– Mam płakać nad twoim losem?

– Nie byłbyś do tego zdolny.

– No nie – przyznaję.

Kończę tę drogą łychę i zamawiam dwie kolejki tego samego. Barman od razu stawia jedną szklaneczkę przed Padliną.

– Gdzieś ty się nauczył bić? – pytam.

– W zwiadzie armii południowoafrykańskiej.

– Jakim cudem?

– Miałem jedenaście lat, kiedy rodzice wyemigrowali do RPA. Do szkoły chodziłem w Kapsztadzie. Wojsko płaciło za moje studia. Miałem za to odsłużyć cztery lata, ale spodobało mi się, zostałem dużo dłużej. W stan spoczynku przeszedłem jako kapitan.

– To skąd te wina?

– Były teść miał winnicę w Stellenbosch, na północny wschód od Kapsztadu. U niego uczyłem się biznesu. Ale małżeństwo mi się rozleciało, po rozwodzie wróciłem do Polski.

– Zadowolony jesteś?

– Sam nie wiem. Interes mógłby iść lepiej. Tu kultura picia jest niska, większość ludzi łoś gołdę albo pyta o słodkie wina. A teraz – krzywi się, wzrusza ramionami – doszedł mi zawód sercowy.

– Będziesz się mazał?

– Nie. Ale nie boję się nazwać rzeczy po imieniu.

Myśl, że cierpi z powodu tego zawodu, jest dla mnie bardzo przyjemna.

– Naprawdę chciałeś Baškę uczyć latać awionetką? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Jestem instruktorem spadochronowym i lotniczym. Mam w leasingu cessnę, na lotnisku w Modlinie. Basia by musiała pójść na kurs, zdobyć uprawnienia. Ale pierwsze kroki – czemu nie, to mogę zaoferować. Ona szuka nowych doświadczeń, wrażeń.

– O tak, tego szuka na pewno... Jak skończysz tę nalewkę na pluskwach, idź

i zbierz swoje graty. Ja sam popilnuję baru. Skoro twierdzisz, że się wynosisz z mojego domu, nie trzymamy cię siłą... Mariuszu. Szerokiej drogi!

– Jeszcze po jednym, na zgodę?

– Już dość wypilem.

Ale rękę mu ściskam, gdy wyciąga ją na pożegnanie.

Dopiero o wpół do jedenastej w nocy, gdy obzarci, nawaleni i bardzo głośni goście opuszczają pensjonat, Baśka pojawia się w barze. Nie pyta o Padlinę. Mimo makijażu widać po niej zmęczenie. Siada ciężko na stołku obok mnie, prosi chłopaka o podwójne espresso. Proponuję, żebyśmy odłożyli moją sprawę do jutra, ale nie chce.

– Mów, czego potrzebujesz. – Wlepia we mnie lekko opuchnięte, ale badawcze ślepia o wykroju migdałów. – Jak za dawnych dobrych czasów, Romek.

Staram się być zwięzły w swojej opowieści, ale i tak zajmuje mi prawie dwadzieścia minut opowiedzenie jej wszystkiego od początku, czyli od spotkania z Maksym na szosie lubelskiej.

Godz. 23.59

Port gminny w Sieńkach

Nie znam tego samochodu. Kilkuletni passat. Stoi od niedawna, warstwa mokrego śniegu, który na karoserię nanosi wiatr od strony zalewu, jest wciąż cienka, na masce go w ogóle nie ma. Poza mną w porcie zimą nikt nie mieszka i rzadko kto tu zagląda, zwłaszcza w nocy.

Jakaś para przyjechała się bzykać? Zaglądam przez szybę od strony zawietrznej. W ciemnym wnętrzu nikogo nie ma.

Mój kontener majaczy w mętym świetle latarni dwadzieścia merów stąd; prowadzi do niego ścieżka między pryzmami śniegu. Gdyby ktoś się tu na mnie zasadził, przecież by nie zostawiał fury na widoku... Jednak wyjmuję z kabury glocka.

Drzwi wejściowe wyglądają normalnie, żadnych śladów wyważania. Cicho obchodzę kontener. Plastikowe okno z tyłu też jest na swoim miejscu. Wracam i przykładam ucho do cienkich blaszanych drzwi.

Delikatny szum.

Zawsze wyłączam farelki przed wyjściem.

W tym momencie nad drzwiami zapala się światło. Kucam z glockiem w obu rękach, mierząc przed siebie.

Drzwi się otwierają. W ciemnym kwadracie wnętrza nie widzę nikogo. Po chwili i tam zapala się światło.

– Wejdz.

Cichy męski głos – ledwo to usłyszałem. Znam ten głos. Powoli unoszę się do pionu i z bronią na wysokości twarzy wkraczam do środka.

Lechosław Malicki właśnie siada w moim starym fotelu.

– Przepraszam za najście, panie inspektorze – mówi swoim ledwo słyszalnym szeptem. – Za zimno było czekać na dworze.

Dzień dwudziesty piąty

Czwartek, 26 stycznia 2017

Godz. 9.10
Hotel Bristol

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 42/44

– Ty to zrobiłeś – mówię. I sam się dziwię, jak łatwo mi to przyszło.

– Co zrobiłem?

Maks Górski jest nieprzytomny z niewyspania. Te imprezy po premierze musiały się skończyć dopiero nad ranem. Ledwo widzi przez zapuchnięte powieki. Po filiżankę kawy sięga tak niezgrabnie, że ją przewraca, rozlewając brunatny płyn na krochmalonym obrusie. Para kelnerów, którzy stoją na straży blisko stolika, momentalnie zmienia słynnemu gościowi nakrycie.

– Zabiłeś swoją żonę.

– Co?! – Nieruchomieje z napełnioną ponownie filiżanką przy ustach, wybałusza na mnie oczy. Nagle są jak pięciozłotówki.

– To co słyszałeś. Jesteś zabójcą.

– Nie żartuj w ten sposób, Roman. To nieprofesjonalne.

– Ty to zrobiłeś. Zabiłeś Zofię.

– Nie przypuszczałem, że okażesz się cholernym idiotą.

– To ty ją zamordowałeś, Maks.

– Przestań, natychmiast. Bardzo kiepski żart. I niesmaczny! Może tu jest jeszcze ukryta kamera czy coś w tym stylu?

Próbuje odczytać z mojej twarzy, że ma rację i zaraz wybuchnę śmiechem.

– Tu są dowody. – Kładę na obrusie elegancką tekturową teczkę, którą specjalnie kupiłem na tę okazję, zamykaną na rzepy i z rączką do noszenia. Obok kładę inny swój nowy nabytek, tablet. – Żelazne dowody, Maks. Wszystko czarno na białym. Obejrzyj sobie dokładnie. Podobno dżentelmeni nie dyskutują o faktach. A ty przecież jesteś dżentelmenem i światowcem. Nie rozczarowuj mnie teraz.

– Człowieku, jakie mogą być dowody? – Zaczyna się denerwować. – Przecież ja najlepiej wiem, czy coś zrobiłem, czy nie. Do diabła!

– Chciałbym, żeby to było takie proste, Maks – odpowiadam spokojnie i cicho.
– Ale nie jest. Niestety.

– Nie po to cię zatrudniłem, żebyś mi jakieś bzdury przynosił! Wracam do łóżka. Rozliczamy się i nie chcę cię więcej oglądać na oczy... Wytatuowany błazen!

Jednak coś mu nie pozwala rzucić serwetki i wstać z krzesła. A ja bez słowa otwieram teczkę i wykładam na stół całą zawartość: rolkę filmu małoobrazkowego w metalowym pudełku, zapisaną płytkę CD, raporty służbowe i protokoły przesłuchania na kiepskich, pożółkłych ze starości kartkach, pokryte nierównym pismem i blaknącymi pieczęciami.

I brązową kopertę ze zdjęciami, których nikt, kto nie musi, nie powinien oglądać. Nieludzkie cierpienie zarejestrowane na takich zdjęciach normalnemu człowiekowi uchyla wrota piekieł.

– I co to ma być? – Teraz jest sarkastyczny.

– W tym pudełku kilkadziesiąt metrów filmu nagranych przez funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa Ireneusza Wonsa.

– Nie znam.

– Nazwisko powinienesz kojarzyć, Maks. Jego syn jest członkiem orkiestry, z którą od tygodni prowadzisz próby. Trzydzieści dwa lata temu, w czwartek dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, jego ojciec przez jedenaście godzin śledził z zaparkowanego samochodu Łada wejście do budynku przy ulicy Zielnej czterdzieści pięć. Tam, gdzie mieszkałeś. Sierżant SB Wons dokumentował ruchy mieszkańców i innych osób służbową kamerą Revue czterysta dwadzieścia pięć Automatic Super osiem, która dziś jest w posiadaniu jego spadkobierców. Esbecja dysponowała informacją, że w tym budynku może ukrywać się ścigany działacz opozycji, całą okolicę poddano obserwacji. Na płytce – podnoszę ją do góry – jest to samo nagranie zapisane cyfrowo. A w protokołach znajduje się twoje zeznanie złożone w nocy w Komendzie Wojewódzkiej MO po tym, jak zgłosiłeś znalezienie ciała żony. Wszystkie strony zostały parafowane, na końcu widnieje twój podpis. Sądzę, że autentyczny. W ciemnej kopercie są policyjne zdjęcia z miejsca zbrodni. Nie namawiam, żeby je oglądać. To był okropny widok. Twoja żona potwornie cierpiała przed śmiercią.

– Gdzieś ty, człowieku, zebrał te śmiecie?

– Z góry wiesz, że to śmiecie? Przekazał mi je pracownik Filharmonii Narodowej Arkadiusz Wons, gdy go zdemaskowałem jako szantażystę. Jego tatuś zwinął z pracy i przez wiele lat nielegalnie przechowywał te materiały. Zapewne w tym samym celu, ale nie miał okazji zarzucić ci pętli na szyję. Syn znalazł je po

tym, jak ojciec trafił do domu opieki. A ja przekonałem syna, by dobrowolnie przekazał to wszystko w moje ręce. Obejrzyj to sobie bardzo dokładnie. Namawiam, Maks.

Prycha, wydyma pogardliwie wargi.

– Co jest na nagraniu? I jak niby mam je obejrzeć?

– W tej chwili, na moim tablecie. Zapisałem najważniejsze minuty filmu. Jak wbiegasz do budynku o piętnastej siedem i jak wychodzisz z niego równo czterdzieści dwie minuty później. W zeznaniach twierdzisz, że przez cały czas byłeś w filharmonii.

– Mam na to świadków!

– Jak dobrze poskrobiemy, to okaże się, że w tym przedziale czasowym nikt cię tam nie widział. Myśleli, że kompozytor uciął sobie gdzieś drzemkę w pustym pokoju, jak miał we zwyczaju.

– Ale ja naprawdę nie wychodziłem z filharmonii – protestuje.

– Proszę – mówię, odpalam tablet i daję mu go ręki.

Wpatruje się w ekran, na jego twarzy maluje się rosnące niedowierzanie.

– Niepotrzebnie przechodziliśmy na ty. To był mój błąd, przyznaję – mówię cicho. – Jak pan widzi, panie Górski, obraz jest dokładnie datowany. Poszczególne sekwencje opatrzone oznaczeniami godzinowymi i minutowymi. Esbecy mieli wymagających szefów, starannie zbierali swoje materiały.

Górski odkłada urządzenie kompletnie zdezorientowany.

– Nie wiem, co mam powiedzieć. To jakaś podróbka. Ktoś to musiał zmontować!

– Interesująca teoria. Ale w tamtych czasach nie było takich możliwości. Fotografie, owszem, przerabiano. Ale z filmami to inna sprawa. Dopiero dwadzieścia lat później pojawiły się dostatecznie mocne komputery, żeby modyfikować ruchome obrazy. Tu mamy oryginał na taśmie celuloidowej.

– Musi być jakieś logiczne wytłumaczenie. – Kręci głową. – To jest jakiś koszmar!

– Moje wytłumaczenie już pan zna. Nie ma innego.

– Po której stronie ty jesteś, do cholery? Dla kogo pracujesz, Medyna? Bo na pewno nie dla mnie – oskarża nagle, mierzając wskazującym palcem w moją twarz. – Inaczej byś sobie zadał parę pytań. Dlaczego mnie wtedy puścili, skoro mieli taki rzekomo mocny dowód w rękach?

Teraz ja wzruszam ramionami.

– Klasyk. Brak koordynacji między milicją a służbami. SB nie lubiło się dzielić materiałami z kimkolwiek, szczególnie z milicją. Do dziś jest tak samo, tylko nazwy służb inne.

– To dlaczego esbecy mnie nie aresztowali? – nie daje za wygraną. – Jak to wytłumaczysz?

– Zwykłe przestępstwa, nawet zabójstwa, mało ich interesowały. Ale raczej zorientowali się, a dowody zostawili sobie na potem. Na przykład żeby podjąć grę operacyjną w przyszłości, gdy pan już zrobi międzynarodową karierę.

– Kupy się to nie trzyma. – Górski kręci głową. – Karierę zrobiłem, ale żadnej gry operacyjnej nie ma. Nikt mnie nie nagabywał ani nie nagabuje...

– Jest pan zupełnie pewny?

– No, poza tym śmieciem, co mnie teraz próbował szantażować.

– Nie zapytał pan jeszcze o motyw.

– A właśnie! Jaki miałbym, do diabła, mieć motyw?

– Zazdrość – wyjaśniam. – Zabił ją pan z zazdrości. Bo chciała odejść do innego mężczyzny. I może też dlatego, że był pan zazdrosny o jej talent kompozytorski. Ale przy tym ostatnim nie będę się upierał.

– Wiedziałem! To ta gnida Szmit! Nakładł ci do głowy tych bredni! Rojenia nienawistnika i oszczercy! I ty nazywasz siebie detektywem, Medyna? To ma być twoje zawodowstwo? Ja dziękuję za takie usługi za moje ciężko zarobione pieniądze! Wiesz co? Kończymy tę współpracę. Natychmiast! Słyszysz?

– Próbuje pan coś zakrzyczeć, panie Górski? – mówię bardzo spokojnie i specjalnie cicho. – To pomogę. Proszę sobie przypomnieć pewne zdarzenie. Bardzo ważne zdarzenie. Miało miejsce tu w Warszawie, kiedy Zofia jeszcze żyła.

– O czym ty mówisz?

– O lodziarni Hortex przy Świętokrzyskiej, blisko miejsca, gdzie później powstał McDonald. Była popularna w tamtych czasach. Proszę zamknąć oczy i przypomnieć sobie, co pan zobaczył w tym Hortexie. Jaką scenę.

– Nie wiem, o czym ty... – Maks kręci się niespokojnie na krześle, jakby coś zaczęło go uwierać. – Idź stąd, proszę... Nie chce mi się więcej z tobą rozmawiać.

– Przywołaj to z pamięci! Co zobaczyłeś przez szybę, człowieku! – Wciąż panuję nad głosem, jakbym chciał go zahipnotyzować. – Patrzysz, stojąc na zewnątrz... Tak, zgadza się! Widzisz tam swoją żonę. Siedzi z innym mężczyzną.

Znasz go. Znasz i podziwiasz. Pamiętasz? Pamiętasz ten widok?

Górski siedzi jak sparaliżowany. Jego oddech przyspiesza, staje się płytki.

– Może rzuciłeś okiem przypadkiem, przechodząc. A może właśnie śledziłeś żonę. Szedłeś za nią ulicą, potem stałeś długo na zewnątrz lodziarni. Co oni robili razem, pamiętasz? Siedzieli przytuleni do siebie? Może się całowali? A może ręka, którą ją obejmował, dotykała jej piersi... To dlatego je tak ciąłeś, żeby ją ukarać?

– Przestań!!! – Maks krzyczy tak głośno, że w sali cichną rozmowy. – To nieprawda!

– Nazwisko Jean-Christophe Gibault coś ci mówi?

Krew odpływa mu z twarzy, robi się biały jak papier.

– Maestro jest dziś w Warszawie – ciągnę spokojnym tonem. – Właśnie tu, w tym hotelu. Dyrygent i pański przyjaciel. Zdrajca, który próbował odebrać panu żonę, ale pan do tego nie dopuścił. On jest gotów zeznawać. Potwierdzi, że scena, o której mówię, zdarzyła się w rzeczywistości. Pamięta pan teraz, Maks?... Oczywiście, że tak!

Górski zasłania twarz dłońmi. Do stolika podchodzi mężczyzna ubrany w czarny garnitur. Przedstawia się jako kierownik sali i pyta go, czy wszystko jest w porządku. Kompozytor wydaje się nie rozumieć. Gdy mężczyzna powtarza pytanie, Maks opuszcza ręce.

– Ach, tak, tak. Dziękuję. Proszę tylko... o kieliszek koniaku.

Kierownik widzi, że gość hotelu jest przerażony i zdezorientowany. Posyła mi pytające spojrzenie. Nie podoba mu się ta sytuacja.

– Rozmawiamy. Pan Górski ma za sobą długą noc – wyjaśniam grzecznie.

Nie potrzebuję tu jeszcze konfliktu z nadgorliwą obsługą.

Kierownik sali odchodzi, po minucie kelner podbiega z pękatą bombką koniaku. Stawia ją przed kompozytorem, który chwytą szkło trzęsącymi się rękami i wychyla jednym haustem. Zamawia kolejny koniak. Unika mojego wzroku.

– Maks, niech pan patrzy na mnie.

Posłusznie podnosi głowę. Jego brązowe oczy, jeszcze niedawno wypełnione furją, są jak zrobione ze szkła. Jakby proces, który zaszedł w jego mózgu, przechylił niewidzialną szalę i wreszcie go pokonał. Kompozytor na moich oczach przekroczył psychologiczną granicę, za którą kończy się ludzka zdolność wypierania pamięci, zaprzeczania i stawiania oporu. Za taką granicą skazańcy przestają się bronić przed rękami kata, a umierający wreszcie poddają się

nieuniknionemu.

Maksymilian Górski nie jest w stanie dłużej odpychać prawdy od siebie. Ale nie jest gotowy się poddać. Teraz będzie walczył.

Kolejny koniak łąduje przed nim na stoliku.

– Mam mętlik w głowie. Nie potrafię wyjaśnić twojego filmu, ale to nie znaczy, że ją zabiłem – chrypi. – Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, Roman.

Zbieram materiały безпеki ze stołu i układam ponownie w kartonowej teczce. Na wierzch wsuwam tablet i zamykam wieczko na rzepy.

– Nie musi pan niczego przyznawać, Maks. Wystarczy, że rozumie pan sytuację.

– Nie wiem, co ja rozumiem.

– Mamy do czynienia ze zjawiskiem wyparcia. Jest znane w psychologii. Kiedy człowiek zrobi coś, z czym się nie zgadza, coś, co zaprzecza jego zasadom tak bardzo, że nie umiałby z tym żyć, to wypycha taki fakt z pamięci. Zapomina. To mechanizm instynktowny. Życie musi biec dalej bez względu na to, co się stało. W sierpniu osiemdziesiątego czwartego, gdy zaczęło do pana docierać, co pan zrobił żonie, stracił pan przytomność i odpłynął. Jakby w przeciążonym układzie elektrycznym wyskoczył bezpiecznik. A gdy ocknął się pan po paru tygodniach, układ nerwowy się zresetował i wepchnął problem głęboko do podświadomości. Nie męczyły pana złe sny?

– Bywało – mówi cicho. – Koszmary senne. Zosia przychodziła do mnie zalana krwią i śmiejąc się, pokazywała mi rany. Mówiła, że to nie boli i że wcale się nie gniewa.

– Bardzo fachowa i doświadczona psycholog, z którą się konsultowałem, właśnie tak sądziła.

Zamyśla się znów.

– To dlaczego Jean-Christophe mi pomagał?

– Z nieświadomości. Nie przyszło mu do głowy, że pan mógł zrobić coś tak strasznego. Starał się zachować przyzwoicie w trudnej sytuacji, również dla niego. On czuł się winny wobec pana.

– Powiedziałeś mu?

– Nie bezpośrednio.

Kiwa głową, jakby wyjaśnienie go przekonywało. Wzdycha, szuka słów, żeby sformułować następne pytanie pod moim adresem.

– I co teraz? – wykrztusza wreszcie.

– Jeśli o mnie pan pyta, oczekuję swojego honorarium. Rozwiązałem sprawę. Nie do końca po myśli klienta, ale chciał pan ujawnienia sprawcy. Według umowy należy mi się teraz cała suma.

– A... co będzie ze mną?

Dobry moment, by demonstracyjnie wzruszyć ramionami.

– Nie wiem. Jest pan zabójcą, ale sprawa przedawniła się kilka lat temu. Polski wymiar sprawiedliwości już nic do pana nie ma. Prywatnie będzie pan musiał jakoś z tym żyć. A z młodym Wonsem zrobi pan, co uważa. Może pan zgłosić szantaż, ale jak znam życie, to się dogadacie. Bardzo bym się zdziwił, gdybym przeczytał o tym w gazetach.

– Dlaczego?

– Nie chce pan rozgłosu. I na sto procent oboista ma jeszcze kopie esbeckiej dokumentacji tatusia. Nie zaryzykuje pan, że ją upubliczni.

– Nie pomożesz mi z tym, prawda?

– Już nie. Ale nie jest pan sam, Maks. Ta zbrodnia to tylko dla pana jest swego rodzaju nowość. Pana obecna żona – proszę ją ode mnie pozdrowić! – dawno domyśliła się prawdy. Podobnie jak pański asystent. Proszę mnie nie pytać, skąd to wiem. Nie od nich. Na swój nieprzyjemny sposób nawet próbowali chronić pana przede mną. Więc razem dacie radę. Pozbiera się pan i będzie kontynuował życie podziwianej gwiazdy.

Wypija kolejną lampkę koniaku i widać, że powoli odzyskuje jaką taką przytomność umysłu. Obserwuje, jak wstaje z krzesła i zbieram się do odejścia.

– Nie zostawiasz mi tej teczki, Medyna? Myślałem, że...

– Na razie ją zabieram. Kiedy honorarium wpłynie na moje konto, wyślę ją panu. Całość. Na wskazany adres, kurierem. I wykasuję kopię filmu ze swoich urzędzeń.

– A skąd pewność... – zaczyna, ale mu przerywam.

– Ja dotrzymuję umów z klientami, panie Górski. Jeśli nie chce pan, żebym dla pana zrobił gruby wyjątek, proszę po prostu dotrzymać swojej. Mój numer konta ma pan zapisany. A teraz spadam, jak wy mówicie w wyższych sferach, po angielsku. Bez buzi, bez czułych pożegnań. Chyba ani pan, ani ja nie mamy na to ochoty.

Godz. 12.17
Łysy Kalafior

Warszawa, Praga-Północ, ul. Ząbkowska 7 B

Z Makssem poszło łatwiej, niż się spodziewałem, co powinno wprawić mnie w dobry humor, jednak nie potrafię do końca się cieszyć zarobkiem. Jakby te cyfry były zapisane krwią niewinnej kobiety. Z braku innych zajęć podjechałem swoim zabłoconym wozem na następne spotkanie, po drugiej stronie Wisły. Pod wskazanym adresem naprzeciwko resztek bazaru Różyckiego znalazłem knajpę prowadzoną przez jakieś towarzystwo w dredach, wytatuowane i dźwigające mnóstwo metalu na twarzach. Kuchnia okazała się wegetariańska, a rockową muzykę puszczali tu na cały regulator.

Kawę podają w arabskim stylu, z kardamonem. Siedzę teraz nad trzecim kubkiem i się zastanawiam, czy Malicki w ogóle się pojawi. Umówiona godzina dawno minęła. Do tej pory trudno mi uwierzyć, z czym do mnie przyjechał wczoraj w nocy. I na czym stało, gdy blisko trzeciej nad ranem wychodził z mojej kriogenicznej komory w ciemną pluchę.

Jak długo jestem w policji, takiego klienta jeszcze nie miałem.

„Na szczęście nie założyłeś tu zamka z prawdziwego zdarzenia” – wyszeptał na powitanie. Nie mierzył do mnie z niczego, ale kazałem mu wstać, oprzeć ręce o ścianę i rozstawić nogi. Dał się przeszukać bez sprzeciwu. Miał przy sobie tylko kluczyk do auta, kawałek drutu i szwajcarski scyzoryk. Zabrałem te rzeczy na wszelki wypadek.

Usiadł ponownie i przeszedł od razu do sedna. „Nie chcę polecieć za cudze morderstwo. I liczę, że mi pomożesz zapobiec następnym”.

„Každy by tak chciał” – odpowiedziałem, zastanawiając się, co on kombinuje.

„Nie mam krwi na rękach – upierał się. – Skubaliśmy banki kulturalnie, bez przemocy. Zawsze tak działałem. Niestety, okazało się, że mam w grupie zabójczynię” – ciągnął swoim ledwo słyszalnym, monotonnym głosem, a ja nie mogłem się temu wszystkiemu nadziwić, choć nie pokazywałem po sobie niczego. „O trupie w Dęblinie dowiedziałem się z internetu. Choć wtedy byłem tam na dachu. Nie wierzyłem, że to jej robota. I nie miałem pojęcia, że zanim do nas przystała, zabiła gliniarza. A najgorsze, że w piątek ona wysłała na tamten świat

swojego męża”.

„Opowiedz mi o tym, Malicki”.

„Chcę, żeby była jasność. Ja wiem, że masz mnie na widelcu. Jerzosa zgarnęli na jego własne życzenie, przez głupotę. Mnie też przyszpilisz. Jak wiesz już kto, to dowody zgromadzisz. Mam rację?”

„Sam ci to powiedziałem. Dokładnie tymi słowami”.

„Mogę iść za kratki za banki, ale nie chcę beknąć za mokrą robotę dziewczyny, której się pomieszało w głowie. O Jerzosie nic nie powiem. Ale co do siebie – nie zaprzeczam”.

„Ładnie z twojej strony. Taki honorowy złodziej”.

„Zeznam wszystko, podpiszę, Medyna. Ale coś za coś. Chcę, żebyś zaświadczył za mną. Pomożesz mi się bronić, jeśli będą mnie ubierali w te morderstwa. Wiesz najlepiej, jak oni wszyscy pracują, prokuratorzy i policja. Pałka, paralizator i każdy się przyzna wcześniej czy później. Bez obrazy, twoi koledzy na łatwiznę idą. Zawsze tak było”.

„Niektórzy tak”.

„Więc jak będzie?”

„Kto skręcił kark strażnikowi?”

„Najpierw umowa. Twoje słowo”.

Powiedziałem mu wtedy, że trochę trudno mi uwierzyć. Gdyby faktycznie okazało się, że mówi prawdę, mógłbym zobaczyć, co da się zrobić. Ale najpierw fanty na stół. Kto to jest ta kobitka, co zabija. I o skokach na banki.

Malicki mówił długo. Nie jak typowa recydywa, co wciąż ściemnia i płacze się w zeznaniach. Relacjonował rzeczowo, rozdzielał wątki. Marlenkę poznał, kiedy szukał ślusarza do swojej ekipy, do otwierania zamków i zabezpieczeń. Stary kumpel spod celi jednak nie żył, w warsztacie w suterenie na Pradze, w którym dorastały trzy pokolenia włamywaczy, zastał tylko wdowę i synową. Stara wypłakiwała się, że głowa rodziny wpadł na gościnnych występach w Niemczech i niedługo po wyroku zszedł na zawał w tamtejszym pierdłu. Ich syn zaś, Janek, miał niewiarygodnego pecha.

Chłopak umówił się z kolegami na skok na kantor w Wołominie. Pojechał jako kierowca. Skok wypadł w dniu, w którym akurat był sam w domu z rocznym dzieckiem, nie miał z kim zostawić dziewczynki. No to wstawił fotelik do bryki ukradzonej na tę robotę i zabrał małą. Kombinował, że obecność malucha w wozie

zadziała na plus, nikt nie będzie ich podejrzewał. Skończyło się niedobrze. W kantorze właściciel i ochroniarz wyciągnęli broń, wywiązała się strzelanina. Chłopaki zrobili odwrót. Gdy uciekali, na kole usiadła im policja. Znow zaczęli się ostrzeliwać, psy nie pozostawały dłużne. Jeden z pocisków trafił w dziecko. Zginęło na miejscu.

„Paskudna sprawa”.

„Będzie gorzej. Janek dostał piątkę, najmniej z grupy, bo jako kierowca nie strzelał. W domu zostały dwie kobiety i żałoba”.

Malicki wysłuchał tej opowieści i wyszedł. Synowa wdowy imieniem Marlena dogoniła go na ulicy. Powiedziała, że wszystko, co stary wiedział o ślusarce, ona też wie, a w otwieraniu jest nawet lepsza. I wszędzie się wciśnie: jest mała i zwinna, kiedyś trenowała gimnastykę, umie się wspinać. Umówili się na drugi dzień na test. Malicki zabrał ją do przechowalni bagażu na Dworcu Wschodnim, wskazał skrytkę. Z zimną krwią, mimo że kręciło się tam sporo ludzi, zabrała się do zamka długą szpilką i wytrychem. Puścił, zanim ktokolwiek zauważył. W środku był plecak; zarzuciła go sobie na ramię i po prostu wyszli.

„Ona nazwisko jakies ma?”

„Jeśli przyjęła po mężu, to byłaby Maciejewska. Co faktycznie stoi w papierach, nie wiem”.

Marlena sprawdziła się na akcjach grupy. Pomysł, żeby się dostawać do banków przez dachy, przyszedł Malickiemu do głowy po pożarze banku rolnego pod Łodzią. Dekarze zaproszyli tam ogień, połowa dachu poszła z dymem, zanim straż zdusiła pożar. Pojechał na inspekcję i uderzyło go, że w kamienicy nie było porządnego stropu, tylko deski na spróchniałych belkach, a od dołu trzcina z zaprawą zamiast porządnego tynku. Marlenka pasowała do jego scenariusza. Jak zmija wślizgiwała się do budynków przez dziury, które wiercili w dachach i w stropach. Malicki przynosił informacje, jakie dany bank ma zabezpieczenia i gdzie przenosi się na noc rezerwę kasową. Były to zwykłe metalowe szafy, ze względu na wagę. W tych ruderach nie dało się stawiać pancernych kas ani nawet masywnych mebli.

Dziewczyna radziła sobie migiem z zamkami i kłódkami. Worki z pieniędzmi podawała im na dach albo otwierała od środka któreś z drzwi, jeśli sytuacja na to pozwalała. Wskakiwali do samochodu i po minucie ich nie było. Malicki był zachwycony nową współpracowniczką.

„Dużo nie zgarnialiście” – zauważyłem.

„Nam starczało. Ale jej nie. Kiedy zorientowałem się, że zarząd raportuje wyższe straty niż to, co myśmy wynieśli w gotówce, na początku myślałem, że to nasi urzędnicy kombinują. Zwalają na złodziei złe kredyty albo po cichu, w białych rękawiczkach dzielą się kasą firmy. Ten kapitalizm wszędzie jest tak ustawiony: ty harujesz jak dzika świnia, a cwaniaki na górze zgarniają frukta. Nie zajarzyłem, że może być też inne wytłumaczenie”.

Teraz Malicki doszedł do wniosku, że po skokach Marlena musiała włamywać się do obrobionych banków jeszcze raz, tym razem elektronicznie. Hakowała systemy dzięki loginom i hasłom dostępu, które urzędniczki na zapleczu trzymały zapisane na swoich biurkach. Przelewy robiła najprawdopodobniej na zagraniczne konta. Gdy chciałem wiedzieć, jak to możliwe, wyjaśnił, że prowincjonalne banki to nie wielkie korporacje, gdzie panuje dyscyplina w kwestii reguł bezpieczeństwa. W czasie kontroli w oddziałach behapowiec widywał karteczki hasłami przyklejane nawet do obudowy monitorów.

„Myśmy zadowalali się małym. Uważałem, że dzięki temu nie ściągniemy na siebie kłopotów. Ciszej jedziesz, dalej zajedziesz, mądre ruskie powiedzenie. Ale Marlena od początku realizowała własny plan”.

„Jaki plan?”

„Zbierała kasę na ucieczkę z Polski i nowe życie na plaży w jakimś ciepłym kraju”.

„Zwierzała wam się?”

„Jest diabelnie skryta, małomówna. Ale latem siedzieliśmy raz we trójkę przy piwie na Wileńskiej i zgadało się, jakie kto ma marzenia, gdy skończymy. Domek na wsi, megafura, młoda blond dupa, takie rzeczy. A Marlenka, że chciałaby spędzić resztę życia na plaży. Wszystko jedno gdzie, byle każdego dnia było gorąco. «I co byś robiła?» «Nic, bym się grzała»”.

„Ciekawe”.

„Wtedy jeszcze tak nie pomyślałem, ale dziś mam jedno skojarzenie: jak żmija”.

„Dobrze się obłowiła?”

„Ściągała na maksa, ile system pozwalał. W jednych bankach były niższe limity przelewów, w innych wyższe, zależnie od loginu, jaki wpadł jej w ręce. Na warszawskiej Woli musiała znaleźć login i hasło kierownika, bo wyczyściła oddział do zera. Wyrzucili tego kierownika na zbity pysk. Nie zasiadam w zarządzie, ale takie informacje rozchodzą się po firmie. W sumie z banków i oddziałów wyparowały trzy miliony złotych”.

Potem głosem, który dawno by mnie uspił, gdybym nie chłonał każdego słowa, wyjaśnił, dlaczego zaczął ją podejrzewać. Po wpadce Skrzeka pojechał na Pragę, by uspokoić współpracownicę, że Jerzos nie pęknie na przesłuchaniach. Marlena słuchała go obojętnie, jakby sprawa w ogóle jej nie dotyczyła. Zareagowała tylko raz: gdy teściowa napomknęła, że policjant, z którego broni zginęła mała, nie żyje.

Starsza kobieta była podniecona – syn miał wkrótce wyjść na pierwszą przepustkę z więzienia. Wciąż paplała o tym, co mu ugotuje i jakie obie z synową są szczęśliwe z tego powodu. I jak to dobrze, że ten przeklęty gliniarz zdechł, bo inaczej Janek by go udusił własnymi rękami. Jej syn jest honorowy, a za zabicie dziecka nic innego się nie należy, tylko śmierć. Marlena ostro kazała jej zamknąć pysk – i majstrowa zamilkła jak smagnięta batem. Dosłownie urwała w połowie zdania. Malicki zorientował się, że pod powierzchnią domowej harmonii wdowa po starym kryminaliście panicznie się boi swojej drobnej, milkliwej synowej.

I w tym właśnie momencie wyparowało jego przekonanie, że śmierć strażnika banku w Dęblinie tylko przypadkowo zbiegła się z nocną wizytą Marleny. Jednak potrzebował mieć pewność.

Zadzwoił do rzecznika policji, którego znał w związku z pracą w zrzeczeniu banków. Rzecznik nieoficjalnie potwierdził informację: funkcjonariusz, który przypadkowo zabił dziecko, spadł z dachu kamienicy na Szmulowiznie i zginął na miejscu. Uznano to za nieszczęśliwy wypadek. Na tym dachu mieszkańcy urządzili sobie nieformalny grill, w ładną pogodę spotykali się tam na piwo, karkówkę i kiełbaski. Jednak nie udało się ustalić, co policjant robił na dachu późno w deszczową noc. I czy się po prostu pośliznął, czy ktoś mu pomógł. Mógł też sam ze sobą skończyć, był zestresowany dochodzeniem wewnętrznym, chociaż zawsze się je przeprowadza po użyciu broni.

I wtedy, powiedział Malicki, elementy układanki w jego głowie ostatecznie wpadły na swoje miejsca. „Poczułem zimno na plecach. Nawet gorsze niż w twojej trumnie tutaj”.

„Co konkretnie cię zmroziło?”

„Zrozumiałem, że Marlenka mści się za śmierć córki. I czeka u boku teściowej na wyjście męża, ale tylko po to, żeby i jego pozbawić życia. Jeśli ktoś jej nie przeszkodzi, stara pewnie też nie przeżyje”.

To była hipoteza, ale musiał w nią mocno wierzyć, skoro przyszedł z tym wszystkim do wroga, czyli do mnie. W odróżnieniu ode mnie znał tę dziewczynę przynajmniej trochę, więc trudno było mi dyskutować. Poza tym nie zamierzałem wybrzydzać, gdy punkt zaczepienia, którego szukałem w tym śledztwie, sam do

mnie przyszedł.

„Powiedz jeszcze, Malicki, czemu zacząłeś robić te banki. Żle ci było na ciepłej posadce, u boku żonki?”

„To ma jakieś znaczenie? Robiłem i już”.

„Nie ma znaczenia”.

„Zresztą ci powiem, jak jesteś ciekawy. Ze złości”.

„Na zrzeczenie?”

„Moja żona ma kogoś. Nawet się z tym specjalnie nie kryje”.

„A ty co?”

„Nic po sobie nie pokazuję”.

„Taki miękki z ciebie małżonek?”

„A co mam powiedzieć? Żeby spierdalała z własnego czteropokojowego mieszkania? Albo ze zrzeczenia, gdzie jest figurą zaraz po prezesach? To ona może mnie spuścić po brzytwie, jak zechce. I nie strzelę jej w ryj przecież”.

„Ano nie”.

„Złość we mnie narosła. Uderzając w banki, tak jakbym uderzał w nią. Wyrównywałem porachunki”.

„No to ładnie wyrównałeś”.

„Sam widzisz. Głupio wyszło. Ale morderstwa sobie nie dam przypuścić”.

I tak sobie gadaliśmy w ciemną, zimną noc, gliniarz z włamywaczem. Robiłem nam obu herbatę, do swojej szklanki dolewałem trochę wiśniówki. Na koniec dobiliśmy targu. On odjechał, a ja dokończyłem wiśniówkę i położyłem się spać. Tuż przed zaśnięciem pomyślałem, że jedno nas łączy: obaj mamy kłopoty z żonami.

Malickiego wciąż nie ma. Albo się rozmyślił, co jest całkiem prawdopodobne, albo ta mityczna Marlenka jego też dopadła. Nie wiem, co myśleć o historii, którą mi opowiedział. To, co nocą wydawało się całkiem logiczne, za dnia brzmi jak absurd, czyjeś chore rojenia. Ale skoro już jestem na Pradze, mógłbym złożyć wizytę tym dwóm kobietom. Tyle że Malicki nie dał mi adresu Marleny, nawet nazwy ulicy. W komórce wyszukuję numer znajomego antyterrorysty, teraz pracownika centrali Służby Więziennej.

– Jerzyk, jesteś może blisko kompa? Potrzebuję adres zamieszkania jednego z osadzonych... Nie, nie wiem, w którym anclu go trzymacie. Nazwisko Jan Maciejewski, odsiaduje piąta za udział w napadzie. Jutro ma wyjść na pierwszą przepustkę. Tak, mieszka w Warszawie. Wrzucisz na bęben?

Trzy minuty potem mam adres zapisany w telefonie – rzut beretem od miejsca, gdzie siedzę. A w mojej głowie jak bomba radiowozu pulsuje informacja, że osadzony Jan Bogdan Maciejewski, lat 26, opuścił Zakład Karny w Braniewie już przedwczoraj, we wtorek.

Płacę rachunek, gdy w wegetariańskiej knajpie pojawia się zdyszany Malicki.

– Utknąłem na Świętokrzyskim. Duży wypadek, karetki, nie szło dojechać. Dobrze, że pan zaczekał, Medyna.

– Musiałeś wybrać taki lokal? Tu nawet nic zjeść nie można.

– Zero szansy, że ktoś z ludzi spod mojej celi nas tu zobaczy.

Godz. 12.48
Warszawa, Praga-Północ, ul. Wileńska 6

Te kamienice to resztki starej Warszawy. Po lewej stronie Wisły tylko nieliczne takie przetrwały drugą wojnę i powstanie warszawskie, na Pradze pozostały całe nietknięte ulice. Nieremontowane skorupy budynków popadają w ruinę. Coraz więcej z zamurowanymi wejściami czeka już tylko na wyburzenie, ale w innych wciąż tli się życie, palą się światła, funkcjonują ciasne sklepiki i biedawarsztaty przypominające graciarnie.

Interes Maciejewskich jest w podwórku. Wchodzi się przez bramę, po prawej stronie nad zbutwiałą suteroną kołysz się na wietrze szyld „Ślusarstwo, zamki, klucze, dorabianie części”. Okno firmy jest zabezpieczone kratami, drzwi obite blachą. Dwa zamki i potężna kłódka. W tej dzielnicy mogą obrobić każdego, legend dawnego półświatka nic nie chroni przed drapieżnością nowych pokoleń. Tu nie ma immunitetów.

Przyjechaliśmy z Malickim bez sprecyzowanego planu. Szczerze mówiąc, wymyśliliśmy tylko, żeby się zjawić jak najszybciej. Ale co im powiemy? „Janek, nam się wydaje, że twoja żonka może ci skrócić kark?” Wolne żarty, chłopak pokaże nam drzwi. O dowodach dla prokuratora też na razie nie ma mowy. Fakt, że Marlina była nocą w banku w Dęblinie, czyni z niej podejrzaną, nic więcej. Bez dowodów biologicznych jej udział w śmierci policjanta to czysta spekulacja. Mamy zaledwie hipotetyczny motyw.

– Które okna są ich?

– Te ciemne. Na parterze.

W warsztacie też się nie świeci.

– Może wyszli – szepcze Malicki. – Do galerii na przykład.

– Chcesz tu czekać w taką pogodę?

– Albo świętują gdzieś w pubie.

Chyba sam nie jest o tym przekonany. Wchodzimy na klatkę, na parterze są drzwi do dwóch mieszkań. Malicki naciska dzwonek do tych po lewej, od strony warsztatu. Gdy nie ma reakcji, próbuje klamki. Zamknięte. Drugie mieszkanie jest zapieczętowane. Dzwonię na wszelki wypadek, nikt nie odpowiada.

– Wrócimy za godzinę – proponuję.

– Tu w domu powinna być impreza. – Malicki kręci głową. – Hałas, pełno ludzi. Normalnie, jak wychodzisz z mamra na przepustkę, to cały blok świętuje. A urlopowany jak król pije gorzałkę, opycha się żarciem mamusi, posuwa babę...

– Dlaczego zjawiał się wcześniej?

– Żeby sprawdzić swoją. Z zaskoczenia. Chłopaki często tak robią.

No tak. Pod celą rozmyślają całymi latami, czy ich kobiety mówią prawdę, gdy zapewniają ich o swojej wierności. I gdy wreszcie przyznają im tę przepustkę, wielu podaje rodzinie fałszywą datę. Żeby zobaczyć, czy w przedpokoju nie stoją męskie kapcie. Albo dodatkowa szczotka do zębów w łazience. Albo czy w kuchni nie natkną się na jakiegoś kolesia w podkoszulku i dole od cudzej pizamy na tyłku.

Co się wydarzyło w tym mieszkaniu?

– Z tym od zasuwy pewnie bym sobie poradził – mówię, wyjmując wytrych z kurtki.

Malicki bez wahania też sięga do kieszeni.

– Mogę spróbować z drugim.

Żaden z nas nie jest Marlenką, biedzimy się z trzema zamkami kilkanaście minut. Dwa udaje się pokonać, jeden stawia skuteczniejszy opór. Zniecierpliwiony cofam się o krok i rąbię z rozmachem barkiem w skrzydło drzwi. Poddają się za pierwszym razem, zamek był przykręcony tylko wkrętami do drewna. Chowam narzędzie, naciągam na dłonie gumowe rękawiczki.

– Ty nie dotykaj niczego.

Włącznik światła jest przy drzwiach. Zagracony korytarz ze ściemniałą ze starości sosnową boazerią. Dalej pusty pokój z kanapą, stołem i telewizorem. Kuchnia, brudne statki w zlewie. Zimna płyta elektryczna, piecyk na gaz z butli. Lodówka wypełniona po brzegi żywnością.

Mniejszy pokój ze staroświeckim łóżkiem na toczonych nogach. Pierzyna jest przykryta kapą, na wierzchu wyszywane w kotki poduszki starannie ułożone w piramidę. Na stole leży otwarta książeczka do nabożeństwa w czarnej okładce. Sprawdzam dużą szafę pod ścianą: tylko kobiece ubrania. Chyba nigdy nie były modne.

Druga sypialnia jest trochę większa. Oprócz łóżka, telewizora i fotela zarzuconego kolorowymi pismami stoi tam dziecinne łóżeczko pełne pluszaków i zabawek. Nad nim, przymocowana do ścianki, unosi się mobila z podwieszonymi

plastikowymi zwierzątkami. Naciskam włącznik, rozlega się prosta melodyjka, plastikowe koło zaczyna drgać i kręcić się wokół osi.

W łazience poza wiszącym pod sufitem, dawno wyschłym praniem nie znajdujemy nic szczególnego. W schowku też typowe graty, z wiekowym odkurzaczem marki Zelmer i cynkową balią do prania.

Są jeszcze jedne drzwi, zamknięte na klucz. Zapewne prowadzą do warsztatu. Zamek ustępuje w minutę, ale drzwi ani drgną. Coś blokuje je z drugiej strony. Otwierają się niestety do wewnątrz. Wracam do skrytki, gdzie na półce zauważyłem młotek. Walę nim w zawiasy. Po kilkudziesięciu uderzeniach udaje mi się oba wyłamać z framugi. Brzeg drzwi odchyła się dostatecznie, bym mógł wsunąć tam dłonie. Mocne szarpnięcie z krzyża i udaje mi się odłamać część skrzydła. Dalej idzie szybko. Podnosimy metalową sztabę i kręte cementowe schodki w dół stoją przed nami otworem.

Godz. 13.34

Znajdujemy ciała na podłodze, zaraz u podstawy schodów. Są dwa, mniejsze i większe. Zawinięte szczelnie w folię, dodatkowo poowijane taśmą klejącą. Jak współczesne mumie. Wyjmuję scyzoryk i ostrożnie przecinam plastikową płachtę na wysokości twarzy mniejszej z ofiar. W szczelinie pojawia się ucho i siwe strąki włosów. Przedłużam szczelinę. Głowa starej kobiety jest przekrecona pod nienaturalnym kątem. Podobnie jak głowa młodego mężczyzny w drugim opakowaniu. W jego otwartych martwych oczach wciąż malują się ból i bezbrzeżne zdumienie.

Na wysokości jego piersi na folii jest brunatny ekskrement. Wygląda na ludzki. Już zdążył podeschnąć. Niektórzy nie przykładają wielkiej wagi do ukrywania śladów biologicznych.

– Zaraz się wyrzygam – mówi Malicki zduszonym głosem.

– Wychodzimy.

– Teraz mi wierzysz?

Musiała ich pozabijać w nocy, kiedy spali. Na szyi młodego Maciejewskiego przesunięty fragment kręgu wypycha skórę. Takie same wybrzuszenie widziałem na szyi pechowego strażnika w banku w Dęblinie. Żeby spowodować taki uraz, trzeba jednak dużo siły. Nawet jeśli ofiara śpi.

– Jeśli cię mdli, rzygaj na podwórku – mówię. – Najlepiej w śmietniku. Nie tutaj.

Na górze jednak mój nietypowy partner pokonuje mdłości, już czuje się lepiej.

– Skręciła im karki – podsumowuję, bardziej dla siebie niż dla niego; w takich chwilach muszę słyszeć własne myśli. – Zawlokła ciała na dół. Jest drobna, ale jak twierdzisz, silna. Potem wyszła na podwórko i otworzyła warsztat. Wróciła do mieszkania po swoje rzeczy. Zablokowała sztabą przejście na dół. Na koniec przez warsztat wyszła znów na dwór, zamknęła go na wszystkie zamki i na kłódkę. Z zewnątrz zamknęła też mieszkanie. Zarzuciła na ramię plecak z lalką i laptopem i rozplynęła się w ciemnościach.

– Jaką lalką? Co za plecak?

– Na ucieczkę nie bierze się walizki. Z lalką to moja dedukcja. Idziemy, nic tu

więcej po nas. Na policję zaczekamy w samochodzie.

– Ja nie czekam – mówi Malicki stanowczo.

– Mamy umowę. Zeznam, jak było.

– Nie musisz o mnie wspominać.

– I co zyskasz? Kilka dni najwyżej. A może ty chcesz się zmyć, Malicki?

– Nie.

– Ja wiem, że przede mną nie uciekniesz. Ale czy ty wiesz?

– Za stary jestem na takie zabawy. Ale nie spieszę się do mamra. Na razie i tak skupicie się na niej.

– Nie będę ukrywał, kto mnie tu przyprowadził.

– Nie musisz glinom od razu mówić wszystkiego. Wymyślisz coś, na pewno rozstawią uszy z podziwu. Niech najpierw ją psy dopadną.

– Sam ją dopadnę.

– Marlenka umie zabijać większych od siebie. Jest w tym dobra, uważaj. Na chuj ryzykować? A my spotkamy się na spokojnie za kilka dni, omówimy resztę spraw. Znajdziesz mnie w pracy. Zgoda?

Ignoruję wyciągniętą rękę, ale nie zatrzymuję go, gdy wychodzi z mieszkania. Potem patrzę przez okno, jak szybkim krokiem przemierza podwórko. Wyciągam z kieszeni komórkę, żeby zadzwonić na 112, ale zmieniam zdanie.

Morderczyni ma nad nami co najmniej kilka godzin, może nawet dzień przewagi. Kwadrans dłużej nie zbawi chłopaków z Zespołu Poszukiwań Celowych, czyli „łowców głów” Komendy Stołecznej, albo konkurencyjnych „łowców cieni” z Centralnego Biura Śledczego Policji. Trochę też minie czasu, zanim niebieskie charty rozpoczną pościg. Więc się spokojnie tu rozejrzę. Wciągnę w płuca zapach tego domu, rozpoznam jego części składowe, spróbuję wejść w jej świat. Dopiero gdy skończę, wybiorę alarmowy numer w telefonie i puszczę w ruch całą tę wielką policyjną maszynę.

Godz. 20.19
Komenda Rejonowa Policji Warszawa VI
ul. Jagiellońska 51

Starszy aspirant jest ambitny. Mały, chudy, z odstającymi uszami i ropiejącym zajadem w kąciku ust, od początku próbował brać mnie na huki. Mój elegancki identyfikator w czarnej skórce bez oglądania wrzucił do szuflady biurka i, jakby od niechcienia, położył na blacie taser – jak znam życie, raczej prywatny, bo te służbowe nagrywają. Dopiero wtedy zabrał się do rozpytywania mnie na notatkę. Dowód dać. Imię, nazwisko, data i miejsce urodzenia, miejsce zamieszkania, PESEL. Skąd się wziął na miejscu popełnienia zbrodni. Jak się dostał się do mieszkania ofiar. „To jest przestępstwo z artykułu sto dziewięćdziesiąt trzy kk, kto wdziera się do cudzego domu, mieszkania, pomieszczenia lub ogrodzonego terenu, i sratatata, sratatata, pozbawienie wolności do roku”.

Gdy usłyszał, że jako licencjonowany detektyw działam na zlecenie Zarządu Zrzeszenia Banków Rolnych i szczegółowe wyjaśnienia złożę dopiero po porozumieniu się ze swoim klientem, a w sprawie o morderstwa rozmawiać będę z detektywem, nie z dzielnicowym z dwiema gwiazdkami na naramienniku, zaczął mówić mi na „ty” i grozić, że skuje mnie kajdankami. „Chcę zobaczyć, jak mi je nakładasz, synku”.

I takeśmy się przekomarzali, aż starszy aspirant na dobre się wściekł, sięgnął po telefon i ryknął o wsparcie. Wpadło ich trzech, dwóch po cywilnemu i jeden antyterrorysta z wszystkimi zabawkami. Byli gotowi do tanga, ale najstarszy z nowo przybyłych rozpoznał mnie i zatrzymał akcję. „To inspektor policji. Emerytowany”. „I chuj z tego. Popchnął mnie!” „Jego nie możesz napierdalać”. „Mnie, kurwa, nie mów, co mogę”. „To sam se radź. I będzie o tobie, kurwa, w telewizji. Ja nie mam parcia na szkło”, powiedział cywil i wyszli z tym drugim. Antyterrorysta usiadł na wolnym krześle, ale widać było, że też palcem nie kiwnie.

Na koniec zresetowaliśmy z aspirantem sytuację. Podyktowałem mu, że na Wileńską zaprowadziło mnie prywatne dochodzenie, które prowadzę w związku z napadem i zabójstwem funkcjonariusza ochrony w banku w Dęblinie, które miało miejsce w grudniu zeszłego roku. Szczegóły tego dochodzenia ujawnię w terminie późniejszym.

Informuję, że do lokalu przy Wileńskiej 6 wkroczyłem z obawy o mieszkańców. We wzmiankowanym lokalu, oprócz znalezionych przeze mnie ofiar, zamieszkiwała również Marlena Zuzanna Maciejewska, lat 24, nazwisko panięskie nieznane mi, żona nieżyjącego Jana Maciejewskiego, który miał przerwę w odsiadywaniu kary więzienia, a w stosunku do nieżyjącej matki tego mężczyzny synowa. Moje dochodzenie wskazuje, że obu zabójstw mogła dokonać Marlena Zuzanna Maciejewska, której obecne miejsce pobytu nie jest mi znane. Jej motywem mogła być zemsta za śmierć jej dziecka latem 2015 roku. Tamta śmierć nastąpiła w okolicznościach znanych organom ścigania. Pragnę dodać, że w niewyjaśnionych do tej pory okolicznościach życie utracił też funkcjonariusz policji, który mimowolnie doprowadził do śmierci tego dziecka, oraz pracownik ochrony Banku Rolnego w Dęblinie, który został znaleziony w miejscu pracy z przerwaniem rdzeniem kręgowym szyi 23 grudnia 2016. W moim przekonaniu sprawczynią wszystkich tych zabójstw mogła być Marlena Zuzanna Maciejewska. Oświadczam, że dzielę się dobrowolnie swoimi wnioskami, nie ukrywam niczego, co może być dowodem w sprawie, i pozostaję do dyspozycji policji i prokuratury. Na dzień dzisiejszy to jest wszystko, co mogę wyjaśnić.

– Podpisz – mówi na koniec.

– Najpierw przeczytam.

Czytam i podpisuję. Skrzywiony, jakby go zająd rozbolał, podpisuje mi przepustkę.

– Jeszcze z tobą nie skończyliśmy – mówi, podając mi papierek.

– A ja z wami tak, aspirancie.

Wychodzę zadowolony. Myślałem, że to potrwa dłużej, może nawet przytrzymają mnie do czterdziestu ośmiu godzin. Idę do swojego wozu zaparkowanego kilkadziesiąt metrów dalej i od razu łączę się z Robertem Cyganem.

– Podwójne zabójstwo przy Wileńskiej sześć – mówię bez wstępów, bo mój numer mu się wyświetla. – Młody mężczyzna i jego matka, skręcone karki. Synowa, która mieszkała z teściową, zniknęła. Denat był na przepustce z Braniewa. Siedział za napad. Żona winiła męża za śmierć ich rocznej córki.

– Zemsta nietoperza, fiu! – mówi redaktor. – To dziewczyna może facetowi ukręcić głowę? Dobrze, że moja o tym nie wie. Masz zdjęcia ofiar?

– Zrobiłem kilka telefonem, ale nie nadają się do publikacji.

– Sam ocenię, czy się nadają – próbuje.

– Zrobicie własne. Pchnij fotografa na tę Wileńską, pracuje tam teraz ekipa techniczna policji, na pewno coś upoluje z podwórka. A może się z kimś dogada. Wiesz przecież, jak to działa.

– Zaraz pchnę tam fotopstryka i reporterkę. Numer szósty?

– Tak. I komenda na Jagiellońskiej. Ale jutro raczej Stołeczna przejmie dochodzenie. Nazwisko ofiar Maciejewscy. Później dam ci więcej o sprawie.

– Co w tym jest dla ciebie?

Redaktor naczelny „Super Trybuny” zawsze zadaje mi to pytanie, kiedy mu coś podrzucam.

– Ta synowa jest świrnięta, ale niebezpieczna i sprytna. Jeśli ją szybko zgarną, zamknę sprawę z dużym klientem. Szum w mediach przyspiesza działania policji i prokuratury. Bez aresztowania nie dostanę swojej wypłaty. Prawda jak na spowiedzi, Robert.

– Jak dasz mi te ciała, zrobię z tego czołówkę na pojutrze. A do internetu wrzucimy wcześniej. Będziesz miał swój шум. Deal?

– Nie. Ale dam ci tipa. W mieszkaniu jest album rodzinny. Jak się z głową zakręcicie, ktoś z ekipy sprzeda wam ich fotki za życia.

Nie mówię mu, że w kieszeni mam fotografię, którą wyjąłem z tego albumu. A w pamięci aparatu jeszcze parę drobiazgów, które zwróciły moją uwagę w pokoju figurantki. Fotografia przedstawia bardzo drobną kobietę, wzrostu i postury dziewczynki. Ma perkaty nos i fryzurę typu słodki aniołek, do których nie pasują ostre rysy twarzy, zaczepne oczy i usta jak cienka kreska. Kobieta, którą można ciąć szkło. Teraz blond włosy są już innego koloru i raczej ścięte albo na przykład zawiązane w kucyk. Ale twarz i sylwetka Marleny Maciejewskiej są na tyle charakterystyczne, że zdjęcie pomoże w poszukiwaniach.

Kolejny telefon wykonuję do Daniela.

– Masz czas pobawić się w asystenta detektywa?

– Jutro?

– Też.

– Dla pana inspektora wszystko – wzdycha, a ja bez słowa czekam, aż znajdzie kartkę i coś do pisania.

W tle słyszę głosy dzieci. Daniel ma już dwoje i zawsze jest chętny na dodatkowy zarobek.

– Gotowy.

– Zaraz wyślę ci zdjęcie kobiety. Ze zdjęcia tego nie ocenisz, ale jest niska, poniżej metra pięćdziesięciu wzrostu. Drobnej budowy. Do tego dziewięć sfotografowanych folderów biur podróży. Naniesiesz mi na mapę adresy wszystkich biur tych firm w Warszawie, zrobisz też listę. Jutro zaczniemy je odwiedzać, ty i ja. Szukamy, gdzie ta ze zdjęcia wykupiła wycieczkę.

– Dokąd?

– Nie wiem. Gdzieś na południe, do ciepłych krajów. Poszukiwania zaczniemy od Pragi-Północ.

– W Galerii Wileńskiej chyba jest biuro podróży.

– Sprawdzimy. Ale najbardziej liczę na małe biura, te przy ulicach. Takie, co sprzedają gorące plaże i słońce.

– Karaiby?

– Wszystko wchodzi w grę. Ona ma dość hajsu, żeby pojechać pierwszą klasą do San Escobar.

– Igła w stogu siana. – Słyszę, że Daniel jest sceptyczny. – W Warszawie mieszkają dwa miliony ludzi.

– Nie marudź, zrób listę, nanieś punkty na mapę. Większość biur wyeliminujemy od razu – mówię z wielką pewnością siebie.

Muszę dbać o morale swojego jednoosobowego wojska. Choć tak szczerze, to by się nam jutro przydał łut szczęścia. Normalnie światem rządzi ciemna strona i kowal musi przywalić sobie młotem w palec. Ale czasami tajemnicza maszyna potrafi zakreślić się w przeciwnym kierunku, a wtedy twój los na loterii wygrywa, niemowlak rzyga twojej nielubianej teściowej na plecy, a nowa znajoma okazuje się nimfomanką.

Miałem inne plany, ale znów wychodzi, że nie opłaca mi się tłuc na noc do portu w Sieńkach tylko po to, by rano tłuc się do miasta z powrotem. Za trzydzieści pięć złotych wynajmuję łóżko w hostelu przy 11 Listopada. Poza mną nikogo w pokoju nie ma, ale dodatkowo ściągają ze mnie dwie dychy za parking.

Dzień dwudziesty szósty

Piątek, 27 stycznia 2017

Godz. 11.57

Biuro Podróży „Halinka”
Warszawa, Praga-Północ, ul. Zaokopowa 11

To jest kolejna miejscówka na mojej liście: biznesik typu dziura w ścianie. Za szybą witryny, na tle plakatu z palmą, smacznie śpi rudy kot, wielki jak ryś. Kaloryfer pewnie jest bezpośrednio pod nim.

Od rana wspólnie z Danielem obskoczyliśmy wszystkie biura podróży w Galerii Wileńskiej. Gdy chłopak zajarzył, jak należy prowadzić rozmowy z pracownikami, rozdzieliliśmy się: on szuka na południe od alei Solidarności, ja przeniosłem się na północ. W sumie mamy do sprawdzenia dwadzieścia cztery biura podróży i agencje w promieniu dwóch kilometrów od miejsca zamieszkania Maciejewskich.

To jest mój jedyny strzał, by jako pierwszy złapać ślad uciekinierki. Nie dysponuję potężnymi możliwościami technicznymi policyjnych tropicieli z dostępem do danych z monitoringu ulic i dworców, z kart kredytowych, rezerwacji lotniczych, hoteli czy Służby Granicznej. My z Danielem pracujemy analogowo: przemierzamy się mozolnie w realu i polegamy na omylnej pamięci ludzi i ich dobrej woli. Nasza przewaga polega na tym, że tamci jeszcze przez kilkadziesiąt godzin nie zaczną pościgu.

Mógłbym spokojnie założyć nogę na nogę i zaczekać. Ale korci mnie adrenalina i lubię sam zamykać swoje dochodzenia. Połowa naszych rozczarowań w życiu bierze się z durnej wiary, że inni zrobią to, co do nich należy.

U „Halinki” jest ciasno, góra dwa miejsca dla klientów. Jak przyjdzie ktoś trzeci, musi czekać na zewnątrz. Pulchna kobieta w średnim wieku, z kokiem mahoniowego koloru na głowie, do złudzenia przypomina Danutę Rinn, ulubioną piosenkarkę moich rodziców. Sobowtór uśmiecha się promiennie na mój widok, odkłada książkę. *Poza czasem szukaj*. Jakieś romansidło, sądząc z okładki.

Szczerzę do kobiety zęby, rozciągam policzki.

– Pani Halina we własnej osobie, dobrze zgaduję?

– To ja.

– Ładna książka. Moja... siostra też ją czyta. O miłości, prawda?

– O miłości – mówi Danuta Rinn i oblizuje wargi końcem języka.

– Miłość to podstawa. Jak tu u pani sympatycznie! Ciepło, herbatka z pomarańczą pachnie... Od razu się człowiek czuje u siebie. A koteczek jak się wabi?

– Osama.

– Taki wielki... To chyba mainkun?

– Mieszaniec.

– Piękny! Jak mu lśni włos, widać, że karmiony najlepszym jedzonkiem, kochany, pieszczony! Sam bym tak chciał mieć w życiu. Kochanieńka, bo ja tu dziś do pani z taką delikatną sprawą przychodzę. Romansową nawet, bym powiedział.

– Słucham pana. – Właścicielka interesu uśmiecha się zachęcająco. – Firma zrobi, co będzie w stanie.

– Pani Halinko droga! Rzuci pani okiem? – Wyciągam fotografię z kieszeni. – Bo ja myślę, że ta kobieta u pani kupiła wyjazd, który mi łamie serce!

Kobiecie zaczynają świecić się ślepia z ciekawości. Podsuwam jej zdjęcie Marleny Maciejewskiej.

– Oczywiście, że pamiętam! – wykrzykuje radośnie. – Moja klientka. Przemiała dziewczyna! Właśnie wysłałam ją na Sycylię! A o co chodzi?

Bingo! Pochyliłam się bliżej, zniżam głos.

– Widzi pani, mieliśmy jechać razem po słońce na tę Sycylię, ale poprztykaliśmy się. Ot, jak to zakochani. O duperelę poszło, ale Marlenka pognewała się na mnie, wykupiła jeden bilet i pojechała sama. Nie wiem nawet, gdzie teraz jest. Komórkę wyłączyła, pewnie ze względu na koszty. A ja cierpię katusze, serce mnie boli, ani spać, ani jeść...

– Faktycznie, mizernie pan wygląda, wory pod oczami...

– Sama pani widzi, Halinko kochana! Chcę pojechać tam za nią i przeprosić. Niech kosztuje, co chce, a pani sprzeda mi bilet! Stanę przed nią z bukietem róż, runę na kolana i będę błagał o wybaczenie. Pomoże pani cierpiącemu mężczyźnie?

– Ależ panie...

– Romek jestem.

– Panie Romku, ona wspominała, że jest mężatką!

– To już nieaktualne – mówię z głębokim przekonaniem. – Jej małżeństwo to przeszłość. Skończyła z tym.

– Co pan powie. Taka zdecydowana kobieta!

– Nadzwyczajnie! Boję się ją teraz utracić. Pomoże mi ją pani odnaleźć? Bardzo, bardzo gorąco proszę.

– To co ja mam zrobić?

– Sprawdzić w komputerze, gdzie na Sycylii się zatrzymała. I wystawić mi bilet lotniczy!

Danuta Rinn odpala uśpiony komputer i zaczyna klikać.

– Pan mi przypomni nazwisko?

– Maciejewska.

– Marlenę mam tylko Kosakowską...

– To jej panięskie – improwizuję.

– Mam! To jest wycieczka objazdowa, panie Romku. Dziś mamy... piątek, czyli są w... Taorminie. Jutro nocują w Katanii. Hotel, nie, to jest B&B, nazywa się Le Coccole. A pojutrze... Albo najlepiej wydrukuję panu cały program objazdu.

– Co to jest BB?

– Pokój ze śniadaniem. *Bed and breakfast* po angielsku. W sumie mały hotelik, ale ten konkretny – paluszki lizać. Ja nie posyłam swoich klientów byle gdzie!... Tylko jak ja teraz pana posadzę na Reggio di Calabria... – Jej palce zaczynają klikać z wielką szybkością. – Żadnego taniego czarteru na dziś nie widzę... Indywidualnie normalnym rejsowym będzie drogo... No tak, niestety: tysiąc osiemset czterdzieści złotych przez Pragę i dwa sto dziewięćdziesiąt siedem złotych Lufthansą przez Frankfurt... Pan się decyduje?

– Biorę, kochana – mówię z mocą. – Polecę tym, który dowiezie mnie wcześniej do mojej ukochanej.

– Serce nie sługa, prawda?

– Przenajświętsza. A serce krwawi, pani Halinko. Jakąs zniżkę na wynajęcie na miejscu samochodu to te linie lotnicze przewidują może? Od razu też bym wykupił, a pani sobie prowizję załapie.

Godz. 12.33

Warszawa, ul. Jagiellońska, kierunek północny

- Daniel, spocznij, wolno palić.
- O kurna, szef znalazł! Gdzie?
- Trzysta metrów od ich domu. Mała lokalna agencja.
- Tak blisko?!
- Właśnie...
- Gratulacje dla szefa. Co robimy dalej?
- Jadę do siebie się spakować. Na dziewiętnastą odstawisz mnie na lotnisko i zabierzesz wóz na przechowanie.
- Szef za nią leci?
- Tak. Sycylia.
- Pewny trop?
- Nie ma pewnych. Trop to trop.
- Warto się szefowi tłuc, palić kasę? Nasi łowcy...
- Nie pytam o radę, Daniel.
- Z szefa jest zajadły pies.
- Na Okęciu zdzierają za długoterminowy parking. Dlatego podjadę do ciebie i odstawisz mnie na samolot, tak? A jak wrócę za parę dni, to mnie odbierzesz. Wtedy pogadamy.

Wkładam serce w to, żeby pretensja brzmiała szczerze.

– Trudno się do ciebie dodzwonić, panie nadkomisarzu. Zrzucasz moje połączenia.

– Młyn dziś mamy – tłumaczy Michejda. – O drugiej odprawa z ministrem, wszyscy latają jak kury z obciętymi jajami. Nie wiem, gdzie najpierw ręce włożyć. Od godziny nie mogę się wybrać do kibla.

– Policyjne sorty są nieprzemakalne. Możesz spokojnie łać w spodnie.

– Jestem po cywilnemu – mówi kwaśno.

Jakbym widział jego minę.

– Nie wkurzaj się na starszego stopniem, bo po prośbie dzwoni.

– Inaczej nie dzwoni.

– Adaśku, czy nadal mamy oficera łącznikowego przy policji włoskiej?

– Jest, nawet go znam. – Zastanawia się. – Ale głównie współpracujemy przez Europol. Zależy, jak pilna sprawa.

– Może być pilna albo wcale nie być. Chcę się rozejrzeć w południowych Włoszech.

– Kogo szukasz?

– Podejrzanej z Wileńskiej.

– A. Tamto podwójne morderstwo... Szykujemy wniosek do sądu o ENA.

Więc nawet nie wystartowali. Zanim biurokraci skończą międląc paragrafy i pieczętować papierki Europejskiego Nakazu Aresztowania i zanim jakiś sędzia klepnie taki nakaz, w najlepszym razie minie kilka dni. Marlena zatrze ślady i zniknie. Będzie ukrywała się latami, dopóki jakiś zbieg okoliczności nie przyniesie jej pecha. Bo zwykle tak się kończy, że była koleżanka z podstawówki rozpoznaje cię na ulicy w Maroku. Albo pociąg, którym jedziesz, wykoleja się i komputer szukający po odciskach palców wypłuka twoje nazwisko z pulsującym czerwonym alertem. Albo reporter telewizji gdzieś w Hiszpanii zaczepia cię na ulicy z durnym pytaniem i twoja twarz pojawia się w czołowym programie telewizyjnym. Podejrzliwa baba wynajmująca ci mieszkanie donosi na policję, że

farbujesz włosy i zmieniasz wygląd... Jednak najczęściej łapią cię w sieci banków i operatorów komórkowych. Jeżeli z kolei używasz tylko gotówki i nie masz telefonu, rzucasz się w oczy. I tak dalej; mało komu udaje się ominąć wszystkie niebezpieczeństwa i ukrywać się do śmierci.

– Lepiej powiedz mi, co masz – Michejda głośno ziewa. – Nic sam nie osiągniesz za granicą. Twoja legitymacja detektywa jest we Włoszech tyle warta, ile karta pływacka. Nie aresztujesz nikogo, nawet gnata tam nie wwieziesz. Lepiej zostaw niegrzeczną dziewczynkę łowcom. Superchłopaki, skuteczni jak śliwki na zaparcia.

– Daj mi namiar na łącznikowego. Jeśli ją wytropię, będę tylko obserwował i czekał, aż wy skończycie wiązać sznurowadła.

– Tyle ci wolno. Chyba że ktoś złoży skargę. Ale dobra, twoja sprawa. Nasz człowiek siedzi w Rzymie, wyślę ci namiar. I pchnę mu e-mail o tobie. Tylko pamiętaj, inspektorze, jak wpadniesz w tarapaty z tamtejszą policją, on nie będzie ciebie wyciągał z włoskiego gówna. Palcem nie kiwnie.

– Jesteś wielki, panie nadkomisarzu.

– Oczywiście prawda. Tylko coś wolno przebija się do innych.

Dzień dwudziesty siódmy

Sobota, 28 stycznia 2017

Godz. 19.03
Hotel Grande Albergo Alfeo
Syrakuzy, via Nino Bixio 5

Kolejny autokar podejżdża ciasną uliczką przed hotel i staje na wprost wejścia – tak, by wycieczkowicze nie musieli zbyt daleko taszczyć swoich waliz. Ludzie biorą tyle rzeczy na krótkie wakacje, jakby ich wysiedlali w ramach czystki etnicznej.

Obserwuję manewry wielkiej jak stodoła białej maszyny znad stolika kawiarenki po drugiej stronie ulicy. Właściciel dziwił się, że upieram się siedzieć na zewnątrz: niebo zaciągnięte, kropi deszcz i ostro dmucha od morza. Na koniec razem z kolejnym espresso przytaszczył dla mnie ciężki parasol i nagrzewnicę. Facet nie ma pojęcia, z jakiej Syberii mnie tu przywiało.

Nie ma wielu odwiedzających Sycylię o tej porze roku. Od wielu godzin podjechały pod hotel zaledwie trzy autokary, każdy w połowie pusty. Jednak interes turystyczny na wyspie kręci się również zimą. Gdy wylądowałem w nocy w Reggio di Calabria, na lotnisku było sporo ludzi, w wypożyczalni samochodów nawet stałem kolejce. A potem się zaczęło: ja ni cholery po włosku, oni ani w żąb po rosyjsku, więc na przemian wpisywaliśmy pytania i odpowiedzi do translatora Google. W końcu przejechali moją kartą przez czytnik. Dostałem papiery i kluczyki do fiata punto, papierową mapę oraz informację, że na Sycylię można dostać się wyłącznie promem, pierwszy odpływa rano. Przynajmniej tak zrozumiałem.

Wynajmować na parę głupich godzin pokój w hotelu za ciężkie euro mi się nie kalkulowało. Myślałem, że przekomaruję gdzieś w poczekalni lotniska, niestety, zamykali halę o północy. O spaniu w autku też nie było mowy; w tej puszcze konserw ledwo się mieszczę za kierownicą po maksymalnym cofnięciu fotela. Kręciłem się tu i tam po mieście, aż natrafiłem na rzęsiście oświetloną pralnię całodobową. Za witryną z ulicy widać było pralki z suszarkami i siedzenia dla klientów. Mimo że dawno minęła północ, kilka osób w różnym wieku czekało na zakończenie cykli prania; dziwny tryb życia ludzie tu prowadzą. We wnętrzu było ciepło i przyjemnie szumiały maszyny. Mniej więcej po godzinie jakiś koleś próbował wyłuskać mi portfel z kurtki. Chwyciłem go za łapę, ścisnąłem, aż przysiadł, ale puściłem gnoja. Nie potrzebuję komplikacji z tutejszą policją. Przez

nikogo więcej niemolestowany przedzemałem na trzech krzesłach do piątej nad ranem.

Było ciemno, kiedy dotarłem do portu w miejscowości Villa San Giovanni, dziesięć kilometrów dalej. Dopiero tam zobaczyłem na tablicy nad kasami, że promy na Sycylię kursują również w nocy i mogłem dawno zabrać się z innego terminalu, rzut beretem od lotniska. Byłem zły, ale człowiek bez języka za granicą płaci frycowe. Nie mówiąc już o opłatach za ściąganie danych z internetu.

Na Cieśninie Messyńskiej humor mi się poprawił, przyglądałem się z pokładu, jak wstaje dzień, choć kropił deszcz, fale były spore i ogromnym promem trochę bujało. Tu się oddycha, nie to co w warszawskim smogu. Powietrze smakowało rześko, a woda była jaśniejsza niż nad Bałtykiem. Ciekawe, jak tu jest głęboko. Chyba bardzo, inaczej pewnie dawno zbudowaliby jakiś most.

O wpół do ósmej wydostałem się z portu po sycylijskiej stronie i znów błądziłem, szukając drogi A18, która według mapy prowadzi wzdłuż wschodniego wybrzeża wyspy do Katanii i Syrakuz – dwóch miast, w których według planu miała nocować wycieczka z Polski. Opowieści, że drogi na Zachodzie są lepiej oznaczone niż u nas w Polsce, najwyraźniej nie mają zastosowania do Włoch. Nie każdy kraj w Europie jest Niemcami. Ale to chyba jeszcze nie powód, żeby na jeden wypad inwestować we włoską nawigację.

Jak już w końcu trafiłem na tę osiemnastkę, dalej szło jak po sznurku. Mogłem się odprężyć i podziwiać widoki. Pustynnie tu raczej, poletka otoczone murami układanymi z białych kamieni. Trochę kóz i palm, dużo zielska i ostrych krzewów. Nazwy miasteczek jak z filmu *Ojciec chrzestny*. Domy ładne, choć wszystkie podobne do siebie. Z nowszych większość ma niewykończone balkony. Jak znam życie, to jakiś myk z podatkami. Ponoć Włosi płacą je jeszcze mniej chętnie niż my.

W Katanii bez końca szukałem hotelu pod adresem zapisanym na wydruku od Danuty Rinn. Kiedy go wreszcie znalazłem, dochodziła dziesiąta rano i według dwóch recepcjonistów wycieczka już odjechała. Wydedukowałem to z gestów raczej niż ze słów. Wymachiwali rękami i bez sensu, coraz głośniej, powtarzali „Hano laściato”. Jakby mi to coś mówiło.

Próba ustalenia, jak wyglądał autobus i jaki miał numer rejestracyjny, też się nie powiodła, więc nawet nie rozglądałem się za autokarami na głównej drodze. Wycieczki myszkują po okolicy, odwiedzając różne starożytne ruiny, a szczegółową trasą nie dysponowałem.

Bez wielkiego pośpiechu doturlałem się fiacikiem z pięćdziesiąt kilometrów do

tych Syrakuz. Odnalezienie hotelu znów było wyzwaniem. Całe miasto jest jedną wielką starówką, uliczki przypominają splątany makaron, większość jest jednokierunkowa, logiki w tym nie ma żadnej.

Muszę jednak kupić tę cholerną nawigację.

W knajpce, gdzie teraz siedzę, nie ma wi-fi, ale w lobby wypasionego Grande Albergo Alfeo dali mi hasło na trzy godziny za jedno dziesięć euro. Żeby ich posrało, zdzierców cholernych! Połączenie okazało się słabe, ledwo zmieściłem się w limicie czasu. Na koniec udało mi się wyszukać niedrogą aplikację z obsługą po polsku. A potem poćwiczyłem z darmową aplikacją, którą cały czas miałem w telefonie, i wyszło oczywiście, że nie musiałem niczego kupować. Jestem za stary na te czasy.

Zaczyznałem się niepokoić, że coś pochrzaniłem albo wycieczka zmieniała hotel, gdy biały autobus z polską flagą nad lusterkiem kierowcy w końcu ukazuje się na Via Nino Bixio.

Godz. 21.00
Lobby Grande Albergo Alfeo

Marleny nie ma wśród trzynaściorga turystów, którzy się wygruzili z autobusu.

Na wizytówce przewodniczki grupy jest napisane Maria Leśniewska-Carnevale. Tutejsza Polka zamężna z Włochem. Odwzajemniam się swoją – tą, na której figuruję jako właściciel Urokliwej Skarpy. Z detektywem mogłaby nie chcieć gadać. A chcę się dowiedzieć, czy coś jej mówi nazwisko Marlena Kosakowska i gdzie oddaliła się od grupy – jeśli w ogóle dołączyła do wykupionej wycieczki na Okęciu. Jeśli nie, to mogę już dziś wracać do Polski.

Pokazuję jej zdjęcie uciekinierki. Rozpoznaje ją natychmiast, bez wątpliwości. Malutka, drobna taka? Wsiadła do autobusu w Reggio, ale gdy prom dopłynął do Messyny, nie pojawiła się więcej. Bagażu chyba nie miała, tylko plecak.

Logicznie. Autobus był dla niej niebezpieczny. Gdyby ciała Maciejewskich zostały szybko odkryte, policja mogłaby ją dopaść na tej wycieczce w ciągu kilku godzin.

– A o co chodzi? Kim pan jest dla niej? – pyta pani Carnevale, oddając mi wizytówkę. Jest raczej zaciekawiona niż podejrzliwa. Trzymam się legendy sprawdzonej w biurze podróży. Gdy kończę ściemniać o swoim złamanym sercu, kobieta z aprobatą kiwa głową.

– Mój mąż też pojechał za mną aż do Goleniowa pod Szczecinem.

– Poznaliście się tu, na Sycylii? – udaję zainteresowanie.

– Byłyśmy z siostrą na wycieczce na Etnę. On jest wulkanologiem z zawodu.

– Gorący romans się pani trafił!

– Nie od razu. On właściwie jechał do Polski za moją siostrą. Ale skończyło się, jak się skończyło. – Pokazuje równiutkie zęby w uśmiechu. – I co pan teraz robi?

Rozkładam ręce.

– Nie mam pojęcia. Pani nie mogłaby jakoś sprawdzić, gdzie się zatrzymała? Może przez wasze biuro?

– Niestety, nie mamy takich uprawnień.

Teoretycznie Marlena mogła zostać we Włoszech albo prysnąć do innego kraju

unijnego. Mogła też dać nura na Bałkany albo do Afryki Północnej czy nawet na Bliski Wschód. Wojny niekoniecznie odstraszą morderców. Jeśli jednak jest wciąż we Włoszech, to albo została na Półwyspie Apenińskim, albo jest gdzieś na Sycylii. Jakkolwiek by było, na przełomie stycznia i lutego tu jest chyba najcieplej w Europie.

– A powie mi pani, gdzie na Sycylii jest najpiękniejsza piaszczysta plaża? Czy jest jakaś absolutnie numer jeden?

Przewodniczka nie namyśla się ani chwili.

– To na pewno będzie San Vito Lo Capo. Plaża długa na kilka kilometrów, szeroka jak na nasze warunki na wyspie, ze ślicznym białym piaskiem. Woda krystalicznie czysta, niebieska. Widok zupełnie jak w Rio na Copacabanie. W sezonie tłoczy się tam masa ludzi. Infrastruktura też jest znakomita, restauracje, bary, pensjonaty. Lepszego miejsca pan nie znajdzie.

Wyciągam z kieszeni na piersi samochodową mapę Sycylii, rozkładam całą na stoliku.

– Pokaże mi pani dokładnie, w którym miejscu znajdę to Lo Capo?

Wskazuje palcem cypel na północnym zachodzie wyspy.

– Tutaj. Będzie z trzysta kilometrów stąd, obawiam się. Wynajął pan auto? Najlepiej wrócić do Katanii i tą autostradą odbić w lewo, na Palermo. Stamtąd już będzie blisko. Gdzie pan nocuje w Syrakuzach?

– Nigdzie. Pojadę już teraz. Dziękuję pani bardzo serdecznie.

– Powodzenia. Trzymam kciuki! Za was oboje!

Dzień dwudziesty ósmy

Niedziela, 29 stycznia 2017

Godz. 0.55

Hotel Mira Spiaggia

San Vito Lo Capo, via Litoranea Lungomare 6

Mam dosyć. Od rana przetelepałem się tą włoską puszką od sardynek ponad czterysta kilometrów. W głowie mi huczy, oczy same się zamykają. Teraz chcę tylko wyciągnąć się w czystym łóżku. Kiedy dotarłem na bulwar nad tą słynną, choć mało widoczną w ciemności plażą, skręciłem pod pierwszy hotel w zasięgu wzroku.

Na dziś koniec oszczędzania.

Muszą mieć tu pustki poza sezonem, bo recepcja puszcza mi pokój za dziewięćdziesiąt dziewięć euro. Taniej, niż się spodziewałem. A kiedy do niego wchodzę, okazuje się małym apartamentem z drewnianym tarasem nad samą plażą. Jutro będę to podziwiał. Biorę ciepły prysznic i padam jak kłoda w pościel.

Godz. 8.08

Śniadanie po włosku nazywa się *colazione*, co brzmi w moich uszach jak „kolacja”, a na dodatek to jakiś ponury żart. W bufecie jest kawa z ekspresu i słodkie rogaliki. I nic więcej! Nie spodziewałem się czegoś takiego.

Ani normalnego pieczywa, ani jajecznicy, ani wędlin... Rozczarowany pochłaniam kilka tych rogalików i z kolejną filiżanką „doppio” wychodzę na taras zastanowić się nad dalszymi krokami.

Hotel stoi nad zatoką w kształcie półksiężyca. Plaża rzeczywiście wygląda fajnie. Z mojej lewej jest zamknięta falochronem portu, z przeciwnej strony kończy się gdzieś na horyzoncie. Od strony lądu nad plażą wznosi się stroma, skalista góra. Dodaj do tego lazurowe morze, palmy różnych wielkości i bardzo szeroki pas złocistego piasku. Efekt rzeczywiście przypomina pocztówkę z Rio de Janeiro.

Dzień wstał słoneczny, ale na razie plaża jest bezludna. Pewnie przez wiatr: dmucha potężnie od otwartego morza, fale z białymi grzywami piany wylewają się daleko na piach. Spaceruje zaledwie kilka osób, wszyscy poowijani w płaszcze i kurtki. Większość turystów w miasteczku pozostanie pod dachem, aż się ociepli.

Może do południa ten wiatr trochę się uspokoi.

Godz. 11.45

Jak wiało, tak wieje, więc schodzę ze swojego tarasu na plażę. Nie mam już więcej cierpliwości czekać. Jestem boso, mam na sobie kąpielówki i kurtkę do biegania. I ciemne okulary, bo słońce teraz operuje całkiem ostro. Termometr w zacisznym miejscu tarasu wskazuje prawie dwadzieścia stopni Celsjusza.

Truchtam, rozglądając się, po mokrym piasku wzdłuż linii wodnej. Najpierw kilkaset metrów w lewo, do portu. Zimne fale systematycznie zalewają mi stopy, ale po chwili się przyzwyczajam i gdyby nie ten cholerny wiatr, byłoby całkiem przyjemnie. Ludzi wokół mnie wciąż ledwie garstka, większość to emeryci. Prawie nikt nie próbuje się opalać, bo wicher siecze piaskiem podrywanym z plaży. Zawracam przy falochronie i ruszam tą samą drogą w przeciwnym kierunku.

Po dwóch godzinach kończę to biegowe rozpoznanie. Dwukrotnie pokonałem całą długość plaży, od końca do końca, obejrzałem dokładnie wszystkich, którzy się na niej zjawili. Zero urobku, żadnych dzieci, niewiele kobiet drobnej postury. Żadna z nich nie wygląda na Marlenę.

Wracam do siebie wziąć prysznic i przebrać się w normalne ciuchy. Potem pochłaniam jakieś morskie paskudztwa z frytkami w jednym z nielicznych otwartych barów przy bulwarze i o trzeciej po południu zabieram się do odwiedzania hoteli. Pokazuję zdjęcie Marleny recepcjonistom i właścicielom pensjonatów, wygłaszając po włosku wykute na pamięć zdania z tłumacza. Wydają się życzliwi i chętni do pomocy, ale do wieczora nikt nie rozpoznaje uciekinierki.

Godz. 21.00
via Litoranea Lungomare

Kiedy szkolili mnie na policjanta, zostałem nauczony, żeby w trakcie tropienia podejrzanych w terenie nie tracić energii na zastanawianie się, jakie są szanse. Bo tego nigdy nie da się określić. Czasem myślisz, że pójdzie łatwo, a nie idzie. Innym razem sprawa wydaje się beznadziejna, tymczasem daleki strzał trafia w cel.

Zdaję sobie sprawę, rzecz jasna, że znalazłem się na północy Sycylii na wariackich papierach. Moje poszukiwanie opiera się na bardzo cienkich przesłankach. Marlena może tego wieczoru jeść kolację w stu innych miejscach na świecie. Albo nawet ukrywać się w Warszawie. Tylko co z tego? Jest mnóstwo możliwości, ale ja sprawdzam właśnie tę. Nie należy marnować energii psychicznej na zniechęcanie samego siebie.

Tyle że łatwiej omawiać takie sprawy na wykładach niż je wcielać w czyn. Po całodziennym uganianiu się bez najmniejszego rezultatu czuję nie tylko fizyczne znużenie. Żeby poprawić sobie nastrój, decyduję się zjeść późny włoski obiad w porządniejszej restauracji. Wśród ludzi, gdzieś tu w miasteczku.

Idę, skręcając losowo w kolejne uliczki, i niedaleko za hotelem natrafiam na knajpkę całą na biało, włącznie z parasolami rozpiętymi nad chodnikiem; z kuchni dochodzi zacny zapach cielęciny smażonej w panierce i sosu pomidorowego. Zajmuję miejsce i zabieram się do rozszyfrowywania karty.

Dobiegają mnie słowa po polsku. „Zwariowałeś, Stefcu! Wiesz, że tu nie wolno”. Podnoszę głowę znad komórki: starsza kobieta z kudłatym psem na smyczy przechodzi ulicą i strofuje czworonoga, który najwyraźniej ma ochotę zaznaczyć barierkę restauracji.

– Halo, proszę pani! Czy mogę prosić rodaczkę o pomoc?

Podchodzi z pieskiem. Wstaję, przedstawiam się i tłumaczę, że w tej karcie kojarzę tylko niektóre nazwy. Pani przywiązuje psa do barierki i siada obok mnie. Nie zwraca uwagi na kartę; wypytuje, na co miałbym ochotę, a potem wdaje się w długą dyskusję z kelnerem. Proponuję jej kieliszek wina w ramach podziękowania, co przyjmuje z zadowoleniem.

– Jeśli pan nie zna miejsca, najbezpieczniej jest po prostu zamawiać domowe. Żaden szanujący się restaurator nie pozwoli, żeby jego podstawowe wino zeszło

poniżej pewnego poziomu. I cena też musi być rozsądna – wyjaśnia.

Rozmawiamy o tym i o owym. Ona na Sycylii nie mieszka na stałe, przyjeżdża do wnuków. Latem, gdy tu zaczynają się koszmarnie upały, wraca do Polski. Córka z zięciem prowadzą firmę w Palermo, a w weekendy lubią całą rodziną odwiedzać plaże w tej okolicy. W styczniu często wieje, ale dosłownie parę kilometrów dalej, w rezerwacie natury, są osłonięte zatoczki, gdzie nawet zimą można się opalać. Jutro zapowiadają słońce, więc wybierają się tam na cały dzień.

– Jeśli pan też chce rozgrzać kości, namawiam – mówi, wskazując na mojej mapie punkt trochę na wschód na tym samym półwyspie. – Miejscowi tam uciekają przed wiatrem z San Vito. Ukryty raj dla wtajemniczonych! – dodaje na pożegnanie i oddala się ze swoim psem, który pozostawił małe żółte kałuże przy wszystkich słupkach w zasięgu jego smyczy. Nikomu to chyba nie przeszkadza. Zaczyna mi się podobać w tych Włoszech.

Dzień dwudziesty dziewiąty

Poniedziałek, 30 stycznia 2017

Godz. 10.45

Riserva Naturale dello Zingaro

Na ukrytą między skałami niewielką plażę schodzi się z wysokiej skarpy po schodach, tak jak w greckiej posiadłości Górskiego. Można też wypożyczyć wiosłową łódkę i dopłynąć od strony morza, ale łódki przyciągają uwagę, więc odrzucam tę opcję. Polka z pieskiem mówiła prawdę: na dole jest zaskakująco dużo ludzi. Woda i tutaj ma temperaturę tacki z lodem, ale w zacisznej zatoce powietrze szybko nagrzewa się od słońca. Już teraz piasek jest ciepły. W południe będzie tu całkiem gorąco. Łatwo sobie wyobrazić, patrząc na ludzi w kostiumach kąpielowych i na tę lazurową wodę, że już jest lato.

Zła wiadomość dla mnie polega na tym, że takich zatoczek jest co najmniej trzy, może więcej. Z góry widziałem prowadzące do nich ścieżki, wszystkie uczęszczane przez plażowiczów.

Plaża to dobre miejsce do gapienia się na kobiety: nikt nie ma o to pretensji, robią to wszyscy faceci. Wiele osób też przemierza teren wzdłuż lub wszerz, szukając znajomych albo miejsca na własny koc. Nie wyróżniam się specjalnie, gdy bez pośpiechu krążę w swoich starych polskich kąpielówkach, ciemnych okularach i w bejsbolówce w roli kapelusza przeciwsłonecznego. Gdy nie znajduję Marleny, układam hotelowy ręcznik na piasku, lekko z tyłu, w miejscu, skąd mam widok na całą plażę i kolejne osoby docierające tu schodami.

Po godzinie skóra na moim korpusie i ramionach czerwieni się niebezpiecznie. Zwijam ręcznik i wspinam się na górę, gdzie dla gości rezerwatu jest parking, a obok toalety mały sklepik i miejsce na piknik. Podczas mojej nieobecności podjechały też dwa food trucki, jeden z hamburgerami, a drugi z jakimś wegetariańskim żarciem. Kupuję tubę kremu z blokerem i dwa hamburgery z dużą ilością frytek i keczupu, żeby nabrać sił przed zejściem do następnej zatoki. W pośpiechu niosę tacki do drewnianych stołów z ławami, bo coraz więcej ludzi wychodzi z plaż i za chwilę nie będzie tu wolnego miejsca.

O mały włos, a usiadłbym tuż przy zabójczyni. Rozpoznaję ją przy tym stole w ostatniej chwili.

Godz. 13.29

Wciskam się dwa stoły dalej między jakichś emerytów i hałaśliwą grupę młodzieży, wyciągam z saszety komórkę i wybieram numer do Michejdy. Telefon w Stołecznej dzwoni długo, włącza się automatyczna sekretarka. Adrenalina wylewa mi się uszami, oddycham jak przed walką. Nie trafiam paluchami w klawisze, pisząc alarmowego esa do nadkomisarza. Zanim kończę, oddzwania.

– Co jest?

– Mam ją, Adasiu. Kurwa, mam ją!

Milknie zaskoczony. Ale to glina. Nie zadaje głupich pytań, w rodzaju: „Serio?” czy „Jesteś pewny”?

– Gdzie?

– Północna Sycylia, okolice miasta... San Vito... Lo Capo.

– Masz dokładny adres?

– Jeszcze nie. Znalazłem ją na plaży.

– Jak wygląda? Ucharakteryzowała się?

– Włosy zrobiła na biel, trochę ścięła. Poza tym nic. ENA już poszedł?

– Jeszcze nie. Wniosek u sędziego.

– Dopiero?! Kurwa, pospieszcie się!

– To i tak jest ekspresowe tempo, Roman. Nie pamiętasz, jak komenda działa? I sąd.

– Będę się starał trzymać ją na oku. Ale musicie zrozumieć. Teraz tu nad morzem puchy, jest poza sezonem. Długo się przed nią nie ukryję. Jestem sam. Zauważy i może się urwać.

A jeśli jest sprytna, to jeszcze miejscowych na mnie napuści, myślę, ale już tego nie mówię.

– Może tak być – zgadza się nadkomisarz. – Pójdę do tego sędziego, trudno. Wyjaśnię mu sytuację, może przyspieszy rozpoznanie wniosku. Jeśli klepnie, będziesz mógł od razu dzwonić po policję i powołać się na europejski nakaz.

– Adam, ona teraz siedzi dziesięć metrów ode mnie! Wciąga zupkę przy plaży, jakby nigdy nic. Na pewno nic szybciej nie da się zrobić?

- Nic. A gdzie jesteście?
- W takim rezerwacie tutaj. Z plażami. Nie pamiętam nazwy w tej chwili, pošlę ci esem.
- Zrobisz jej zdjęcia?
- Spróbuję.
- Wysyłaj od razu.
- A ty dawaj znać, co z nakazem.
- Jesteśmy w taczku.

Godz. 13.46

Dalej nie będzie łatwo. Uciekinierzy są czujni. Na początku zwłaszcza, przez pierwsze miesiące mają nerwy napięte jak postronki. I oczy dookoła głowy. Marlena zauważy albo wyczuje niebezpieczeństwo, jeśli będę trzymał się zbyt blisko. Z kolei trzymając się daleko, mogę ją po prostu zgubić. Ale nie widzę wyjścia, teraz pozwolę jej się oddalić. Bo wyjechać z tego rezerwatu można tylko jedną drogą.

Nie widzę innej, a mapa w komórce to potwierdza.

Większość ludzi po posiłku zostaje na górze, bo zimowe dni są krótkie i temperatura szybko opada. Niektórzy jednak kierują się ponownie w stronę morza. Drobną kobietą z białymi włosami i w czarnych okularach zasłaniających pół twarzy, z małym plecakiem na ramieniu, też idzie w dół jedną ze ścieżek. Robię jej całą serię zdjęć telefonem, udając, że uwieczniam krajobraz.

Obiektywy komórek nadają się do portretów, nie do fotografowania oddalonych obiektów. Sylwetka Marleny będzie malutka i elektroniczne powiększanie niewiele da, ale lepsze takie zdjęcia niż żadne. Potem przestawiam samochód na inne miejsce parkingu, bliżej wyjazdu. Kupuję sobie cienkie włoskie piwo i wybieram punkt obserwacyjny, z którego powinienem dostrzec ją wcześniej, niż ona będzie miała szansę zobaczyć mnie.

A potem już zostaje mi tylko czekać i liczyć, że moje punto nie będzie jedynym samochodem na tej górze, kiedy ona wreszcie wróci.

Godz. 15.15

Byłem ciekawy, jakim posługuje się środkiem transportu, a teraz okazuje się, że nie ma żadnego. Kobieta z plecakiem pojawia się na górze i po prostu rusza w kierunku drogi szutrowej. Podróżuje autostopem? Gdy znika za krzakami przy zakręcie, daję jej minutę i ruszam w jej ślady.

Maszeruje energicznie. Słyszając samochód za sobą, odwraca się, naciąga banana na usta i unosi kciuk.

Więc stopem.

Oraz płaci gotówką, nie używa komórki, stale zmienia miejsce pobytu, zasłania twarz w miejscach publicznych, gdzie są kamery monitoringu. Standard. Ale dobry. Jeśli będzie konsekwentna, może długo pozostawać na wolności.

Mijam ją, ale zatrzymuję wóz kilkadziesiąt metrów dalej i cofam, jakbym zmienił zdanie. Podbiega. Opuszczam szybę od strony pasażera. Jest tak niewysoka, że prawie nie musi się pochylać, by zrównać wzrok z moim. Zdejmuje ciemne okulary.

– *Tu mi dai un passaggio a San Vito?*

Mówi płynnie, bez zastanawiania się czy dukania. Zainwestowała w język. Te Włochy nie są wcale przypadkowe.

Robię bezradną minę, rozkładam ręce.

– Nie kapuję, co miauczysz, kotku. Może *po russki*?

– Pan z Polski?

– A co, to widać?

– Nigdy bym nie powiedziała. – Jej odpowiedź brzmi wesoło, ale szare oczy studiują mnie nagle bardzo uważnie.

Decydujący moment. Jeśli nie wsiądzie do auta, będę musiał ją porwać, tak jak tu stoi. I przetrzymać gdzieś, aż cholerni biurokraci wykocą cholerny nakaz. Wolalbym tego uniknąć. Przy scenariuszu porwania od groma rzeczy może pójść źle.

– Pan tu mieszka w okolicy? – pyta.

– Jestem przejazdem. Decyduj się: wsiadasz czy zostajesz? Nie będę tak stał do

wieczora.

Wsiada. Układa plecak na podłodze między kolanami i chowa twarz za ciemnymi szklami. Nie odzywa się, ale na pewno obserwuje mnie zza tych okularów.

Gramy dalej.

Godz. 15.37

San Vito Lo Capo, via Regina Margherita 80

W centrum miasteczka każe mi się zatrzymać przy jakiejś restauracji z ogródkiem. Jest tu ich sporo, jedna obok drugiej. I trochę sklepików. W sumie deptak turystyczny.

– Tu będzie dobrze – mówi, sięgając po plecak.

– Pani, widzę, nie z tych rozmownych.

– No nie. – Otwiera drzwi. – Dzięki za podwiezienie.

– A mógłbym teraz ja o coś poprosić?

Czarne szkła zwracają się w moją stronę.

– Zależy o co. Jeśli kombinujesz, koleś, żeby mi się dobrać do majtek, to zapomnij.

– Ostatnia rzecz w tej chwili w mojej głowie.

– Więc?

Prawą ręką otworzyła drzwi, drugą trzyma pasek plecaka. Wystawiła nogę na zewnątrz i czeka na wyjaśnienie.

– Znasz język, a ja jestem beznadziejny przy zakupach. Pomożesz mi wybrać jakieś fajne gatki na plażę? Moje chyba tu nie pasują. Czuję się głupio.

– Te, co masz na sobie? Po dziadku z PRL odziedziczyłeś?

– Chyba dlatego Włoszki mdleją na mój widok. Pomożesz?

– No dobra. Zaparkuj. Minęliśmy otwarty sklep.

Dwie minuty później maszerujemy chodnikiem, ona ze swoim plecakiem na ramieniu, ja z saszetą przy pasku.

– Mieszkasz tu gdzieś w pobliżu?

– Gdzieś.

– Bo ja w hotelu. Przy plaży.

– To ma mi zaimponować? Myślisz, że polecę na hotel? I może jeszcze pizzę mi kupisz?

– Ładna jesteś. Ale trudna. Czemu?

- Łatwa już kiedyś byłam. – Dziewczyna nawet się nie uśmiecha.
- Powinienem był wtedy cię spotkać.
- Tu jest sklep. Wchodzisz czy będziesz dalej gadał?

Po dwudziestu minutach wychodzimy z zakupami. W papierowej torbie niosę szorty zwykłe i drugie do kąpieli, zawiązywane na sznurek, kolorowy podkoszulek z rękawami. Bajeranckie ciemne okulary od razu założyłem na nos.

– Zgłodniałem. Dasz się na coś zaprosić? – Wskazuję restaurację po drugiej stronie ulicy. – W ramach podziękowania.

Dziewczyna odmawia. Jednak po kilku krokach zmienia zdanie.

- Rachunek na pół.
- Widzę, że szorty już działają.
- Zapomnij. Nie nawet za tysiąc lat.
- Pomożesz mi wybrać dania z karty. O to mi chodzi naprawdę.
- Coś ty taki niesamodzielnny?
- Nie znam języka. A ty gdzie się nauczyłaś włoskiego?
- W domu.
- W takim razie gdzie nauczyłaś się polskiego?
- Też w domu. Wypytyujesz mnie jak glina.
- Masz skojarzenia... No, no.
- Ty chcesz jeść czy gadać?
- Jeść – odpowiadam wesoło, bez napinki. Jak to samotny facet na wakacjach.

Drugi raz mnie kłuje w ten sam sposób. Małomówna, a zjadliwa. Ale zyskałem czas, by wymyślić, jak dalej utrzymać się w jej pobliżu w wyludnionym kurorcie. Zamawia jakąś rybę z warzywami, ja gicz cielęcą z kluskami. Gdy czekamy na jedzenie, odwraca krzesło i wystawia twarz w ciemnych okularach na słońce, a ja próbuję zgadywać, z jakiego jest miasta. Twierdzi, że z Wrocławia; ja sam podaję Warszawę. Nie mówisz „Przemyśl”, gdy go dobrze nie znasz, bo a nuż trafi się ktoś, kto spędził tam pół życia.

Po półgodzinie wspólnie płacimy rachunek: ja kartą, ona odlicza banknoty euro z rulonu ściągniętego gumką. Zostawia pięć euro napiwku dla kelnera. Ani za dużo, ani za mało. Nie chce być zapamiętana.

- Wybierasz się jutro do tych zatoczek? Mogę cię podwieźć – proponuję

– Nie wiem, czy powtarzać miejsce. Ale jak chcesz, czekaj tu przed jedenastą. Wymyślę coś fajnego.

– Podrzucę cię do domu.

– Przejdę się. Ciao.

Zarzuca plecak na ramię i już się oddala. Jutro nie będzie jej w umówionym miejscu, jestem o tym przekonany. Spławia mnie. A tak mało ludzi jest wokół, że nie mogę jej śledzić ukradkiem. Doganiam ją na rogu ulicy.

– Napijmy się gdzieś wina. Co ci szkodzi?

– Lubię być sama.

– Dobrze się czuję w twoim towarzystwie.

– Ja też. Wystarcza mi.

– Nie bądź taka... Włosi cię nie zaczepiają? Ze mną masz gwarancję spokoju – upieram się, idąc wraz z nią.

Jest zła. Przystaje i obcina mnie od stóp po głowę.

– Kobiety u boku mężczyzny są tu nietykalne – ciągnę swoje i Marlena Kosakowska, po mężu Maciejewska, zaczyna się zastanawiać.

Jednak argument do niej trafia. Mój wygląd odstraszy jednych, odciągnie od niej uwagę innych. To w końcu marzenie wszystkich uciekinierów: zyskać niewidzialność.

Znów rusza z miejsca. I nie każe mi spadać.

– Powiedz chociaż, jak masz na imię.

– Dorota.

– Roman. A nazwisko?

– Ile ty, Roman, masz lat?

– Czterdzieści pięć... Nie, czekaj, czterdzieści sześć lat.

– I co, słoneczko podziałało i pieprzyć się dziadowi zachciało, tak?

Jednak chyba nie jest wkurzona. Sonduje mnie raczej.

– Powiem ci prawdę. – Wzdycham, zrównując się z nią na chodniku. – Rozchodzę się z żoną. Prowadziliśmy razem hotel, kazała mi spierdalać. Telepie mną. Przyjechałem tu, żeby się, jak to mówią, wyciszyć. Nie szukam dupy, tylko spokoju. I może bratniej duszy. Takiej, co mało gada i nic ode mnie nie chce. Ale markotnie mi samemu. Języków nie znam. Miało być lepiej za granicą, a jest gorzej.

– Każdy może wciskać takie teksty. – Pokazuje ręką piętrowy budynek z wykończonymi balkonami i wściekle czerwonymi kwiatami w skrzynkach. – Tam mieszkam. Nie zapraszam na górę i nie będę z tobą piła wina, staruszk. Ale jak cię smutek nie zabije do jutra albo niestrawność po tym *ossobuco*, podjedź około jedenastej. Pokażę ci jeszcze lepszą plażę.

Godz. 20.00
San Vito Lo Capo, via Mondello 67

Wydawało mi się, że poczeka, aż sobie pójde, wymknie się na ulicę i ruszy tam, gdzie naprawdę mieszka. Ja bym tak zrobił. Ale mija kwadrans, pół godziny, godzina, robi się ciemno, a ona się nie pojawia. Wyszła tylnym wyjściem? Według mapy satelitarnej na mojej komórce nie ma takiej możliwości. Od strony ulicy domy tu tworzą jeden ciąg, od podwórka są odgródzone murem. Raczej nie ma tam przejścia. Chyba żeby znalazła jakąś furtkę. Albo wspięła się na ten mur. W końcu obrabiała banki.

Drzwi wejściowe do budynku z balkonami są zamknięte, zamek na kartę. Brak dzwonka. Czekam cierpliwie, aż ktoś będzie wychodził. Otwierają się wreszcie, jakieś wystrojone towarzystwo wybiera się chyba do lokalu. *Ciao*, uśmiech i jestem w środku. Nowocześnie, kremowe ściany, żółty kamień. Nie widzę recepcji. To chyba coś w rodzaju samoobsługi: kontaktujesz się przez internet albo telefon, robisz przelew. Po przyjeździe odbierasz klucz i czip, dalej radzisz sobie sam. W sumie fajny biznes, mniejsze koszty personelu i bez zawracania głowy dla właścicieli.

Obchodzę parter: kuchnia i niewielka, pusta o tej porze jadalnia. Drzwi do czterech pokoi oznaczonych A, B, C, D. Od tyłu drzwi bez oznaczeń, zamknięte na zasuwę. Prowadzą na podwórko otoczone ceglany murem. W murze żelazna furtka. Naciskam klamkę. Otwiera się bez problemu, za murem jest alejka dla dostawców. Tylko od zewnątrz trzeba mieć klucz. Pozamiatane, mogła uciec.

Ale nie musiała. Żeby wiedzieć o furtce, trzeba tu mieszkać. Wracam do budynku, dla porządku zaglądam jeszcze na piętro. Korytarz, dziesięć pokoi. Z jednego wychodzi trójka młodych ludzi, kobieta i dwóch mężczyzn, mijają mnie obojętnie.

Jednak z ulicy ona weszła sama przez główne wejście, nie czekała, aż ktoś ją wpuści. Widziałem dokładnie. Takiego zamka jak w tych drzwiach nie da się pokonać w kilka sekund. Musiała mieć kartę.

Mieszka tu.

Uciekiniarka przed prawem, która prowadzi nieznanego pod swój prawdziwy adres? To też mi nie pasuje.

Trudno, dziwić się będę później. Pomyślmy spokojnie.

Sprawdzić po kolei te pokoje? Teoretycznie mógłbym ją odnaleźć w którymś i wtargnąć tam. Ogłuszyć, zwięzać i zakneblować. Tylko co dalej? Rano do hoteliku przyjdzie obsługa, by rozłożyć w jadalni te ich słodkie rogaliki i wsypać kawę do ekspresu. Będą sprawdzali, czy wszystko jest w porządku z gośćmi i budynkiem. Przed południem pojawią się sprzątaczkę. Jedna z nich otworzy drzwi uniwersalnym kluczem. Te kobiety też będę wiązał?

To się skończy włoskim pierdłem – jeśli nie zastrzelą mnie przedtem jako terrorysty. Wszystkie policje walczą dziś z terrorystami, dowodzą politycy w hysterii.

Albo dawno uciekła alejką z tyłu i nie mam tu już nic do roboty, albo – choć to zadziwiające – Marlena nadal przebywa w którymś z tych pokoi. I jutro wyjdzie spotkać się ze mną o jedenastej. Końcowy wniosek byłby więc taki, że powinienem po prostu wyjść stąd po cichu i przespać noc u siebie w hotelu.

Jeśli z nerwów uda mi się zasnąć.

Dzień trzydziesty

Wtorek, 31 stycznia 2017

Godz. 10.57
Hotel Mira Spiaggia
San Vito Lo Capo, via Litoranea Lungomare 6

Wyłączam komórkę ze złością. Nakazu wciąż nie ma. Michejda twierdzi, że walczy z biurokracją jak ten święty w zbroi i z kopia ze smokami, ale dla mnie, kuźwa, nic z tego nie wynika. Nie wiem, jak długo uda mi się jeszcze prowadzić tę grę z wdową Maciejewską. Może mi się urwać w każdej chwili.

Jednak zjawia się na wyznaczonym miejscu przed południem, punktualnie co do minuty. Prowadzi nas lokalną drogą w miejsce po wschodniej stronie półwyspu, ale nie podoba nam się tam, więc wracamy do rezerwatu Zingaro. Na plaży długo się rozciąga, jej drobne ciało jest wysportowane i zdumiewająco giętkie. Chyba mogłaby występować w cyrku jako kobieta guma. Wysmarowana kremem spędza następne trzy godziny leniwie wyciągnięta na kocu, przekładając się z brzucha na plecy i na odwrot.

Jak kotka. Albo wygrzewający się gad.

Godz. 13.00

Poza wskazówkami, jak mam jechać, przez cały dzień zamieniliśmy góra dziesięć zdań. Nie widzę jej oczu za okularami, jednak wydaje mi się, że doskonale wie, gdzie się znajduję. I rejestruje wszystkie moje ruchy.

Obserwuje mnie, a ja – ją. Żadne z nas, wychodzi na to, nie ma całkowitej pewności, z kim ma do czynienia.

Z wyjątkiem krótkiej kąpieli w lodowatym morzu nie odstępuję od niej na krok. Wielu facetów na tej plaży łakomie omiata wzrokiem jej mały tyłek. Ale widzą też mnie i żaden nie startuje. Włosi nie są głupi. Wracamy do miasteczka przed czwartą i znów idziemy na obiad. Tym razem do skromniejszej knajpki. Ona chyba nie jada mięsa.

Przed wejściem do jej hotelu umawiamy się na kolejny dzień o tej samej porze.

Dzień trzydziesty pierwszy

Środa, 1 lutego 2017

Godz. 20.13

Ristorante La Cambusa

San Vito Lo Capo, via Generale Arimondi 15

Sytuacja bez zmian. Po drugim dniu wylegiwania się na plaży jestem czerwony jak rak mimo kremów z blokerem. W drodze powrotnej Marlena kazała mi się zatrzymać przed wiejskim sklepem i kupiła kartonik maślanki, żebym smarował na noc najbardziej spalone miejsca. Pewnie się mnie zaczyna wstydzić; jej własna skóra nabiera złotoczekoladowej barwy.

Na plaży znów nie rozmawialiśmy. Ale chyba przestała mnie obserwować tak uważnie. Jednak do Michejdy dwa razy dzwoniłem z przenośnej toalety, takiej samej jak nasze toi toi. Za pierwszym razem nie mógł odebrać. A przed piętnastą nakazu wciąż nie było. W budce śmierdziało do omdlenia. Taka praca, taki los.

Gdy za drugim razem wracałem do naszego koca, siedział tam jakiś facet. Na mój widok od razu się zmył. Wprawilo mnie to w dobry humor. Co myślała Marlena, nie mam pojęcia: nawet nie poruszyła głową.

Patrzyłem na nią i nie widziałem ładnej filigranowej kobiety, jak ci Włosi. Decyduje to, co o ludziach wiesz, nie to, co widzisz.

Po powrocie do miasteczka nie poszliśmy jeść; twierdziła, że rozboleła ją głowa. Ale znów się ze mną umówiła. Na wszelki wypadek kręciłem się w pobliżu hotelu z balkonami i czerwonymi pelargoniami, ale do zmierzchu nie wytknęła nosa na zewnątrz.

W końcu pojechałem do siebie i odnalazłem tę knajpę z białymi parasolami nad chodnikiem. Chce mi się mięcha, jakby organizm gromadził na coś siły. Wierzę w instynkt, znów zamawiam *ossobuco*.

Rozglądam się za starszą Polką z psem, ale pewnie tego wieczoru poszli na spacer gdzieś indziej.

Dzień trzydziesty drugi
Czwartek, 2 lutego 2017

Godz. 12.09

Monte Cofano, okolica dawnej przetwórnicy rybnej

W Lo Capo wiatr ustał i plaża szybko się zaludnia, ale Marlena wskazuje na mojej mapie inną, po drugiej stronie półwyspu. Twierdzi, że dziś tam też powinno być dobrze. Na miejscu zastajemy zatokę o żwirowym dnie i grupę golasów. Jest tu ciepło i faktycznie bezwietrznie. Marlena nie zdradza, czy od początku wiedziała, że to miejsce dla nudystów. Zdejmuje najpierw dół, potem górę kostiumu. Naga bezwstydnie wykonuje swoje ćwiczenia rozciągające. Gdy kończy, kładzie się na brzuchu obok mnie.

– Nasmaruj mi plecy.

– Specjalnie wybrałaś to miejsce? – pytam, kładąc blok grubą warstwą na jej ramionach i łopatkach.

– Wstydzisz się?

– Nie.

– Bo tu nie ma bachorów.

– Nie lubisz dzieci?

– Nie. Tyłek też smaruj.

– Nie jesteś matką Polką.

– Spierdalaj.

Brzmi to prawie zalotnie.

Potem przychodzi moja kolej, by usiąść tyłem do niej. Dwie silne dłonie obejmują mój kark.

– Nie spinaj mięśni, dziadku – słyszę za sobą. – Nie zatrujesz się tym kremem.

Zachowuje się swobodnie do przesady. Kończy i kładzie się na plecach. Nie ściska kolan. Ma ogolone krocze. Nad nim białą bliznę, chyba po cesarce. Dostrzega moje szybkie spojrzenie i siada. Oparta na łokciach rozszerza nogi, żebym wszystko sobie obejrzał.

Przekręcam się na brzuch jak facet, który chce ukryć erekcję.

– Nie udawaj, że ci stanął, dziadku.

– Staje tylko, jak jestem podniecony.

– Pamiętasz jeszcze taki stan?

– Spierdalaj.

Słyszę wpadającego esemesa. Dziwne, że doszedł w kotlinie tej plaży, tu zasięg jest ledwie na jedną kreskę. Wyciągam komórkę z saszetki, rzucam okiem i wygaszam ekran.

– Coś ważnego? – pyta, nie odwracając głowy.

– Skąd. To od żony.

– Pisze, że kocha?

– Tak, szaleje za mną.

– Każda potwora znajdzie amatora.

– Ty też, Doroto?

– Ustawiają się w kolejkach.

Wyjeżdżamy stamtąd już po trzeciej. Zerwał się wiatr i zrobiło się zimno.

Godz. 15.40
San Vito Lo Capo, via Mondello 67

Zatrzymuję punto na zwykłym miejscu przy krawężniku obok jej hotelu.

– Idziemy na obiad?

– Będziesz żarł czy chcesz się pieprzyć?

Wysiada z wozu i nie oglądając się na mnie, idzie do wejścia. Kołysze biodrami. Pierwszy raz widzę, jak porusza się w ten sposób.

Wysiadam za nią.

Otwiera drzwi kartą, wchodzi. Przytrzymuję je w ostatniej chwili, żeby się nie zatrzasnęły. Wspina się po schodach, na pierwszym piętrze prowadzi mnie przez cały korytarz. Na końcu za zakrętem są schody, których nie zauważyłem dwa dni wcześniej. Wynajęła pokój na poddaszu. Musi być Skorpionem; według Baški ludzie spod tego znaku zawsze lokują się gdzieś wysoko, najlepiej na szczycie wieży.

Pochyłe ściany, belka na środku pomieszczenia, okno wychodzi na dach sąsiedniego, niższego budynku. W środku wzorowy porządek. Na staroświeckim drewnianym łóżku oparta o poduszkę jak siedzące dziecko leży duża łysa lalka.

Marlena upuszcza plecak, za nim na drewnianą podłogę spada plażowa tunika. Nie nakładała kostiumu na drogę. Wciąż plecami do mnie podchodzi na palcach do staroświeckiego drewnianego łóżka. Jej małe, okrągłe pośladki poruszają się niespiesznie.

– Przelecisz mnie, dziadku?

– Nie w tym życiu, Marlena.

Naga sylwetka nieruchomieje. Powoli się odwraca. Jej szare oczy są nieruchome, usta wykrzywione ironicznie.

– Nie zorientowałaś się?

– Pierwszego dnia. – Jej głos jest niski, zduszony.

– Jak?

– Wyguglałam cię. Jesteś psem. Pełno ciebie w gazetkach.

Nie zauważyłem, kiedy trzepnęła mi fotkę.

- Połóż się na łóżku. Na brzuch. Ręce na plecy!
- Dobrze. Ale nie skuwaj mnie jeszcze... Może jednak?
- Mam być następny?
- Nie bądź śmieszny... Zabawmy się.
- Widziałem poprzednich. I teściową. Przykry widok.
- Jesteś duży... nie dałabym rady, Roman. Przecież wiem, że chcesz... Ruchaj mnie...

Robi powolny krok w moją stronę. Wyciąga ręce przed siebie, jakby chciała rzucić mi się w ramiona. Nagle przyspiesza i niesamowicie sprężyste odbija się z podłogi – nogami do przodu, jak tyczkarka. Odruchowo uchylam twarz, a ona obejmuje moją szyję udami. W ułamku sekundy niczym akrobatka przesuwa mi się na plecy, obejmuje ramionami moją głowę.

Moment obrotowy sprawi, że gdy na koniec ruchu szarpnie nią w bok, kręgi szyi popękają jak zapałki.

Reaguję instynktownie. Chowam głowę w ramiona, a dłońmi wypycham jej tyłek w górę, jednocześnie padając na prawy bark.

Zanim oboje lądujemy na deskach, błyskawicznie ześlizguje się ze mnie, robi przewrót i wyfruwa tym niesamowitym, płynnym ruchem w górę, do dachowego okna. Szarpie klamkę, uchyla obrotową ramę z szybą i nurkuje w powstałą szczelinę. Kiedy docieram do framugi, jest już praktycznie po drugiej stronie.

W ostatnim ułamku sekundy chwytam ją za kostkę nad stopą.

Ciągnę obiema rękami za nogę. Nie ma czego się złapać na dachu, ale wierzga i drugą nogą zapiera się o futrynę. Jednak nie ma już szans: jestem gotów wyrwać jej kończynę bez litości.

Wciągam ją kawałek do środka, przekładam ręce na jej biodra i szarpnięciem wrzucam ją na powrót do pokoju. Wymazana smołą i krwią natychmiast zrywa się na nogi, ale padam na nią jak worek węgla całym swoim ciężarem. Przygniatam zabójczynię do desek podłogi.

Potem chwytam ją za nadgarstki, a Marlena Maciejewska z całej siły wbija mi zęby w przedramię. Są ostre jak u kota, wchodzą głęboko w ciało.

Godz. 16.22

Wyłączam komórkę i wkładam ją do kieszeni. Rozmawiałem pół godziny z numerami w Polsce i dwoma we Włoszech, w tym z naszym oficerem łącznikowym. Poprawiam opatrunek z kawałka ręcznika na przedramieniu. Jest nasączony krwią.

– Policja włoska będzie za parę minut.

Marlena nie odpowiada. Leży na łóżku skrepowana paskiem od moich spodni, dodatkowo związałem jej nogi kablem, który wyrwałem z suszarki elektrycznej. Nie bawiłem się w próby ubierania jej.

– Nie łudź się – kontynuuję. – Z europejskim nakazem Włosi szybko wydadzą cię do Polski. To, w czym tkwisz, w fachowym języku prawniczym nazywa się czarna dupa. Dostaniesz zarzuty za dwa morderstwa. To na początek. Potem prawie na pewno dojdą dwa kolejne. I jeszcze z kilku paragrafów za banki. Dwadzieścia pięć lat, jak dobrze pójdzie, dożywocie, jak gorzej. Tak bym podsumował sytuację.

Nie odpowiada.

– Jak rozumiem, do tej pory wszystko się zgadza – kontynuuję. – Mamy wspólną ocenę, co jest zawsze miłe w relacjach policjanta i przestępcy. Mogę cię o coś zapytać?

Odwraca głowę do ściany.

– Sformułuję to delikatnie, bo jesteś w kiepskim nastroju. Skoro rozszyfrowałaś mnie już pierwszego dnia, jak twierdzisz, to dlaczego nie uciekłaś? Mogłaś dać nogę. Nawet jeszcze dziś rano. Tak bardzo chciałaś mnie też zabić? Czemu? Ja nie ponoszę winy za śmierć twojego dzieciaka.

Nie porusza się nawet.

– Może jednak się przechwalasz? Nie podejrzewałaś niczego, dopóki nie wypowiedziałem twojego imienia.

Nic. Cisza.

– Rozmawiaj ze mną, Marlena – podejmuję przyjaznym tonem. – Czas nie będzie się nam dłużył.

Siadam na łóżku obok niej, przekręcam jej głowę ręką, patrzę prosto w oczy.

– Zdrętwiałaś? Chcesz się obrócić trochę? Śmiało... Opowiedz wszystko wujkowi Romanowi. Ulży ci. Na przykład dlaczego skręciłaś kark tamtemu strażnikowi w Dęblinie? Rozumiem zemstę, ale co ci dziadek zawinił?

Mrugnięcie powiekami. Nic więcej.

– Wiesz co, Marleno? Do diabła z tym. Przyznam ci otwarcie: nie rozumiem, o co tu w ogóle chodzi. Czy ty się rzeczywiście ukrywałaś tu na Sycylii? Łatwo było wpaść na twój trop. Zostawiłaś ewidentne wskazówki w swoim pokoju, bilet kupiłaś dwieście metrów od domu. Nawet nie ucharakteryzowałaś się porządnie... Potem spotkania ze mną, dzień po dniu... Jesteś zbyt inteligentna, żeby tak postępować. Powiedz, czego ja nie wiem?

Jej szare oczy wpatrują się we mnie bez emocji.

– Tu brakuje jakiegoś elementu. Do diabła, powiedz mi! – Potrząsam nią, podnoszę głos. – Chcę wiedzieć!

– Męcz się.

Zdejmuję ręce z jej ramion i wstaję z łóżka, bo zza drzwi dobiegają odgłosy kilku par policyjnych butów.

– Czemu mnie ugryzłaś?

– Żebyś łatwo mnie nie zapomniał, psie.

Dzień trzydziesty trzeci

Piątek, 3 lutego 2017

Godz. 8.09
Polizia di Stato, Questura Palermo
piazza della Vittoria 8

Posprzątane.

Oczywiście, było nerwowo. Nie dziwię się, my w Polsce też nie przepadamy za „obywatelskimi” zatrzymaniami. A jeśli robi coś takiego cudzoziemiec, żyły wychodzą nam na skronie. Jasne, jesteśmy jedną europejską rodziną, wszyscy wspieramy się w walce z przestępczością, sama słodycz. Ale w policji istnieje pojęcie rewiru. W moim rewirze ja rządzę, a nie jakiś przybłęda. Nieważne, o jakie przestępstwo chodzi. Każda policja na świecie tak ma.

Dlatego Włosi całą noc nie byli dla mnie mili, a ja dla nich – do rany przyłóż. Na komendzie w Palermo ściągnęli tłumacza, wrzeszczeli na mnie i nawet szklanki wody nie dostałem. Po północy polski oficer łącznikowy dotarł z Rzymu, ale go do mnie nie dopuszczali. Dopiero nad ranem ustaliliśmy wspólnie, że zatrzymanie poszukiwanej międzynarodowym listem gończym Marleny Kosakowskiej-Maciejewskiej, obywatelki polskiej, dokonała samodzielnie włoska policja, a mnie nigdy nie było na Sycylii.

Podpisałem protokół odbioru swoich rzeczy i dostałem pierwszą od wczoraj filiżaneczkę espresso. Przynieśli też spakowane moje rzeczy z hotelu. Oddałem im papiery punto, kluczyki i sześćset pięćdziesiąt euro gotówką za wynajem samochodu i pokoju. Zniszczenie suszarki mi się upiekło.

Teraz helikopterem wiozą mnie na lotnisko.

Z góry Cieśnina Messyńska wygląda jeszcze ciekawiej niż z pokładu promu. Bładożółte zimowe słońce od wschodu oświetla fale i płynące statki. Nie mam siły o niczym myśleć, po prostu chłonę widok.

EPILOG

24 czerwca 2017
Pensjonat Urokliwa Skarpa
gmina Sieńki

Kiedy po powrocie z Włoch znalazłem na swoim koncie wpłatę od Maksymiliana Górskiego, wszystko zgodnie z umową, do ostatniego euro, wydawało mi się, że znam już zakończenie tej historii. Kompozytor pogodził się z przykrym wspomnieniem, a pieniądze załatwią resztę.

I faktycznie, w mediach panowała cisza. W kraju nie ukazały się żadne oskarżycielskie publikacje i za granicą chyba też nie, bo przecież by przedrukowali. A jednak Maks Górski mnie zaskoczył.

Gdy rozpoznałem jego ciało w naszej zdruzgotanej werandzie, byłem naprawdę zdziwiony.

Jednak nie udźwignął ciężaru winy.

Gdy monstrualna prawda w końcu do niego dotarła, wystartował swoją maszyną z Bemowa. Był sam na pokładzie. Wysoko nad Zalewem Zegrzyńskim zatoczył koło. Na autopilocie ustawił kurs na północ i otworzył drzwi kabiny.

Niespełna godzinę później, gdy skończyło się paliwo, maszyna spadła do Bałtyku, mijając o włos okręt szwedzkiej marynarki wojennej.

Nigdy się nie dowiem, dlaczego na miejsce spotkania z ziemią wybrał akurat Urokliwą Skarpę. Może chciał w ten sposób coś nam przekazać? Baśka twierdzi, że właśnie tak, ale to są tylko spekulacje, psychologiczne szydełkowanie. W sumie do samobójcy większych pretensji nie mam, zapłacił mi tyle, że wystarczyłoby na dziesięć werand i jeszcze na piwo dla całej załogi pensjonatu.

O przypadku Marleny też rozmawiamy z moją żoną, zwłaszcza po tym, jak „Super Trybuna” dała na czołówce, że po przywiezieniu jej do Polski powiesiła się w celi aresztu śledczego. Jakoś jej nie upilnowali, monitoring w celi oczywiście był zepsuty, ale tak się zdarza z zabójcami policjantów.

Baśka uważa, że to mogło być prawdziwe samobójstwo. Zdaniem pani psycholog po dokonaniu zemsty morderczyni straciła motywację do życia. Wykonała swój plan i zabiła wszystkich, których winiła za śmierć córki. Nie zostało jej nic, żaden cel. Pojechała na swoją gorącą plażę, ale zawiodła ją nawet wola przetrwania, najsilniejszy z ludzkich instynktów. Złodowaciała wewnętrznie potrafiła już tylko leżeć na piasku i czekać. Słońce nie mogło już jej ogrzać. Nie miała siły się ukrywać.

Ta teoria pomniejsza moją zasługę, ale coś w tym jest. Choć moim zdaniem Baśka trochę zapędza się w opisie. Marlenka wykrzesła z siebie tyle energii, że mogłaby przerwać mi rdzeń kręgowy. Gdyby na tamtym poddaszu zawiódł mnie instynkt walki, nie byłoby dziś gadki.

Nie jest też do końca jasne, dlaczego zabiła strażnika w banku w Dęblinie. Mam nieprzyjemną teorię w tej sprawie: mogło jej chodzić po prostu o test. W ciemnej hali kasowej natknęła się na chrapiącego mężczyznę i skusiła ją myśl, by spróbować. Pewnie widziała na filmach, jak zabijają agenci sił specjalnych, albo wygrzebała instrukcję zamieszczoną przez jakiegoś chorego świra w internecie. Trzask pękającego kręgu utwierdził ją w przekonaniu, że sposób faktycznie działa. Jeśli ofiara niczego się nie spodziewa, nawet ktoś drobnej budowy może zabijać tą metodą.

To tylko przypuszczenie, ale nic lepszego nie mam do zaoferowania. Jestem gliną, nie Duchem Świętym.

Inna przykra sprawa jest taka, że Zrzeszenie Banków Rolnych do tej pory nie wypłaciło mi wynagrodzenia. Malicki odszedł z pracy za porozumieniem stron. Prokuratura „toczy postępowanie” w sprawie włamań do banków, ale nikomu nie postawili zarzutów i raczej nie postawią. Jerzos posiedzi za wysadzenie bankomatu, to wszystko. Zrzeszenie pewnie pod koniec roku finansowego wykaże stratę, ale odbiją to sobie w następnym. Od Michejdy wiem, że Marlena nie ujawniła, gdzie skitrała swoje miliony. Pewnie do końca świata będą tuczyły jakiś szemrany bank w Panamie albo Wołominie.

Giwera upiera się, że nie wykonałem zadania zleconego przez zarząd, bo nawet domniemaną zabójczynię strażnika zatrzymali przecież Włosi. Mój adwokat jest dobrej myśli: postępowanie cywilne w sądzie potrwa dwa lata albo trzy, ale na koniec wyjdziemy na swoje. Weźmie za to 33,3 procent sumy, którą uda mu się wyciągnąć z gardła zrzeszeniu banków. Nie wiem, czy podzielam jego optymizm. Adwokaci, jak detektywi, zawsze są dobrej myśli.

Z innych spraw, na początku maja Renata z córką pojechały do Wietnamu do

mojego brata; Witek twierdzi, że w tym kraju widzi ich wspólną przyszłość. Plan jest wariacki, więc może się udać.

A ja, jak już się musieliście zorientować, znów urzęduję w Urokliwej Skarpie.

W ostatnią niedzielę marca moja żona powiedziała mi w końcu, żebym może wrócił na próbę pod wspólny dach. Zrobiła to niespodziewanie, gdy już wkładałem kurtkę. Widziałem, że Baśka od jakiegoś czasu mociuje się z tą kwestią. Sam nie miałem wątpliwości, czego chcę, i nie dałem jej szansy się rozmyślić: moje rzeczy znikły z hangaru już następnego dnia.

Obwąchiwaliśmy się przez kolejny miesiąc, ostrożni i nieufni, czy jesteśmy gotowi na taką próbę. Dużo rozmawialiśmy po nocach. Wreszcie moja żona zrobiła kolejny krok w moją stronę i wprowadziłem się na powrót do wspólnej sypialni z warsztatu w piwnicy, gdzie od powrotu urządziłem sobie tymczasowy kąpiel.

Jak za dawnych czasów, jadamy z Baśką śniadania i dużo rozmawiamy o wszystkich możliwych sprawach. Zapuściłem włosy i przestałem manifestować otoczeniu, jaki to ze mnie jest niegrzeczny facet.

Ale jeśli chcecie wiedzieć naprawdę, jak nam idzie klejenie rozbitego dzbanu, to przyznam, że raz lepiej, raz gorzej. Jednak głównie lepiej. Jestem prosty chłopak z Grochowa, który uczy się na błędach. Żadne z nas nie chce wracać do tego, co było. A na bieżąco po prostu staramy się, by każdy następny dzień był dobry, a jeśli to się okazuje niemożliwe, to przynajmniej znośny.

I to wcale nie jest taki mało ambitny program, jak by się mogło wydawać.

Oboje szalejemy za naszym synem. Tworzymy z Baśką i z Orłem Białym zgraną rodzinę, harujemy na codzienny chleb i wspieramy się najlepiej, jak potrafimy. W dobrych chwilach nawet sądzę, że mimo wszystkiego, co się wydarzyło, po prostu wciąż się kochamy.

Warszawa
lipiec 2017 – marzec 2018

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz